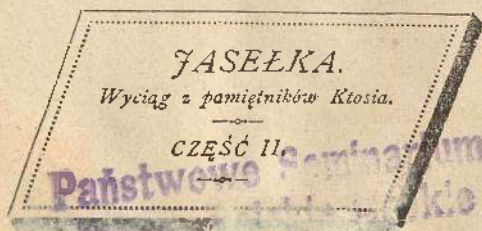


WYDANIE JUBILEUSZOWE.

WYBÓR PISM

J. I. KRASZEWSKIEGO.



— Wydawnictwo na korzyść Jubilatów. —

WARSZAWA.
DRUK JÓZEFA UNGRA

ulica Nowoltpl. Nr. 3.

1878.

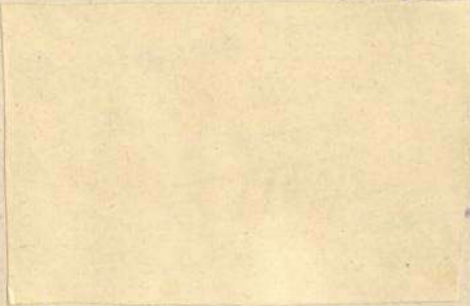
Безвредно Цензурою.
Варшава, 29 Декабря 1877 г.

JASEŁKA.

WYCIĄG

Z PAMIĘTNIKÓW KTOSIA.

(Dokończenie).



884-3



KRA

WYB

250

Puszczona przez sędziego wiadomość o testamencie, rozeszła się lotem błyskawicy po sąsiedztwie, i rozmaite wywołała sądy, domniemania, domysły. Maks powracając z miasteczka, przywiózł ją półkownikowej, która tragicznie ręce załamała, usłyszawszy ją. Była tam właśnie i Aneta z matką, a piękne dziewczę ciekawem nchem pochwyciło nowinę.

— Jak to? spytała Anusia żywo: ten zajmujący młody człowiek...

— Pozostanie — rzekł Maks — goluteńkim hrabią, nic więcej.

— Ale to nie może być — przerwała półkownikowa — żeby też stryj wszystko mu miał zabrać, nie nie dać po ojcu! Wstydziłby się...

— O! to bardzo być może, i wstydzić się nie będzie! trzęsąc głową dodała matka Anety.

— Szkoda go, doprawdy! szepnęła panna. Ale cóż on pocznie biedny?

— O niego ja się najmniej kłopotuję, rzekł Maks: on lubi swobodę i życie wieśniacze; będzie ich używał do sytu. To dziwak: z ochotą opuści pałac dla chatki, i pójdzie pracować...

— Przecież to człowiek dość wykształcony...

— Ale ma swoje widzi-mi-się...

— Nie! nie! ja uparcie nie wierzę, żeby mu już wszystko zabrać miano z mocy tego dziwnego testamentu... rzekła po chwili półkownikowa. Coś przecie mu dać muszą.

— O ile ja go znam — przerwał Maks — wiem, że z łaski i daru z pewnością nic nie przyjmie; za to mogę ręczyć. Pójdzie raczej drwa rąbać i w piecu palić.

— Lecz mu przecie imienia ojcowskiego nie odjęto, to dla niego coś jednak dać muszą...

— Ale czyż taki testament może być ważny? zapytała gospodyni, którą długie wdowieństwo trochę prawa wyczyło.

— Mówią, że dalby się łatwo obalić, rzekł Maks. Są prawnicy, którzy już czyhają na to; ale Juraś, ręczę, nie dopuści zgorszenia i poszanuje wolę ojca.

— Co za dziwny dramat! obojętnie przemówiła Aneta—jaki żal tego chłopca, jeśli się tak zmarnuje!..

Maks ruszył ramionami.

— To człowiek do dziwnych losów zrodzony. Któż wie co go teraz czekać może?... dorzucił patrząc na Anetę, która dotąd bardzo się Jurasiem zajmowała, ale nagle dowiedziawszy się o wydarciu mu ogromnej fortuny, wpływającej może na jej sąd o młodym chłopcu, znacznie dla niego oziębła.— Cóż, pani nawet nie żalujesz swojego faworyta? spytał po cichu.

— Faworyta? powtórzyła Aneta, ruszając ramionami—cóż to pan znowu wymyśliłeś? Wyznaję, że mnie dość zajął w pierwszej chwili; ale ja nie tak łatwo mianuję faworytów. Dajże mi pan z nim pokój...

I z widoczną odwróciła się urazą. Matka jakoś smutnie zwiesiła głowę.

W Robowie, Otto i Martynko zaraz się też o testamentie dowiedzieli; ale tam zbyt wielkiego nie zrobiło to wrażenia.

— Ha! rzekł Otto: wie pan Bóg co robi. Ja się zawsze dla niego obawiałem fortuny. Choć pocziwy i szlachetny, ale młody: wielka majetność mogłaby mu głowę zawrócić, złamać w nim energię, opuściłby ręce... kto wie? zasmakowałby może w tym świecie, którego się tak lękał, narażony na pokusy mógłby im uledez... Świat pobłażający dla bogatych byłby go ubóztwił, odurzył, podniósł, spełtał swemi różanemi wieńcami... Jak jest, tak dobrze: zostanie mu imię pocziwe do dźwigania, przymus do pracy, którą pokochał. Bóg wie co robi.

Martynko się trochę zasmucił.

— Tak, to prawda, ojciec. rzekł do Ottona; ale coby on dobrego mógł zrobić, tyle mając w rękul

— Pieniądz psuje ludzi, odpowiedział Marzycki. Lepiej jest może nie być narażonym na to, co on w człowieku rozwija... Ot zobaczysz: powróci do nas, grać będzie, odzyska dawne wesele i swobodę, i pozna się na tych, co prawdziwymi jego byli przyjaciółmi, bo reszta go odstąpi.

Że jednak choć na pozór pewne wieści były ustnie przyniesione z miasteczka, Otto po obiedzie wybrał się dla sprawdzenia ich do Żółtowskiego, którego zastał bardzo smutnym.

— No, co tam się u was dzieje, stary? zapytał wchodząc.

Ale Żółtowski teraz bardziej niż kiedy milczał, ma-

jąc się na ostrożności, by się za nadto nie wygadać, i ruszył tylko ramionami.

— No, więc testament jest?

Żółtowski głową kiwnął.

— A hrabia?

Stary machnął ręką.

— A hrabina?

— Płacz! rzekł Żółtowski.

— Istotnie go wydziedzicza?

— Zupełnie.

— Ale czyż się to utrzyma?

— On pewnie przeciwko temu nie pójdzie. Coś mu tam chcą dać z łaski.

— On tego nie weźmie.

— Ciekawa rzecz, smutna!

— Zawsze—rzekł Otto—gdzie się pieniądze wmieszają między słabych ludzi, głupstwa między nimi narobi.

— Lepiej daleko nic nie mieć! szepnął Żółtowski, kładąc ręce w puste kieszenie. A co łez ta biedna pani wyleje!

— Posłano już do niego?

— Nie, jeszcze.

Po całém tak sąsiedztwie w różny sposób wykładano i komentowano sprawę Jurasia, dziwny ów testament, dziwniejsze jeszcze postępowanie hrabiego, oczekując co też się z tego rozwinie. Zdania były niezmiernie podzielone.

Tymczasem w Horycy po owym dniu konnej przejażdżki, szły następne jednostajnie wedle obyczaju, jak tam z dawna panował. Juraś nieczynny jeszcze, chodził, myślał i odpoczywał po wzruszeniach, gdy

w kilka dni potem oznajmiono mu przybycie jakiegoś nieznajomego z interesem.

Jegomość ten przyjechał pocztą i domagał się bardzo pilno widzenia z Jurasiem.

Paweł, który już był sobie przywłaszczył dostojęństwo mistrza ceremonii, nim go dopuścił do młodego pana, poszedł wprzód mu się przypatrzeć w pierwszym pokoju, gdzie na audyencyę oczekiwał, i powrócił niedosyć zadowolony z gościa, który wedle niego miał jakąś podejrzaną minę.

— Mężczyzna średnich lat, suchy, chudy — rzekł do pana — papierem cuchnie... coś tak wygląda jakby z sądu, wygolony na twarzy, zezem patrzy, siada, wstaje, niecierpliwy czegoś, i z kieszeni mu herbowane jakieś wyglądają świstki.

Nie mylił się w swoim sądzie Siermieżki: był to w istocie jeden z tych ludzi, co prawo wzięwszy sobie za narzędzie, starają się niém drogę do majątku utorować, wiedząc, że później na wiosce i urzędzie, nikt się o legitymacyę majątkową nie spyta. Znano go z tego, że czyhał na wszelkie łakome choćby niebezpieczne gratki, i ubiegł kilku w sprawach wielkiej wagi, które tak poprowadzić umiał, że i klienci mu byli wdzięczni, i on się nieźle obłowił.

P. Aleksander Szperka miał na uniewinnienie się żonę chudą, krzykliwą, niegdyś piękną, póki nie straciła zębów, której się bardzo obawiał, bo mu nieustannie w oczy rzucała tém, że wszyscy prawnicy szybko się fortuny dorabiali. Miał jeszcze ośmioro dzieci, z których troje płci pięknej, a pięcioro niepięknój płci, — prawdę mówiąc, ośmioro bębnów szpetnych i krzykliwych, które gadatliwość wzięły ze krwi macierzyńskiej. Musiał więc pracować w pocie czoła

jeśli nie dla tego, by się czegoś dorobić, to przynajmniej, żeby nie siedzieć w domu.

Powierzchnowość Szperki nie mówiła: był to człowiek nakształt wytrycha, niemający zbyt oznaczonej formy, mogącej mu gdziekolwiek bronić wstępu. Z zasady zmuszony różne przybierać tony, fizyogonmie, charaktery, był zawsze takim, jakim być potrzebował: śpiewał soprano i basem. Suchy i chudy, dosyć zaniedbany, mocno zézem patrzący, co go bardzo nieszczęśliwym czyniło, bo mu często przypominało przysłowie—zawsze zacierający ręce, gdyż nie pisząc nie miał co robić z niemi,—Szperka miał dosyć sprytu, wiele uniżoności w potrzebie, ale więcej jeszcze śmiałości i zuchwalstwa, gdy ich okoliczności wymagały... Ofiary nie kosztowały go żadne, byle swojego dopiął... Chodził zawsze bokiem, z ukosa, i krążąc zbliżał się do celu..

Chód ten ostrożny odbijał się i w jego czynnościach: wprost rzadko przystępował, chyba do nieboszczyka; ale świeżo zmarłego obawiał się nawet, by jeszcze nie wstał.

— Czego to pan dobrodziej sobie życzy? zapytał go Paweł: bo pan nasz zajęty.

— Powiedz asindziej swojemu panu—odparł Szperka, usiłując pół-rubelka wetknąć w rękę staremu, który ruszył ramionami i cofnął się parę kroków—powiedz, że przybywam tu w bardzo pilnym interesie majątkowym, który najmniejszej nie cierpi zwłoki...

— To niechby się pan może wprzód zobaczyć z Lacyną..

— A któż to jest pan Lacyna? zapytał ciekawie przybyły, usiłując skorzystać ze wszystkiego i rozwieźć się o ludziach, którzy mu potrzebni być mogą.

— Regentowicz Lacyna... no! Lacyna! rzekł Paweł zażywając tabaki—ten co tu mieszka, to wiadomo, rezydent. Tamby się z nim może dało o interes porozumieć; a czy koniecznie pana samego turbować?

— Koniecznie! koniecznie! zawołał uparcie Szperka, który się lękał, żeby go kto nie uprzedził. Tu chodzi nie o fraszki, ale o cały pański majątek.

Paweł niełatwowierny, bo stary, źle wniósł z téj przesady i gorączki, ale poszedł znowu do pana.

— To proszę pana—rzekł—jakiś fufant, plecie nie wiedzieć co: interes pilny, gardłowy, jakoby o cały majątek, a przysięgnę, że wydrwigrosz, bo i zézem patrzy...

Juraś wstał i otworzył drzwi, nie czekając więcej.

Szperka czekał niecierpliw. Począł od tysiącznych ukłonów, które grzbietowi jego nadały najpiękniejsze zgięcia i Hogartowskie linie; frak tylko zbyt szeroki nie dawał ich ocenić.

— Mam honor przedstawić się jw. panu: Aleksander Szperka, z bardzo ważnym i pilnym interesem.

— Słucham pana—rzekł Jerzy obojętnie.

— Okoliczności, które mnie tu sprowadzają, chociaż chwalić się nie lubię i brzydzę się wszelkim fałszem, są téj natury, że moje natręctwo zupełnie uniewinniają. Prawo stawiam—gdyż mam szczęście być policzonym do zajmujących się prawem—jako stróżów bezpieczeństwa osób i własności; obowiązkiem naszym jest biedz z pomocą uciśnionym i pokrzywdzonym...

— Ale ja nie sądzę, bym kogo ucisnął i pokrzywdził?

— Dość spojrzeć na pana, aby tego być pewnym, gdyż szlachetne jego oblicze... przerwał Szperka.

Juraś usta wykrzywił, a prawnik przewąchał, że nie trafi tą drogą, i zawrócił w inną stronę.

— Ale sam pan dobrodziej nie jesteś wolny od zamachów...

— Ja? spytał uśmiechając się Jerzy.

— Widzę, że pan jeszcze nic nie wiesz, i że ja pierwszy podobno będę zwiastunem tej smutnej wiadomości.

— Wiadomości? smutnej dla mnie? Cóż to być może? spytał Juraś—proszę mówić bez ogródki.

— Pozwalasz jw. pan dobrodziej?

— Proszę o to...

Usiedli. Szperka powoli dobył papiery, położył je na kolanach, spojrział w oczy Jurasiowi badawczo, odchrząknął i począł:

— Wchodzić w okoliczności, które spowodowały... nie mogę i nie chcę; ograniczę się faktami. Jest tedy faktem, że ś. p. hrabia, ojciec pański, przedostatnim razem będąc u jw. hrabiego brata swego w Zarubińcach, sekretnie złożył na ręce jw. hrabiny *species* jakowegoś testamentu. Gdy potem zaszły inne okoliczności i śmierć prawie nagle jw. rodzica pańskiego...

— Więc jest testament! zawołał Juraś.

— A jest! jest, jw. pani! i w sądzie już złożony przez nich.

— Jakięj treści?

— Oto i kopia, którą, nie chwaląc się, umyślnie dla użytku jw. pana wyjąłem..

To mówiąc, dobył papier i z gracyą podał go wdzięcząc się Jurasiowi. Ten pochwycił gwałtownie, wstał, przebiegł oczyma żywo, a po chwili oddał na-

zaś prawnikowi śledzącemu cchiwie, jakie na nim wrażenie zrobi ten cios niespodziewany, pozbawiający go położenia i majątku.

Ale na twarzy Jurasia nic nie widać było prócz wielkiego wzruszenia, którego charakter trudno przychodziło odgadnąć. Drżał i łzy toczyły mu się po twarzy.

— Smutne to są okoliczności... rzekł po chwili Szperka. Nikt nie wątpi ze znających rzecz, że testament ten, w chwili zgonu, ś. p. ojciec jego chciał i pragnął odmienić, ale wiadomo co to są ostatnie chwile człowieka: zapomina się o wszystkiem. Szczęściem—dodał—mogę zapewnić jw. pana, że testament ten, jakkolwiek on jest, dosyć nawet sobie zręcznie ułożony, ale jeśli *my* (uderzył się w piersi) jeśli *my* się do niego weźmiemy i zechcemy, będzie obalony. Jedyńie powodowany ludzkością, której spraw mam obowiązek bronić i wspierać je, widząc oczywistą i do Boga o pomstę wołającą niesprawiedliwość i krzywdę, przybyłem tu do jw. pana, ofiarując mu usługi moje, zupełnie, że się tak wyrażę, nie chwając się, bezinteresowne! Zostawiam wspaniałomyślności jw. pana co uzna za słuszne, aby pracę i pot człowieka ubogiego wynagrodzić... Prawda — dodał znowu, wpatrując się ciągle w milczącego Jurasia—że będziemy mieli do czynienia z nieprzyjacielem możnym i silnym, ale i tu są środki, i na przemoc są sposoby..

Juraś osłupiałym wzrokiem poglądał na Szperkę, który nie wiedząc co trzymać o jego milczeniu, pośpieszał dalej. Dopiero gdy ten skończył, Juraś namarszczył brwi i rzekł silnie:

— Ale ja się wcale procesować nie myślę!

— Jak to? więc jw. pan sądzisz, że się nam nie uda?

— Doskonale wiem, że wygrałbym pewnie i bez wielkich wysiłków, ale woli ojca nie złamię.

— JW. panie! to wszyscy wiedzą, iż wola jego dostojnego ojca, w ostatnich chwilach, jak zgodnie opowiadają, została zmieniona...

— Być może, ale prawnie i przed światem głos jego odzywa się z za mogiły, powiada mi wolę swoją, którą jako syn poszanować winienem. Myśliszże wpan, iż mi to na co jest potrzebne? dodał Juraś. Chleba kawałek zarobię sobie zawsze, a dzięki Bogu jestem swobodny jak ptak, i nie mnie nie wiąże. Majątek wkłada obowiązki, robi ze mnie niewolnika: dziś odzyskuje siebie.

Szperka stał jak osłupiały.

— Ale to być nie może! przerwał gwałtownie; to trzeba chyba obłąkania, że się tak wyrażę, aby miliony rzucić tak w błoto!

Jerzy uśmiechnął się pogardliwie.

— Mój panie—dodał—nie przeczę, że mienie jest narzędziem i pomocą do życia, że daje siłę, stanowisko; ale to narzędzie jest zarazem niebezpieczeństwem: otacza pochlebstwem, zaciemnia prawdę, odbiera siłę do pracy, krzywi pojęcie o świecie i obowiązkach. Kto się sam dorabia, ten na drodze do grosza ma antydot przeciwko jego pokusom; otrzymując gotowy, najczęściej padamy ofiarą. Zabija nas deszcz złoty. Rozumiesz mnie pan?

— JW. pan żartujesz sobie pewnie, i może chcesz użyć kogo innego—podchwycił Szperka, który uszom swoim nie wierzył. Ale proszę nie zważać na to, że ja

mizernie wyglądam i jestem niepoczesny; proszę spytać ludzi, kto wygrał proces od lat trzydziestu ciągnący się między Paciukiewiczami a Ryllą? kto odebrał Mińkowszczyznę i Rukawek? kto wywindykował fortunę małoletnich Szelutów? Inny, proszę jw. pana, na mojem miejscu obdarłby i oszukał.. ja to czynię istotnie przez miłość ludzkości, gdyż dusza moja oburza się na niesprawiedliwość. Kontentuję się bardzo małą pracy nagrodą, jestem nieinteresowany zupełnie; mam tylko passyę wspomagać i ratować.

Juraś obrócił się ku niemu zdziwiony.

— Ale ja wpanu powtarzam—rzekł—że testamentu obalać nie myślę, nie chcę, nie mogę; że uważałbym to za grzech. Więcej powiem, gdyby mój stryj nie przyjął uczynionego mu zapisu, rzekł się go, jabym go także nie wziął. Dziś jeszcze zabieram kij podróżny, i pójdę w świat tak spokojny, może spokojniejszy niż tu wszedłem.

— Bo jeśli jw. pana chodzi o to—przerwał Szperka uparcie—żeby nie ponosić kosztów, ja wszystko biorę na siebie, jedynie przez miłość ludzkości. Znajdę takich co pożyczą; kłopotu żadnego nie będzie..

— Ale wpan widzę przywykłeś mieć do czynienia z ludźmi—oburzył się Jerzy—którzy nie mówią co myślą. Powtarzam więc panu raz jeszcze, że wolę ojca szanuję, i sam pilnować będę, aby została spełniona.

— Jednakże, pozwól sobie jeszcze jw. pan powiedzieć—dorzucił Szperka, który potniał myśląc, że mu się nawet koszta podróży mogą nie powrócić—to jest heroizm, że się tak wyrażę, prawie nielogiczny. Prawo krajowe stoi na straży stosunków społecznych i wyżej sięga niż wola ojca; ono wyrażnie przeciwi się takiemu rozporządzeniu, a jw. pan sankcyonując omył-

kę, buntujesz się przeciwko sprawiedliwości, przeciw prawu, przeciw rządowi, przeciwko samemu Bogu, który...

W innym razie Juraś byłby się rozśmiał może z tego patetycznego wykrzyku, ale teraz tak był smutny, że to na nim nie mogło uczynić innego wrażenia, prócz pogardy i politowania.

Szperka spojrzawszy raz jeszcze na młodego chłopaka i nie dowierzając słowom jego, otarł pot z czoła i zamilkł, spuściwszy głowę.

Juraś skinieniem go pożegnawszy, odszedł.

Ta wiadomość tak nagle, tak niespodziana, przyniesiona mu w sposób tak przykry, nie mogła go nie wzruszyć. Nie szło mu o majątność, ale już był obmyślił dla starych sług ojca życie spokojne, już sobie plany zajęć w przyszłości porobił, już mu się śnić zaczynało życie nowe, bogate w środki, a w tej chwili zostawał znowu sam jeden na świecie, ogołocony ze wszystkiego, zmuszony myśleć gdzie pójdzie, jak na chleb przyszły zarobi. Nie trwożyło go to, ale zmieszało. Przeszedł do pokoju ojca, i siadł na ławce, podparty na rękę. Obejrzał się.

— Ha! rzekł w duchu: znowu więc wolny jestem. Tak lepiej: sam skazałem się na tułaczkę, potrzeba iść... Żal mi poczciwego Pawła, ale jego siwe włosy i ostatek dni poszanować muszą; żal mi i tych ludzi przyrosłych do starego guiazda, ale i nad nimi Opatrzność... Ja więc już poradzić nie potrafię.

Dumanie przeciągnęło się chwilę. Szperka tymczasem wyszedł odurzony, ale nie dając za wygraną, dowiedział się o Lacynie: chciał spróbować, czy przez jego wpływ nie potrafi czegoś jeszcze.

Regentowicz był w swojej izdebce, gdy Szperka

wpadł do niego, nie szczędząc ukłouów pomieszanych z westchnieniami.

— Mam honor przedstawić się: Aleksander Szperka, mecenas... Poniekąd sam tutejszy gospodarz upoważnił mnie do widzenia się z wpanem dobrodziejem, uporeczywie opierając się dłuższej ze mną o nader ważnym interesie rozmowie, dla której tu właśnie przybyłem. Wszak w panu mam honor oglądać dawnego przyjaciela tego domu?

Lacyna nie wiedział co odpowiedzieć: pokora zawsze go przestraszała; kiwnął tylko głową. Radwanowicz siedzący blisko, przypatrywał się uważnie, i sapiąc robił pół-głosem postrzeżenia.

— A! to Oles! dalipan! zawołał po chwili głośniej. To Oles—Aleksander... Hej! a obróć no się do mnie.

— Kogo ja widzę? professor Radwanowicz!

— Nie professor, ale *ad interim* bibliotekarz, a dawny wpana nauczyciel, kiedy jeszcześ bóty czyścił panom Strzemeskim. O! góra z górą! Ale jakże ty mizernie wyglądasz! Musi ci się dziać dobrze?

Szperka uśmiechnął się.

— Szanowny professorze, gdyby mi się dobrze działo, byłbym w lepszym stanie.

— Bajki to, odparł Radwanowicz: to rzecz pewna, że człek z biedy tylko tyje; w dobrym bycie tłuszcze nie narasta. Ale cóż cię tu sprowadza?

— Pozwolicie panie przysiąść?

Lacyna podsunął mu krzeselko; Szperka począł od eolowskiego westchnienia.

— Co mnie tu sprowadza? Jedynie miłość bezinteresowna ludzkości i sprawiedliwości. Wystawcie sobie panowie, że syn ś. p. hrabiego, z którym miałem honor się widzieć, jest zagrożony spoliacyą, odebra-

niem fortuny: znalazł się testament jego ojca, który go wydziedzicza.

Lacya i Radwanowicz razem porwali się i podbiegli do Szperki.

— To być nie może!

— Kopię mam w kieszeni.

— Umierał przejeżdżany!

— Ale dawnego rozporządzenia cofnąć zapomniał, czyli... uchowaj Boże, abym kogo posądzał... trafia się jednak różnie. Dziś cała fortuna spada na hr. Rajmunda, a hr. Jerzy z tego powodu może pójść z kwitkiem.

Obaj obecni zalamali ręce.

— To być nie może!

— To być nie powinno! mówił p. Aleksander. Daję sposób, żeby tak nie było; ręczę, że tak nie będzie; ośkarżę się obalić ten testament, przeciwko prawom bożkim i ludzkim, przeciwko naturze... ale cóż?

— Co? zawołał Lacya—walić go! walić!

— Niech runie—dodał professor—ruiny Palmiry... *pereat mundus fiat justitia!*

— Hr. Jerzy nie chce go tknąć.

— Hr. Jerzy!

— Wasz panicz, tak! unosi się wspaniałomyślnością, że tak rzekę. Powiada: „Szanuję wolę ojca,” a to nie była wola ojca. Jeżeli kto z waćpanów ma nad nim przewagę i sądzi, że może go opamiętać, byłoby obowiązkiem chrześcijańskim nawrócić go na prawą drogę i wywieść z zaślepienia, aby mnie tylko powierzył interes...

— A to i my zgineliśmy jak rude myszy, skoro hr. Rajmund odbierze mu i Horycę i wszystko—za-

wołał Lacyna—pójdziemy z torbami za nim, *expresse* z torbami...

— *Perditio aeterna, ex inferno nulla redemptio*, dorzucił Radwanowicz. Tak jest, redemptoryści, trynitarze, antitrynitaryusze, socynianie...

Zaczynał już po swojemu bałamucić, ale Lacyna spojrzał nań groźnie i zamilkł.

— Biegnieście, idźcie, proście, błagajcie, mówcie, płaczcie! Nie chwalcę się—rzekł Szperka—jeśli mnie powierzy sprawę, ja jeden mam środki nieochybne powrócenia mu ojcowizny: inaczej zginął!

— Co tu począć?

— Biegniej waść po Pawła; ja dla brzucha do szybkich pochodów nie jestem stworzony, odezwał się profesor. Człek stary, *senectus*, senator, senat do rady. Trzeba mu to oznajmić, dalej z nim, dobra myśl, choć żładażki makówki... Pójdziemy chórem, potęgą, zastępem prosić go wszyscy...

Lacyna przerażony pobiegł po Pawła; ale wtém za-turkotało na dziedzińcu, i wszyscy zwrócili się do ganku, gdyż ktoś nowy nadszedł.

Z bryki wysiadali razem dwaj ludzie: znajomy nam już nieco sędzia Mejszagolski, oraz druga postać pleczysta, brzuchata, wąsata, groźna, która nim przystąpiła do ganku, poczęła się wprzód uważnie rozglądać w okóło.

Z wielką potém pewnością wszedł ów jegomość na schodki, rozkazawszy głośno rozpakowywać rzeczy, a koniom odchodzić do stajni, i majestatycznie zabierał się ku drzwiom.

Miał na sobie czamarkę szarą, rogatywkę na głowie, łaskę grubą w ręku, dewizki olbrzymie na wierz-

chu sukni przypięte, kapciuch paciorkowy u guzika, a na małym palcu prawej ręki sygnet potężny z herbownym krwawnikiem. Wyglądał na zamożnego szlachcica. Rysy twarzy wyraziste, nos rzymski, podbródek sążnisty, obwisły, wargi odęte, czyniły to oblicze wcale wspaniałem, choć w niém raczej przykre jakies zuchwalstwo nie zaś powaga panowała.

Sędzia spojrzawszy na zamaszystego towarzysza, w progu go lekko powstrzymał.

— Panie Burda!... delikatnie, proszę cię, delikatnie!

— Co mnie tam sędzia będziesz uczył! zostaw to mnie. Jeżeli zechce łagodnie postępować, toć i ja gbur nie jestem; a jak mi się postawi, no! to zobaczymy! Jam też nie baranek!

— Zawsze trzeba szanować położenie, stan... kto wie co wypaść może.

— Ja swój obowiązek pełnię i na nic się nie oglądam... kwita.

W progu spotkał pan Burda Lacynę, Radwanowicza i Szperkę, który ujrzawszy gości, cofnął się co żywo, i pobiegł ukryć do pokoiku Lacyny, unikając zetknięcia.

Dwa zastępy wchodzących i wychodzących naprzeciw, zetknęły się we drzwiach, mierząc oczyma.

— Gdzie gospodarz domu? zapytał Burda.

— W swoim pokoju.

— Proszę mię do niego prowadzić i oznajmić mu natychmiast, że jest interes niecierpiący zwłoki. Jestem Jacek Burda, umocowany od JW. hr. Rajmunda, a to pan sędzia Mejszagolski, który razem ze mną ma sobie poleconą pewną sprawę, o której się zaraz dowieście. Proszę gospodarzowi oznajmić i konie wziąć do stajni...

Lacyua się zawalał. Paweł, który nadszedł właśnie i posłyszał wszystko, cichaczem, niespokojny podreptał do pana.

— Jacyś tam ichmość sądowi, czy kto ich wie, chcą się widzieć.

— Mój kochany Pawle—rzekł, biorąc czapkę i kij stojący w kącie Juraś, który się wszystkiego domyslał—trzeba się nam widzę rozstać, kochany Pawle.

Siermieżki nie rozumiał.

— A dokądże ja, proszę pana, pójść mogę? rzekł cicho. Możem i niezdatny, ale dla mnie pociecha choć się tu po kątach włóczyć... zostawcie starego jak był...

I pokłonił mu się do nóg.

— A! nie rozumieście mnie: nie wy to, ale ja ztąd jestem odprawiony. Ojciec mój zrobił testament: wszystko zapisał stryjowi.

Paweł pochwycił się za głowę. Wtém nadbiegł Lacyua.

— Tam jacyś panowie buńczucznie stukają się po pokojach, dopraszając się widzieć z panem.

— Powiedz im, że zaraz idę—odparł Juraś ściskając Pawła, który stał niemy.

Potém obejrzawszy się po pokoju ojca, jakby go żegnał raz ostatni, spokojnie wyszedł przeciw gościom.

Burda i sędzia, obaj podobno w gruncie daleko nie-spokojniejsi byli niż się okazywali na pozór. Chodzili hałasując i dodając sobie serca po izbie; ale chwila-mi szeptali, rozglądając się po drzwiach.

Gdy piękne i spokojne oblicze Jurasia ukazało się w progu, zatrzymali się obaj (sędzia trochę w odwodzie) i ukłonili. Burda jakoś bardzo spokorniał. W istocie, młody chłopak tak wyglądał poważnie i męzko, że mimowolnie wzbudzał poszanowanie.

W milczeniu powitali się chłodno.

— Z przykrą tu miszą przybywamy... odezwał się Burda. Ale cóż robić? na świecie jak Bóg da: złe i dobre... Mam honor przedstawić się: Jacek Burda; pan sędzia Mejszagolski...

— Korokotowicz — dodał sam interesowany z niskim ukłonem.

— Przyjeżdżamy tu, mówił dalej pierwszy: od jw. hrabiego, stryja pańskiego. Nie doszło to zapewne jeszcze jego wiadomości, że po ś. p. ojcu jego został w rękach jw. hrabiny Maryi testament...

Spojrzał na Jurasia, który stał spokojnie.

— Testament, nad wszelkie spodziewanie, dosyć...

— Dosyć niekorzystny — dokończył sędzia, uśmiechając się z politowaniem.

— Słowem, po co tu gadać? rzekł Burda: tym testamentem cała fortuna, której pan hrabia byłeś rzekomym dziedzicem, przechodzi na jw. hrabiego Rajmunda, co lepiej list jego objaśni...

I Burda dobył z za dewizek list, który, wpatrując się w nieporuszonego Jurasia, wręczył mu z niejaką obawą... Jerzy rozerwał pieczętkę powoli, rzucił okiem na pismo i zaczerwienił się mocno.

— O testamencie wiem już... rzekł spokojnie.

— A zatem, jeśli mu jest wiadomy, zapewne do jego rozporządzenia zastosować się zechcesz.

— Szanuję wolę ojca.

Burda, który złe i za prędko wywnioskował z tego, że chłopak jest przygnębiony i na wszystko gotów, podniósł głowę ku sędziemu, jakby mu chciał dać do zrozumienia:

— „A cóż? nie zaimponowałem?”

— Robisz to pan bardzo rozumnie, dodał głośno:

bo tu się nie ma co ani opierać, ani zżymać; rzecz czysta, jasna, gruntownie oparta. Znanie jest zresztą serce jw. hrabiego, i mogę powiedzieć, wiedząc o jego intencjach, że jeśli pan znajdziesz się powolnym jego zdrowym radom, może coś dla niego obmyślić i uczynić na przyszłość.

Uśmiech politowania i ruszenie ramionami, były jedyną odpowiedzią Jerzego.

— Hrabia Rajmund wzywa pana, abys natychmiast opuścił Horycę i stawiał się w Zarubińcach—dodał Burda, coraz bardziej głos podnosząc i nabierając pewniejszego tonu.

— Mój panie—rzekł mu zimno młody chłopak—nie potrzebuję wcale, aby mi kto dyktował co mam robić. Nikomu nie przyznaję prawa rozporządzania mną. Bardzo mało dbam o to, co się stryjowi podoba uczynić dla mnie z łaski, bo łask nie potrzebuję i nie przyjmę. Niczego tu nie tknąłem, nic z sobą nie biorę, i odchodzę ztąd natychmiast... Wiedz wpan jednakże, dorzucił Juraś: że nawet w takiej sprawie, w jakiej przybywasz, a szczególnie podejmując się podobnego poselstwa, należałoby być przyzwoitszym i mniej imponującym. Mnie to tylko śmieszy; kogo innego na mojem miejscu mogłoby zniescierpliwzić... mógłby skinać na ludzi, boć jeszcze tu dotąd jestem panem, i dostałbyś się wpan za drzwi, za które ja sam, ustępując mu miejsca dobrowolnie, wychodzę...

I nie spojrzawszy nawet na Burdę, który poczerwieniał, ani sędziego, który ze śmiechu prychnął, Jerzy powolnym krokiem zmierzał do drzwi.

P. Jacek zmieszał się mocno, języka zapomniał w gębie, obawiając się czy nie przekroczył instrukcji.

Spokornia! lękając się odpowiedzialności za grubiaństwo; podbiegł więc po namyśle ku uchodzącemu.

— Bardzo pana brabiego przepraszam... rzekł z ukłonem. Posłów ani ścinają, ani wieszają; ja tu tylko spełniam co mi polecono.

— Ja też do wpana nic nie mam.

— Ale jakże tak pan dobrodziej chcesz odejść! Hrabia polecił wyraźnie, abyś pan miał wszelkie wygody i uszanowanie, jak skoro sprzeciwiać się rozporządzeniom testamentowym nie zechcesz... Mam rozkaz oddać panu co zabrać ztąd życzysz: ludzi, konie, rzeczy, ekscypując tylko jedne kapitały, za które jestem odpowiedzialny.

— Mówilem już WPanu, rzekł Juraś dumnie: że łask nie potrzebuję. Hrabia omylił się na moim charakterze. Jest tylko jedna rzecz, której pragnę i której się domagam, dopóki sam ze stryjem się nie zobaczę: żeby starzy słudzy mojego ojca byli poszanowani i zostawieni przy wszystkiém, czego dotąd używali...

Burda umilkł, pokręcając wąsa.

— Ale dokądże pan chcesz iść?

— I czy to się godzi! podchwycił sędzia.

— Jeszcze raz powiadam wpanu, rzekł Juraś z energią: że majątkiem miał prawo rozporządzić ojciec, a muą nikt prócz Boga i woli własnej. Co robię, do mnie należy.

Nałożył czapkę na głowę, i powoli przechodząc po koje, wyszedł na ganek z kijem w ręku...

Tu już uwiadomieni wszyscy ludzie dworscy gromadnie stali na smutnej naradzie, i ujrawszy Jurasia, rzucili się ku niemu... Widać Szperka ich trochę

podbechtał, bo poczęli wstrzymywać młodego dziedzica.

— Proszę jw. hrabiego tylko skinać, a my tych trutniów wyniesiemy ztąd na rękach, że się nie opatrzą jak wyjdą! Testament jeszcze nie przyznany, nie wiadomo kto wygra, nie damy się im tu rozporządzać...

— Paneczku moj! szlochał Paweł; na miłosierdzie boże, czyż to się godzi? któż cię będzie śmiał z domu ojca i dziedzictwa twojego wyganiać? Niech zabiorą summy, wioski, a niech ci choć ten dach zostawią!

— Jak mi Bóg miły, dobrze gadał podchwycił Radwanowicz. Tych ichmościów za okno, i *finis coronat opus*.

— Moi mili przyjaciele, odparł Jerzy: szanuję wolę ojca jak jest, dobrze i koniec. Was wszystkich poleciłem najmocniój; ręczę, że poszanują; nie się wam nie stanie. Puśćcie mnie gdzie wołają losy, i bądźcie mi zdrowi.

Płacze i odgróзки z różnych stron słyszeć się dały. Juraś już był w ganku, łza kręciła mu się w oku, ale się nie ugiął. Paweł przypadł ku niemu.

— Paniczku, ja ciebie tak nie puszcze...

— Pawle kochany, najmilsza mi po ojcu spuścizna, to pocciwość; chcesz, żebym się prosił, targował i przyjął jałmużnę?...

— A niech ich tam i z nią razem pioruny zatrzasną! Tu nie o to idzie... Ale gdzie? dokąd? z czém? Czekałże paniczu! poczekaj, mów!

Juraś przyzostał chwilę.

— Bogiem a prawdą, maszże ty choć grosz przy duszy? zapytał Siermieżki.

— O! o! nie fraszujcie się: mam tyle ile potrzeba na drogę...

— Nieprawda! nieprawda! ciągnąc go za suknię, odezwał się stary. U innie jest tysiąc złotych, złożonych u parocha, te musisz wziąć. Lacy na tyleż znajdzie. Radwanowicz nie ma więcej nic nad srebrną tabakierkę od nieboszczyka, ale ją ofiaruje z ochotą.

— Poczciwy mój Pawle, ale do czegoż mi to wszystko! Myślicież, że mogę przyjąć wasze ofiary? Nie chcę nic od stryja, mogę brać od was?

— Otoż to, że i możesz, i powinienes! zawołał Paweł. To wszystko grosz, któryśmy mieli od twojego ojca, z jego łaski... Nam on na nic, a ty potrzebujesz... Weźmiesz paneczku, bo nas obrazisz. My ci go przecię nie darowujemy, Boże uchwaj! pożyczamy, ale bez grosza nie puścimy...

— Pawle, dam sobie radę, bądź spokojny, odparł ściskając go Juraś. Puszczaj mnie, bo ci ludzie myślą Bóg wie co, widząc, że odejść nie umiem...

W istocie Burda i sędzia dosyć przelekli gromadą ludzi, widząc narady w sieniach i progu, nie wiedzieli co począć z sobą. Burda opiniował nawet po cichu, że wypadaloby może przyaresztować delikatnie Jerzego, aby ludzi nie pobuntował: tak dbał o swoją skórę. Sędzia mu podszeptał jednak, że za to może być w wielkiej odpowiedzialności; więc umilkł z projektem. Wszystkie szyki były pomieszane. Spodziewali się oporu, płaczu, może upokorzenia i prośby; Burda już w myśli grał rolę wspaniałomyślnego protektora; wyszło to jakoś niespodzianie cał inaczej. Kręcił więc węża niespokojnie, nie wiedząc jak sobie począć, aby

i starego brabiego nie rozgniewać znowu zbytkiem gorliwości.

— Pójdź mu wpan jeszcze choć konie i bryczkę zaproponuj, rzekł pan Jacek do sędziego. Gdzież już znowu ma iść tak piechotą!

— Albo ja głupi! ofuknął Mejszagolski: ja nie po to tu przyjechałem; to rzecz wpana.

Juraś, tymczasem był już wpół dziedzica, a Paweł cudzą na prędce włożywszy czapkę, dreptał za nim do miasteczka, nie chcąc go puścić. Tu nie myślał się także zatrzymywać Jerzy, obawiając się posądzeń, i co rychłej pragnął przejść granice Horycy, po za którymi czułby się wolniejszym. Ale wieczór się zbliżał, zmuszony był zanocować.

Wieść ze dworu gruchnęła naokół, tłumy ludzi poczęły się kupić ciekawie przy domowstwie, w którym się zatrzymał, a Paweł pełnił swą służbę, ożywiony myślą, że się okazał potrzebnym paniczewi. Gdyby nie noc, to zbiegowisko i tłumy byłyby Jurasia wyгнаły z miasteczka; ale ściemniło się, deszcz zaczynał kropić; Paweł go nie puszczał, drzwi zapierając sobą: potrzeba było czekać do rana. Naraziło to młodego chłopaka na dość kłopotliwe objawy litości i współczucia, które wszakże przejęły go do głębi. Czuł, że na nie zasłużyć nie mógł, że był je winien pamięci ojca więciej niż położeniu swojemu.

Pierwszy co za nim poszedł w pożyczanej czapce, pocciwy Paweł, na chwilę go rzucić nie chciał; on sam wybrał mu gospodę w najporządniejszej karczynie i zakrzętał się zaraz, aby dziecku pańskiemu na niczém nie zbywało. Zaraz za nim, rzuciwszy Burdę i sędziego we dworze, zafrasowanych i naradzających się co począć, Radwanowicz i Lacyna posunęli się

także do miasteczka. Regentowicz dobył z kryjówki w starą szkatułkę co tylko miał grosza, zostawił sobie kilkadziesiąt złotych, a resztę zawinąwszy w papier zabrał z sobą. Radwanowicz niósł także ową sławną swą srebrną tabakierkę.

Zaledwie Juraś miał czas wpaśćszy do gospody zebrać myśli i nieco odetchnąć po niespodzianych wypadkach, które go dotknęły, gdy Paweł pierwszy zjawił się przed nim, usiłując przerwać milczenie. Ścisnął go za kolana.

— Ej, paniczku! nie dumaj-no tak smutnie. Dasz sobie radę na świecie. Jeszcze to taki nie ostatnia rezolucja Pana Boga.

— Mój Pawle, rzekł Juraś uśmiechając się: kłnę ci się na pamięć ojca, iż tak jestem swobodny i tak mi z tém dobrze, jakby mi nikt nic nie wydarł, ale coś dodał jeszcze.

— To nie może być! odparł Paweł: jeśli nie hrabia sam się upamięta, to go żona, córka, ludzie do upamiętania przyprowadzą, żeby cudzej własności nie zagarniał. Tymczasem—dodał—musicie wziąć i mój grosz, i regentowicza, bobyście nas odmową skrzywdzili. Już czy użyjecie czy nie, ale nam potrzeba, aby to przy was było.

— Ale na cóż mi te pieniądze! zawołał Juraś. Czy myślicie, żem ja się bez nich obywać nie przywykł? że nie potrafię pracować?

— No, tak! ja-ć to wiem... ale na początek zawsze coś potrzeba... niech to będzie *pro* zapas...

Jerzy już zamilkł, nie chcąc martwić starego. Paweł wyszedł, i w progu spotkali się z Lacyną, który uroczyście wprowadził z sobą Radwanowicza.

— Gadaj wpan, odezwał się cicho regentowicz do ex-professora: no, gadajże!

— No, to wpan wiesz jak ja gadam, odparł Radwanowicz: jak kto nie przywykły, to nie zrozumie...

— Ale i mnie trudno.

— No! to i mnie niełatwo...

Juraś domyślił się już o co chodzi, że się u drzwi certowali. Skłopotany, zmieszany, ale wdzięczny za tyle serca starym sługom ojcowskim, stał przeciw nich milczący, ze łzą w oku.

— Przyszliśmy tu *express*, rzekł po chwili Lacy-na: aby jw. hrabiego pocieszyć i pokrzepić... i z prośbą, aby nasz ubogi dar, albo raczej pożyczkę przyjąć raczył. Dla ciebie, panie, to może nic, ale dla nas wielka rzecz, że coś synowi nieboszczyka ofiarować możemy. Uczynźże to dla nas i nie gardź.

Jerzy go ścisnął w milczeniu, a Radwanowicz biorąc to za dobry znak, wyciągnął rękę z tabakierką w papier i bawełnę obwiniętą, i po cichu jedyną kosztowność, jaką posiadał, złożył na stoliku. Lacyna podsunął swoje pieniądze.

— Moi kochani, moi drodzy, na miłość Boga was zaklinam! ja nie jestem potrzebny, nie mogę, nie chcę was odzierać. Radwanowicz, bierz, proszę, swoją tabakierkę; cóż chcesz żebym z nią zrobił? Myślisz, iżbym ją z głodu umierając, mógł sprzedać? Patrzcie na te ręce: wszakże i siekiere dzwigną, i pług poprowadzą, i zrobić coś potrafią. Więc dla tego, żem się ja urodził paniczem, nie ma mi być wolno na życie pracować i iść o swojej sile? Daję wam słowo, że gdybym tego potrzebował, przyjąłbym waszą ofiarę. Co czynię, nie czynię tego przez dumę, ale jeszcze raz,

wierzcie mi, że od małego chłopca, jak sierota, nauczyłem się liczyć na siebie... Jeśli mnie kochacie...

Chciał mówić dalej, gdy drzwi się otworzyły nagle, i wszedł siwy o kiju staruszek w czarnej sutannie, z białą głową, długim włosom okrytą. Był to proboszcz miejscowy, ośmdziesiąt już letni, suchy i blady jak mumia, w którym ledwie kołatała się reszta życia. Ksiądz Magnacki żył już w tej parafii od lat pięćdziesięciu; teraz choć jeszcze spełniał obowiązki około kościoła, osłabiony jednak, dalej po za miaszeczek wikarym zastępować się musiał.

Starość jakby mgłą srebrną powlekła ten umysł niegdyś krzepki i serce ciepłe: świat, ludzie, życie, zubożyło mu wszystko. Większą część dni swych przepędzał na rozmyślaniu z brewiarzem; a na pytania ludzi, na ich skargi, na żale, najczęściej jednem tylko odpowiadał:

— „Mizerye! mizerye ludzkie!”

Ztąd wesoly wikary, a za nim wszyscy w sąsiedztwie zwali staruszką: księdzem Mizeryą.

Milczący, czasem przez kilka dni do nikogo się nie odzywał; kiwał głową, zdawał się nie słyszeć i niewidzieć co się w koło niego działo; wiadomości złe i dobre przyjmował jednakowo, poruszeniem ręki okazując, że go niewiele obchodzą.

A choć siły go opuszczały i chodził z trudnością, choć ze światem zerwał, choć chwilami zdawał się zupełnie odrętwiałym, bywały dni, gdy nagle wychodził z tego stanu i do życia powracał; ale później znowu ogarniało go owo osłupienie i odrętwiałość. Ksiądz Mizerya nigdzie prócz u chorych i umierających nie bywał, wesela i chrzciny zostawując wika-

ryuszowi. Był to człowiek jakby na poły umarły, oczekujący niecierpliwie godziny wyzwolenia. Przybycie jego mocno wszystkich zdziwiło.

A wszedł jak stary z innego świata przybylec, którego formy i zwyczaje bynajmniej nie obchodzą. Posunął się do pół pokoju, przysłonił oczy dłonią, i stanawszy i począł się uważnie przypatrywać Jurasiowi, który powstał na jego przyjęcie.

Potem, nie mówiąc słowa, nie zapoznając się z nim, choć go pierwszy raz w życiu widział, nie uznając potrzeby opowiedzenia mu się kto jest, zbliżył się, usiadł, posadził chłopca przy sobie, i ujął go za rękę patrząc mu w oczy.

— Mizerye ludzkie! mizerye! rzekł po chwili głosem suchym.

Juraś nie wiedział co mu odpowiedzieć.

— To tak! a no! brat bratu wydiera, ojciec dziecko opuszcza; drą się o kawałek chleba, jakby za czterech zjeść mogli!

— Ojciec mój! rzekł Jerzy: nie obwiniajmy umarłych; ja się na nikogo nie skarżę.

— Dobrze czynisz, mizerye ludzkie, i młody jesteś, jeszcze świata i chleba dosyć. Cożem to ja chciał powiedzieć? Ale! wyjdźcie-no wy sobie Lacyno i wy panie professorze do sieni, na świeże powietrze, bo z nim chcę pogadać... Nie gapcie się na mnie: nie ma na co...

I stuknął kijem w podłogę, a dwaj dworacy posłuszni zaraz się po cichu wynieśli.

— Dużo mi o waści prawili, kochanku, rzekł starszek. Nie dobrześ zrobił, żeś opuścił ojca; teraz ojciec o tobie zapomniął, i gorzej jeszcze zrobił.

— Ale ja się nie skarżę...

— Dobrze robisz, ale cóż myślisz z sobą? spytał

ksiądz Mizerya: no, mów! Stary jak ja, choćby nie ksiądz, już powagę tamtego świata, w którego progu stoi jedną nogą, nosi na sobie. Mów mi szczerze.

— Prawdziwie, nie wiem; ale pracować będę, i o spa-
dek dobijać się nie myślę.

— I to dobrze—ale cóż ty umiesz? co możesz po-
czać? Wieszże ty, że nie dosyć chcesz pracować, trze-
ba jeszcze znaleźć pracę?...

— A Pan Bóg?

— Masz słuszność; ale On próbuje czasami, a czu-
jeszże w sobie dosyć siły, by próbę wytrzymać i w błó-
cie się nie zwałać? Bo bieda nauczyciel wielki, ale
i kat niemilosierny.

— Mój ojcie, jużem jój dzieckiem próbował.

Ksiądz spuścił głowę i dumął.

— Tak! tak! rzekł: dobrze to jest, tylko posłu-
chaj. Ojciec twój dobry był, a za złego u ludzi chciał
uśhodzić, i to się nie chwali. Świeć Panie nad jego
duszą! po cichu dosyć pocziwego zrobił, i jam swoje-
go czasu dosyć od niego doznał nieraz przysług, choć..
ale o tém się nie mówi. Widzisz, stary jestem już
tak, że ledwie łażę... nie mi niepotrzeba, zębów nie
mam, uóg nie mam, oczy tracę... grosza się tam uciu-
łało, krewnych żadnych, żywój duszy... Więc ci po-
wiem otwarcie: tobie bez zapasu w świat nie potem;
chciałbym ci pożyczyć grosza, to mi to oddasz, lub ja
sam rozpiszę...

— A! na Boga, mój ojcie! zawołał Juraś: nie upo-
karzajciez mnie do ostatka! Ci dawni słudzy, a raczej
przyjaciele ojca mojego, każdy swój grosz uciulany
krwawo chcą mi oddawać; mieliżbyście i wy za tak
słabe dziecko mnie uważać?

— A no, cicho: na pocziwość ludzką nie stęka-

cie; ono to i dobrze, że choć na kwadrans coś się im w piersiach ruszy... Przyjm, nie przyjm, Panu Bogu podziękuj; dużo mizeryi, ale są i poczeiwi!

Westchnął stary proboszcz i oczy otarł.

— To co innego... dodał po chwili. Ja ciebie od dziecka, jakem jeszcze ochrzcił, na oczy nie widziałem. Nie lubilem się włóczyć do dworu, było co robić po chatach; ale ja dużo słyszałem, a ojca kochałem, zresztą ja mam moje natchnienie także, w które wierzę. Od tamtych biedaków możesz nie przyjmować i nie przyjmiesz, a od starego księdza powinienes. A na co mnie grosz? a na co mi go było oszczędzać, kiedym ja ksiądz i z dnia na dzień żyć powinienem jak apostołowie i anachoreci? Mizerya i słabość ludzka! każdy chce sobie kupić jutro, a ono nie na sprzedaż.

— Wieg na cóż i mnie, ojcze, te dary i ofiary? Mam młodość i siłę...

— No! no! gadaj ty sobie zdrów! wszystko masz, tylko zawsze z groszem bezpiecniej. Ja ci to na hypotekę twojej młodości pożyczam: za procent Pana Boga chwał, a kapitałem na kościół rozporządzę.

I dobył z kieszeni sutanny woreczek prosty płócienny, czarnym sznureczkiem związany. Juraś się cofnął, stary ksiądz namarszczył i podniósł głowę.

— To—rzekł—nie żadna ofiara. Nie patrz mi się tak: bierz co daje przez ręce moje Pan Bóg; nie będziesz nikomu ciężarem, weźniesz gdzie kawałek ziemi, pogospodarujesz... toć pożyczka, to depozyt...

Jerzy stał smutny.

— Widzisz, chłopcze, rzekł stary: jam-ci to tego nie miał, żebym tak lada komu dawał; nie dawałem ci dotąd, ale Pan Bóg chce: dziś muszę, mnie to na

nic... Co ma wikary zabrać, wolę złożyć w poczciwe ręce, a wiem, że nie przepadnie.

Jerzy opierał się jeszcze...

— Tylko schowaj, dodał starowina: potem o tém... mizerye ludzkie! Dobrze to, że od lada kogo nie bierzesz, ale od starego sługi bożego, Jakóba, to tak jakby ci dał ojciec rodzony... Nie użyjesz, no to mi oddasz później... Głupstwo jest, powiadam ci... mizerye ludzkie...

I podniósł oczy staruszek, bacznie i pilno wpatrując się w chłopaka, jakby na czole jego przeszłość i przyszłość chciał wyczytać. Potem znowu stuknął kijem o podłogę.

— Ale-no, gadajże mi: co ty myślisz z sobą? zapytał.

— Jeszczem dobrze nie obmyślił, rzekł Juraś. Widzę z dzisiejszego poselstwa, że stryj mnie chciał do siebie powołać, że myślał mi coś dać z łaski; ale swobody nie sprzedam za nic, pójdę pracować.

— Co tam mówisz: pracować! pracować! przerwał ksiądz. Mizerye ludzkie! pracować! Mów jak i co będziesz robił?

— Nie wiem.

— Otoż sę! potrzeba wiedzieć, odparł proboszcz. Trzeba obmyślić. Cóż ty umiesz?

— A no! koło koni się znam, do gospodarstwa mam ochotę, i trochęm się mu przypatrzył po świecie, a i muzyki liźnęło się nieco... ale z tego nic.

— E! to żal się Boże! jakbyś małpy pokazywał. Ja to tego nie rozumiem... dodał. Dawniej grano na chwałę bożą i na pociechę duszną, dla humoru; ale za pieniądze, to tak, jakoby który, z pozwoleniem, okazywał się za biletami, że pięknie płakać lub śmiać

się unie. To już nie muzyka, ale figle łamane. Kto gra z duszy, ten, widzi mi się, nie pójdzie grać za pieniądze. Mizerye ludzkie... Ale ja ci radzę, uważ-no, po staremu: do roli! do roli! to zdrowa rzecz, to nasza rzecz! szlachecka a polska...

Weźmiéj, słyszysz—mówił dalej—kawał gruntu; kup woły i konie, gospodarz. Ludzie się tak dorabiają i żyją... zresztą mizerye ludzkie! Aby dach, aby łyżka strawy i łóżko spokojne, a na niém sen bez zgryzot; reszta, dalipan, mizerye ludzkie!

I znowu mu w oczy popatrzał.

— Pracować trzeba, rzekł coraz głós niżając zmęczony staruszek: nie tak dla chleba, jak dla tego, że praca zdrowa rzecz. Oto com chciał ci powiedzieć.

I zamilkł, a poglądał, Jurasia trzymając za rękę.

— A o tém, co tu zaszło między nami—dodał—wara pleść... mizerye ludzkie... zarazby powiedzieli, że ja tam mam jakie skarby Krezusowe, a to kapłanowi nic potem...

Jerzy trzymał jeszcze woreczek w rękę, który mu ksiądz gwałtem wepchnął, gdy drzwi się uchyliły i głos zapytał od progu:

— Czy wolno na chwileczkę?

Głos mu był nieznany, i Jerzy nie wiedział co odpowiedzieć; ale tuż za nim wsunął się szlachcic w kapocie, nieśmiały i sturbowany. Był to znajomy nam już z pierwszych kart téj powieści pan Eufrazy Porciakiewicz z Siennego, ów szlachcic, któremu nieboszczyk hrabia dał u siebie miejsce i w ciężkim razie pożyczył trochę grosza, nadrażniwszy się z nim o ewikcyę. Osadzony w jego majątku i gospodarząc razem na swojej częstce, pocziwy Eufrazy znalazł się tego

dnia przypadkiem za interesami w miasteczku, gdy zaszyły opisane wypadki. Nie miał on jeszcze czasu poznać się z nowym panem, do którego właśnie był przyjechał, gdy przybycie Burdy i sędziego zniemiło całkiem położenie rzeczy. Porciakiewicz z innymi razem pobiegł do gospody, i ocierając pot z czoła, stawiał się zakłopotany przed Jurasiem właśnie w chwili, gdy ksiądz z nim kończył rozmowę.

— Przepraszam pana, rzekł zmieszany, poglądając na niespodzianego świadka, którego znaleźć tu nie sądził; ale...

Ksiądz rękę przyłożywszy do czoła, popatrzał chwilę i poznał go.

— Jak się to tam masz, panie Eufrazy? a co ty tu robisz?

— To, co jegomość i inni! zawołał całując go w rękę Porciakiewicz: też to dzisiaj, zdaje się, miejsce moje. Nieboszczyk wsparł mnie w złej godzinie, chleb jego jem dotąd; jakżebyłem posłyszawszy o biedzie rodzzonego jego dziecięcia, nie miał tu przybieść choć z ubożuchną ofiarą?

Jerzy zbliżył się do niego i serdecznie za rękę ścisnął.

— Bóg wam zapłać—rzekł—ale doprawdy, nie zasłużyłem na tyle współczucia.

— Co prawda to prawda, rzekł szlachcic: nie wy to, ale ojciec wasz zasłużył wam na miłość ludzką... Świat nie wie, że mnie biednego wsparł w bardzo potrzebnym razie; toć pora wedle sił, dług spłacić. Prosta rzecz. Pana tam ze dworu wypędzili, jak gadają; ale u mnie w Zabłotowie chata jest własna, choć biedna: zawsze taki na dwóch starczy. Chleb choć czarny, ale się nim podzielimy ohotnie... no, o sercu nie gadam... a gdybyście przyjęli ofiarę, jak Bóg miły

uczynilibyście mi łaskę, bo mi cięży dobrodziejstwo waszego ojca...

Ksiądz słuchał, oko otarł i uśmiechnął się.

— Mizerye ludzkie! a taki są poczcwi na świecie między maluczkimi! zawołał.—Ot, co tam będziesz prawił u ciebie dzieci fura, niepokój, gęszczawina; nie zapraszaj go. Lepiej mu gdzie naraj kawałek ziemi dobry do wydzierżawienia. Grosz na to się znajdzie, ja wiem; a potém to i poradzisz mu jak chodźć koło tego.

— A! z duszy, serca, rzekł Porciakiewicz: ino kaźcie!

— Dobrze, dobrze, przerwał chłopak: ale mi dajcie pomysleć, rozpatrzyć się, podumać. Teraz będę musiał pojechać do Zarubiniec do stryja, aby mu sługi ojcowskie polecić; potém powrócę, pomówimy...

— Ale czy wrócisz? spytał pleban.

— Pewnie.

— A konie na drogę masz? rzekł szlachcic.

— Najmę tutaj.

— A! nie! to już moja rzecz! Ja ci wysztyftuję kałamaszkę i moich trójkę siwych; a dam ci chłopaka pewnego, co owsa nie ukradnie. Choć koniki przyjmcie odemnie! proszę!

— A w polu robota? rzekł ksiądz.

— Ja najać mogę, przerwał Jerzy.

— Ale nie, nie! już to tak musi być, dorzucił Porciakiewicz. Jaka w polu robota? to konie młode, do pługa ich nie dam, a w letce pójdą; nie zaszkodzi im, jeszcze się odpasą, bo jak nie pracują, to owsa nie dostają i chodzą na paszy...

— Mizerye! to weź konie! rzekł ksiądz...

Jerzy stał skłopotany.

— Ależ!... odezwał się.

— No! jużciż, dodał szlachcic: kiedy ja od hrabiego wziętem coś, choć mniejszy od niego; ty, młody paniczu, możesz przyjąć odemnie: to cię nie zeszpeci.

— Przyjmuję, rzekł Jerzy: to rozumiem.

— Bóg zapłać.

I podali sobie dłonie z uczuciem.

— A no tak, to dobrze! zawołał ksiądz Mizerya. Niechby się tak wszystkie stany za ręce ścisnęły, zamiast sobie oczy wyklówać, zamiast się gryźć i jędrzyć, oto i byłoby święcie. Ale to już pora spóźniona; spaćby iść trzeba.

Wstał powoli, podpierając się kijem.

— Niechże ci Bóg pomaga, moje dziecko! Aby tylko pocziwie: reszta mizerye ludzkie. Bywaj zdrów... Niechże będzie pochwalony...

I podpierając się, bo mu nogi zakłękły, przeprowadzony przez obu, ruszył się ku drzwiom starszek. Porciakiewicz, który się też uprzykrzać nie chciał, pożegnał we drzwiach Jurasia.

— Konie będą jutro rano jak świt, szepnął żegnając się. Na chłopca, którego dam, można się spuścić: pocziwy i rozgarniony. Tylko o jedną rzeczbym prosił: spojrzeć, żeby darmo klaczy nie ćwikał, bo ona i tak gorąca, a jemu biczysko świerzbi w rękę... przepraszam.

Uśmiechnął się Jerzy w duszy na tę przestrogę, ale gdy chciał coś odpowiedzieć, Porciakiewicz już był zniknął.

W sieni karczemnej stali jeszcze tłumem ciekawi mieszczanie, Żydzi, wieśniacy i Paweł w pośrodku, który im dzisiejszą historję wykladał.

Jakoś wszystkich serca ruszyło to wygnanie dziecka z ojcowizny; wzdychali i kiwali głowami. Po-

między ciekawymi był też jeden nieznajomy podróżny, który przed wieczorem zajechał, i stanąwszy w alkierzyku, ryby sobie po żydowsku gotować kazał, a dowiedziawszy się, że się tu coś stało i ujrzawszy tłum, poszedł także posłuchać co tam za historję opowiadano.

Była to niepoczesna figurka, wąsata, w wyszarżanej taratatce zielonój, z krótkim cybuszkiem w gębie, twarzy bladój, oczek zgasłych; wyróżniająca się w ścis ku tém tylko, że sobie miejsce robiła ostrożnie, nie wiedzieć w jaki sposób, zawsze najpierwsze i najlepsze.

Nie pochlebiamy sobie, by czytelnicy nasi mogli w tym nieznajomym domyślić się od razu króciuchno widzianego plenipotentą panny Izabelli Moroszówny, pana Ignacego Żerebę, który tak wyszukany stylem rozmawiał z nieboszczykiem hrabią, w salonie swęj jurysdatorki. On to był jednak, powracający z wy cieczki prawniczej do akt powiatowych sąsiednich, nocą zatrzymany w miasteczku, a po części reputacją ryby, którą sobie na wieczerzę zadysponował.

Trzeba wiedzieć, że nie od dziś p. Żereba służył w interesach p. Izabelli, i doskonale znał żywot, sprawy, uczucia i stosunki kobiety, z którą sobie rady dać nie mógł, choć wszelkich używał delikatnych środków, by nią owładnąć. W tym to celu usiłował on być jak najlepiej poinformowanym we wszystkiem co się jęj tyczyło, ale ilekroć użytek chciał zrobić z mozolnie nabytych plotek, panna Izabella strącała go nielitościwie w otchłań czyścową, w której jak prosty pierwszy robotnik pracować musiał, nie mogąc dobić się marzonej poufałości.

Był jęj wielce użyteczny przy wielkich interesach,

rozpożyczonych kapitałach i wynikających ztąd często sprawach, ale pozbawiony wszelkiej inicjatywy, służył za proste narzędzie, co go niezmiernie bolało.

Nietajne były panu Żerebie dawne stosunki p. Izabelli ze zmarłym hrabią, wpływ, jaki one na życie jój wywarły, udział, jaki miała prawdopodobnie w ucieczce syna z pod ojcowskiej władzy. Wieści o śmierci hrabiego, o towarzyszących jój okolicznościach, o pojednaniu jego z synem, o zapomnianym testamencie, wszystko to nie doszło było jeszcze do Pińska, i Żereba nadzwyczaj był szczęśliwy, że pierwszy przywiezie te nowiny smutne, ale znaczenia pełne, swój pani. Schwyciwszy nić, począł zaraz badać Pawła, i nie dał mu pokoju, póki z niego wszystkiego nie wyciągnął.

Na przeszkodzie nieco stanął mu w tém ów nałóg wymowy, który czasem w najprostszej rzeczy czynił go niezrozumiałym, i zmuszał do coraz nowego wyrażania myśli, której nigdy prosto i jasno wypowiedzieć nie umiał; ale koniec końców, jakoś się z Pawłem porozumieli. Wiedział Żereba, że panna Izabella mocno się zajmie wypadkami temi, i postanowił dotrzeć do samego nawet Jurasia, aby jój mógł powiedzieć, że go na własne widział oczy. Chodziło tylko o pozór, pod jakim mógłby wejść do niego. Poznał w Pawle starego przywiązanego sługę, i przez niego dotrzeć do pana postanowił.

— Panie Siermieżki—rzekł w końcu przyjmując od niego tabakę i skarbiąc sobie łaskę nosem—chociaż nie mam tego szczęścia z osoby mojej być znany jw. hrabiemu, jednak uwzględniając stosunki moje ze ś. p. rodzicem, gdyby podobać się mogło jw. Jerzemu dać mi chwilę szczęśliwej rozmowy...

— Jak to, proszę pana? spytał Paweł.

— Gdybym mógł wyjednać chwilę posłuchania...

— Ale tam już jest i ksiądz, i Porciakiewicz.

— No, to ja wstrzymam się do chwili opróżnienia, rzekł prawnik; a gdy opuszczą to miejsce, będę ich mógł zamienić...

Paweł raczej domyślał się niż rozumiał; lecz gdy odeszli tamci, pośpieszył do pana.

— Jest tu proszę panicza—rzekł—ktoś z Pińska... adwokat czy coś, bo gada tak górnio, że ja go nie rozumiem. Prosi się widzieć...

— Ale mój Pawle, po co mi to?

— A co to szkodzi jak go pan zobaczy? Niech przyjdzie, może on co wie.

I trochę absolutnie, nie słuchając nawet odpowiedzi panicza, Paweł nie pytał, ale poszedł po adwokata. W téjże prawie chwili p. Aleksander Szperka, który się za Jerzym do karczmy przeniósł ze dworu, i Żereba, zetknęli się w sieniach niespodzianie.

Znali się oni już dawniej.

Szperka ujrawszy prawnika, silne powziął podejrzenie, że Żereba zwąchawszy proces tłusty, nie po co innego przybył, tylko by go pochwycić; Żereba zaś, który dotąd nie miał żadnego zamiaru, wpadł na tę myśl istotnie, zobaczywszy tu Szperkę, którego przytomność miała dla niego wielkie znaczenie. Już był Żereba na progu, gdy Szperka stanął, zasłaniając mu drzwi sobą.

— Za pozwoleniem! rzekł kłaniając się.

— Pan Szperka!

— Tak jest, pana Żereby dobrodzieja! Pan do młodego hrabiego?

— Tak jest.

— Ja tam już byłem... uśmiechnął się Szperka:

to darmo, nic nie ma do zrobienia. Pan już wie o testamentcie.

Żereba, który dotąd w istocie niewiele jeszcze wiedział, ale pragnął się dowiedzieć, kiwnął głową.

— On nic nie chce robić, to darmo! dodał p. Aleksander, wciąż zastępując odedrzwi.

— Ale ja, ja mam inny powód widzenia się, rzekł Żereba.

— Inny! ho! ho! uśmiechnął się prawnik. Na co to kłamać? mówmy otwarcie.. Mnie się nie udało, jeśli się wpanu uda, zrobimy układ, weźmiemy po połowie... Ja mam dokumenta gotowe...

Żereba uśmiechnął się nad chciwością konfratra.

— Mam ośmioro działwył rzekł Szperka.

— Ale o tém potém, odparł lekko go odsuwając Żereba: pozwól mi wpan wejść.

I wszedł.

Szperka przycisnął się do drzwi i ucho przyłożył.

Jerzy był już zniecierpliwiony nieustannemi odwiedzinami; widząc nową a nieznaną sobie postać, stanął przeciw niej prawie z rozpaczą na czołe. Potrzebował być sam z sobą w téj jednéj z najuroczystszych chwil życia.

Fizyognomia Żereby zresztą nie była wcale uprzedzająca...

— Odzywam się do wspaniałomyślności serca pańskiego, które mi przebaczyć raczy, że się tu stawię w téj chwili, to jest, iż się tak wyrażę... będąc obcym poniekąd, a nawet z nazwiska mu nieznanym; ale powód, który... to jest pobudka... powinny zkądnąć oczyścić mnie z zarzutu nieposzanowania spokojności jego... Żereba, kollegialny sekretarz z Pińska.

Uklonili się sobie.

— Cóż pana do mnie sprowadza?

— Uczucie winnego uszanowania i stosunki ze ś. p. ojcem hrabiego, a przytém wieść o zaszłych świeżo wypadkach, w których, jeśli jako z professyi prawnik mogę mu słabe siły moje ofiarować dla... iż się tak wyrażę...

— Bardzo panu wdzięczny jestem, ale ja żadnego prawnego interesu, żadnej sprawy nie mam.

— No, to choć przestrogą użytecznym stać się pragnąlbym, rzekł Żereba. Stoi tu za drzwiami, dodał ciszej: niejaki Szperka, prawnik także, chociaż nędzny prawnik; niechże hrabia strzeże się go, bo gdy raz pochwyci interes, że się tak wyrażę...

— Ale ja powtarzam panu, że sprawy żadnej mieć nie mogę.

— To co do pierwszój, że tak powiem, kategorii; druga rzecz zaś, iż jestem pełnomocnym plenipotentem imiępanny Izabelli Moroszówny, znanój panu jeszcze ze wspomnień szkolnych, której imieniem, chociaż nieobecnej, ośmielam się ofiarować hrabiemu wszelką pomoc...

— Ale ja żadnej pomocy od nikogo nie potrzebuję! zawołał Jerzy.

I to mówiąc uklonił się nisko, chcąc skończyć rozmowę. Żereba postrzegł, że nic nie zrobi. Raz jeszcze poklonili się sobie ceremonialnie i rozeszli. Jerzy drzwi za nim zaryglował.

Zaledwie Żereba był na progu, Szperka, który na niego czyhał, pochwycił go namiętnie...

— A co? figa! zawołał śmiejąc się.

— Wszakżeśmy w spółce, odrzekł wymowny adwokat: więc połowa panu należy...

— No! zartuj zdrów, ale seryo... dodał wlokąc się z nim do alkierza: tu jest coś do zrobienia.

— Róbmy...

— Wpan znasz interes?

Prawnik rad był go poznać, ale się do niewiadomości nie przyznał.

— No! tak, trochę..

— Testament nieważny, dodał Szperka na ucho, do-
bywając dokumentów. Ja po bratersku z wpanem po-
stępuję: czytaj!

Żereba z lisim uśmieszkiem wziął powoli dokument,
i począł go uważnie przeglądać.

— No, wystawże sobie acan dobrodziej, rzekł po
chwili łamiąc ręce Szperka: co to za młokos głupi!
nie chce działać! To trzeba waryata! Sukces pewniu-
teńki: majątek spadkowy, nie mógł nim rozporządzać...
Gdybyś wpan namówił go do procesu?

— Trudno.

— Jabył się kontentował połową, zresztą poga-
dawszy i mniejszém... Tu chodzi o miliony, honora-
rya będą niemałe, zgodzę się na to co mi dacie: bio-
rę na siebie wszystko.

— A jeśli on działać nie chce?

— Otoż to sęk! rzekł Szperka: potrzeba go
zmusić...

— Trudno! powtórzył Żereba. Ja ich znam: rodem
kury czubate, niepokonane charaktery; jak co powie
choć go pal...

— Ludzie uparci, wiem, przerwał Szperka; ale po-
słuchaj-no pan, to piechotę nie chodzi: warto popra-
cować, bo zarobić można; testament nieważny... Gdy-
by nawet nikt nie popierał, mogliby go skasować jako

zasadniczemu prawu przeciwny... Ale hr. Rajmund postara się i potwierdzą... Jest tedy co do zrobienia! Rzecz taka: po cichu obmyślić środki, aby urząd nie potwierdził testamentu, choć hr. Jerzy nie chce działać i ręce umywa... Gdy młody otrzyma *volens nolens* ten spadek, no, to mu się okaże czarno na białém co się dla niego zrobiło, i musi przecie coś dać...

— Niezła myśl, rzekł Żereba: ale jak nic nie da?

— Jest druga instancja: wtedy można do niej staremu hrabiemu ukazać drogę, i od niego coś wziąć, ratując jego z kolei...

— Niedarmo wpan masz głowę na karku.

— A! na co się ta głowa zdała? odparł wdychając Szperka: na co? Ośmioro dzieci, golizna i bieda.

— Plan niezłe osnuty...

Żereba zamyślił się głęboko, i począł chodzić po alkierzu.

— Hm! rzekł po chwili: jedź wpan ze mną do Pińska.

— A! choćby do piekła! zawołał ucieszony Szperka: bardzo chętnie.

— Pogadamy...

— Ale dla czegoż w Pińsku nie tu?

— Są do tego powody.

— Rozumie się, że koszta podróży, gdyby nie przyszło do rzeczy... szepnął ostrożny Szperka.

— Stój! stój wpan! odparł Żereba: ja za nic nie ręczę... Chcesz jechać, jedź; nie, zostań; koszta ryzykować musisz...

— A no! dzień się wola boża! niech i tak! z rezygnacją zawołał Szperka: kiedy ginąć to ginąć.

Wtém Żydóweczka wniosła rybę gotowaną i flaszeczkę wódki, a Żereba choć nie rad gościowi, który

mu porcyę jego miał zmniejszyć, pomruczał coś pod nosem, zapraszając go na wieczerzę.

Tu p. Aleksander Szperka dał dowód niezmiernéj znajomości serca i żołądka ludzkiego: napił się wódki, której było dosyć, zjadł chlebem z solą, a ryby, której jedną tylko podano porcyę, odmówił, wyrozumowawszy, że łakomstwem mógłby źle ku sobie usposobić kolegialnego sekretarza, od którego zależał proces przyszyły i marzone na nim zyski.

Nazajutrz rano obaj razem w dobrej zgodzie wyruszyli do Pińska.

Życie panny Izabelli Moroszówny upływało jednostajnie jak przedtém; a chwilowe wstrząśnienie, jakiego doznała, widząc się z hrabią, zatarło się prędko powrotem do tego trybu powszedniego, który najgorętsze uczucia i cierpienia powolnym swym ruchem tępował i odrętwiał.

Dwie namiętności aż nadto wystarczają na wypełnienie jednego serca; a p. Izabella miała muzykę i pieniądze, z obu tych źródeł czerpiąc wrażenia, których nie dostawało jéj osamotnieniu i sieroctwu. Smutne to mieszkanie w lichym domu, któreśmy już widzieli, codzień o jednéj godzinie rozlegało się dźwiękami fortepianu, lub cichą rozmową o sprawach pieniężnych; codzień była w niém godzina dumania i wspomnień, chwile łez suchych na powiece.

A dni tak były do siebie podobne, że zwracając się w przeszłość, za długim ich szeregiem panna Izabella widziała jedynie blade i coraz już bledsze

widmo przeszłości. Poezyę jęj codzien po trosze zabierała rzeczywistość chłodna; serce zastygalo w rachunku lub walce o majątek zbierany bez celu.

Wiadomość o wypadkach, któreśmy opisali, nierychło do panny Izabelli dojść mogła. Nikt obcy nie miał tu przystępu, nikt nie przychodził z plotkami, których słuchać nie lubiła. Otaczało ją wielkie milczenie pustkowia lub gwar bez znaczenia, wyrównujący cichości głębokięj.

W takiem życiu nałogi rosna jak grzyby, a są dziwaczne i uparte. Nie dziw, że pannie Izabelli wszystko co ją otaczało, potrzebne było i konieczne: stary ów sługus mruczający, służąca zapuchła, chłopak odarty, nawet Żereba codzien o jednę godzinie przychodzący z raportem o interesach. Odjazd jego do blizkiego miasta powiatowego, przedłużony w niem pobyt, już ją niecierpliwił; wyglądała jego powrotu, bo kilka spraw zostawiła w zawieszeniu, a jedna godzina niezajęta niczém zbywała.

Nareszcie późnym już wieczorem dnia jednego da-no jęj znać, że pan Ignacy powrócił, i że ma pilne bardzo interesa, dla których zaraz się widzieć pragnie. Panna Izabella kazała go natychmiast przywołać do siebie, nie posądzając wszakże, by tak ważne przynosił jęj nowiny.

Żereba wszedł, nadając sobie więćj powagi niż kiedy, ze smutkiem na twarzy wyrobionym do okoliczności, medytując jak mu należy obrócić to, co miał na głowie, w sposób, iżby się p. Izabella nie domyślała, iż ważność tych wieści i znaczenie ich rozumie.

Jakkolwiek śmiesznie się wyrażał Żereba, nie był on pozbawiony instynktu zachowawczego, i umiał się

trzymać na wyrobioném stanowisku, którego zachwiać ani utracić sobie nie życzył.

A że jeździł dla zawikłanej sprawy pieniężnej, do której papierów i świadectwa poszukiwał, więc najprzód uznał za słuszne zdać sprawę z poselstwa.

Pocałował panią swą w rękę, do której wzdychał nadaremnie, myśląc o kapitałach, któremi władała, i odezwał się:

— Śpieszyłem co sił, ale przeciwnie losy nieco mnie dla niesłychanego wód rozlewu, że się tak wyrażę, i kataklizmowych deszczów, zahamowały. Jakże zdrowie?

— A papiery? spytała p. Moroszówna.

— Są wszystkie.

— To główna: bardzo dobrze. Mnóstwo tu interesów czeka na wpana.

— Śpieszyłem też, aby u stop pani dobrodziejki złożyć gotowość moją na jej posługi.

Tu już miało przyjść do rzeczy, ale jak?

Zereba się zaciął.

— Nie wiem, czy to w jaki sposób zasłuży na jej uwagę—dodał—ale na drodze przejąłem wiadomość, że hrabia Góra, który tu był niedawno...

Oczy p. Izabelli zwróciły się na niego żywo i pochylona głowa wyprostowała.

— Cóż to tam? spytała.

— Historia cała dosyć dziwna, choć upewniamy z wiarogodnych źródeł, że ściśle prawdziwa.

— Znalazł syna?

— W istocie, niespodzianie, odszukał go jakoby... nawet nastąpiło zbliżenie się i pojednanie... gdy zaraz prawie paraliżem tknięty, na rękę dziecka skonał.

— Umarł! podchwyciła Izabella, błędąc i usiłując

pokryć wrażenie. Powoli osunęła się na blisko stojącą kanapę.

— Ale to nie koniec, dodał Żereba: bo nim tego syna odszukał, zrobił widać testament, w którym nic o nim nie wspominając, cały majątek oddał bratu. A że śmierć ta nastąpiła nagle i niespodziewanie, brakło mu czasu, by go cofnąć. Dziś więc ów młodzieniec оголошony jest ze wszystkiego.

P. Izabella milczała; łzy, które usiłowała ukryć, spływały jęj po twarzy.

— Jak mówisz? spytała cicho: co się z synem jęgo stało?

— Stryj zabiera mu cały majątek; chłopiec zostaje bez żadnego funduszu.

— Gdzież jest?

— Właśnie spotkałem się z nim, gdy opuszczał rodzinne swe gniazdo, które go przytuliło na chwilę, dodał wymowny Żereba. Teraz nie wiem dokąd się udał.

— Ale czyż stryj zechce z tego testamentu korzystać?

— Najpewniej, bo przysłał zaraz delegowanych dla zajęcia majątku.

Panna Izabella wstała i przeszła się po pokoju, złę udając obojętność. Żereba łatwo poznał, że usiłowała naopróżno odegrać przed nim rolę obcęj, pokrywając wrażenie silne i niepokój gorączkowy.

— Ten testament — dodał — tylko palcem kiwnąć, obalić można; ale młody nic nie chce. Zaklął się, że nic nie przyjmie i pójdzie pracować.

— Testament można obalić? spytała panna Izabella.

— Rzecz pewna, ale na to potrzebaby jakiego nakładu.

Usiłując ciągle się pohamować, panna Moroszwówna zamilkła na chwilkę, i skinieniem głowy pożegnała nagłe plenipotentą.

— Przyjdź wpan do mnie jutro rano.

Nazajutrz o ósmój Żereba już był u drzwi. Znalazł ją bledszą, niespokojniejszą niż zwykle; ale z razu długo mówili o rzeczach obojętnych, które panna Izabella z roztargnieniem jakby dla formy zbywała. Nakoniec, nie mogąc się przybrać, żywo i nagle odwróciła się do Żereby.

— Wiesz wpan—rzekła—żem dobrze znała hrabiego; żal mi jego dziecięcia, chciałabym dla niego coś uczynić; jest to daleki mój krewny nawet... Możeby się dało tam coś zrobić, by nikt o tém nie wiedział, rozumiesz mnie wpan?... Jeżeli da się obalić testament...

Powoli od tych słów zaczęły się narady. Wyszedł z dotychczasowego ukrycia pan Aleksander Szperka, i w téj izdebce opuszczonej skrycie ułożyły się projekta, mające wpłynąć stanowczo na los Jurasia, który się wcale nie domyślał téj potajemnej nad sobą opieki.

Szperka nazajutrz wyjechał z Pińska, mrugając okiem i gładząc brodę, że mu się tak dobrze udało stracony już interes za włosy pochwycić, i to w sposób tak zręczny, tak skryty, tak misterny, że mógł w nim nie występować widocznie, przyznać się lub zaprzec w nim udziału... Na przyszłość zawsze zostawały mu dwie drogi, z których jedną dogodniejszą wybrać nie nie broniko. Aż mu się serce uradowało, że tak sobie dał rady.

Dziękował więc Panu Bogu gorąco, nie zastawiawszy się tylko, że tego rodzaju spraw wcale się nie podejmuje Opatrzność.

We dworku Ottona w Robowie, Martynek i przybrany jego ojciec grali sobie spokojnie Sonatę Beethovena. Okna stały otworem, a cichy wieczór wiejski powoli spływał z ciszą na tę melodyę, w którą obaj całe piersi swych życie wlewali. Wtém szelest jakiś przerwał im jedno z tych cudnych adagiów, które tylko spracowana boleścią dusza nieśmiertelnego mistrza wydać mogła. Głupie, chłodne, nieznośne brawo odezwało się za oknem z pustej piersi, która śmiała przerwać uroczą pieśń, by swój czczy zachwyt na miejscu jej postawić.

Otto odwrócił się zagniewany, oczy mu płonęły oburzeniem i zgrozą na profana, drżał cały. Martynek nie wiedział spełna, czy dach domu się załamał, czy ziemia się zatrzęsła i pochłonać ich miała, czy głupiec wpadł wpoprzek natchnionej melodyi; ręce jego stęzały nad fortepianem, zawisły.

Wtém głowa Maksa z włosiem na tył zarzuconym ukazała się w oknie, i głupio uśmiechnięta twarz pseudo-artysty.

— Al bravi! bravissimi! przepraszam, że przerywam.

— Prawda, że z oklaskiem, bez któregośmy się wyśmienicie obejść mogli, wybrałeś się nie w porę, rzekł zimno Otto; wolałbym mieć szczęście później cie nieco oglądać.

— Ale kończcież, kończcie! ja posłucham chętnie, bo to wcale ładne.

— Kończcie! uśmiechnął się Otto: ty myślisz, że jak przerwana modlitwa da się na nowo zimnemi skleić ustami pieśń złamana w pośrodku, że ją można na nowo rozpocząć gdy się zechce! kiedy z serca uleciało natchnienie, myśl, gdy złoty sznur się przerwał... A! człowiecze!

I rzucił skrzypce na fortepian.

— Znasz—dodał zamyślony—tę chwilę w powieści Immermana, gdy łowiec na ustach złotowłosej Lisbethy złożyć ma pierwszy pocałunek, a w chwili tej właśnie nadchodzą drużki weselne. Już on później na tej przechadzce, którą poeta opisał tak cudnie, nie powtórzy się tak jak go tu umiała stworzyć poezya, drżenie serca, miłość wybuchająca obojga. Toż z muzyką, co z tym pocałunkiem; ale...

Tu przerwał sobie Otto, jakby przypomniawszy, że Maks go nie zrozumie, i spojrzał na zasmuconego Martynka, który, jakby nań kto zlał wiadro zimnej wody, wytrzeźwiony nagle, ocierając pot z czoła, poglądał smutnie na nóty niedośpiewane.

— A! wy gracie sobie szczęśliwi! zawołał Maks z ogromnym westchnieniem kowalskiego miecha—gdy ja już mojej kochanki wiolonczelli dla innej zapomnieć musiałem. Miłość ma swe prawa—rzekł powtarzając na zimno westchnienie.

I wszedłszy do pokoju, rzucił się na kanapę.

— Uczucie to... chciał mówić dalej.

— Dajmy pokój uczuciom, przerwał Otto seryo: nie godzi się o nich rozprawiać tym, co już nie mają ich w piersi; są to rzeczy święte i nietykalne.

Maks popatrzał nań stropiony.

— Nie słyhać tam co o Jurasiu? dodał.

— Dziś się go tu spodziewamy, rzekł Otto. Wiem już z miasteczka, że tu przybędzie lada chwila.

— Oryginalna historia! Prawdaż to, że hrabia chciał coś uczynić dla niego, a on nie przyjmując?

— Tak mówią i tak sędzę.

— Zawsze był dzieckiem...

— Serce poczciwe, dusza czysta...

— Ale to się zmarnuje z tą pychą i dumą! bo proszę, kiedy mu chcieli coś dać, dla czego odrzucił?

Otto się tylko uśmiechnął, gdy jakby na zawołanie, sam Jerzy wszedł przez drzwi ogrodu, z twarzą tak jasną, z tak pogodnym czołem, jak gdyby przez chwilę nie był milionowym panem, by potem znowu zostać nazajutrz ubogim włóczęgą.

Rzucił się w objęcia Ottona i ścisnął dłoń poczciwego Martynka.

— Oto mnie znowu macie — rzekł — wolnego jak ptak niebieski, nauczzonego doświadczeniem, że są poczciwe serca na świecie, powracającego trochę się otrzeźwić pod waszą strzechą i pod skrzydłem przyjacieli. Jakże się macie?

— A mnie to nie powitasz, Janku? spytał Maks, który z kanapy nie powstał i bawił się brelokami, zubożaczami pierścionkami półkownikowej.

— Nie spostrzegłem cię, kochany Maksie.

Otto pochwycił go raz jeszcze za obie ręce.

— Wiecie wszystko? spytał Jerzy wesoło.

— Wiem, i byłem pewien, że tak zrobisz jakżeś uczynił, rzekł Otto. Ale cóż dalej?

— Co dalej? będę sobie pracował! Wezmę Pawła na gospodarstwo... Dobrzy ludzie wepchnęli mi trochę grosza, mam z czém począć, i szczęśliwszy jestem od wielu, co nic nie mieli prócz rąk i ochoty.

— Mógłbyś mieć daleko więcej, odparł Maks: bo ludzie mówią, że testament dmuchaniembyś obalił... Zresztą i hrabia dał się z tém słyszeć, że mógłby ci coś ofiarować...

— Mój drogi, rzekł Juraś do Maksa: na mojem miejscu przyjąłbyś to może... ja nie mogę. Tyś wielki artysta, a życie lekko bierzesz jak podściół dla sztuki; ja przedewszystkiém chcę spokoju w duszy, swobody w piersi... Ale dość tego; mówmy o czém inném. Jak się tu mają wszyscy? Jak mi wygląda Otto? co robi Martynek? gdzie febra jego? kiedy wesele Maksa? Widział kto z was piękną moją siostrzyczkę Lolę? lub tę żywą z marmuru wykutą fantazyę, Anetę?

— Al ileż pytań na raz! zaśmiał się Otto. Czekaj... Martynka febra sama porzuciła, oburzywszy się, że jej pielegnować nie chciał. Jak ja wyglądam, widzisz! Maks powie ci kiedy jego wesele.

— W tych dniach, najpewniej we czwartek, ale *incognito*; was tylko proszę, nikogo więcej... Będzie ledwie parę osób; nie lubię tłumnych zgromadzeń; szczęście jest natury fiołka...

Otto się uśmiechnął, bo fraza ta wyraźnie razem z pierścionkami pożyczona była od półkownikowej, i wzięta gdzieś, kędyś ze starego francuzkiego romansu.

— Hrabianki nie widziałem, przerwał Otto; ale mówił mi Żółtowski, że z powodu tego testamentu ciągle tam płacze... Lola rozpacza... Hrabina nie wychodzi z kaplicy... Hrabia tylko niezachwiany w postanowieniu, przed sumieniem własném tłómaczy się z tém, że owóm, byle majątku nie oddać, choć czuje sam, że do niego nie ma prawa. Rachował coś na opór z twojej strony, i miał nadzieję, że walka dostarczy mu argu-

mentów; ale gdy Burda i sędzia powrócili, opowiadając, żeś wyszedł z kijem i uśmiechem, hrabia trochę posmutniał i zmieszał się. Tu krzyk na niego powszechny; on utrzymuje, że się zdobył na heroizm umyślnie, aby winnego potępić.

Jerzy ruszył ramionami.

— Ale dość już tego... rzekł—jutro sam u niego będę, bo mu mam coś powiedzieć... Tymczasem Maksie, powiedz nam co o tej czarodziejce Anecie?

— Widzę, że cię już w swoją siatkę złapała, zaśmiał się Maks zakłopotany trochę. W istocie czarodziejka! Ale to dziecko popsute! dziś u niej to, jutro drugie na myśli i w sercu; rodzice nawet tak muszą skakać jak ona zagra.

— Całą drogę obraz jój mnie prześladował, dodał Juraś.

— Chcesz, bym jój to powtórzył? spytał Maks.

— A do czegoż się to jój przydać może?

— Zawsze to pochlebia, obudza wdzięczność, a wdzięczność ruszyć może inne uczucia sąsiednie, i tak po nitce...

— Wolałbym, żebyś nic nie mówił o mojem trzpiotostwie, odparł młody chłopak. Do swobody, o której marzę, należy i swoboda serca; wiązać się nie chcę, choćby...

— Choćby miłością? spytał Maks z westchnieniem.

— Choćby szczęściem!

Muzyk nic nie odpowiedział.

— To znowu teoria, która do niczego nie prowadzi, bo jest całkowicie fałszywa, przerwał Otto. Takiej swobody ani drugim życzyć, ani dla siebie pragnąć nie można. Jest to odosobnienie i śmierć. Człowiek, by był w pełni sobą, musi się wiązać z tym łań-

cuchem istot, które go otaczają; inaczej elektryczna iskra życia przezeń nie przejdzie... Trzeba kochać, potrzeba z siebie uczynić ofiarę, aby spełnić postanowienie ziemskie. Sam jeden człowiek jest ziarnem rzuconem na rozdrożu, z którego nikt nie zeżnie kłosa: w polu tylko do snopa należy, i na chleb pójść może.

Jerzy nic nie odpowiedział Ottonowi; zamiast słów dał mu szczere, serdeczne ścisnięcie dłoni.

— Ty wiesz, rzekł po chwili: jak ja życie rozumiem. Gotowem je dać, ale chcę niém sam swobodnie rozporządzić; chcę... ot! sam może dobrze nie wiem czego chcę,—a to tylko pewna, że mi tu z wami dobrze, że dawno muzyki nie słyszał, i że mi coś za-gracie.

Tak zwróciła się rozmowa: Martynek poszedł do fortepianu i zagrał balladę Chopin'a.

— Ten Chopin—rzekł Maks—to taki dziwak jak Juraś: pół chłopa, pół eleganta, nihy wieśniak a śpiewa uczenie chłopskie trele; ja go nie rozumiem.

— To nie dla ciebie pisano, odparł Otto.

Wieczór upłynął cały na długiej rozmowie przerywaniej. Maks nawet, nad którym ciążyła groźba wiekuistych ślubów i szczęścia na łonie półkownikowej, rozweselił się, rozgadał, zrzucił trochę komedyanctwa, rozgrzał się u tych młodych piersi; a gdy mu przyszło powracać, nie mógł się wyrwać z pod słomianej strzechy, z której nań wiała taka swoboda i szczerota.

Nazajutrz rano Juraś pieszo poszedł do Zarubinie. Przewidział on trudności swego spotkania z hrabią, ale spokojny w duszy, nie lękał się go wcale; myśl jego więcéj zaprzęta była Lolą, dla której miał czulsze niż braterskie uczucie, więcéj niż przy-

jaż. więcej niż sympatyę młodzieńczą,—oraz hrabiną, która jak cień własnej, nieznannej matki przed nim stawała... Taką sobie wyobrażał swoją, taką chciałby być mieć i kochać.

Znając ścieżkę, która od Robowa wiodła pod ogród zarubiniecki, wsunął się po cichu do domku Żółtowskiego i zmieszał go swoim niespodzianym przybyciem. Stary milczący zwykle, języka w ustach zapomniiał.

— A! pan tu! pan tu! powtórzył kilkakroć—czy?... ale?... I zamilkł.

— Wszak to już godzina, w której zobaczyć się można ze stryjenką? zapytał Juraś.

— Od dwóch już godzin w ogrodzie na modlitwie przy kaplicy... tam pewnie ją znajdziecie... tylko...

Żółtowski chciał pytać i nie śmiał, nareszcie się zdobył.

— Ale cóż pan myśli?

— No! zobaczyć się...

— A sprawa? a tego? a ten?

— Jakaż może być sprawa? Testament święty i ważny, ja wolny: ot po wszystkim.

Żółtowski pokiwał głową...

— I nic pan nie chce? nie weźmie?

— I nie chcę, i nie mogę, i nie wezmę! rzekł ruszając ramionami.

— A! panie, uspokójże hrabinę: ona tak cierpi...

— Więc tém bardziej śpieszyć do niej muszę...

Ścisnąwszy Żółtowskiego, który niespokojnie za nim poglądał, Jerzy szybko poszedł ku kaplicy, która stała nieco opodal od pałacu w klombie czarnych świerków i brzoź białych.

Drzwi jój były otwarte, w głębi błyszczał ołtarz z obrazem; hrabina zewnątrz na marmurowych wschodkach klęczała napół schylona i zatopiona w modlitwie. Twarz bladą miała i zmęczoną, świeże ślady łez znać było na oczach. Obok Lola, trochę roztargniona, ale równie smutna, czytała w książce, która leżała na jój kolanach. Dwie te postacie równie piękne, stanowiły obrazek wdzięczny, ale przejmujący, tak były napiętnowane boleścią.

Juraś zatrzymał się i zwołnił kroku, ale szelest obudził Lole, która spojrzała w tę stronę, przerwała modlitwę, przeżegnała się żywo, i rzucając książkę, z uśmiechem podbiegła ku niemu. Cień jój postaci przemykającej się obok, obudził matkę, podniosła głowę, i lekko wykrzyknęła, jakby przełknięta; różaniec wypadł z jój rąk, łzy potoczyły się po twarzy.

— Jakże ty się masz, mój drogi? zawołała podając mu rękę. Spojrzże mi w oczy, nie maszże żalu do mnie? nie posądzasz mnie o chciwość? nie obwiniasz o zdradę? Jurasiu, Bóg widzi jam winna może, ale niewinna...

— Ale któżby posądził was o jaką winę?

— Prawda! przerwała Lola: nie twoje chyba serce! Jeśli nie znasz mamy, toś ją przeczuć musiał.

Oczy jój spotkały się z wejrzeniem Jerzego, zamieniając uczucie, którym jaśniały.

— A jednak w oczach świata, któż wie... przerwała hrabina wstając: ja uchodzić może będę za... Nie! nie! to być nie może! On zmieni postanowienie, ty swoje odebrać musisz! Jego serce, wierz mi, pocziwe, ale pojęcia ma inne: omylił się chwilowo...

— Moja stryjenko kochana, przerwał Juraś: uspo-

kój się, nie mówmy o tém. Cóż tak wielkiego się stało? Dla mnie to nic, to szczęście! to właśnie czego chciałem!

— Ale dla nas! dla nas! przerwała rozplakana znowu hrabina. Myśl na co nas wystawia ten testament! na ludzi czyhających, by cudzą własność pochwycić, rozumiesz ty to! Na Boga, ty chyba jeden, poczciwe dziecko, bronić nas będziesz.

Gorączkowo, przerywanemi słowy mówiła biedna kobieta, a łzy strumieniem płynęły po jej twarzy.

Lola z żywém uczuciem zbliżyła się do Jerzego.

— Gdybyś ty widział—rzekła—co mama wycierpiała, ile łez się jej wylało! Ja nawet pocieszyć jej nie mogę, tak się tém gryzie i męczy! Potrzebny nam był, żeby ją uspokoić; dziękuję ci, żeś przyjechał.

— Stryjenko, na Boga, nie mówmy o tém.

— Będziesz zapewne widział się z Rajmundem?

— Muszę; chodzi mi o stare sługi.

— Jakże się wy spotkacie? wszak mu wymówek robić nie będziesz?

— Ja? za cóż? Nie żądał tego; przyjął i jest w swém prawie.

— Ale on się trochę gniewa na ciebie, po cichu dodała Lola; i to ci wiedzieć potrzeba.

— Nie! nie! Mógłżeby się gniewać? za co? Co ty pleciesz, dziecko moje!—przerwała matka. Jest smutny, że nie chciałeś go posłuchać, żeś tak uciekł...

— Jeszcze raz, kochana stryjenko, nie mówmy o tém. Wszystko się stało dobrze; źle tylko, że twoje oczy zapłakane i Lola nieswoja.

— A! byleby to tylko przeszło, ja się zaraz rozweselę! zawołała uśmiechając się dziewczeczka: zobaczysz, Jurasiu!

— Rachuj jak gdyby już przeszło! Ja idę do stryja i w pół godziny powracam, a wszystko będzie dobrze.

Hrabina schwyliła go za rękę.

— Pamiętaj — rzekła — to brat twojego ojca, to człowiek stary; szanuj choćby uprzedzenia, choćby słabości wieku; bądź dla niego pobożający. Ja ci ręczę, że to się lepiej skończy niż myślisz...

— Stryjenko, proszę być spokojną, zaufaj mi i nie myśl o tém.

Gdy Juraś szedł do kaplicy, Małczak właśnie kierował się ku pałacowi, a ujrawszy go, naturalnie pośpieszył oznajmić hrabiemu, kogo widział, dodając, że go zastał na naradzie z hrabiną.

Stan duszy hrabiego Rajmunda dość trudny jest do odmalowania. Nie można powiedzieć, żeby nie pojmował co czynił i chwilami nie wiedział jak się to po prostu nazwać mogło; ale interesa ciężkie, mania, potrzeba grosza, wspomnienie działu, w którym się czuł pokrzywdzonym, prawność testamentu, były aż nadto wystarczającymi na uspokojenie sumienia. Powoli wyrozumował sobie, że w sposób bardzo prawy może przyjąć legat, z tém tylko, że coś synowcowi dać wypadnie. Z razu dawał mu w myśli klucz horycki, potem zmniejszył dar do jednej wioski, a ostatecznie zamierzał wyznaczyć mu pensyjkę na utrzymanie, aby marnotrawca nie strwonił zaraz co mu się w ręce dostanie.

Jak rozum ludzki jest biegły, kiedy mu co sobie wmówić potrzeba i o czémś się przekonać, wiemy to dobrze na sobie; sofizmatów dostarcza mu miłość własna, wielki mistrz logiki w swoim rodzaju. Hrabia jednak choć spokojnie układał już wszystko, nie był jeszcze bez zgryzot: czuł się jakoś niepewnym, potrze-

bował przed każdym tłómaczyć się i uniewinniać; ale jak potakiwanie wywoływało w nim wątpliwość, którą sam rzucał, tak sprzeciwianie się oburzało go i niecierpliwiło. Powrót Burdy, opowiadanie o znalezieniu się Jurasia, rozgniewały nawet hrabiego, rozdrażniły go więcj jeszcze.

— To natura nieugięta, dumna, niepokonana! mówił: miał ojciec wielką słuszość, wydziedziczając go. W takich ręku majątek byłby wielkiem niebezpieczeństwem... Coraz bardziej przekonuywam się, jak ostrożnie nawet w tém, co mu się uczyni, postępować potrzeba.

Jednak odrzucenie wszelkiej ofiary jakoś nie na rękę było hrabiemu, bo czyniło go prostym wydziercą cudzego dobra. Jerzy przyjmując dar jakiś, byłby uświęcił zabór reszty; nie chcąc nic, zdawał się protestować.

Gdy Malczak wbiegł z wiadomością o przybyciu Jerzego, hrabia powziął myśl, że nareszcie przychodzi dopraszać się i zdaje się na łaskę; znowu więc śmielej począł wnioskować jak go upokorzyć i związać.

Na to był przygotowanym, gdy mu zwać dano, że Jerzy oczekuje na niego; jednakże z dwóch ich, hrabia wyszedł daleko bardziej skłopotany niż synowiec, który nań czekał spokojnie i nie dając znaku najmniejszego wzruszenia. Przywitali się zimno, z daleka. Hrabia począł pierwszy, przybierając poważny i surowy ton sędziego.

— Wiadome już wpanu rozporządzenie jego ojca. Ta wola jego wkłada na mnie wielkie i ciężkie obowiązki; ale będę się starał im podołać. Sam wpan wyparłeś się rodziny, zerwałeś najświętsze na ziemi węzły, wzgardziłeś opieką; nie masz więc prawa do jej dobro-

dziejstw... Ojciec wpana surowy był, ale sprawiedliwy.

Juraś milczał.

— Ale ja, wchodząc w jego położenie — kończył hrabia — nie myślę przecież tak pozostawiać go bez sposobu do życia. Chcę, żebyś się poddał mojemu kierownictwu, upokorzył, stał posłusznym, a wówczas widząc poprawę, potrafię los wpana i spokojną przyszłość zapewnić.

— Za pozwoleniem, przerwał Juraś: testament mówi o majątku, ale nie wspomina wcale o mnie. Wolę ojca szanuję, ona mi właśnie zostawia zupełną swobodę, i téj, spodziewam się, nikt prawnie ograniczać nie zechce i nie może. Nie żądam nic, ale nie przyrzekam też nic wcale.

Hrabia spojrzał mu w oczy.

— Ja nie mogę pozwolić na to.

— Jakże pan możesz chcieć tego, do czego nie masz prawa?

— Ja! nie mam prawa?

— Do majątku, zupełnie; do mnie, żadnego — rzekł Juraś. Ale o tém nie mamy co mówić.

— Więc zawsze ten upór i duma?

— Jak się tam nazwać podoba... ale zawsze jeden charakter znajdziesz pan we mnie. Obcy sobie jesteśmy, i próżnobyśmy mówili o tém. Mam wcale co innego do pana hrabiego — rzekł Jerzy.

Rajmund bojaźliwie jakoś spojrzał na postać, stojącą przed nim, napiętnowaną siłą i energią spokojną.

— Co się tycze woli ojca, mówiłem, że ją szanuję, i chcę, by ją drudzy szanowali. Wiem to dobrze, iż testament zrobiony był nimeśiny się spotkali, nim mi przebaczył; że chciał go cofnąć, i byłby go cofnął, gdy-

by miał czas na to; wiem i to, że gdybym dziś chciał obalić to rozporządzenie, mógłbym to uczynić najłatwiej.

— Jak to! obalić? zawołał hrabia.

— Testament jest dobry dla mnie i dla pana, ale w obec prawa nic nie wart.

— A! to wpan wiesz! zawołał hrabia: wiesz co ci intryganci powiedzieli!

— Ale o to mniejsza, rzekł Jerzy; widzisz pan, że go przecię szanuję.

— Czynisz mi tę łaskę? urągająco spytał hrabia.

— Nie — odpowiedział Jerzy. Czynię sobie to, z czém mi dogodniej; ale łaski także dla siebie nie dam zrobić — dodał dumnie. Słowo tylko, panie hrabio, byśmy w zbyt cierpkie nie zaszli rozprawy. Chodzi mi o stare sługi ojca, o ich byt i spokój. Pawła wezmę z sobą zapewne, ale nic nie mając, tylko pracę, wszystkich zabrać nie mogę, a nie chcę, by się im krzywda działa.

— Jaka krzywda?

— Proszę was, aby ci starzy przyjaciele ojca mieli to co za ojca: utrzymanie i opłatę, do jakich przywykli.

Hrabia się zawahał.

— To mieć będą, co ja uznam za słuszne.

Jerzy okazał trochę niecierpliwości.

— Panie hrabio, w tém i ja chcę mieć sąd i wolę; to z mojej strony jedyna rzecz, której wymagam. Nic nie żądam dla siebie, nic nie przyjmę, bo się żadnym warunkom nie poddam; ale oni mieć muszą — dodał z przyciskiem — to, do czego przywykli.

Hrabia tyle miał uporu i dumy, że nie mógł ustąpić;

Juraś tak silnie był przekonany o obowiązku, że o łaskę prosić nie mógł. Obaj nie zmienili tonu.

— A jeśli ja nie zechcę? spytał hrabia.

— Natenczas ja pomyślę jak mam radzić, odparł Jerzy; a że dość jestem uparty, wedle wyrażenia pańskiego, więc że nie ustąpię, to pewna.

— Ale wpan sam dla siebie, cóż myślisz? włóczyć się i zebrać, jeśli nie chcesz nic odemnie? spytał stryj po chwili.

— Żebrać? co pan mówisz! przerwał gwałtownie Jerzy. To słowo z ust innych byłoby obelgą... tu jest nadużyciem niegrzeczném położenia, i dla tego muszę je puścić mimo uszu. Nie mam co na to odpowiadać.

Posunął się ku drzwiom powoli.

— Posłuchaj wpan, jeszcze słowo... rzekł hrabia. Daję ci Horycę, dla ciebie i sług; oto masz ostatnie słowo; aż nadto ci tego dosyć.

— Ja nic nie chciałem i nie wezmę — odparł Jerzy.

— Chcesz się prawować?

— Nic nie żądam.

— Tak! rozumiem, chcesz mię upokorzyć łachmanami swemi; chcesz, by ludzie widząc twoje ubóstwo, wskazywali mię jako niepoczciwego przywłaszczyciela; żebym ja pokutował za twoją winę i za rozporządzenie ojca... rozumiem.

— Myśl ta nie powstała we mnie. Co ludzie powiedzą, nie wiem; nie skarżę się, nie biorę nic, bo wszystko cobyś mi hrabia dał, byłoby łaską. Po ojcu albo mi się należy co zostawił, lub nic wcale: wolę nic, niż jałmużnę.

Odchodził już, hrabia okazywał coraz gorętszą niespokojność.

— Namysł się, rzekł: daję Horycę.

— Zwracam ją panu.

— To upór i szaleństwo.

— Może być, dziwactwo, szal... odparł Jerzy; ale ja śpilki nie chcę z domu wziąć i nie mogę. Prawa pańskie jasne, mój obowiązek równie jest wyraźny dla mnie: rzecz skończona.

Sklonił się swobodnie i odszedł powoli spokojny, a przybrawszy pozor: jak mógł najweselszy, pośpieszył do pokoju hrabiny, gdzie ona czekała na niego, drżąc za każdym szelestem. Lola była smutna i zamysłona.

Na progu zaraz spojrzwały mu w oczy, chcąc się dowiedzieć co zrobił; ale odgadnąć nie mogły, bo Juraś umyślnie się im uśmiechał.

— A! powiedz, jakże to tam było?

— Nic, poszło dobrze; nie ma już mówić o czém. Stryj był grzeczny, ja starałem się być powolnym, rozstaliśmy się w jak najlepszych stosunkach.

— Dzięki Bogu, ale jakże?

— Nic, wszystko zostało jak było; nie mówmy już o tém, nie mówmy.

I obrócił się do Loli.

— Nic przykrzejszego nad te nudne sprawy ludzkie majątkowe, pieniężne... rzekł śmiejąc się. To truje życie, które nam jest na inny cel dane. Prawda siostrzyczko? Czy wiesz, żem bardzo tęsknił do ciebie?

— A ja, ja... ciągle o tobie myślałam.

I zarumieniała się mimowolnie.

— Ale mama mówi, że w tém nie ma nic złego, dodała: bośmy brat i siostra, możemy się bardzo kochać, i nikt nam słowa nie powie.

— A! Lolciu! co ty znów pleciesz! przerwała matka.

— Wszakże ani słowa nie dodaję!

— Ale cóż sobie Jerzy pomyśli?

— Jerzy jeszcze mocniej kochać was będzie.

— Widzi mama! klaskając w dłonie zawołała Lola: ja wiedziałam, że Juraś dobry chłopak.

— Dziękuję ci siostrzyczko!

— Dobry! dobry! pocziwy! całując go w głowę, odezwała się hrabina: nawet w sercu do nas nie ma żalu.

— Do was! a mój Boże! możęś mieć dla was co innego prócz wdzięczności?

— A dla ojca?

— Ojciec mógł się omylić, ale nie sądzicie, żeby mi uczynił krzywdę, rzekł Jerzy; nie gryźcie się tém. Ja jestem dobrowolny sierota i wygnaniec od dziecka; dla mnie straszne były te majątki i ten świat wasz, w które mnie one ciągnęły: lepiej mi, że zostanę jak byłem.

— Ale cóż ty poczniesz z sobą? spytała Lola.

— Oto już prawie pocałem... rzekł Jerzy: znalaziono mi kawał ziemi dobry, biorę go dzierzawą, pójdę pracować, siać, żąć, zbierać i dorabiać się chleba, tak jak człowiek powinien.

— Mój Boże! zawołała hrabina: a my! my zostaniemy z cudzém dobrem w rękach i na sumieniu. Nie! nie! to być nie może, ja tego nie zniosę, to się musi przemienić.

— Moja droga stryjenko, rzekł siadając Juraś: nie frasujcie się tak bardzo. Co się stało, zrobiło się jak najlepij. Gdybyście mi oddawali teraz to, co po

ojcu zostało, jużbym nie przyjął ofiary i ciężaru. Wola jego nie została odwołana widocznie, jawnie. Możemy sądzić, że chciałby był jakoś zrobić inaczej, ale na to nie mamy dowodów; niechże tak będzie jak postanowił. My zostaniemy dobrymi przyjaciółmi.

— To najważniejsza, zawołała Lola uśmiechając się: będziemy sobie siostrą i bratem.

I zbliżyli się do siebie pociągnięci urokiem, z którego oboje nie zdawali sobie sprawy. Jerzy mimowolnie zszedł myślą w głąb serca, i porównał wrażenie, jakiego w tej chwili doznawał, z tém, które go ciągnęło ku Anecie. Tamto nie sięgało po za granicę wszystkich silniejszych wzruszeń powszednich; to miało w sobie coś tajemniczego.

Tamta go bawiła, ta pociągała. Z tamtą śmiać się potrzeba było i trzpiotać, aby z nią przyjść do zgody; z tą każde słowo łatwo stroiło się do tonu, myśli ich zgadzały się. Bez wysiłku byli w harmonii zupełnej.

Jerzy to sobie tłumaczył uczuciem siostry i brata, którego nie znał, a siłą jego był zdziwiony.

Wprawdzie hrabina przytrzymywała go w tym domu, który tyle miał powodów co najprędzej opuścić; ale ona sama nie byłaby go potrafiła zatrzymać. Uśmiech i spojrzenie Loli, z którą się tak od razu dobrze rozumieli, przykuwały go do tych ciemnych pokoiów, których opuścić żal mu było: silił się, wstać, odejść nie mógł.

Hrabina zamyśliła się głęboko; młodzi usunęli się trochę.

— Dalekoż to—spytała Lola—ta twoja nowa dziewczawa?

— Trochę będzie daleko: tak prawie jak Horyca.

— O! to bardzo daleko! Ty jak się tam zaszedsz, nie wiem czy do nas zechcesz przyjechać.

I spojrzała mu w oczy.

— Bo choć się nie gniewasz na ojca—wszak prawda, że się nie gniewasz? — ale cię przecię wstrzymywać coś będzie, bo wy się nie rozumiecie. Powiedzże mi, kiedy my się znowu zobaczymy?

— Bóg wie! To prawda: do was natrętnie się tu cisnąć mi trudno; każda moja bytność będzie się zdawała wyrzutem, co gorsza, przymówką o jakąś pomoc, a samo posądzenie o to już dla mnie bolesne. Jednak wyście cała moja rodzina na świecie, jedyna; nikogo nie mam, a przez te krótkie, pamiętne godziny nieszczęścia, poznałem was, przywiązałem się do was, do ciebie, więcej niż myślicie!

— Doprawdy? Jakże mnie cieszy, Jurasiu! Ty także nie wiesz, jak ja cię bardzo kocham! nie wiem, czybym tak rodzonego brata potrafiła. Pamiętasz, kiedyś się tu pierwszy raz niespodzianie zjawił... oczy się nasze spotkały, zadrżałam cała, przeczulałam już w tobie brata. Nie wiedziałam wówczas co to znaczy... dziś rozumiem. Al! gdy się nam przyjdzie rozdzielić na długo, smutno, smutno mi będzie. Ale choć ja tych rzeczy nie rozumiem, dodała Lola: słuchaj-no, może ja nieźle poradzę. Tam czy tu, pracować wszędzie można. Dla czegoż tam, daleko, masz koniecznie szukać tego ziemi kawałka? Tu by ci go Otto znalazł. Tu my, tu Maks, tu on, tu trochę życzliwych i znajomych, i lepiej między nimi być może.

— Dziękuję ci za radę. Kto wie, może pójdę za nią, gdybym znalazł co gdzie blisko?

— Koniecznie blisko, dodała żywo Lola: choć czasem widywałyśmy się mogli, i mama, i ja. My często

długie, dalekie odbywamy przechadzki; moglibyśmy nawet bywać u ciebie. Dla mnie byłaby to wielka pociecha.

I uśmiechnęła mu się, podając obie rączki z ową dziecinną prostotą, która ją wdzięcznym czyniła aniołkiem.

— Teraz—rzekła—zostaniesz jeszcze pewnie choć kilka dni u Ottona, w okolicy. Wszak prawda? nie myłę się?

— Być może.

— Możemy więc zobaczyć się jeszcze?

— A! jeśli pozwolicie, jabym—dodał Jerzy nieśmiało, ale z uczuciem głębokiém—jabym się wieki patrzył i patrzył na ciebie, tak mi błogo i dobrze, gdy mój wzrok oczy twoje spotyka.

— A! żartujesz sobie ze mnie, a tego ja nie lubię..

— Ja nigdy nie żartuję.

— Więc doprawdy? Ale nie! czyżbyś ty wolał mnie nawet od tego trzpiota Anety, która...

Lola się zarumieniła.

— Która? co?

— A! wiem, żeś był z nią u półkownikowej, żeś ją tam poznał, że ci się bardzo, bardzo podobała.

— Powiedz, że mnie bardzo zabawiła.

— Ale ja o to nie mam pretensyi: ja jestem siostrą twoją.

— Ja mam pretensyę, rzekł Jerzy: boś ty mi więcej niż siostra: ty jesteś moim ślicznym snem, ideałem.

— A! zmiłuj się! mówisz coś tak już jak pan Emil, który tu był pozawczoraj: ja tego doprawdy nie lubię.

— Jaki Emil?

— A! wystaw sobie—szczebiotała Lola po cichu,

uśmiechając się do niego:—póki ojciec miał tylko Zarubińce, nikt nie myślał o mnie; teraz, gdy posłyszeli, że ta biedna Lola może tam mieć coś więcej, choć to cudze, choć ona tego nigdy nie weźmie i nie tknie, już ich przyjeżdżało trzech, co mi zaraz od pierwszego wejrzenia takie rzeczy prawili!

Juraś uśmiechnął się smutnie.

— I przyjdzie—rzekł—jakiś czwarty, który ci to powie tak, że trafi do serca.

— A! nie! nie! nie! Najprzód ty nie wiesz jeszcze, że ja postanowiłam nigdy nie iść za męża, dla mamy: mamie byłoby bardzo smutno. Powtóre, ot tak, nie wiem czemu, ale mi wszyscy po tobie śmiesznymi się wydają.

— A! mój Boże! jakże ty mnie zawstydzasz! Ja taki nieokrzesany, prosty, niezgrabny...

— No! ja tam nie wiem, ale ty także wydajesz mi się jakimś ideałem mężczyzny, z siłą, z charakterem, z mocą duszy... gdy tamci, jakby kto ich z pajęczyny utkał, lub z pianki ukleił.

— A ten Emil?

— A! Emil... ja ci już nie powiem: uchodzi on tu za bardzo ładnego chłopca, ale jest tak ładny jak lalka drewniana, i zdaje się, że chodząc stłuc się boi, a mówi jak nakręcona do mówienia machinka. Ty już wiesz, jakem ja niecierpliwa, gorączka: jakże mi się może taki porcelanowy Emilek podobać?

— A drugi? a trzeci? zapytał Juraś.

— A drugi? Drugi to znów taki poważny, że tylko z papą mówi o polityce, zawsze seryo. Straszny, musi być bardzo rozumny, bom ja go nie a nie zrozumieć nie mogła. Ciągłe wielkimi tylko rzucał słowami...

— Trudna jesteś, siostrzyczko... A trzeci?

— Trzeci sobie tak jakiś, że doprawdy nic o nim powiedzieć nie można: blady, mizerny, kaszlący, zdaje się, że tylko chorować umie i obawiać się o swoje zdrowie. To czyni go sentymentalnym. Wzdychał aż mi było nudno. Dużo widać francuzkich rzeczy czytał.

— O! biedacy! jakżeś ty ich osądziła!

— Ja ich nie sądzę, kochany Jurasiu; mówię ci tylko, jak mi się zdają, co o nich myślę. Cożem winna, że oni mi się tak wydali? Ale wróćmy do naszej rozmowy. Kiedyż i jak się zobaczymy?

— Nie wiem.

— Będziesz u Ottona?

— Zabawię u niego może. Będzie podobno wkrótce i Maksa wesele.

— Myślisz być i na weselu? Kiedy pogoda piękna, my z mamą chodzimy spacerem drogą lipową ku Robowu: tambyśmy mogli się spotkać... Gdy mama chora, czasem ja chodzę sama, to droga pusta, a ogród blisko...

Zarumieniła się dając mu rękę.

— Moglibyśmy się zobaczyć! Ale doprawdy—dała—ty mnie wziąć gotów jesteś za jakiegoś trzpio-ta. O! gdybyś nie był moim bratem, nigdybym ci się tak nie narzucała; ja wiem, że to nie uchodzi i nie dobrze... ale z bratem...

— Moja droga siostrzyczko, odparł Jerzy: nie bój się, bym cię wziął za inną niż jesteś. Jesteś dobrą, serdeczną, szczerą i miłą istotą, jakiej drugiej na świecie nie ma.

— Cicho! chodźmy już do mamy; ona cię tak kocha jak ja... rękę.

Zbliżyli się do hrabiny, ale ją zastali jakąś zadumaną i posępną. Spokojna jęj zwykle i łagodna

twarz, nosiła ślady wewnętrznej walki i silnego postanowienia, które wiele kosztować musiało. Łzy nieoschłe jeszcze świeciły na policzkach, choć usta, w chwili gdy się dzieci zbliżały, uśmiechnęły się pogodnie.

— Mameciu droga! doprawdy! tyś znowu płakała! zawołała Lola grożąc jój. Mnie to nigdy ani łezki wylać nie wolno, choćby mi się najbardziej chciało, a ty sama...

— Ale ja nie płakałam: śni ci się!

Lola przypadła i pieszcząc się, pocałowała ją w kolaną. Wtém na wschodach dał się słyszeć znany im dobrze chód powolny hrabiego, a Juraś, który już i tak bawił za długo, pośpieszył pożegnać stryjenkę i siostrzyczkę. W progu spotkali się z hrabią, który zmierzył oczyma gościa, ale Juraś nie mówiąc słowa, ukłonem go tylko pożegnał i zniknął. Matka dała znak córce, aby odeszła i zostawiła ich samych.

Miedzy małżonkami, z których jedno całe życie ulegało, drugie panować przywykło, widocznie zbierało się na burzę. Cierpliwość hrabiny była wyczerpana, oburzenie jój dochodziło do najwyższego stopnia; była w położeniu tych istot zawojowanych, które jak słonie w niewoli dostają czasem straszego szału rozpacz.

Długo milczeli oboje, nareszcie hrabina powstała.

— Był tu szanowny synowczyk, zapewne z żalami, odezwał się hrabia. Cóż? buntował was przeciwko mnie, usiłując zrobić koalicję!

— Ani słowa nie mówił o tém, odpowiedziała Marya: ale ja sama z siebie mam ci coś do powiedzenia.

— Ty, moja pani? ty?

I hrabia spojrzał prawie pogardliwie na żonę.

— Tak, ja. Przywykłeś do tego, że się do niczego nie mieszam; ale tym razem i o mnie chodzi: mam prawo, mam obowiązek przemówić. Rajmundzie, poszedłeś drogą, którą nie chodziłeś nigdy w życiu. Honor twój jest moim: powinnam cię ostrzedz... Moją jest winą zapomnienie o testamencie; tyś winien, że z niego chcesz korzystać i cudzą własność zatrzymać...

Hrabia zatrząsł się cały.

— Co to jest—zawołał—cudzą własność honor! Wpani będziesz mnie uczyła prawideł honoru! pojęcia własności!

— Choćby ja, jeśli ty sam postrzedz się nie zechcesz, że cię cały świat palcami wytyka jak przywłaszczyciela.

— A co mi świat—krzyknął hrabia—i wy wszyscy! Ja wiem co czynię, ja widzę, z mocy czego to robię! Ten chłopiec nie chciał znać ojca i nie bierze po nim spadku. To co odbieram, jest spuścizną po naszych dziadach, moją własnością; to tylko wynagrodzenie za krzywdy, jakich doznałem od brata, które mi umierając chciał powrócić...

— Krzywdy? czemużeś się o nie nigdy nie upominał?

— Bom nie mógł i nie chciał czynić zgorszenia.

— A dziśsze ono mniejsze będzie? zawołała łamiąc ręce hrabina. Na Boga! mężu, myśl, rozważ: to tak pozostać nie może...

— Tak będzie. Wpani rola milczeć i słuchać, gdy ja co robię...

— Milczałam dotąd, ale dłużej nie mogę. Karę i niebłogosławieństwo boże ściągasz na nas: to cudza własność, to sieroce mienie!

— Jestem więc złodziejem?

— Jesteś przywłaszczycielem, jesteś takim nawet w swoim własnym sumieniu. Słuchaj, rzekła stanowczo: jedno z dwojga—albo powróć co mu należy, albo ja z tobą żyć nie będę.

Hrabia osłupiał. Nie mógł uwierzyć uszom, aby ta słaba istota zebrala się na wyraz niepojętego zachwalstwa, i rozśmiał się dziwnie, szydersko, wzgardliwie ruszając ramionami.

— Zabieram dziecię moje, rzekła hrabina: mam kąt własny, wyjadę i usunę się, bo tu pod tym dachem dłużej wytrwać nie potrafię, moją przytomnością uświęcając co się stało...

Hrabia pobladł i zatrzęsł się z gniewu.

— Wpani—rzekł—postąpisz jak zechcesz, ja zrobię jak postanowiłem. Nie bronię. Tak się zawsze kończy małżeństwo równie niedobre jak nasze.

— A! Boże mój! czyż na tę wymówkę zasłużyłam życiem całym—zawołała płacząc hrabina—życiem pokory i zaparcia, posłuszeństwem aż do wyrzeczenia się wszystkiego!.. Nie! wymawiać ci tego nie będę, jeśli sam nie czujesz... Słowo ci tego pojęcia dać nie mogę, gdy nie dało życie... Stało się! stało!

— Moja pani, rzekł hrabia zimno: ja nie zwykłem cofać, co raz postanowiłem...

— Jam także myślała głęboko nad tém, co mam uczynić, przerwała hrabina: czy dać dziecku przykład gorszący zwady i poróżnienia, czy gorszy przykład chciwości i zbogacenia się cudzym kosztem. Zostanę żoną twoją z daleka, wierną ci do śmierci, ale się rozstanemy, Rajmundzie: ja tego chleba jeść nie mogę.

— Masz wpani swoją wolę, odparł hrabia zimno klaniając się.

Hrabina raz jeszcze zbliżyła się do niego.

— Mężu, rzekła czulej: na dziecko, na Boga, na pamięć twoich ojców zaklinam cię! mógłżeś się tak obłąkać! To niepodobna! nie! ty masz poczciwe serce! Na co nam te skarby? na co bogactwa? Czyż Loli nie dość będzie i tego co mamy? czyż nam nie starczy na starość chleba? czy nie lepiej dźwigać ubóstwo poczciwe, niż ten spadek nieszczesny?

— Deklamacye! deklamacye! zawołał hrabia: kobiece romanse! Com rzekł raz, powtarzam: biorę moją własność i nikomu z niej nie winienem rachunku.

— Bogu! rzekła hrabina, odstępując: Bóg spyta cię o grosz sierocy; ludzie już potępili.

— Ja o ludzi nie dbam! zawołał hrabia dumnie; mam sumienie moje, to mi starczy.

Marya usiadła starając się uspokoić; Rajmund przeszedł parę razy po pokoju, i powolnym krokiem, nie już nie mówiąc, wysunął się za drzwi.

Po odejściu jego hrabina kłękła i modliła się długo. Wstała nieco uspokojona, i choć już było późno, kazała natychmiast wołać Żółtowskiego, który stał właśnie w ganku i stawił się niezwłocznie.

— Mój Żółtosiu—rzekła—nie gniewaj się na mnie, nie pytaj mnie o nic, nie potępiaj. Są okoliczności, dla których chcę, muszę na jakiś czas zamieszkać w domu dawniej rodziców moich. Ja i Lola wyjeżdżamy ztąd jutro.

Żółtowski nie wierzył uszom, cofnął się o krok, przerażony.

— Jak to, proszę jw. pani! a jw. hrabia?

— Hrabia pozostaje u siebie.

— To dla kąpieli? zapytał stary.

— Dla kąpieli... odparła Marya. Ale że się one

mogą przeciągnąć, każ mi tam co mam mojego poprzewozić... Mało tego jest: ja wszakże, niewiele potrzebuję, Lola także... Ale jest tam dom?

— Dom stary zajmuje ekonom.

— Może się wynieść na folwark?

— Najłatwiej, trzeba tylko mieszkanie przygotować, oczyścić.

— Nie! ja się tymczasem w jednej izdebce pomieszczę.

— Ale cóż to tak nagłego!

— Nie pytaj mnie.

Hrabina zamilkła.

— Proszę cię, spełnij czego żądam.

— A jw. hrabia?

— Oznajmisz mu o tém...

— Juściż nie jutro?

— Jutro, mój Zóltosiu. Dasz mi tam jakiekolwiek konie, jaki powóz stary, bylebym dojechała. Michał rzeczy przewozi.

Zdumiony rządcą popatrzał na nią smutny; nie śmiał badać, i skłoniwszy się, odszedł zamyślony.

Z kolei nadbiegła Lola, nie domyślając się niczego. Przeprowadziła ona oczyma Jurasia, pożegnała go raz jeszcze ze swego okienka, marzyła o spotkaniu z nim w lipowej alei, a matce krwawiło się serce, nie wiedząc jak jęć powie o rozstaniu się z domem, z ojcem, ze wszystkiém, co zwykła za swoje uważać.

Matka i córka milczały długo, aż hrabina wstała, podeszła i pocałowała ją w czoło.

— Moje dziecko — rzekła — czy wierzysz w to, że serce matki się nie myli?

— Al! gdzież się pytać o to, mateczko!

— Wierzysz, że jeśli czego chce, musi mieć silne do tego powody?

— Dla czegoż mama mnie tak próbuje?

— Bo może dziwnej, przykrój dla ciebie żądać będę rzeczy. Nie posądzisz mnie o dziwactwo?

— Mamciu! mów tak jak zwykłaś do swojego dziecka; ty znasz serce moje.

— Powiem więc, i tak lepiej, otwarcie... Ojciec twój jest w błędzie; szanuję go i kocham, ale chcę mu do-
wieść, że zabierając majątek Jerzego, myli się i przy-
właszcza go nieprawnie. Nie wątpię, że zastanowie-
nie zmieni jego zamiary; dziś on trwa w swoim prze-
konaniu, a w tém różnimy się tak wielce, że mu-
siałam...

Tu ze łzami pocałowała córkę w czoło.

— Musiałam mu powiedzieć ciężkie dla serca sło-
wo: „Rozdzielny się, rozstańmy!“ Wyjeżdżam na wieś
do siebie, a ty?

— A ja z tobą! zawołała Lola dość smutnie. Ale
mamciu droga, czy to co pomoże?

— Bóg wie, przynajmniej mu na myśl różnicę zdań
naszych przywodzić będzie; a może...

— Czyżby nie można, zostając tu, przekonać go?

— Zostając tu, ja przed światem zdawałabym się
być w zgodzie z hrabią; mówić nie mogę...

— Odjeżdżając, potępiasz go! szepnęła Lola. Ale
gdzie ty, tam i ja... Przecież wrócimy tu, prędko
wrócimy znowu?

— Mam nadzieję, że powrócimy, ty przynajmniej.
Zresztą Bóg rozporządzi nami; my robmy co sumie-
nie każe...

— A! jednak żał nam będzie Zarubińce opuścić dodała Lola: ja tak do nich przyrosłam!

Długięm milczeniem tylko odpowiedziała na to matka. W jej sercu tyle było niepewności, tak ciężka walka dwóch obowiązków, że sama zdać sobie sprawy nie umiała z tego, co czynić była powinna. Zdawało się jej chwilami, że zostać będzie lepiej, to znowu, że oddalić się jest powinnością; nie wiedziała co począć. Jednakże nazajutrz spędziwszy noc bezseną na płaczu, bez pożegnania z hrabią, który się zamknął w pracowni, opuściła Zarubińce. Ani żony, ani córki Rajmund nie przypuścił do siebie; kroku nie zrobił, by je wstrzymać.

Można sobie wyobrazić, jakim smacznym kąskiem dla kochanych sąsiadów były te wszystkie, szybko po sobie następujące wypadki, nareszcie wyjazd hrabiny z córką. Niestworzone też opowiadano rzeczy z takimi dodatkami, uzupełnieniami i komentarzami, że każde nowe wydanie téj historyi, wychodzące z innej oficyny, coraz było bogatsze w dramatyczne szczegóły; a choć między sobą wcale się wersye nie zgadzały, wszystkim przyznawano po trosze prawdy. Jerzy szczególnie zwracał oczy wszystkich. Hrabinę jedni potępiali, utrzymując, że żona zawsze i do ostatka łoz męża i przekonania dzielić powinna; drudzy ją uniewinniali, dodając, że daleko dawniej powinna była sobie postąpić w ten sposób.

We trzy czy cztery dni potem Jerzy dowiedział się także o wyjeździe, ale nie rozumiejąc dobrze co go spowodować mogło tak nagle, poleciał do hrabiny przestraszony, aby się bliżej o szczegóły wypytać.

Dawne rodziców Maryi mieszkanie, opuszczone od

śmierci ojca i jój zamążpójścia, ów stary dwór szlachecki, z którego teraz pośpiesznie wynoszono ekonomę, przyspasabiając go dla pani, wyglądał bardzo nie-pocześnie, bo późniejsi mieszkańcy popsuli go i zdarli ślady dawniej powagi i zamożności. Żyli w nim przybysze, zmieniający się co lat parę; każdy sam sobie coś klecił i odmieniał, a poszpecili bardzo. W dziedzińcu nagrodzono warzywnych grządek co niemiarą; w sadzie zapuszczono ścieżki, a porobiono zagony; w samym domu ledwie ślad był dawnego ładu i wygody, bo się mu dano zrujnować. Dach gontowy gdzie-niegdzie polatany był słomą, ściany ogołocone z tynków, okna pozabijane deskami. Po wygodzie pałacu, jakkolwiek opuszczonego, ale jeszcze pańskiego, dwór ten smutnie się wydał hrabinie; a choć powoli przewoził Żółtowski co tylko zdawało mu się pani potrzebném, trudno było na razie urządzić i choć znośną starą ruinę uczynić. Hrabina, dla której wspomnienie lat młodych, szczęśliwie w tém miejscu spędzonych, drogiém było, starała się napróžno dać mu fizyognomię, jaką pamiętała.

Nic prędzej nie zaciera się nad ślady człowieka: niszczą je czas i ludzie. Marya ledwie mogła poznać to, co w jój umyśle daleko wyraźniejszém pozostało, niż było w rzeczywistości. Bóg wie jak poginęły pamiątki, a miejsce nawet znałało, zdrobniało, zestarało. Lola usiłując odgadnąć życzenia matki, krzątała się jak mogła, zapytując co chwila: jak to gdzie było, gdzie to stało, jaki pokój na co był przeznaczony? Z tego co przeszłość przypomnieć mogło, bardzo już mało przeżyło, i nie pozwalało jój odtworzyć; hrabina chodziła szukając resztek i śladów, i płakała.

Wśród tych smętnych przygotowań do nowego zy-

cia, przyjeżdżał kilka razy Żółtowski, milczący jak zawsze i widocznie nierad postanowieniu pani, które potępiał. Hrabina niespokojnie dopytywała go o męża, ale dowiadywała się tylko, że Rajmund ani wspomina o niéj, nie pyta o nią, nie zagaduje, nie miesza się wcale do tego co ona czyni. Wiedział o wszystkim przez Malczaka, ale trwał w swoim uporze i milczeniu.

W kilka dni po tych przenosinach, Jerzy przybiegł do stryjenki z Robowa, gdzie dotąd przesiadywał, szukając sobie w sąsiedztwie dzierżawy wedle rady Loli. Nie domyślał się on istotnej przyczyny oddalenia bratyny, ale przeczuwał, że sprawa jego przyczynić się do tego musiała; ciekawy był bliżej się dowiedzieć. Wchodząc w dziedziniec, na którym mnóstwo dziewcząt i chłopców pracowało około oczyszczenia ścieżek, spotkał się na wstępie z Lolą, która jako czynna gospośia była przy robocie. Ujrawszy go, dziewczę podbiegło ku niemu żywo, klaskając w ręczki.

— A! wiesz braciszku, zem się nawet spodziewała ciebie u nas, i przeczułam, że dziś będziesz. Widzisz co się stało!

— Ale cóż się stało?

— Nie wiem doprawdy! Mama potrzebowała jakoś zmiany powietrza, czy starych wspomnień; doprawdy, nie rozumiem tego dobrze... dosyć, żeśmy się do tego dworku przenieśli.

— Jakże się ma stryjenka?

— Dosyć dobrze, żyje tu wspomnieniami czasów, które spędziła z rodzicami. Urządzamy się, i nie tak nam źle będzie, jak się zdawało. Z początku zdawało mi się, że bardzo do pałacu tęsknić będziemy obie, że nam tu wszystkiego zabraknie; ale widzę, że i tu

żyć można, jakoś może jeszcze swobodniej i ciszej. Ja mam dużo zajęć! to mnie bardzo bawi; robię na nowo dziedziniec i ogród, domyślając się, zgadując jak to tu dawniej być musiało... Nie sztukaby coś nowego stworzyć; ale ja chcę odgadnąć, jak niegdyś tu było, i czasem mi się doskonale udaje. Ale chodźmy do mamy.

Jerzy smutny jakoś pociągnął za Lolą w głąb domu, który stał jeszcze napół pustką, na pół urządzającym się dopiero mieszkaniem, jak wszystko co niedokończone przykrém, niepełném, niewygodném. Gdzieś tam poprzywożone meble, jeszcze nieporozwiązane, połamane trochę, gromadziły się kupkami; inne nie mając jeszcze oznaczonego miejsca, czekały w środku pokoiów, gdzie im stanąć każą.

Hrabina chodziła wśród tych sprzętów obezwładniona, zapłakana, smutna. Zobaczywszy Jerzego, z czułością macierzyńską podbiegła ku niemu i Loli, usiłując udąć wesołość.

— Widzi mama, jeszcześmy się nie pośpieszyły urządzić, a już mamy gości.

— El takich to my się nie boimy, odpowiedziała hrabina. Jak się masz Jerzy? cóż u ciebie słychać? co robisz?

— Nie ma jeszcze nic stanowczego do powiedzenia o sobie; ale cóż się stało wam? dla czego te przenosiny?

— Nic, najprostsza rzecz w świecie: zawsze mi mury jakoś w lecie szkodziły, przywykłam dawniej do drewnianego domu, więc na lato przeniosłam się tu z Lolą odpocząć.

— Ale będziez tu wygodnie?

— Wszędzie jest człowiekowi aż nadto wygodnie. Czyż to nam wiele potrzeba? Cóż ty porabiasz?

— Posłuchałem Loli, muszę się tém pochwalić, bo rzadko komu jestem posłuszny.

— Czyż i tobie dawała jakie rady?

— Za które jęj serdecznie jestem wdzięczen. Szukam sobie dzierżawy w sąsiedztwie, i mam ją już tak jak znalezionej. Trochę tylko chcą za drogo, a ja się obawiam.

Lola przerwała zaraz rozmowę, usiłując matkę rozzerwać.

— Wie mama? doszłam dziś śladów ścieżki, która szła do drewnianej kapliczki w ogrodzie; poznałam po trawach i po resztkach porzeczek, któremi była wysadzana. Z troskliwością starożytnika, śledzącego wał rzymski, szłam jęj śladami, i już nastąpiła restauracya, z której mama powinna być kontenta.

Hrabina pocałowała ją w czoło.

— Mój ty skarbie jedyny! jak dla ciebie wszystko jest weselem i zabawką!

— Al! doprawdy, nie dla mojej rozrywki, ale się to robi dla kochanej mamy... Jabym tak chciała, aby ci tu było dobrze!

— I tobie, mój anielku.

— Mnie z tobą wszędzie jak w raju; przytém tak tu swobodnie, tak cicho, tak jakoś inne powietrze i życie! Codzień nową piękność odkrywam.

— Dalekoż będzie twoja dzierżawa? spytała hrabina Jerzego.

— Dobra mila, godzina drogi.

— Al! to będziemy prawie sąsiadowali, rzekła Lo-

la wesoło; ale zawsze nie tak jak Zarubińce z Robowem.

— Ty dotąd siedzisz w Robowie?

Pytania, odpowiedzi, szły tak przerywanie, gdy oznajmiono przybycie Żółtowskiego, który teraz dzielił się na dwoje, i zawsze milcząc przejeżdżał to do Zarubiniec, to do swój kochanej pani.

Z oczu jego widać było jakąś pilną nowinę, którą miał zwiastować, i wszedłszy zaraz do drugiego pokoju, ostrożnie się dokoła obejrzał.

— Wie pani—szepnął po cichu—testament w sądzie obalony został i uznany za nieważny.

Hrabina z okrzykiem podniosła ręce do góry.

— Możeż to być?

— Najpewniéj; ale hrabia apeluje dalej.

— Czy się o to kto starał?

— Zdaje się, że nie było komu. Hrabia posądza tylko... Sąd uznał go za nieważny z powodu, że jest prawu wbrew przeciwny. Majątek kazano oddać we władanie synowi. Hrabia wysłał mnie sam do hr. Jerzego, z którym się chce widzieć, i nie znalazłszy w Robowie, przybyłem tu po niego.

— Jakże mu to powiesz?

Żółtowski niewiele wiedział jak począć sobie, ale mieli czas do narady, bo Jerzy poszedł z Lolą w dziedziniec i do ogrodu przypatrywać się wszystkiemu co zrobiła i co jeszcze zrobić miała, aby to nowe gniazdko upięknąć, a nadewszystko aby je do dawnego przywrócić stanu. Powracali do dworu, gdy Żółtowski naradziwszy się z hrabiną, wziął na bok Jerzego, i rzekł mu:

— Hrabia prosi, abys się pan z nim widział.

— Kiedy?

— Choćby dziś jeszcze.

— A no, więc jedziemy do Zarubiniec, choć mi się bardzo ztąd ruszać nie chce.

— Rzecz musi być pilna.

— Jedziemy.

I pożegnawszy zaraz hrabinę, której nic o tém nie wspomniał, oraz Lolę, która go mocno wstrzymywała, siadł z Żółtowskim natychmiast, udając się do Zarubiniec.

Tu zastali całe stado krucze: Burdę, Korokotowicza i parę jeszcze mniejszych urzędników, składających przyboczną radę hrabiego do spraw sądowych, których on wszakże odprawił zaraz, aby sam na sam rozmówić się z synowcem. Twarz jego zdradzała podrażnienie i niecierpliwość.

— Mości panie! rzekł zamykając drzwi z powagą, która go nie opuszczała: mówmy otwarcie.

— Ja inaczej nie mówię nigdy.

— Wpan udajesz bezinteresowność...

— Ja nigdy nic nie udaję.

— To są słowa: mamy dowody, że się robi inaczej. Intrygą zakłócasz mi spokój domowy, postawiłeś przeciw mnie żonę...

— Ja? ja?

— A któżby inny? Przecież po ostatniej naradzie z wpanem wyjechała z domu.

Jerzy osłupiał.

— Mówisz mi, dodał hrabia żywo: że nie żądasz nic, że wyrzekasz się wszystkiego, a pokątnie starasz się i wyrabiasz obalenie testamentu.

Krew gorąca oblała twarz Jerzego.

— Stryju, rzekł poważnie: jakiegokolwiek mogą być

pozory, ręczę ci słowem uczciwego człowieka, że to, co mi przypisujesz, jest fałszem, jest potwarzą, jest najniegodniejszém zmyśleniem... Ze stryjenką nie mówiłem nic, namawiać jej nie mogłem, o testamencie nie wiem.

— Dla czegoż sąd go obala? zapytał Herman sztydersko; któż się o to postarał?

— Sąd go obalał zawołał Jerzy: jak to być może? ja go przecie przyjąłem.

— Zaprzestań wpań udawania, mówmy: czego chcesz? co mam dać?

— Nic, rzekł Jerzy spokojnie; bo ja nic nie wezmę. Hrabia z niecierpliwości targnął suknię na sobie.

— Ja sam uznaję potrzebę, słuszność dania wpań jakiejś części. Człowiek naszego imienia nie może pójść walczyć między ludźmi.

— Walają się tylko ci, co się chcą zwalać, rzekł Jerzy; do imienia to nie ma nic. Powtarzam, że nie chcę nic i nic nie wezmę.

— A jeśli sąd przyzna wpań spadek? zapytał hrabia.

— Ja się go zrzeknę.

Jerzy wymówił to z takiem przekonaniem, z taką siłą, że hrabia nawet, jakkolwiek pełen podejrzliwości, zastanowił się i zdumiał.

— Uczyniłbyś to wpań istotnie?

— Uczynię.

Stali i mierzyli się oczyma. Hrabia był skłopotany, walczył z sobą: szlachetniejsze uczucie dobywało się z niego; miłość własna tłumiła je i odpychała.

— Odrazu nie zrozumieliśmy się i nie zrozumiemy, dodał Jerzy. Szanuję wolę ojca, której wyrazem jest testament: nic go odwołać nie może. Wiem to

doskonale, że obalić go łatwo, że prawnym nie jest; ale ja majątku tego nie chcę, i w żadnym razie nic z niego nie przyjmę.

Hrabia napróżno w oczach Jerzego szukał fałszu i znaleźć go nie mógł; stał zmieszany i niemal upokorzony.

Usprawiedliwiała w pewny sposób przywłaszczenie forma prawna zapisu; ale jak skoro ten okazał się nielegalnym, mógłże mieć jaki powód trzymania się przy swoim, grabienia cudzej własności i przyjęcia jakby daru od synowca? Domyślał się knowań pokątnych, ale ich dowieść nie mógł. Nie było co mówić dalej, ani się o co układać; potrzeba było pomyśleć co czynić, aby się nie zbrukać więcej.

Jerzy ze swojej strony w żadne układy wchodzić nie chciał.

— Wezwałem wpana—rzekł po namyśle hrabia—w przekonaniu, że sprawę tę załatwimy zgodnie; miałem i mam to przekonanie, że nie chcesz mi powiedzieć prawdy.

— O tém dopiero później zapewne będziesz się pan mógł przekonać, dodał Jerzy, biorąc za czapkę. Tymczasem żegnam.

I wyszedł powoli.

Sędzia Mejszagolski wcisnął się zaraz po jego odejściu, gdy hrabia stał jeszcze nie wiedząc co poczynić, prawie ze zgryzotą w sercu, że się w tę sprawę wplątał, z której wyjść nie wiedział jak i kędy.

— A cóż? spytał z ukłonem, zacierając ręce; a cóż?

— Wypiera się wszystkiego; nic nie chce.

— Chytrósć! odparł Mejszagolski: przecięż są śladziki; już dochodzimy, już jesteśmy na drodze.

— Więc sąd nie dla odarcia mnie, grozi obaleniem testamentu?

— To swoją drogą, a to swoją drogą; ale że tam ktoś chodzi koło tego interesu, to pewna. Są ślady, są poszlaki... dodał misternie. Prawie jawno, że stara się o to niejaki Szperka; nawet, o czém się teraz przekonywam, ma i daje pieniądze. Któżby, proszę jw. hrabiego, dawał pieniądze, jeśliby się ich z nadatkiem nie spodziewał odzyskać? Dla miłości ludzkiej to się nie robi. Obcy tegoby dla zabawy nie czynił... za co? po co? Jest nawet łacińskie przysłowie prawne: *Is fecit cui prodest*. A *cui*że tu *prodest*? spytał sędzia naiwnie—proszę rozważyć!

— Cóż to za jeden ten Szperka?

— Szperka, prawnik, bardzo zręczny choć niezna-ny człowiek. Kryje się, że koło tego chodzi; ale ja to wiem pewnie i najpewniej. Żeby zaś robił to komu na przekorę, lub sobie dla satysfakcyi, niewidziana rzecz!

— A dla odarcia mnie? spytał hrabia.

— Toby się przecię targował, wystąpił, dał do zrozumienia; a on się z tém tak ukrywa, że kiedym go zastał *insperate* u sekretarza z papierami na stole, o mało apopleksyi nie dostał, usiłując je co prędzej pochować. Ale sekretarz i ja, to jedno: zarazem spenetrował o co to chodziło! Szperka człowiek, który darino palcem nie kiwnie: któż go namówił? kto ugodził? kto mu dał na to pieniądze? pytam?

— I ja pytam, dodał hrabia: a nie znajduję niko-go prócz tego chytrego chłopca, który mi tu w oczy się wypiera, wyklina, a pocichu intryguje. Ale jeśli tak! rzekł Rajmund: nie wie, że i ja chodzić potrafię, i ja

nie ustąpię... pójdziemy do izby cywilnej, do senatu, do ogólnego zebrania... nie zrzeknę się...

— Już to, rzekł sędzia pokornie: jakkolwiek uznaję, że jw. hrabia ma słuszość w gruncie wszedłszy w rzecz... ale prawdą a Bogiem, z tym testamentem utrzymać się będzie trudno, bardzo trudno. Gdyby się nikt nie starał i nie protestował, no! to jeszcze; ale za najmniejszym staraniem krucha ta lepianka się obali.

Hrabia stał zamyślony.

— Co tu począć?

— Jeden i jedyny środek, rzekł sędzia po cichu: naturalnie, kiedy się broni tego, co w przekonaniu naszym jest *bene et valide* nam przynależne, to wszystkie środki dobre. Szperkę tego ja znam: człek ubogi, chciwy, dzieci kupa, żona krzykliwa; możnaby do niego trafić i przekonać go w ten sposób (tu pokazał na dłoń sędzia jak się liczą pieniądze), aby nam nie psuł interesu.

— A! to robota pokątna! to przekupstwo i zdrada! zawołał hrabia.

Sędzia Mejszagolski zaczerwienił się, a potem rozśmiał, bo już musiał choć śmiechem nadrobić.

— W prawie—rzekł—proszę jw. hrabiego, to tak jak w bójce na pięści: chodzi o to tylko, aby być na wierzchu i nieprzyjaciela zmódr, a czy wśród roboty kto komu nogę podstawia, czy sypnie piaskiem w oczy, mniejsza o to, byle rzucić przeciwnika na ziemię.

Hrabia cofnął się z niejakim wstrętem od człowieka taką wyznającego teoryę, i ostygl.

— Bądź co bądź—rzekł—ja środków tego rodzaju

użyć nie mogę i nie chcę. Stanie się co ma być: broń się będę do ostatka, ale na prawej drodze.

— Ale i ja—przerwał sędzia, którego to tknęło—i ja jestem tego zdania, żeby iść prosto i jak najprawięj; cóż, kiedy tu podstęp widoczny? jakże go odeprzeć? minę chyba kontrminą. Czemuż oni nie występują przeciwko nam wyraźnie?

— Nie jest to racya, abyśmy środków, które naganiamy, używali: ja tego nie chcę.

— Prawdziwie jw. hrabia uwielbieniem mię przejmuję! łamiąc ręce rzekł sędzia. Takich charakterów antycznych—dodał podnosząc oczy do góry—nie ma już na świecie. Chlebabyśmy nie jedli, gdyby człowiek stał tak marmurowo przeciw szelmowstwu ludzkiemu, które nas otacza. A! zepsucie, jw. hrabio, nie do uwierzenia zepsucie i demoralizacya!

I ten, co przed chwilą doradzał najohydniejsze środki, z głębi przejętego serca wzdychał teraz nad zepsuciem wieku, obwiniając je o własny występpek. Nie dziejeż się to tak codzień i wszędzie?

— Prawość! prawość! ja sam mówię, dorzucił sędzia: nie ma jak prawość! ale z tym światem i z tymi ludźmi... a! jak trudno! Człowiek szlachetny, nie mówię tego do siebie, zawsze najnieszczęśliwszy.

Westchnął głęboko.

Hrabia zrozumiał to dobrze; wiedział on już, że gdy rozmowa na ten się przedmiot staczała, zawsze się datkiem i ofiarą na otarcie tych łez prawości kończyć musiała. Schwycił więc kopertę ku temu przygotowaną, i wcisnąwszy ją w rękę serdecznego przyjaciela, który z roztargnienia dłoń wcześniej trzymał z ręcznie wyciągniętą i otwartą, pożegnał gorliwego doradcę.

Czuła półkownikowa Amelia dożyła nareszcie dnia wesela, oczekiwanego z biciem serca, a mającego jęj szczęście całego życia zapewnić... Niecierpliwość jęj rosła z dniem każdym, lecz indult nie nadchodził. Maks przeciwnie, w miarę jak się zbliżał do *uwieńczenia swych ogniów* (?), bardzo jakoś głowę zwiesił i osmutniał. Codzienne oglądanie powabów przyszłej żony, głośno i wczesnie czynione jęj projekta, powlekły czoło jego chmurą jakiejś niewytłómaczonej melancholii... Szczęście własne zdawało się go zatrwazać. Oboje przyszli małżonkowie smutni byli, ale ona smętkiem dziewiczych nadziei, on niepokojem przyszłości.

Przypuszczony do wszystkich tajemnic toaletowych i arkanów dezabilu, Maks mocno się zamyślał, rachując, czy reszty wdzięków, choć dobrze i umiejętnie zakonserwowanych, potrafią na wodzy utrzymać burzliwe serce jego.

Ale kość była rzucona, indult nadszedł... Półkownikowa melancholicznie robiła przygotowania do ślubu. Maks zabierał się do wyrzeczenia się przy ołtarzu swych artystycznych nadziei. Oboje zgadzali się na to, że chlubić się szczęściem i ludziom nięm robić oskomegę wcale było nieprzyzwoicie, że wypadało ślub w małeńkim kółku przyjaciół serdecznych ograniczyć. Amelia więc prosiła tylko Anetę z matką, starą jakąś kuzynkę, opuszczając nawet brabinę, która nie była bardzo zdrowa i dosyć daleko. Maks wezwał Ottona i Jerzego. Miano pojechać do kościoła około południa, powrócić na obiad do domu, spędzić wieczór na pogadance, potęm rozjechać się, zostawując młodą parę w najpożądanśm osamotnieniu.

Tak się też stało zgodnie z programem.

Jerzy był w żałobie, ale nie wątpiono, aby bądź co bądź, asystował Maksowi; Otto także nie mógł naleganiom się oprzeć, choć Maksa nie bardzo lubił, a półkownikową znał dawno i zbyt dobrze. Aneta z matką i ojcem, na którego nikt nie zwykł był uważać, bo jedynym jego obowiązkiem było nosić szale i mantylki, wołać o konie, kazać zaprzęgać i bawić cudze dzieci, jeśliby nadto krzyczały — przyjechali paradnie, strojno i świetnie. Wiedziała ona, że znajdzie tu Jerzego, ale zaszłe wypadki znacznie ją ku niemu ostudziły. Jerzy też tak był teraz siostrą zajęty, że o Anecie zapomniał.

Wielkiego namysłu i narady z matką przedmiotem było, jeszcze w domu, potem w drodze: jak Aneta miała znajdować się względem hrabiego? Matka i ojciec wiedzieli, że z razu go sobie życzyła, ale wówczas na postanowienie jej wpływały nieznacznie dobra, które posiadał, i miliony, dziedzictwo dziś całkiem postradane. Aneta nawet nie tała teraz, że to, co się jej w pierwszej chwili wydało oryginalném i piękném, trochę było przesadzone i niebardzo dobrego tonu. Kilka razy dała się z tém słyszeć przed matką, naturalnie potakującą... Ojciec machnął ręką tak zręcznie, że nie można było odgadnąć, czy protestował, czy się dziwił... choć uwielbienie jego dla dziecka, oppozycji przypuszczać nie dozwalało.

— Może się mama dziwi, mówiła Aneta: że ja dziś trochę go inaczej sędzę, gdy zubożał; ale ja mam przyczyny ważne! Człowiek takiego charakteru jak on, będąc bogatym, ma wiele środków do ukształcenia się, uspołecznienia, pozbycia szorstkości charakteru. Stosunki, pieniądze same, są to sposoby zniechęcenia;

tymczasem zostając ubogim, to wcale co innego: zdziższe do reszty...

— To jest rozum! zawołał ojciec: cóż to to? To Metternichowski rozum!! Ktoby to i pomyślał co ona?

— Prawdziwie, gdyby ludzie ją znali, powinni by ją stawić ołtarze! zawołała matka.

I oboje popatrzeni na siebie, a ojciec korzystając z kataru, który go zmuszał do użycia chustki, otarł zarazem łzę rozczulenia. Matka na sucho westchnęła tylko, wznosząc oczy ku niebu, gdyż jej na łzy nie tak się łatwo zbierało.

Aneta obszerniej potem i łatwiej do pojęcia raczyła im wyłożyć swoją ideę, i sama znalazła, że potrzeba było nieco chłodniej, ostrożniej, znajdować się względem hrabiego.

— Przyznaję—rzekła—że na mnie dość wielkie zrobił był wrażenie w pierwszej chwili. Skorzystał z tego, zbliżył się; jestem pewna, że to pamięta, że zechce iść dalej; ale ja muszę teraz być ostrożniejszą. Z takimi ludźmi potrzeba się trzymać na wodzy.

Ojciec i matka schylili głowy i pojechali do półkownikowej, przekonani, że Aneta dopełni powinności i odpowie wysokiemu powołaniu swojemu.

Jerzy nie bez jakiegoś wzruszenia zobaczył Anetę; ale dziwnym skutkiem, po świeżem Loli wspomnieniu, po uczuciu, które ona rozbudziła w jego sercu, takim jakimś czystym, świeżym, niebiańskim, ta piękność majestatyczna, dowcipna, szyderska, śmiała, prawie mu się wydała śmieszna... Na nieszczęście na wszystkich prawie Aneta też samo robiła wrażenie: z razu uniesienie niezmierne, potem zdziwienie tylko, nareszcie rozczarowanie i znużenie.

Teraz znalazł ją inną niż nosił we wspomnieniach; ale chwila żywszej rozmowy mogła ich nastroić znówu na ton, w którym zrozumieć się i sympatyzować mogli.

Jerzy przystąpił do niej ze śmiałością dawnego znajomego, który dobrze ostatnią pamiętał rozmowę. Aneta lekko skinęła mu główką, a chłopak ostudzony natychmiast, zaraz się na bok usunął.

To znówu nie zgadzało się z rachunkami Anety, która dobrze liczyć umiejąc, różne jeszcze wypadki i możebne zmiany fortuny przewidywała w oddaleniu. Poznała zaraz, że z Jerzym inaczej postępować sobie potrzeba, i że z nim do końca trafić może być niełatwo.

Tymczasem wszyscy ruszyli do kościoła, gdzie półkownikowej trochę się źle zrobiło, nie wiadomo z jakich powodów. Maks miał minę tryumfatora, dość już sobie lekceważącego zwycięstwo.

Amelia, gdy wysiadła z powozu, w którym z mężem powracała, oczy miała czerwone trochę, on usta zagryzione, ale niepodobna przypuszczać znówu, aby zaraz w pierwszej godzinie jakieś nieporozumienie zajść mogło. To pewna, że jako gospodarz na dobre się zaraz rozporządzać Maks zaczął w domu, i niezmiernie mało do czynienia żonie zostawił, oszczędzając jej słabemu zdrowiu pracy i kłopotu. Tę staranność posunął nawet do tego stopnia, że niektóre dyspozycje żony poodmieniał, zapewne w widokach zrobienia jej przyjemnej niespodzianki w dzień ślubu.

Zresztą pyszny był Maks dnia tego tylko z uczucia obowiązku. Z typu artysty znanego nam z karykatur francuzkich, na który z razu nadto się był wymodelował, zszedł zaraz na inny typ obywatela i pół-

panka, mając nadzieję z czasem zostać prototypem w tym rodzaju. Włosy nawet poświęcił w części nowemu stanowi, który obierał, a wąsy za to przedłużył; i biedna półkownikowa zaślubiwszy genialnego artystę, z zadziwieniem znalazła się połączoną z dość prozaicznym szlachcicem, który sztukę lekceważył, wspominać o niej nie chciał, a mówił jój ciągle o koniach, wyborach, obowiązkach urzędnika i t. p. Metamorfozy tego rodzaju nie są zapewne nowością; lecz szybkość, z jaką się ta dokonała w kilku tygodniach przedślubnych, czyniła ją wielce zastanawiającą.

Przy obiedzie jakimś przypadkiem, który na zręczną rachubę wyglądał, Aneta znalazła się przy Jerzym; ale Juraś był ostygly i zamyślony. Nie chcąc go zupełnie zrażać, zaczęła z nim powolną rozmowę, trzymając ją w chłodniejszej sferze ogólników.

Ale rozmowa taka doskonała być mogła z wyłamanym człowiekiem, przywykłym do świata, do jego półsłówek, do nastrajania się na pewny ton potrzebny, zmieniania głosu i postawy, a nawet myśli jak wypadła; z Jurasiem, na którym step i zdziczenie znać jeszcze było, który zawsze był sobą, nie umiając udawać, grała jakoś nie szła raźnie. Zbijał on nieraz z siodła najwprawniejszych szermierzy jedném zapytaniem, wprost, otwarcie i szczerze zmierzającym do celu i łamiącym rusztowania, które tak zgrabnie budują ci, co nie lepszego do czynienia nie mają. Z nim potrzeba było albo być otwartym, lub dobrze przynajmniej szczerze udawać.

Aneta sama nie wiedziała dobrze jak to zrobić, żeby się i swój przeszłości nie zaprzeczyć, i téj rozmowie pierwszej, w której za daleko była zaszła, nie skłamać, i chłopca nie zrażać. Zbyt była pewna, że go pochwyci

ci gdy zechce, gniewał ją chłód; na jaki trafiła. Nie domyślała się, że wspomnienie Loli szkodziło jój w sercu Jerzego.

Obojętność jego już ją gniewać zaczynała; musiała mu pokazać znowu i ten warkocz tak bujny, że piękną jój główkę przechylał, i białą wytoczoną rączkę, i trochę ramion marmurowych, które kaskadą śnieżną cudnie spływały w bogate fałdy sukienki. Aneta wiedziała, że i te środki skutkują, że dla wielu ramiona i postawa tyle mówią co oczy i usta, bo wszystko jest symboliczne w kobiecie.

Jerzy znalazł ją też cudownie piękną, a strojne weselne ubranie czyniło z niej istotnie zachwycający obrazek. Miała suknię czarną z materyi ciężkiej, z koronkami, przystrojoną w koralowe gałęzie; takiż wieniec na głowie, i bransolety na rękach, a białe jój ramiona wśród tego czarnego tła i ponsowych ozdób, ślicznie odbijały, rumieniąc się chwilami jakby przypływającą falą życia, która pod atłasowem przezroczem skóry płynęła gorącym strumieniem... Dla czego istoty, w których najmniej jest płomienia i uczucia, często się nam tak ognistemi i namiętnemi wydają, trudna to do rozwiązania zagadka. Może to życie, które z nich tryska całe na zewnątrz, wyczerpuje się tém właśnie; może iskra tlejąca żywo, potrzebuje istotnie szarego popiołu, któryby ją okrywał, ażeby nie zagasła. Któż to wie? kto to powie? Dość, że Aneta miała chwilami postać muzy natchnionej, chwilami rozognionej szaleń bachantki, a w piersi jój, a w głowce były tylko falami ostygłemi próżność i zimne rachuby.

Powoli jednak, z razu chłodna, ożywiać się zaczęła rozmowa. Jerzy uczuł się pociągniętym ku temu zja-

wisku, które go nęciło samą swą niespodzianą obojętnością.

— Powiedzże mi pan, jeśli o to spytać wolno, odezwiała się w końcu Aneta: jakie są jego na przyszłość projekta?

— Będę na wsi gospodarzył.

— A! to nie zabawne! zawołała śmiejąc się; z tymi chłopami, z tą rolą, a w dodatku kłóć się jeszcze z chmurami, z wiatrami, z deszczem, jak czasem papapa w czasie żniwa stoi w oknie i fadze pięść pokazuje...

— Ja mam więcej cierpliwości.

— I ręczę, że pan marzysz sielankę?

— Nie. Tak blisko dotknąłem się rzeczywistości, że nie zdołam pisać eklog, a Wirgiliuszowskie bardzo mi się zawsze wydawały nudne... pastusi Sabiny inaczej bawić się musieli...

— Jednak to coś będzie naksztalt sielanki...

— Nie! konie, myśliwstwo, życie napół rycerskie, napół rolnicze, jak za dawnych czasów.

— Ale to coś dzikiego.

— I ja jestem trochę dziki. Myślę nawet, że trochę dzikości by nam nie zawadziło.

Aneta popatrziała nań ciekawie.

— Wszakże cywilizacja zależy na tém, aby tę pierwotną szorstkość zetrzeć z siebie?

— Szorstkość zewnętrzna to nic, ale wewnętrzna siła pozostać i wzrosnąć powinna. Zaczyna się od pierwszej, a potem i drugiej się wyrzeka.

— Pan masz bardzo dziwne pojęcia! rzekła Aneta.

— Tak mnie Bóg stworzył.

— Mówiono nam, żeś pan odrzucił co mu stryj ofiarował, nawet znaczną bardzo majątność?

Jerzy się uśmiechnął.

— Odrzuciłem, bo mi się to nie należało, a dary się przyjmują chyba wówczas, gdy pochodzą od tych, których się kocha, lub gdy człowiek ręk nie ma i żebrakiem siedzi nad drogą.

— Ale to była prosta tylko restytucya, odparła Aneta.

— Nie rozumiem tego; nic mi nie należało... nie mówmy o tem... Spadek po ojcu został rozporządzony, za cóż miałem brać nagrodę?

— I mówią jeszcze, żeś pan mógł nawet wszystko odzyskać?

— Mogłbym, ale... nie chcę.

Aneta popatrzała nań z góry zdziwiona.

— Czy pan i z kobietą tak byłbyś dumny jak z majątkiem? spytała.

— Gdybym kochał, rzekł Jerzy, wierzyłbym, że miłość się nie kupuje ani wywalcza: przychodzi, narzuca się, jest konieczną lub istnieć nie może. Starać się o nią, to procesować się o majątek.

— Lecz przypuść pan gwałtowną namiętność?

— Żadnaby mię nie zmusiła do poświęcenia kobiety dla siebie, do ujmowania jej pochlebstwem, do przekupstwa.

— Cóż to za dziwne teorye! A cóżbyś pan robił, gdybyś kochał?

— Nic... tylkobym kochał z całej duszy.

— Choćby nie kochany?

— Zawsze.

— Bez nadziei?

— Na wieki.

— Myślisz pan, że miłość może być wieczną?

— Jeśli jest miłością. Jeśli zaś jest fantazją, zabawką, namigtnością tylko, to co innego.

— A! a! miłość pańska jest książkowa i idealna.

— Wcale nie, jest taką, jakiej pojęcie przynosimy na świat z sobą, a psujemy je potem, obcinając aż się nam na starość suchy z niej szkielet zostanie.

Spojrzenie Jerzego zelektryzowało Anetę. Zimna istota poczuła jakieś wzruszenie, jakieś pragnienie zbliżenia się do tego człowieka, który tak śmiało mówił co myślał, a obiecywał tak wiele.

Że często przychodzimy z rachubą chłodną tam, gdzie nas potem chwyta gorące uczucie, że wpadamy w zastawione przez nas samych sidła... któż tego nie wie? Ileż to razy człowiek upada, gdzie myślał tryumfować! Tak prawie stało się z Anetą, której warokcz nie związał serca Jurasia, ręka nie pochwyciła serca, ramiona nie uwięziły wejrzeń namiętnych, a dość było jednego spojrzenia młodego chłopaka i kilku słów śmiałych, by dziewczę to zimne, rachujące na zwycięstwo, uczuło się niespokojném i zachwianém. Spuściła głowę powoli, zadumała się.

— A! rzekła ciszej: gdyby to taka miłość była na świecie!

— Ktoś tam powiedział i słusznie—dodał Jerzy,— że nie ma poczwary wymarzonej najbujniejszą fantazją człowieka, którejby prototypu, poszukawszy, nie znalazło się w naturze. Jeśli tak jest ze stworzeniami, czemuż nie z uczuciami raczej? Człowiek nie może wymarzyć niepodobieństwa: natura kładzie mu granice i nie puszcza po za nie...

— Więc taka miłość byłaby możliwą?

— Niewiele o tém myślałem, rzekł Jerzy—i nie kochałem nigdy. Gdybym się zebrał na miłość, ko-

chałbym raz, na wieki; tak mi się przynajmniej zdaje. Czytałem coś o tém, i myślę sobie, że wielkim trafem czasami spotykają się dwie dusze, co dla siebie stworzone były tak, że jedna do życia drugiej jest potrzebna; a gdy się znajdują i dusze, i serca, i umysły tak sympatyczne, wówczas raz zbliżone oderwać się od siebie nie mogą: następuje Abelardowska miłość... Ale na ten *wypadek*, ileż prób nieszczęśliwych, ile miłości nie anielskich, czysto ludzkich, zwierzęcych, śmiesznych lub tylko granych na zimno i bez poklasku!

— Mówisz pan, że niewiele o tém myślałeś; ja znajduję przeciwnie... Nie sądzisz, iż jest potrzebą duszy miłość? że kochać potrzeba choćby się omylić?

— Wiem, że rwie się serce ku uczuciu temu... ale to tak jak dziecko do gwiazdy, jak bezsilny chciałby wzlecieć, jak niemy przemówić pragnie... ale umieramy z zaschłemi od żądry ustami, choć często przepojeni tém, co nie gasi pragnienia...

I szła tak rozmowa, a po niej stało się coś dziwnego z Anetą. Zmieniła się, straciła śmiałość, łaż jakas błąkała się po jej oku; osłoniła ramiona, zapomniała o warkoczu, pobiegła do matki szepcząc jej, aby Jerzego zaprosiła do siebie, — ojcu, aby się z nim bliżej zapoznał.

— Ale sama uważałaś, moje dziecko, rzekła powolna matka: że może nie byłoby dobrze nazbyt go ośmielać.

— Dziś go lepiej poznałam...

— A! już jeśli ona go lepiej poznała, podchwycił ojciec składając ręce jak do modlitwy: to nie ma co

mówić, moja duszko. Ja lecę go zaraz jakoś ująć! Ale jakby go ująć?

Matka spojrzała na córkę i instynktowo jakoś się przeległa.

— Jaka ty jesteś zmieniona! Co ci to jest?

— Moje? nie! Ale cóż mama uważa we mnie?

— Ale ona śliczniutka! niezmieniona! tylko taka zaanimowana! przerwał ojciec żywo. Anastazy trąciła go łokciem i umilkł zaraz, spoglądając po sali.

— Czy mam do niego pójść? zapytał.

— Niech ojciec idzie.

Ojciec natychmiast zatoczył się posłuszny, złożył mantylkę, którą trzymał, na krzesło, i poszedł z ukosa kołując do Jerzego. Stał, złożył ręce w tył, co uwydatniło jego okrągłuchny brzusek, i uśmiechając się, rzekł po namyśle:

— Hm? czemu to pan nas nie odwiedzisz?

— Ja? rzekł Jerzy: bardzo panu wdzięczny, ale dotąd nie miałem czasu.

— Otoż to jest, i ja nigdy nie mam czasu; to prawda. Bo któż, proszę pana, ma czas? Ale odwiedź nas pan jednak: moja żona bardzo sobie tego życzy, a i Aneta nasza także.

— Bardzo mi będzie przyjemnie.

— Gdzież pan teraz mieszka?

— Przebywam w Robowie.

— Tak, u Ottona Marzyckiego, pół mili, nie daleko. Droga na karczemkę, pan wie? gdzie kiepski mostek; ale ja go każę naprawić.

Potem chrząknął i zamilkł, myśląc, czy tego już dosyć? ale jemu się zdawało, że jeszcze nie dosyć.

— Bardzo nam będzie przyjemnie—dodał. Żyjemy ustronnie, gości tak miłych jak wpań dobrodziej mie-

wamy mało: będziesz nam wielce pożądanym... Pan gra w warcaby? zapytał niespodzianie. —

— Nie! odparł zdziwiony Jerzy, nie.

— A! to ja pana nauczę: gra mądra i zabawna.

Na tém się już skończyło. Rozmowa i zaproszenie nie były zbyt zachęcające; ale wnet zbliżyła się i mama z uśmiechem, a Juraś zdziwiony tą grzecznością, której pierwsze z nimi spotkanie nie obiecywało, musiał z nią teraz odbyć tę samą zaproszenia ceremonię.

— Ale pan nas odwiedzi! ale pan musi być u nas! tak mało miewamy osób!

Ledwie się z niemi rozstał Jerzy, gdy Otto wziął go na bok.

— Słuchaj-no! — rzekł — ci ludzie widocznie cię łapią: czy się im dasz złapać?

— Złapać? nie.

— Panna piękna i posazna, ale koziełek.

— No, nie obawiaj się o mnie, odparł Jerzy. Wdzięchen ci jestem za przestrożę, ale nie sędzę, by serce złapać się dało.

— Owszem, rzekł Otto: za serce się chwyta. Trzeba je dobrze znać, by wiedzieć co jego bicie znaczy: miej się na baczności.

— Najpiękniejsza partya — dodał wciskając się Maks, który już wcieliwszy się w obywatelstwo, wiedział, co która panna reprezentowała — najpiękniejsza partya w powiecie, a w dodatku ojciec i matka najniżsi słudzy i gotowi oficjaliści.

— No, ale i gotowi córki sprzymierzeńcy, na wypadek wojny, dodał śmiejąc się Otto. Siła złego, trzech na jednego.

Gdy się to dzieje, roztkliwiona półkownikowa, któ-

rój artysta z rąk się wymknął, zmieniając się w prozaicznego obywatela, chciała w tym dniu uroczystym widzieć go jeszcze takim, jakim oglądała raz pierwszy objawiającego się sercu. Musiał uleść ogólnym naleganiom mąż młody i zagrał. Jerzy towarzyszył mu po dawnemu, i rozśmiali się, serdecznie przypominając dawne swoje koncerty po miasteczkach, przecierpianą biedę, niedostatek, wesołe chwile nieopatrzego młodzieńczego życia, które się już dla nich obu kończyło: temu troską surowszą, drugiemu dostatkami okupionym stratą włosów, artystycznój przyszłości i potrzeby odegrywania komedyi.

W czasie muzyki Aneta usiadła w kątku, jakby nie swoją, i wpatrzyła się w piękną twarz Jerzego, tak zawsze spokojną, tak pogodną, jakby żadna burza zewnętrzna téj złotój tafli zmarszczyć nie mogła. I wydał się jój pięknym jak Antinous; a co lepsza, pod tą twarzą czuła serce, na którym bezpiecznie złożyć było można głowę i spocząć przez życie; czuła w niém prawdę, której wartość teraz dopiero jakiś jój instynkt wskazywał. Zawstydzila się niemal siebie i odegrywanój z nim komedyi.

— O mój Boże! jakże ja mu się wydać musiałam! jak on mnie osądził! on co tak kocha szczerotę, prawdość, prostotę!.

I przyłożyła rękę do serca, które żywo biło pierwszy raz w życiu.

— Miałabym go kochać? spytała siebie, — ja? com dotąd była panią mojego uczucia, com chciała być panią mojego losu? Cóż to jest? ta obawa, ten niepokój, ten smutek duszący pierś, i łzy, co mi się kręcą na powiekach? Miałabym ja kochać i być uka-

raną?... A jeśli on mnie kochać nie zechce? a jeśli odepchnie? a jeśli?... Ale nie! nie!...

Zdziwiła się i przeraziła zmianą, którą w niej jedna chwila, jak iskrą elektryczną przeszywając, zrobiła; powiodła ręką po czole, wstrząsła się i osmutniała, przysiadła w ciemnym kątku, co nie uszło baczności ludzi.

— He! he! rzekł Maks do Ottona: rodzice koło niego tańczują, to nic; ale panna, uważasz, jak zwarzona. Serduszko zakolatało! dalipan! a to będzie śmieszne, doprawdy!

Jerzy, szczęściem, nie widział tego wszystkiego: wspominał niedawne dzieje, uśmiechał się do Maksa, który podwójnem zwycięstwem ozdobiwszy skronie jako mąż i wirtuoz, chodził z miną solenizanta.

— Ktoby to nam był przed kilku miesiącami wyprorokował, rzekł Jerzy: że ty się ożenisz, a ja pójdę na zagon rolę orać.

— A dobre to były te złote czasy nasze! zawołał Maks wdychając.

— Nie wrócą już, nie wrócą! dodał Jerzy.

— Miej się i ty na baczności, żeby ciebie także nie ożenili, rzekł po cichu nowożeniec. Okrutnie podejrzywam Anetę, że ci już stryczek rzuciła na szyję: tylko ścisnąć.

Jerzy się uśmiechał.

— A ty, spytał Maks dalej: jak się czujesz? podobala ci się?

— Nie wiem sam... jeszcze siebie nie spytał,— i przyznaje ci się tylko, że tak pociągającej kobiety w życiu nie spotkał.

Maks rzucił ręką.

— No! toś już przepadł! rzekł odchodząc.

Jerzy się zamyslił. Aneta widząc go samym, błdziła po salonie tak zręcznie, że się nareszcie zbliżyła ku niemu. Ale jakże odmienna! Nie myślała o warkoczu, o rączce, o nóżce i ramionach; myślała o nim tylko, chciała się poprawić, chciała nie ciałem, ale duszą podnieść się do ideału. Ta nagle rozplamieniona miłość dźwigała ją wysoko, a na czole jaśniała jak płomień geniuszu. Teraz w istocie była majestatycznie piękna, a uczucie tryskające z niej, tak ją przeistaczało, że Jerzy był uderzony na nowo pięknoscią Anety, jakby ją ujrzał raz pierwszy.

— Nie znajdujesz pan jak ja, rzekła do niego: że wesele każde jest czegoś smutne? Nie prawdaż, że z tym dniem uroczystym przysięgi, należałoby się ukryć od oczu i obchodzić go postem i modlitwą?

— I ja nie widzę w tém nic wesołego, nic nadewszystko miłego dla nowożeńców w popisywaniu się szczęściem, które w téj chwili tak jest jeszcze niepewne.

— Przysięgał na wieki! do grobu! a! to straszna rzecz dla tych, co zimno ją sobie składają z rachuby, odezwiała się Aneta.

— Miałabyś pani posądzać kogo?

— Ja? zawołała Aneta: ale nie! Amelia kocha jak ośmnastoletnia dziewczeczka, on jak dwudziestoletni artysta, który nie miał rodziny i dachu.

Przeszli parę razy po pokoju z sobą, i Aneta spytała go znowu, ale innym głosem i ze wzruszeniem widoczném:

— Wszak nas pan odwiedzisz? Śmiej się pan ze mnie, jeśli chcesz, ale dwa razy go tylko widząc,

czuję się jakby starą znajomą, której potrzebą stał się widok tej twarzy i dźwięk tego głosu. Może za- nadto mówię, ale chcę być szczerą.

— O, dziękuję pani, zawołał Jerzy: taką tylko pojmuję kobietę, szczerą, prostą, mówiącą co myśli, i właśnie dla tego, że mi to pani mówisz, ja pewnie więcej w tém nie będę szukał, nad to, co znaczy słowo; a dowód jej dobroci i współczucia dla sieroty głęboko mnie porusza...

— Przyjeżdż pan! przyjeżdż! dodała cichszym głosem.

Ale wtém papa nadszedł oznajmując, że konie czekają, i niosąc mantylki, które ze szczególną gracyą umiał, udrapowane na lewą rękę, z miejsca na miejsce przenosić.

— Kochana Anetko—rzekł—jedziemy. A pana do- brodzieja czekać będziemy i wyglądać w Koniuszynie.

— Dziękuję państwu za ich dobroć...

Otto brał także za kapelusz, ale Maks wstrzymał go z gorączkowym niepokojem.

— Chwilkę tylko: musicie ze mną wypić kielich rozstania z kawalerskiém życiem, którego wrota już się niepowrotnie zamknęły za mną. Czuję, jakby Orfeusz wstępujący do... do tego co się dziś nie mówi... okrutny trzask ich zamka i pisk niesmarowanych wrzeciądów.

Pani póikownikowa tak była szczęśliwa, że się chętnie zgodziła na jeden jeszcze kielich, choć Maks już kilka zbytecznych miał na sumieniu. Przyniesiono puhar dorodny, napełniono, i odjeżdżający musieli wychylić z kolei. Ale toast ten oficjalnie zwał się życzeniem szczęścia dla małżonków, nie zaś owym pożegnalnym Maksa wiwatem. I pito go przyklękając, a Amelia się rozplakała, rzucając się na szyję Maksowi,

który za tę pieszczotę, ledwie się zdawkową monetą pocałunku, na czołe złożonego, wypłacił.

Noc już była, gdy Otto z Jerzym odjechał z przedganbku dworu pólkownikowej, a dzisiejszej pani Maksowej Fermerowej, i zadumani obaj ruszyli do Robowa. Długo bardzo milczeli; wreszcie Otto przerwał zamyślenie, biorąc rękę towarzysza i wstrząsając nią silnie.

— Słuchaj, mój młody przyjacielu—rzekł. Znamy się dosyć dawno; jużem miał nawet czas pokochać ciebie, a bardzo mało jeszcze wiem twojej przeszłości. Często pytasz mnie o radę: jeśli myślisz, że ci się na co przydać może, i chcesz, by była skuteczna, powiedzże mi szczerze a otwarcie, jak na spowiedzi, całą przeszłość swoją. Wiem, że się jęj wstydzic nie będziesz; przekonany jestem, że czysta; wybac mi, że jęj trochę ciekawy...

— Nie mam powodu nic tacić, choć i pochwalić się nie mam z czém tak dalece... Powiem ci najprzód szczerze, kochany mój mentorze, że jeślim cały lub nie bardzo połamany wyszedł z przeszłości, to wielkie szczęście i boża! opieka nademną. Znałaś mego ojca, wiem o tém; aleś go znał młodym na ławie szkolnej, a potem widziałeś tylko parę razy już złamanego sieroctwem: nie widywałeś go w chwili życia, w której właściwie był sobą... Dziś zimniej i bezstronniej wpatrując się w tę postać, inaczej ją widzę i sędzę niż wprzódy; ale w dzieciństwie, jak zapamiętam, okazywał mi się groźnym i straszliwym widmem. Był to charakter twardy, nieugięty, który sobie wmówił po-

trzebę egoizmu mimo serca, i do zimno narzuconego planu gwałtownie nagiął życie całe.

Nie poddać się, nie ustąpić, okazywać hart niezłomny, było jego główném zadaniem; szczerze i otwarcie wyznawać uczciwy, ale chłodny egoizm, i wziąć go za podstawę życia, stało się jego marzeniem. Otwartość posuwał aż do przesady, miłości i przywiązania strzegł się jako uczuć osłabiających człowieka. Były to usterki więcej z planu niż z serca pochodzące. Od dzieciństwa, gdyż matki mojej nie pamiętam, jak zasięgnę myślą, pomnę jego tylko żelazną rękę usiłującą zrobić ze mnie istotę, któraby tak była zastalona, aby jój nic w świecie przełamać i skruszyć nie mogło. Na dosyć drażliwym z natury chłopcu, który się łatwo ugiął, ta metoda wychowania, w której miłość nie miała udziału (bo ojciec mój mawiał, że dziecka do uczucia, którego w świecie nie znajdzie, przyzwyczajając niepotrzeba), robiła wrażenie męczarni. Ciało i duszę moją usiłowano ciągle zatwardzać i hartować, oblewano zimną wodą i przestrogam surowemi, wdrażano do niedostatku, do głodu, do chłodu, do pracy, a nigdy ani uśmiechu, ani uścisku nie znałem: grozę, karę, przestrach tylko. Dopókim jeszcze był w domu z nauczycielem, stan mój, jakkolwiek okropny i ciężki, był jeszcze znośniejszy. Nie miałem go z czém porównać; zdawać mi się mogło, że wszystkie dzieci równie surowo się wychowują. Lecz gdy z planu ojca wypadło oddać mnie do szkół, a tu sam jeden znalazłem się w takiej ryzie, wśród innych mających pieczętę swobody i wygodki życia,—poczęło we mnie burzyć się wszystko, i stan mój jaśniej okazał się oczom. Towarzysze moi wyśmiewali odarte

suknie, utrzymanie ubogie, nie wolę, w jakiej zosta-
wałem...

Postawiono mnie na stancyi z tak srogimi prze-
pisy, że i jadło, i suknia, i najmniejsza życia przyjem-
nostka obrachowane zostały tak, abym nie poczuł nad
sobą opieki serdecznej, ale jakby nieustanne prześlą-
dowanie.. W końcu obejście takie, przy otwierają-
cych mi oczy złośliwém szyderstwem towarzyszach, li-
tości obcych, doprowadziło do rozpacz, do wzburzenia.

Przyczyniło się jeszcze do rozwinięcia tych uczuć
we mnie to, że byłem celem powszechnej litości, uża-
leń, że mnie prawie pokazywano palcami, że mi, jak
nędzarzowi każdy obcy starał się czémś wynagrodzić
te męczarnie, które zdaniem całego świata niesłusz-
nie ponosiłem.

Do osób, które szczególniej losem się moim zajmo-
wały, należała niejaka Izabella Moroszwówna, podżyła już
panna, znająca moją rodzinę i ojca.

— Wiem, odrzekł Otto: ale ty nie wiesz może,
że ojciec twój w młodości starał się o nią, a potem
porzucił.

— Były to okoliczności całkiem mi naówczas nie-
znane; ale panna Izabella szczególnie losem się mo-
im zajmować zaczęła. Sprowadzano mnie ukradkiem
powracającego ze szkoły do stancyi towarzysza, gdzie
i ona przychodziła; pojono, karmiono, dawano pienią-
dze... a skutkiem tego wszystkiego było, że mi mój
stan, moje sieroctwo i opuszczenie coraz bardziej doj-
mować zaczęły, żem sobie ojca wystawił jako nie-
przyjaciela, a jego obejście jako umyślne znęcanie się
nademną..

Oprócz innych przyjaciół i towarzyszków, na jedną

ze mną ławie siedzących, szczególnie jeden przywiązał się do mnie i pozyskał przyjaźń moją. Niejakie podobieństwo położeń zbliżało go do mnie: był to syn starego Tataru Azulewicza, człowieka ubogiego, samém pochodzeniem swém skazanego na prześladowanie, ubóstwem na upokorzenie. Nie ma nic nielitościwszego nad dzieciństwo: mimo pokory, cichości, potulności Azulewicza, w klasie był on przedmiotem szyderstw nieustannych, naigrawań, figlów, a prześladowanie to powiększały częste jeszcze żarty nauczycieli nieostrożnych, to z powodu wiary, to z twarzy niepozornej, to z niepoprawności języka ucznia. Obaśmy cierpieli, a ja, choć uczyłem się nieźle, skutkiem rozporządzeń ojca bojącego się mojej miłości własnej, zawsze prawie na ostatniej siadywałem ławie, gdzieem się z równie nieszczęśliwym Azulewiczem spotykał; ztąd pierwsza znajomość, potem przyjaźń. Tatar był mi tak wdzięczen jak jeszcze nikt na świecie. Ja jeden tylko podawałem mu rękę, mówiłem z nim, chodziłem, broniłem go w potrzebie, i nie wstydziłem się braterstwa z biedakiem. Miał on ojca staruszka, dziwną postać wojaka, który zszedł na niańkę. W dość późnym wieku Pan Bóg mu dał to dziecko: matka zmarła, a stary wychowywał je sam, wychuchał, teraz w szkole sam mu bakałarzował, dozorował go, uczył się z niém razem. Niegdyś był to żołnierz, jak wszyscy prawie u nas Tatarowie; ale w potyczce jakiejś przecięto mu rękę prawą tak, że choć mu się została, władać nią już nie mógł. Ożenił się tedy, osiadł na wsi na małym zagonie i powrócił do życia rolniczego. Ale tu żona zmarła, chata osmutniała, a dziecko potrzeba było wychować; Azulewicz przeniósł się więc do miasteczka, kupił małą dominę, żył nadzwyczaj

ubogo, a całą swą siłę, mienie, serce i staranie, skierował na wychowanie jedynaka.

Resztę czasu poświęcał czytaniu ksiąg swoich mahometañskich, w których jakąś rozrywkę znajdował. Był to poczciwy, łagodny i cichy człowiek, a mimo tego dla pochodzenia i wiary pogardzony, i jak to u nas często się dzieje, odepchnięty przesądem, dla tego, że przed stami lat jego rodzice z dala tu przyszli szukać opieki i gościny. To, co z młodym Mahometem w szkole, robiono w życiu codzienném z Azulewiczem: szydzono z jego zagłębiania się w Alkoranie, z modlitwy przejętej, z przywiązania do dziecka nawet; a gdziekolwiek wszedł, pewien był, że go nie minie urągawisko z wieprzowiny, z obrzędów dla niego pamiątkowych i szanownych, z samego nawet prawodawcy, jego kłaczy i t. p. Dlatego usunął się od ludzi, żył samotnie, a dziecko swe tém bardziej pieścił, im ludzie dla niego byli niesprawiedliwsi..

Parę razy obroniwszy Azulewicza, stałem się dlań przyjacielem od serca; chodziliśmy odtąd razem, a chłopak przysiągł mi wiarę i przyjaźń dożgonną. Wracając ze szkoły, zaproszony do ich dworku, poznałem się ze starym ojcem, który mnie przyjął ze łzami; rozpytywał, pocieszał. i stał się także dla mnie przyjacielem i powiernikiem. Byłem nieco starszy od jego syna: mnie go Azulewicz zwykle powierzał, chodziliśmy w parze, nierozłączni. Stary Tatar i panna Izabella osładzali mi życie; ale ich powolność dla mnie, jeszcze surowość ojca wydatniejszą czyniła. Litość ich pomnażała moją niecierpliwość; potakiwania i pobłażanie wyrobiły powoli we mnie poczucie niesprawiedliwego ucisku, oburzenie, chęć uwolnienia się z pęt żelaznych.

Sam nie wiem jak w głowie mojej urosła pierwsza myśl ucieczki. Ojciec wciąż mi okazywał, że ze mnie nie jest kontent; zamiast cokolwiek dać mi swobody, spróbować czy jęć użyć potrafię, związywał mnie w najmniejszych drobnostkach, nie dopuszczając, abym cokolwiek sam mógł pomyśleć i uczynić; karmił każde słowo, każdy postępek najniewinniejszy. Za przybyciem do Pińska, przeglądał wszystkie moje papiery, badał życie, w sukniach nawet szukał powodu do gniewu. Zamiast mnie spętać, wszystko to razem rozwinęło oburzenie, przekonanie, że nie jest kochany, że w takim życiu wytrwać nie potrafię, że powinienem jego i siebie oswobodzić od tych męczarni. Myśl ucieczki zrodziła się w młodej głowie. P. Izabella, dowiedziawszy się o niej, wcale jęć wybić nie usiłowała; stary Azulewicz, z natury swój może mniej to znajdując dziwnym, że się ktoś na swobodę wyrывa, nie zgromił mnie od razu. Powzięty zamiar utkwiał w myśli; pozbyć się nie mogłem tego marzenia wolności, której tak łaknąłem, na której wspomnienie drżałem... takem się obawiał spętanej przyszłości całej.

Gdy się to dzieje, biedny Mahomet, który był słabowity jak dziecinnie starości, zachorzał, przestał chodzić do klass, a choć ojciec z końca świata sprowadzał do niego lekarzy, choć się do ostatniej sukni na leki i środki ratowania go wyprzedził, biedne dziecko umarło.

Rozpacz ojca była straszliwa. Zamknął się, płakał, tarzał po ziemi, potem zdrgnął jak drewno. Po śmierci syna, która i dla mnie była stratą wielką, a wrażeniem niezmiernym, bo widok śmierci dziwnie gorąco na młodem piętnuje się sercu, długo nie widziałem starego Azulewicza. Chodziłem zapraszany do

domku drugiego towarzysza, gdzie czasem znajdowałem pannę Izabellę, i tam już otwarcie mówiliśmy, radzili o ucieczce mojej.

Przyśpieszyły ją i popchnęły ku temu dwie główne przyczyny: zrobiłem mały dług, o którym dowiedział się ojciec, i jednego dnia później niż zwykle powróciłem do domu, o czém mu doniesiono, nie objaśniwszy, że się z towarzyszami przygotowywałem do zbliżających się egzaminów. Zapowiedziano mi więc, że za to na święta nie pojedę, odjęto małą pensyjkę, osadzono na chleb i wodę. Byłem już dorastającym chłopakiem, a środki tego rodzaju okrutnie mnie upokarzały.

Płaczącego prawie spotkał Azulewicz, który chodził za miasto płakać także na mogile syna. Wziął mnie stary do domu; a gdy mu nieszczęście moje opowiadać zaczął i nadmienił o ucieczce, nie tylko mnie nie odwiódł od tego, ale przekonany, że ojciec istotnie mnie nienawidzi, począł szukać sposobów, jakby mi w tém dopomódz.

Przyjeżdżał co rok na Wołyń znajomy mu z Krymu, może powinowaty, niejaki Mustafa Seferowicz. Często zostawując tabun swój w Berdyczowie, dobiegał do Pińska dla widzenia się ze starym Azulewiczem, a z końmi przewędrowawszy część naszego kraju, znowu do Krymu powracał. Azulewicz poznał mnie z nim: ztąd myśl zbiegnięcia do Krymu. Przyznałem się do niej przed panną Izabellą, która mnie wcale nie wstrzymując, ofiarowała jeszcze pomoc pieniężną, jeśli bym jej potrzebował. Zapaliła mi się tém głowa, a gdy ojcowska surowość coraz bardziej dolegała, plan został osnuty w chwili. Seferowicz obiecał mnie zabrać z sobą, na miejsce chłopca do koni, który mu był zmarł w drodze. Ażeby ślady ucieczki zatrzeć,

rzuciłem odzież moją nad wodą, gdzie ją później znalaziono, a sam opatrzony w zapas grosza przez pannę Izabellę, najprzód czółnem najętym, przebrany dostałem się do osady Sernickiej, potem łodem na furze chłopskiej dobiłem się do Berdyczowa. Ażeby się nie domyślano i nie wysłano pogoni, której spodziewaliśmy się wszyscy, Seferowicz nie brał mnie z sobą, aż dopiero w Balcie, gdzieśmy już całkiem byli spokojni.

Życia, które tu prowadzić zacząłem, opisywać nie będę. Nie odpowiedziało ono nadziejom moim, ale z razu miało dla mnie wiele uroku.

Nie była to swoboda, o jakiej marzyłem, bo takięj nie ma na świecie; ale ze stosunków niewolnika względem pana życia i śmierci, zszedłem na daleko znosienniejsze obowiązki sługi poufałego. Seferowicz był prosty, gburowaty, ale poczciwy człowiek; ludzie jego, jeszcze mniej okrzęsani: mnie książka i szkoła czegoś już więcej żądać nauczyły. Ale życie to stepowe podobало mi się, choć w niem i pustka była wielka; a podróż, pochód przez kraj nowy, przygody drogi, noclegi pod gołym niebem, nawet ostrość tego tatarskiego obyczaju, i głód, który znosiłem, wiedząc jego przyczynę, nie tyle mi ciążyły. Takeśmy powoli doszli aż do Krymu, i przebywszy nieznośnie długą pielgrzymkę ziemiami, które w końcu naprzykrzyły mi się, bom po nich więcej obiecywał sobie, dostaliśmy się do południowego brzegu, na pierwszy rzut oka pięknego i uroczego jak raj.

Tu w orzechowych sadach, na górze, miał Seferowicz biały domek, a raczej chatę, gdzie z liczną mieszkał rodziną. Widok tego kraju, cudów natury nieznanęj mi a majestatycznie pięknej, nowego obyczaju, z razu mnie oczarował. Ale potrzeba było uczyć się

języka nowego dla mnie, nawykać do żywota więcéj niż prostego, łamać się z uprzedzeniami Tatarów, którzy spoglądali na mnie niechętnie, choć Seferowicza miałem za sobą. Dla reszty byłem brudnym Giaurem, a téj nienawiści i wstrętu, której Azulewicz doznawał u nas, ja tu nawzajem doświadczyć musiałem, jeszcze się dotkliwiéj często wyrażającéj. Swobodę miałem wielką, alem się z nią męczył okrutnie. Poczułem zaraz, że i tu nie wytrzymam, i tęsknota do kraju, do mowy, do twarzy, z któremi się zrosłem, pędziła mnie od tych laurów, od gór, od morza, które było tak piękne, a po za które uciekając myślą, nie miałem kogo tam gonić. Przebyłem w Krymie póty, póki tęsknota nie urosła prawie do choroby, do zgryzoty. Seferowicz postrzegł, że mnie tu przyswoić nie potrafi, choć szczerze nad tém pracował...

Z jednym Ukraińcem zwiedzającym Ałusztę, dostałem się jak prosty chłopak do Odessy. Dziwak to był, ale serce miał dobre, jak u nas większa część ludzi; instynkta miał pocziwe, a głowę przewróconą. I jemu tatarskie najprzód, potem czumackie smakowało życie... Spotkaliśmy się na Czatyrdahu. Przemówiłem do niego znajomym językiem, alem zataił moje dzieje; dobył ze mnie tylko wielkiéj do kraju tęsknoty, a że chorował właśnie na ukochanie stanu natury i powrot do prostych obyczajów, porozumieliliśmy się łatwo. Zabrał mnie z sobą. W drodze osnuiliśmy najpiękniejszy w świecie projekt prowadzenia życia w stepie, z końmi razem i książkami, ożenienia cywilizacyi z naturą, hartowania się do czynnego życia i t. d.

Ale przyjechawszy z nim do Odessy, spostrzegłem już, że przyszły syn przyrody, co tak miał twarde

wieść życie, przedzierzgnął się tymczasowo na eleganta: balował, bułwał, i dopiero gdy mu pieniędzy i kredytu nie stało, ruszył nareszcie na wieś razem ze mną. Był to sierota i jedynak bogaty. Wróciwszy na wieś, zajął się powoli doprowadzeniem planu swojego do skutku; ale na tém się skończyło, żeśmy grywali, czytali po dniach i nocach, a ja za dwóch jeździłem konno, polowałem i koniuszowałem przy piękném jego stadzie. Panicz zawsze na jutro początek hartowania się odkładał.

Nie wydawałem się przed nim wcale kim jestem, przezwalem się Janko Zbój, i podniesiony przez niego zostałem do stopnia bohatera romansu. Nie powiem, żebym nie był rad z mojego stanu. U niego zetknąłem się z całą podobnych jemu młodych ludzi czeredą, którzy prawiąc nieustannie o harcie, zapijali szampana, zjadali przysmaki, jeździli konno czasem i uganiali się z chartami po stepie; ale dogodziwszy młodzieńczej fantazyi, szczebiotali potem po francuzku w salonach, i w glansowanych rękawiczkach lepszą część życia spędzali.

Mnie tam dosyć było dobrze. Podbudzony do urzeczywistnienia myśli mojej, bujałem swobodny, utworzywszy sobie życie całkiem nowe. To, co dla nich było wyjątkowém, dla mnie stało się zwyczajem. Ubrany w prostą odzież chłopską, dzień spędzałem w stepie, na koniu, z prostym ludem; potem wieczory u fortepianu, z książką lub w towarzystwie młodzieży, która sympatyzowała ze mną, ale tak znowu surowo spełniać co się jej piękném wydawało, nie była w stanie. Jadłem tylko proste potrawy, nie pijałem nic, wstrzemięźliwość i surowość moja zjednały mi

zarazem podziw i śmiechy. Jeszcze, sędzę, krążyć tam muszą podania o tym Janku Zbóju, który potem znikł im bez wieści. Szczęściem dla mnie, dla mody i na pokaz było wiele książek u Gerarda; mogłem nie zardzewieć, i czego mi brakło, chciwem czytaniem dopełnić.

Jako majetny pan, potrzebował mieć nowości wszelkie na stoliku. Trzech księgarzów przysyłało mu je całemi pakami z różnych stron świata; służący je rozbiierał, rozcinał, rozrzynał po stolikach i chował stare, gdy nowe nadeszły; właściciel nie nigdy nie tykał, prócz romansów sławniejszych i dramatów. Miałem to wszystko do swobodnego użycia; a choć wśród tych nowości dużo było śmiecia, trafiały się rzeczy poważne i dobre, które księgarze choć tędy przepchnąć usiłowali. Bibliotecze Gerarda winienem, że nie zamarł i nie upadł całkowicie. Czytanie stało mi się potrzebą, nałogiem, koniecznością.

Gerard dosyć mnie lubił, byłem mu też trochę potrzebny, bo miał wielkie stada, konie kosztowne, a ja przyjąłem na siebie cały zarząd stajen; często wyręczałem go w gospodarstwie i brałem na siebie co tylko mu ciążyło. Zjawiłem się w jego salonie kiedy chciałem, siedziałem póki mnie to bawiło, odchodziłem z zupełną swobodą. Byliśmy na stopie poufałej przyjaźni; zresztą nie nadużywałem jego życzliwości, bom prawie nic od niego nie potrzebowałem. Z Krymu przysłał mi Seferowicz kilkanaście koni, które tam sobie kupiłem; ze sprzedaży ich amatorom wpłynął mi grosz dosyć znaczny: miałem zapas nienaruszony. Gerard chętnieby mi był swój worek otworzył, ale z niego czerpać nie chciał.

Po roku pobytu w Zasipowcach u Gerarda, jużem

go tak znał, że tu sobie nadziei długiego pobytu budować nie mógł. Wychowanie i jedynactwo tak go zepsuły, że rozbujały, jak mnie ucisk i surowość, ale w inny sposób.

Chęci miał najlepsze, wytrwania w niczem; przy dobrém sercu fantazyę, kaprysy i dumę niewypowiedzianą. Rzadko z kim w zgodzie wytrwał długo; ze mną z wielu powodów trzymał się jeszcze, ale jużemy kilka zwawych mieli utarczek, i wiedziałem, że się to prędzej czy później skończy jakąś awanturą.

Życie w téj ukraińskiej rezydencji, wystawionéj świeżo, bo dopiero przez ojca Gerarda, który na dzierzawach z małego człowieka doszedł obrotami i pracą do milionowego majątku — tak szło oryginalnie, jak oryginalne było to obozowisko, w którem mieszkaliśmy.

Zasipowce, wieś ogromna, do ośmiuset dusz licząca, w czarnej ziemi położona, nad kilku ogromnemi stawami, w zielonych sadach — miały obszerne niezmiernie i rozległe pola. Oprócz tego należały do nich dwie inne wioski równie ludne i bogate. Stanowiło to klucz, który, jak sędzę, ze dwakroć sto tysięcy przy złém gospodarstwie mógł robić dochodu, a kupiony był przez ojca Gerarda za niespełna tyle co dawał intraty, i to wypłaconego nabytemi długi i kapania. Ojciec, gospodarz skrzętny i zabiegły, zostawił tu synowi stada koni, owiec, gorzelnie i co tylko było potrzeba do użytkowania ze ślicznego dziedzictwa tego, tylko domu nie miał czasu zbudować.

Mieszkaliśmy więc w folwarku starym, do którego różnemi czasy doklecono kilka salonów i pokojów, pod słomą, z dziedzińcem gołym i bez drzewka. Założony na górze ogród i fundamenta pałacu, zostały jak

je osnuto: pierwszy miał więcej kołków niż zieleni, drugie kisły od deszczów pod lichém pokryciem.

Z daleka przybywając do Zasipowiec, ani się domysleć było można wewnętrznego w nich przepychu. Pod tym dachem słomianym, wśród ścian oblepionych naprędce, co wiosna i co jesień odpadających, najwytworniejsze mieściły się meble, brzozy, dywany, nagromadzone tak obficie, że na pałacby starczyły.

Niewiele może było w tém smaku, ale im na pozór dwór był lichszy, tém Gerard starał się dobitniej dowieść przybywającym gościom, że nie brakłoby mu na postawienie pałacu, gdyby go sobie życzył. Grał on rolę syna stepu, Ukraińca, myśliwca, tylko w pewnych danych dniach, gdy mu do tego przyszła ochota; ale wolał życie wygodne, miękkie, swobodne, powiedzmy: próżniacze,—a niczem niewstrzymywany, robił tylko to, co mu się podobało. Częstośmy się o to sprzeciali: on dowodził że zbytek go nudzi, że tylko towarzystwo drugich pcha go ku niemu; jam się śmiał z tego otwarcie, okazując mu, że nie ma hartu ani siły do trybu życia, jaki ja prowadziłem. Jak najczęściej ludzie słabi, Gerard stał o to najwięcej, czego mu w istocie brakło. Oburzały mnie hulanki, które często wracając z moich wycieczek zastawałem w domu, i orgie naśladowane niedołężnie, wśród których rozprawiano o życiu ostrém, o stepie, o kozactwie, o prostocie obyczaju, polewając je szampanem i burgundem, umilając przytomnością biednych istot uwiedzionych, na których dla chwili pańskiej fantazyi, na wieki piętno spodlenia i rozpusty zostać miało. Klóciliśmy się o to, i wychodziłem nie mogąc patrzeć na to ich rozpasanie. Nie wiem jak się to stało, że młody,

młodszy od nich daleko ciałem i duchem, nie uległem przykładowi, nie poświęciłem dla szalu moich jasno jeszcze niewyrobionych myśli o obowiązkach życia. Wstyd jakiś dziewiczy wstrzymywał mnie zapewne.

Nareszcie przygoda spodziewana zerwała stosunki nasze z Gerardem. W Zasipowcach nad jeziorem mieszkał zamożny mielnik Iwan Prochor, który miał śliczną czarnobrewą córkę. Rzadkie są wśród ludu prawdziwie piękne twarze, ale gdy się tam trafi kwiatek, to doprawdy już cudo; taką była Marysia, a że ojca miała bardzo zamożnego, który ją pieścił i kochał, choć nie wyszła z życia wieśniaczego, trzymała się biało, strojnie, wykwintnie, wyglądała jak laleczka. Zawsze strojna nawet na codzień, przybrana zalotnie, Marysia podobniejsza była do przebranej panienki, niż do prostej chlopki.

Piosenki ukraińskie wykołysały ją do życia; więc to było tęskne jakieś, rozmarzone, naiwne, spragnione i ciekawe życia, chwilami trzpiotowate jak dziecina. W moich wycieczkach po wsi i polach, często spotykałem Marysię, ale z nią prawie nie mówił; dopiero sam jej ojciec, mielnik stary, widząc mój rodzaj życia, upodobanie w podaniach i pieśniach ludowych, wprowadził mnie do chaty i z córką zapoznał. Byliśmy z nim jakoś w przyjaźni, ale umyślnie unikał dziewczęcia, co mi się samo nastęrczało, bo ładna jego twarzyczka, świeże usta i uśmiech nie robiły mi innego wrażenia nad smutne przecucie losu, jaki ją czekał, gdy w pracy i zdziczeniu uwiednąć miała.

Gerard, który wcale sobie z tego nie robił wyrzutów sumienia, szukając łatwych po wsi miłostek, rzucił okiem na Marysię. Począł podjeżdżać pod różnymi pozorami do chaty mielnika, przywozić korale

i dziewczę wszelkimi sposoby wzywać do dworu. Ojciec zrozumiał rzecz i zląkł się sromoty; ja obaczwszy to, oburzyłem się,—a gdy Gerard nie tał się z planem pochwycenia Marysi, którą miał zaraz wywieźć do Odessy, by ją tam na panienkę przestroić, odkrywszy co było wszystkim prócz mnie wiadome, stanąłem przed nim z gorzkimi wymówkami.

Namiętnością rozbukana fantazyja już w nim była górę wzięła; ścięliśmy się bardzo ostro.

— Słuchaj, zawołał Gerard: ktoś ty jest, żebyś mi tu nauki dawał? Jakiem prawem śmiesz mi się rzucać w oczy?

— Prawem, jakie mi dają własne twoje, głoszone codziennie zasady, twoja miłość dla ludu, zalecanie sprawiedliwości.

— Co to ma do tego?

— Jak to! więc słowa nie obowiązują do czynu? Będziesz drugim zalecał czystość, a samemu brukać ci się wolno? Wieszże jaki los gotujesz téj istocie, którą poświęcasz chwilowój fantazyi?

— Pewnie lepszy niż tutaj.

— Jaki przykład dajesz ludziom?

— Nie potrzebuję nauki.

— Potrzebujesz jój, i musisz mnie słuchać. Radzę ci dobrze.

— Nie chcę rady.

— Nie chce jój nigdy namiętność, ale obowiązkiem jest dla mnie dać ci ją. Ja na krzywdę starego mielnika nie pozwolę. Robiłeś coś chciał z innemi: na krzywdę tego dziecka nie pozwolę.

— Co to jest: nie pozwolę? Tybyś śmiał?

— Co znaczy to: ty? spytałem.

— Ty, znaczy sługa...

- Ja! twój sługa! któż ci to powiedział?
- Jesz mój chleb.
- Ale pracuję, i pracuję jako przyjaciel.
- Nie chcę takich przyjaciół.
- Gerardzie! zawołałem: zapominasz się.
- Włóczęga jakiś! rzekł Gerard.
- Milczcie!—krzyknąłem—jeśli chcesz wyjść cało!
- To ty milcz!

Przyszliśmy tak do słów grubych, wreszcie do pistoletów. Biliśmy się. Postrzeliłem go i uchodzić musiałem. Wprawdzie raniony podał mi rękę, uznał, że miał słuszość, ale powrócić nie chciał, i poszedłem w świat dalej. Zapas mój zmniejszył się, bom go pożyczył w potrzebie Gerardowi: ten nie pomyślał, aby mi oddać, a ja czekać i upominać się nie chciałem.

Błądząc po Ukrainie, dostałem się znowu na koniuszego do jednego hrabiego, ale w tydzień rozstać się z nim musiałem, bośmy się nie mogli porozumieć o stanowisko nasze.

Jakiś czas wędrowałem po wioskach i siadywałem po chatach wieśniaczych nad Dnieprem; pół roku nawet parobkowałem u starego kozaka. I nie poskarżę się na to życie i zbliżenie się do ludu. Nie powiem, że to są święci; ale porachowawszy ubóstwo, brak wszelkiej oświaty, jakież to cudo, że ów lud żyjąc samą pieśnią, podaniem i powietrzem, jeszcze jest taki, jakim go widzimy! tak w duszy pocziwy, tak silny! Co go trzyma i hoduje? Bóg jeden wie. Ja podziwiam go i korzę się przed prostaczkami, jak przed niepojętym dla mnie zjawiskiem. Wiele więcej mamy, aby być lepszymi; a o ile w istocie lepsi jesteśmy... nie wiem. Nauka prowadzi nas tylko do matactwa i sza-

chowania z sumieniem. Czyśmy łagodniejsi w istocie? czy tylko na pozór? czy mniej namiętni? czy jaśniej widzimy stosunek społeczny z góry niżeli oni z dołu? Ale tém cię nudzić nie będę—dodał Jerzy.

— Długożeś się tak włóczył po chatach? spytał Otto.

— Kilka miesięcy, rok może... a ręczę ci, że mnie tam przyjmowano gościnniej może, z większym zaufaniem i wiarą, niż w innych sferach... a tak mi było swobodnie, tak dobrze w tém życiu, że go nigdy nie zapomnę. Trochę tylko tęskniłem po książkach, po rozmowach wznioślejszej treści, bom sobie z nich w domu Gerarda, gdzie różny świat bywał, zrobił nałóg i potrzebę... Otoż masz całą prawie treść mego żywota. Z chat wieśniaczych znowu potem przyszło mi zajrzeć do dworu. Poznałem się z ukraińskim dzierżawcą, który chodził w kożuszkę, lubił myśliwstwo i zdał mi się ciekawą postacią, graniczącą między ludem a szlachtą, mającą cnoty obojga. Był to człek już niemłody, który trochę z szablą po świecie się uwiłajał, szparki, żywy, wesoły, nie lubiący fraka i salonu, kochający stepy, naturę i chatę swoją. Ten namówił mnie, abym się do niego przeniósł, a że miał chłopaka wyrostka do nauki, uprządl sobie, abym go uczył; na co wreszcie przystałem, bo mi już grosza zupełnie brakło. Z ojcem tedy polowaliśmy, śpiewali piosnki rusińskie, uganiali się na koniach; z dzieckiem siedzieliśmy nad książką; a że była i córka, i fortepian, więc grywałem także, i czas mi schodził szybko a wesoło. Lucynicz byłby mnie jak najdłużej trzymał, i zgodziłbym się z nim może; ale po roku znowu, moja postać, nazwisko, brak zupełny papierów i nieszczęśliwe jakieś podejrzenia o stosunki z wieśniakami, ściągnęły na mnie

tak wielką i troskliwą baczość, żem prawie zmuszony był uciekać. Z trochę grosza puściłem się w świat, nie wiedząc już co robić. Dostałem się w miasteczku w ręce Maksa... i oto jak znalazłem się niespodzianie w Zarubińcach,—a reszty los dopełnił.

— Hal jest to rzecz pewna, rzekł Otto: że często najtroskliwszy ojciec nie wypielegnuje tak dziecka jak Opatrzność, która na pozór rzuca niém bez celu, jakby igraszkę czyniąc, a w istocie każdym uderzeniem zostawia na niém piętno. Skorzystałeś i z chat kozacych, i z Gerarda, i z Tatarów!

— Jestem tego pewien. Nie widzę swoich wad, tak jak swojego ucha zobaczyć nie mogę; ale to co mam w sobie niezłego, winienem różnej biedzie, którą przebyłem, i pocziwemu jakiemuś pierwiastkowi, który z domu wyniosłem, jak ów dzieciak w bajce, czarodziejski listek, przyległy kędyś niewidzialnie do jego sukienki.

— No? a dziś nie jesteś znowu pod wrażeniem tego życia nowego, mniej rozrzuconego, więcej skupionego? nie straciłeś trochę dzikości i tego zamiłowania swobody?

— Może się to trochę złagodziło, rzekł Jerzy; ale Cygan zawsze Cyganem. Gdy długo posiedzę w miejscu, czuję tęsknotę; w towarzystwie jak dzisiejsze obracam się ciężko; a gdy wyjadę na pole, między drzewa i lud prosty, dopiero czuję się jak w domu.

— Jest w tém trochę dobrego—rzekł Otto—a wiele pychy; bo gdybyś jój nie miał, wszędzieby ci było jedno, tu czy gdzieindziej.

— Ojciec mi mówił toż samo, przerwał Jerzy:

musi to być prawda. Być to może słabość, ale zawsze zostanie mi nawet po oswojeniu się ze światem naszym, tęsknota ku innemu.

— Tak, ku idealnemu, rzekł Otto: to rozumiem; bo lud niestety! w którego sukmankę ubieramy nasze ideały, jeszcze idealnym nie jest. My w nim szukamy tylko tego bożkiego wizerunku człowieka, prostego, mądrego, dobrego, który nosimy w duszy, nie mogąc mu dorównać sami, ani go nigdzie wyszukać. A! Jerzy mój drogi! życie jest snem ideałów i bojem z rzeczywistością; nie tak nie dowodzi nieśmiertelności duszy, jak ten kwiat, co w niej nieustannie rozkwita: w młodości rajskim paproci kielichem, w starości goryczą i żalobą. Nadzieje dni pierwszych i zniechęcenie ostatnich, to dwa bieguny jednej osi, to dwie ostateczności połączone z sobą jednym pasmem życia. W środku nich stoi człowiek. Chwilą najboleśniejszą w życiu jego jest, gdy się musi wyrzec nadziei ideału, wiary, a przejść na stronę zwątpienia. Jeśli naówczas nie spojrzy w niebo, zgubiony! bo ziemia ciemnością dla niego i mrokiem, a żywot bydlęcym rykiem rozpaczy...

Konie zatrzymały się przed gankiem w Robowie. Martynko wstał z ławki, na której siedział, oczekując ich powrotu, i rozmowa nagle się przerwała. Jerzy wszedł do sypialni z głową spuszczoną, pełną obrazu Anety, z której twarzyczką mieszała mu się łagodna, anielska twarz Loli, patrząca nań oczyma łzawemi a uśmiechnioną ustami.

— Która z nich jest ideałem? spytał siebie: czy ta słodycz i niewinność sama uskrzydłona weselem? czy ten ogień i fantazyja śmiała? gdzie prawda? gdzie szczęście? gdzie ideał?

Ale nie było odpowiedzi. Szczęście wydało mu się jak Janus—dwutwarzne.

Jeszcze spokojnie przesiadywał w Robowie Jerzy, układając się o dzierżawę, na której wypuszczenie oczekiwał, gdy jednego poranku dano mu znać, że jakąś chłopską furką przybyły jegomość z bardzo pilnym interesem, koniecznie się z nim widzieć domaga.

W istocie, w pierwszym pokoju od kwadransa stał już ów gość w wyszarzanym wice-mundurze i łapciach, z różową twarzą i wielce poważną fizyognomią, wsparty na kiju nie bez fantazyi, upominając się o jw. hrabiego Jerzego Górę.

Strój przybysza niezwykajny, szczególniej te łapcie na nogach, jakkolwiek eleganckie, ale nie dosyć do munduru stosowne, pewne oznaki niewstrzemięźliwości na obliczu opryszczoném i trochę podpuchlém, sprawiały, że ludzie na niego dosyć krzywo patrzali, a Maciek chłopak od kredensu, zostawiwszy go sam na sam w pokoju z resztkami śniadania, srebrne sztućce instynktowo zaraz posprzątał.

Przybyły, czy to nie odgadł nieufności chłopaka, czy zdjęcie śniadania przykre na nim czyniło wrażenie, za buteleczką wódki powiódł okiem pełném macierzyńskiej troskliwości, i wstrzymał Maćka w zapędzie.

— Panie N... N... jak waszeci imię?

— Maciek.

— Panie Maciek... możeby się nie śpieszyć z uprzątniem, bo mam niepłonną nadzieję, że mi dacie coś przekąsić, a będziesz się asindziej darmo na nowo fatygował.

Maciek z powodu téj interpellacyi gorzej jeszcze

zaniepokojony o los solniczek, łyżki i widelca, kiwnął tylko głową i co prędzej wyszedł. Prawie w tejże chwili ukazał się Jerzy i zmierzył p. Jana Piotra Mąkiewicza okiem nieufném, co zaraz poczuł urzędnik.

— Czy z jw. hrabią Jerzym mam honor?

— Tak jest.

— A! przepraszam! stokrotnie przepraszam! Jakże mi było nie domyślić się, nie przeczuć, nie odkryć w tych rysach szlachetnych żywego obrazu nieodżałowanego niegdyś ś. p. ojca!

I oczy zakrył chustką zatabaczoną.

— Tak jest, dodał tragicznie: widzisz jw. pan przed sobą jednego z najwierniejszych sług i przyjaciół ojca swojego, nieoszacowanego hrabiego, który powiedział: „Słuchaj Mąkiewicz...”

Mam honor prezentować się... przerwał: — Jan Piotr Mąkiewicz, niegdyś urzędnik, okolicznościami i tyranią losu przywiedziony do łapciów, które jednak i *ex re* nagniotków także noszę.

— Wpan znałeś ojca mojego? spytał Jerzy.

— Czy go znałem!.. a! panie! czym ja go znał! On był moim ojcem, przyjacielem, opiekunem, dobrodziejem, matką, mogę powiedzieć. On jeden tylko pozostał mi na świecie: tracąc go, straciłem wszystko.

I oczy znowu chustą przysłonił, zabrakło mu głosu, począł tylko kiwać głową, poszlochując nieznacznie, a po chwili dodał:

— Wzruszenie i fatyga jw. panie... sił nawet nie miałem czém pokrzepić... głód mnie uciska.

Jerzy zadzwonił żywo.

— Proszę cię Maćku, podaj śniadanie.

Mąkiewicz na samo to słowo odzyskał trochę siły.

— Cóż pana tu sprowadza?

— Nie! nie! jw. panie, tylko chęć oglądania tego, po kim razem z jw. hrabią wyleliśmy tyle łez, rozmawialiśmy poufnie tyle razy... chęć służenia jw. panu... Trzeba albowiem wiedzieć, że byłem przez hrabiego użyty do poszukiwania śladów naszej straty, które, jeśli się znalazły, chociaż do niczego nie posłużyły (w czém winą nie moja), mnie to był winien, nie pochlebiając, jw. hrabia. Tenże jw. hrabia znał mój los, życie poświęcone dla dobra ogółu, ideę, dla której pracowałem; zaszczycał mnie swém zaufaniem, wspierał radami... a! o! a!

I począł wzdychać—ale wtém wniesiono śniadanie, a z niém weszła flaszczenka starki.

Oczy Mąkiewicza zajaśniały. Postawił kij, powiesił na nim czapkę, a cicho zbliżając się do stołu, przycięty wpół, kiwając głową, drżącą rękę wyciągnął do flaszki, nalał i wychylił dwa jeden po drugim kieliszki.

Jerzy stał zdumiony.

— Jw. panie, odezwał się splunawszy i zakąsiwszy chlebem z solą Mąkiewicz: niech to jw. pana nie dziwi, że nieszczęsna losu ofiara, tak chciwie rzucam się ku téj zgubie rodu ludzkiego, ku téj truciźnie, gorzałce. Ale potrzebuję żyć, sił mi braknie, a przytém przez poświęcenie dla dobra ogółu, czystość zamiarów i nieskazitelność charakteru...

Plótł już bez związku, ale jako komentarz porwał buteleczkę, kieliszek, nalał i wypił raz trzeci. Jerzy zmarszczony odszedł parę kroków.

— Pozwól jw. pan, nim tajemnicę moją mu objawię, z którą tu przybyłem, trochę się pokrzepić. Siły utraciłem...

— Ale cóż pana tu sprowadza? zapytał zniecierpliwiony Juraś.

— Najprzód, drogi, nieoceniony panie, pragnienie widzenia i oglądania go...

Chciał pocałować w ramię Jerzego, ale ten się cofnął.

— Potém ogromnie wielka tajemnica, której nie mogę inaczej objawić, aż podjadłszy. Umysł mój skołatany nieszczęściami publicznemi, dotknięty tylu klęskami osobistemi, tylko pod gorącym naciskiem téj nieprzyjaciółki rodu ludzkiego, kotłówki, ożywia się cokolwiek.

Jerzy milcząc patrzył na opoja, który przecię nabrawszy wstydu, otarł usta i zbliżył się do niego tajemniczo.

— Nikt tu nas nie posłyszysz? spytał.

— Nikt.

— A! bo świat pełen jest nieprzyjaciół, zasadzek i szpiegowstwa. Pewien pan jesteś?

— Zupełnie.

— Gardło bowiem ryzykuję, rzekł z czkawką Mąkiewicz; a wrogi, które się na mnie nasiadły... ale to mniejsza... rzecz idzie o jw. pana..

— O mnie? spytał Jerzy.

— Tak jest. Nie dosyć, że jw. pana wyzuli z fortuny, jeszcze czyhają na jego życie, zastawiając sidła.

— Na moje życie? śmiejąc się zawołał młody chłopiec: na moje?

— Otoż to niewinność lat młodzieńczych, która w bezeceństwo i złość ludzką nie wierzy! Ale przekonasz się jw. pan...

Odciągnął na bok Jerzego, obejrzał się, chrząknął parę razy i począł:

— Najprzód, że jestem istotnym przyjacielem ś. p. ojca pańskiego i całej rodziny, poświadczy to znany i cchi najgodniejszy Paweł Siermieżki, który jest moim, mogę powiedzieć, najlepszym też przyjacielem; świadczy to funt tabaki, który od niego dostałem w prezencie. Ale dyabelnie mocna! dodał. — Otoż o co idzie?

— O wielką jakąś tajemnicę.—Los, a mogę powiedzieć: Bóg mi ją odkrył umyślnie, aby ocalić dni waszel rzekł Mąkiewicz w uniesieniu, które wódka powiększyła. Za co spodziewam się przynajmniej zwrotu kosztów na furmankę i małej indemnizacyi, bo wiem, że jw. panu dziś może być trudno, ale choćby na świstku i cokolwiek gotówki.

— Ale mówże pan o co chodzi...

— Niecierpliwość zupełnie ojcowska! Taki on był w kwiecie wieku i sił, gdym miał szczęście dłoń jego ścisnąć, póki jeszcze byłem urzędnikiem, o czém nie wiem czy wspomniałem. Ale o tém później obszerniej, gdy zjem obiad. Więc tak było jw. panie: W Pińsku—gdzie zwykle przemieszkuję, nie mając stałej rezydencyi i przebywając u przyjaciół moich—od dawna już przesiaduje niejaka panna Izabella Moroszówna, osoba pełna tajemniczości, nieużyta dla ludzi dotkniętych przez los i bardzo podejrzana. Jedni mówią, że robi bankocetle, drudzy, że pożyczka na lichwę, inni, że coś zna, w co ja nie wierzę, bo to głupstwo. *Tandem* kto ona? co? tego? jak? nikt nie wie. Przy niej tuli się niejaki Żereba, prawnik, zauszniak, z którym ja razem służyłem w sądzie; ale dziś mnie znać nie chce z powodu łapciów, a ja jego też: bierz go

dyabli! mniejsza o to... Ten Żereba machinuje różne sprawy z jejmością, to rzecz pewna. Trzeba tedy takiego wypadku... Żereba stoi w oficynie domu p. Izabelli, drewnianej, a tuż przez ścianę tylko mieszka jeden mój przyjaciel, trudniący się oberżą, u którego ja czasem nocuję. Najmuje on lokal od panny Moroszówny, i drzwi tylko lekkie przedzielają tę izbę, w której mi daje schronienie na tapczanie, od téj, w której pan Żereba ma swoją kancelaryę. Nie żebym miał występłą jakąś ciekawość, ale znużony we dnie pracą około dobra publicznego, położyłem się spocząć, i dobrze było późno, gdy mnie dwa głosy przebudziły. Wstaję tedy z mojego barłogu i słyszę, o bogi! rozmowę... Chciałem z razu krzyknąć lub zakaszać, aby przestrzedz, iż tam ktoś jest; ale mi w gardle zaszło, co jest moją chroniczną chorobą, że się z tego nie mogę wyleczyć. Otoż gadają—chcę krzyknąć, nie mogę, radbym uszy pozatykać, nie wiem sam czemu nie czynię tego... instynkt zbawczy... słucham. Imię jw. pana wpada mimowolnie w ucho. Imię to drogie, na dnie duszy zachowane, obudza pieczołowitość moją. Przykładam ucho i twarz do otworu klucza, i słyszę wyraźnie, jak ta pani odzywa się do Żereby:

— Chciałabym go koniecznie sprowadzić do Pińska.

— Ale jakimże sposobem? oponuje tamten.

— Najprostszym w świecie, mówi znowu pierwsza: pojechać i powiedzieć mu, że jeden z przyjaciół ojca jego prosi i pragnie go widzieć.

— Ale z jakichże pobudek? odzywa się Żereba.

— Dla ważnej sprawy.

Potém znowu o jw. hrabi była mowa, o jego ojcu... straciłem wątek, ale struchlałem... Spisek na

życie nie chybi! Że zaś zawsze jestem i byłem skłonny do poświęcenia się dla ludzkości, a ku rodzinie jw. pana czułem obowiązki, siadłem na furę i stawie się tu z przestrogą.

Jerzy począł się śmiać.

— Mój panie Mąkiewicz—rzekł—nie trzeba ci było sobie téj pracy zadawać... Panna Izabella знаła mnie dzieckiem, pomagała mi, gdym był jeszcze w szkołach; cóż naturalniejszego nad to, że chce mnie widzieć, poradzić?

— Jw. paniel krzyknął przestraszony Mąkiewicz, bojąc się, by jego zachód nie był daremny: strzeż się jw. pan tego zgubnego mniemania! Pozory częstokroć mylą, ostrożność jest obowiązkiem wszelkiego sparzonego człowieka, który jak ja nie chce w łapciach cho-dzić. Gdybym nie ufał ludziom zbytecznie i nie poświęcał się dla nich, nie przyszedłbym do tego stanu, w jakim mnie prawość charakteru, a po części nagiotki postawiły... Więc gdy mowa o łapciach...

Ledwie się można było pozbyć Mąkiewicza, który napojony, nakarmiony i wynagrodzony, po obiedzie, wśród którego ubawiał czeladź opowiadaniem swojego życia, ofiar i poświęceń, i wypił flaszkę nalewki, narreszcie odjechał.

Śmiano się jeszcze z niego, gdy list z poczty odebrany niespodzianie potwierdził to, o czém oznajmił, przynosząc Jerzemu wezwanie, aby we własnym interesie przybył do Pińska, dla widzenia się z panną Morosówną.

Jerzy nie miał tak dalece nic do czynienia, i sądził, że żądającą się z nim widzieć kobiecie odmówić nie można; postanowił więc, mimo przerażenia Mąkie-

wicza i przestróg jego, pojechać na Horycę do Pińska, i zabrać razem Pawła, a resztę starych przyjaciół pożegnać.

Nim jednak odjechał, chciał się wprzód widzieć z hrabiną i Lolą, do której tęsknił; chciał przez grzeczność być raz u rodziców Anety, bo ci już tak dalece upominali się o jego odwiedziny, że stary ojciec w granatowym fraku i nankinach przyjeżdżał w odwiedziny do Ottona, aby Jerzemu obietnicę jego przypomnieć.

Nazajutrz zaś po téj natarczywój wizycie, Juraś namówił Ottona, który bardzo nierad wyjeżdżał z domu, i razem z nim udali się do państwa Żeligów.

Hulew był jedną z najpiękniejszych wiosek wołyńskich, od lat kilkunastu starannie zdobioną, aby na pańską rezydencję wyglądała. Jędrus pod rozkazami Stasi, swój pani, cały się temu oddawał i poświęcał, powtarzając sobie po cichu:

— Żeby było *grandioso*.

Trzeba przyznać poczciwemu Żelidze, że chociaż nie miał głowy, na co sam chętnie się zgadzał, choć jedno oko miał zeszepeczone skalką i wąsów od pięćdziesięciu kilku lat dohodować się nie mógł, co go bardzo nieszczęśliwym czyniło, choć tak był niepozorny, że go często w przedpokoju za służącego brano, — był jednak w ręku żony i córki narzędziem niepospolitej wartości. Jędrus spełniał wszelką pospolitą robotę z poświęceniem się i zaparciem niesłychaném. Nigdy nie rozumował na swoją rękę, nie wdawał się w rozpoznawanie przyczyn i skutków, ale gdy mu dano dyspozycję, święcie i punktualnie ją wypełnił, choćby przyszło życiem nałożyć. Przyznacie, że takich mężów nie trafia się wielu na świecie. Dobry, potulny, cichy, niemający w domu ani przyzwoitego pomieszczenia,

ani żadnych wygódek osobistych, uważający się za subalterna przy żonie i córce, wesoly zawsze, rad ze swojego położenia, rozkochany w Stasi, której rączkę smoktał z uniesieniem—był to istotnie i bardzo użyteczny na świecie, i szczęśliwy w dodatku człowiek. Głupstwo jego nawet nie raziło zbyt, tak je dobroć i serdeczność przyprawiała.

Miłości własnej miał mało dla siebie a wiele dla Stasi, pokorę przy niej niewyczerpaną, a córka napełniała go taką admiracją, że w samej niemiej kontemplacyi tego utworu znajdował zupełne szczęście. Takiego mając męża i ojca, panie były także najszcześliwsze w świecie, bo wiedziały, że nad czuwa niemi poświęcenie bez granic i miłość niewyczerpana.

Dwór Żeligów z daleka, a nawet i z bliska bardzo pięknie i pańsko wyglądał. Park angielski z przezroczystą wodą dwóch stawów ogromnych, dwór o piętrze zwany pałacem i „*notabene* z wieżą,” jak często bardzo powtarzał z przyciskiem Jędrus, gdy opisywał swój majątek, gazony strzyżone i walcowane, oranżerye, ananasarnia, szwajcarska chatka u bramy, aleje żywem wysypane,—razem stanowiły jakby piękną litografię. Nad utrzymaniem tego wszystkiego czuwał troskliwy Jędrus, wstający o piątą rano i pracujący do znoju wszędzie gdzie było potrzeba. Samby on może władzy nie miał tak wielkiej, gdyby nie to, że zawsze powtarzał:

— Pani kazała!

A pani bano się, i nie żartem. Przytém wszelki rozkaz pani dawał mu energię niesłychaną. Gdy czasem trafiło mu się niefortunnie mieć swoją jakąś małą wole, Jędruscale inaczej brał się do jej speł-

nienia: prosił tylko ludzi, uśmiechał się do nich i wdzięczył, zalecał się pokornie, aby zrobili co chciał. Ale gdy potężny rozkazem Stasi, szedł na wyprawę jako jej umocowany, oho! nie można z nim było wówczas żartować.

Gospodarstwo i zarząd domu nie szły źle wcale. Stasia miała dość w głowie porządku, Jędrus sił do spełnienia, a Aneta gustu i fantazyi. Nie było więc u nich tak bardzo śmiesznie, jakby się domyślać można. Wprawdzie chorowano na państwo, ale słabość ta przeszła już w stan chroniczny, nie dolegała zbyt, i nie raziła nadto.

Od ostatniej wizyty u półkownikowej, matka spostrzegła z przestachem, że Anetka posmutniała bardzo, zmieniła się, i lży nawet na oczach jej pokazywały się niekiedy. Zawołała więc męża do swego pokoju i sama wykomenderowała go do Robowa.

— Mój Jędrusiu, odezwiała się głaszcząc go pod brodę, co było tak pewnym środkiem zrobienia z nim ce chciała, że nie wątpiła, iżby się w ogień rzucił,— mój Jędrusiu, czy ty widzisz co się z Anetą dzieje?

— Nie, nie widzę.

— Al moje serce, bo ty nic nie widzisz, czego ja ci nie pokażę.

— A, to prawda—rzekł Jędrus—to prawda...

— Ona smutna, mizernieje widocznie, i bodaj czy... tu westchnęła Stasia—czy się ona tylko nie zakochała?

— Otoż tobie masz! zawołał Jędrus: ale w kimże?

— Ja się tylko domyślam; mówi o nim ciągle...

— O kim? proszę Stasi...

— Czyż ty nic nie spostrzegłeś?

— Ja nie spostrzegam...

— W Jerzym...

— A, prawda! jakież ja głupi! Oczywiście, że zachęcała się w Jerzym! No, cóż każesz duszko?

— Ty wiesz, że jój sprzeciwiać się nie można!

— Oczywiście, że jój się nie można sprzeciwiać!

— Hrabia nie był dotąd, choć obiecał; ona nie-spokojna.

— Ale widocznie niespokojna...

— Jedź do Robowa i oddaj mu wizytę.

— A jakie pójdą konie? spytał żywo Jędrus.

— Na ten raz trzeba wystąpić: weź moje i kocyk nowy, a ubierz się porządnie...

— Otoż to, jak się mam ubrać? spytał znowu mąż posłuszny, który nic nie robił bez pozwolenia.

— Frak granatowy, nankiny i guziki z brylantami.

— U ciebie schowane, duszko.

— Ja ci je dam.

I tak wybrał się do Robowa pan Jędrzej, a odwiedziny jego istotnie zmusiły Jerzego przybyć do nich nawzajem.

Pannę Anetę zastali smutną, zamyśloną i trochę mizerniejszą niż ostatnim razem; oczy jój tylko większym ogniem jaśniały, ale milcząca była przeciwko zwyczajowi swojemu, poważna, prawie bojaźliwa.

Jędrus, który się tego dnia gości spodziewał, bo miał szpiegów w Robowie, wszystko urządził stosownie, aby o domu dać wyobrażenie przyzwoite. Służba wdziała wicemundury herbowe, szwajcar siedział w chatce, w ogrodzie umieszczono było i uporządkowano, w saloniach pachnąco i strojno. On sam wdział pełny strój nankinowy, w którym tak się lubił widzieć, że się nieustannie w lustrze przeglądał. Zdawało mu się na-

wet, w takim był humorze, że z lewej strony trochę mu wąsy zgęstniały, co podwoiło usposobienie wesołe.

— A, przecież! rzekł do siebie przeglądając się w zwierciadle: aha! otoż skutek makassaru: będą wąsy, już nawet są! O to tylko chodzi, aby im dać czas i dopomagać do wzrostu, spacerując po słońcu...

Wyperswadował mu bowiem jakiś żartowniś, że włosy jak rośliny polewania i słońca potrzebują, i Jędrus moczył wąsy kilka razy na dzień, a wygrzewał je, aż się szpetnie opalił. Ale obywatel musi przecie mieć wąsy.

Salon państwa Jędrzejowstwa był dosyć oryginalny, bo cały w zieleni, kwiatach, bluszczach, festonach, z czém mu wcale było ładnie. Wprawdzie zauważył Jędrus, że to mnożyło mnóstwo robactwa różnego, ale je zabijał po cichu, bo wiedział, że córka i żona ten ogródek lubiły, więc i on musiał.

U progu przyjął Jędrus w nankinach sąsiada i Jurasia uściskiem czułym, wilgotnym i serdecznym, i poprowadził do żony, która miała już *ad hoc* pończochę w rękę i książkę rozłożoną przed sobą. Aneta czytała także. Wspaniałe bukiety na wszystkich stołach jaśniały barw tysiącem; wśród nich i na tle tej zieleności, biała Aneta w czarnej sukni wyglądała jak zachwycające marzenie.

Jerzy w tym bardzo wyelegantowanym salonie uczuł się jakoś ściśnięty, nie swój; nadto mu było wytwornie.

— A, jakże tu u państwa ślicznie! odezwał się Otto na wstępie.

— Prawda, że ślicznie? rozśmiał się Jędrus, zacierając ręce. To wszystko żona moja i córka tak ubrały,

bo ja tu nic... Jak w królewskim pałacu, a pachnie! pan czuje jak pachnie?

— Czuję, rzekł z uśmiechem Otto: istotnie to raj przypomina.

Juraś był zimny i pomieszany.

Aneta podała mu rączkę drżącą.

— A, przeciężemy pana zwabili do siebie! rzekła. Pan doprawdy jesteś dziki.

— Nie taję się z tém.

— Czy to prawda, przerwała matka: że pan tak długo bawiłeś w Krymie?

— I że byłeś Tatarem? dodał Jędrus.

Zona spojrzała na niego, ruszając ramionami, dając mu znać, że głupstwo powiedział, a on śpiesznie się poprawił.

— Że pan nie byłeś Tatarem...

Ale widząc, że i to nie do rzeczy, zamilkł kręcąc wąsa.

— Żyłem istotnie czas jakiś z Tatarami...

— Baranina? spytał cichutko Jędrus, który chciał także koniecznie do rozmowy należeć.

— Nietylko w Krymie z Tatarami, dodał Otto, ale długo nad Dnieprem między ukraińskim ludem, i po ukraińskich dworach, i Bóg wie gdzie się włóczył, taki z niego utrapiony wędrowiec...

— Al bo podróże, to rzecz tak zajmująca! odezwiała się matka.

— Podróże, to co innego, przerwał Otto; ale taka włóczęga potrzebuje ducha i sił młodych, bo żyć tém życiem, do któregośmy nie przywykli, wśród niewygód...

— Baranina! poddał znowu Jędrus, chcąc swoje wiadomości o kuchni tatarskiej zużytkować.

— Jestże tam przynajmniej poezya, coby płaciła za poniesione trudy? spytała Aneta.

— Wiele! wiele! rzekł Jerzy: ale ta poezya jest jak kryształ górny, który gdy go dobędą z ziemi, jest nieprzezroczysty, bezkształtny i nie uderza prawie; dopiero gdy go kamieniarz oszlifuje i osadzi, błyszczy i świetnie się pokaże. Tak i z poezją ludową, która w obrazie i pieśni ubrana, w szaty sztuki, jest prześliczną, a w życiu potrzebuje oczu kamieniarza, bo w niej przemagają pierwiastki, z którymi nam oswoić się trudno...

Aneta znalazła porównanie bardzo trafnem, rozmowa się rozpadła, sama pani zbliżyła się i zagarnęła Ottona, Jędrus poszedł pilnować podania herbaty, młodzi państwo zostali z sobą i poczęli chodzić po salonie, zbliżać się do ganku nawet i zaglądać aż ku ogrodowi.

Jerzy znalazł Anetę tak różną od pierwszej, tak jakoś zmienioną, że sobie z tego sprawy zdać nie mógł. Wewnętrzna jakaś praca przeistoczyła ją zupełnie, wzrok był inny, mowa skromniejsza i mniej śmiała, wzruszenie widoczne.

Ale jakże tu powtórzyć tę rozmowę dwojga młodych, która nie z samych słów się składała, w której przeważną rolę grają wejrzenia, ruchy i owe tajemnicze prądy myśli, które przebiegają z serca do serca, z piersi do piersi, nie wiedzieć jakimi drogami, nie wiedzieć siłą jaką? Urwane słówko, niedokończona myśl, poruszenie, spojrzenie, wszystko ma głębokie znaczenie i wpływ na rozwinięcie coraz śmielsze téj pajęczej tkanki, która się zowie rozmową. Powoli zaczynali się ozywiać oboje.

Otto padł ofiarą wzięty we dwa ognie przez małżonków, którym snadź chodziło o to, by Anecie i Jerzemu nie przeszkadzano. Jędrus pomagał w tém Stasi z bezprzykładném poświęceniem, potakując echem, lub niezręcznie dopełniając jój myśli, którym dodawał niepotrzebnego akcentu.

Wśród rozmowy zatętniało przed gankiem i wszedł po chwili Maks, który, jak na młodego męża, trochę za nadto lubił oddawać wizyty w sąsiedztwie, i zawsze znajdował powód jakiś, dla którego z nim żona w żaden żywy sposób jechać nie mogła.

— A cóż to za szczęście! zawołał w progu: wszak tu i Ottona i Jerzego znajduję! i pierwszy podobno mogę mu powinszować!

— Powinszować! spytał Otto: czego?

— A wygrania procesu!

Jerzy zbliżył się zaczerwieniony, wszyscy otoczyli przybyłego.

— Ja żadnego procesu nie mam! przerwał Jerzy.

— Ale jakże? o testament!

— Jam żadnego kroku nie robił.

— Ja tego nie wiem, ale to rzecz najpewniejsza, że testament został obalony, i że fortuna powraca ci nazad, czego z serca winszuję. Zdaje mi się, że pewnie sztafetę zastaniesz w Robowie.

Jerzy zarumieniony cały, smutnie ręce załamał.

— Co to panu? spytał Jędrus: może wody z cukrem?

— To niepojęte losu prześladowanie! zawołał gorąco młody człowiek. Ja przeciwko woli mojego ojca! ja w procesie o testament!.. Ale to potwarz! kabala jakaś! intryga! nie wiem... Nie szedłem przeciwko testamentowi i nie pójdę.

— A więc jakże się to stać mogło? spytał Maks. My wiemy, że u nas między moźnym a ubogim, gdzie chodzi o miliony, gdyby sto razy biedny miał słuszość, sam bez starania nie wygra.

— Ale ja czią moją i wszystkoim najświętszém się świadcze—zawołał Jerzy—żem o to starać się nie myślał, nie żadał tego i nie przyjmę.

Wszyscy zamilkli, widząc to jego oburzenie.

— Zaprawdę, może pierwszy raz jak świat światem, ktoś własnego majątku się wyprze i odrzuci co mu samo w ręce idziel rzekł Maks śmiejąc się.

— Oburza mnie i gniewa ta jakaś opieka nademną, przerwał Jerzy; jątrzy mnie, że mogę być posądzonym. Pozwolicie państwo, że ich pożegnam, bo chwili pod tém podejrzeniem zostawać nie chcę. Muszę jechać.

— Gdzie? dokąd? spytał Otto.

— Sam nie wiem: do hrabiego, do stryjenki, muszę coś począć. Jak się ludziom i im wydam! Mówiłem, protestowałem, dziś pozory przeciwko mnie świadczą, czynią mnie fałszywym i kłamcą: to nie do zniesienia! Zdrajcą i wykrętarzem być nie chcę.

I twarz jego oblana wstydem i gniewem, wypromieniała powagą, a Aneta patrząc na niego, uczuła się nim dumną; tylko Stasia i Jędrus dziwnie spoglądali po sobie, nie wiedząc co mówić i czekając rozkazu córki. Oboje co do milionów mieli przekonanie gruntowne, że się ich nigdy odrzucać nie godzi.

— Głupstwo robi, rzekł po cichu, próbując Jędrus.

— Cicho! cicho!

— Ale ja to mówię cicho, dodał gospodarz: to chyba waryat!

Aneta dzieliła oburzenie Jurasia, i odezwała się za

nim; rodzice więc zamilkli zaraz, ale posmutnieli widocznie.

— Już na to widać nie ma rady! my jego nie przekonamy! rzekł Jędrus. Ale to ta młodzież! pstro w głowie.

A w duchu pomyślał:

— Miałab Anetka kogo wybrać. Dziwak jakiś i ho-
łysz, który sobie upodobał w goliźniel Piękną mi bo-
hater!

Jerzy niecierpliwy już się wybierał, chciał porzu-
cić wszystkich; ledwie go wstrzymano na herbatę, któ-
rą zaraz podawać poczęto. Chodziło wielce Stasi nie
tak o to, aby wypił i zjadł Jerzy, jak raczej żeby mu
pokazała srebra i porcelanę, żeby je choć zobaczył.
Gospodarz pobiegł żywo, aby przyspieszyć podanie,
i służący wniesli na tacach paradnych wspaniałe przy-
bory. Połowa ich do niczego nie służyła i nie w so-
bie nie zawierała, figurując tylko jak komparsy w te-
atrze. Dwa ogromne imbryki z fajerkami, srebrny
samowar, dobra liczba różnych przystawek, taką tu
grały rolę, jak wojsko i lud na scenie w głębi.

Wstrzymano gwałtem prawie wyrrywającego się Ju-
rasia; Aneta zbliżyła się do niego, słowem i ręką po-
ciągając go do ganku.

— Panie Jerzy, odezwała się półgłosem: ja będę
o pana niespokojna... Czy dobrze pan robisz, że się
burzysz i opierasz temu, co dla pana los przeznaczył,
co ludzie mu dobrowolnie oddają? wszak to tylko dzi-
wactwo...

— Dziwactwo! możeszże pani tak nazwać tę czyn-
ność?

— Słuchaj pan—rzekła—nie sądź, że chcę, nie
myśl, że za nadto cenię majątek... ale i ja żyłam tro-

chę, wiem, że i majątek coś także znaczy, że on też jest tą swobodą, o której marzysz; że daje, jeśli nie skrzydła, bo te same rosną, to siłę i niezależność wielką.

— A ubóstwo daje widzenie prawdy: ono tylko jedno! odparł Jerzy.

— Przecież to spadek po ojcu.

— Nie, wola jego dla mnie jest święta: ja nie mam nic, nie chcę nic po nim, kiedy mi sam nic nie zostawił.

Aneta uśmiechnęła się, podając mu rękę.

— Doprawdy to trochę śmiesznie, że ja się panem opiekuję, tak mało go znając. Nie miéj mi pan tego za złe.

— Wcale nie. Ale jeśli mnie pani bierzesz w opiekę, wiedzże co mnie oburza i doprowadza do rozpacz. Otó głośno i otwarcie powiedziałem, że nie chcę tego majątku; a los, a ludzie, nie wiem kto, narzucają mi go: posądzony jestem o fałsz! o pokątne stafianie! o zdradę! Nie ma na świecie majątku, coby to opłacił!

— Tak, masz pan słuszność... ale to wyjaśnić się musi.

— Plama posądzenia zostanie! to okropnie!

— Więc któż weźmie te miliony? spytała Aneta.

— Kto zechce! nie wiem... ale nie ja!

— Zapewne siostra.

— Siostra, stryj, hrabina, ubodzy—wszystko mi jedno.

— Al! dziwactwo! dziwactwo! rozśmiała się Aneta; ale śliczne, ale niewidziane, bo któż jest coby odmówił takiej fortuny, choćby zmieszanej z trochę błota?

I ścisnęła mu rękę.

— Panie Jerzy, bądź takim jakim jesteś, dodała z zapalem kobiecym; zostań sobą, zachowaj tę szla-

chetność i prostotę. Patrząc na ciebie, wierzy się w ludzi i uszlachetnia... Daruj tych słów kilka. Pan pokazałeś mi drogę, teraz i ja widzę jaśniej: być ubogim, ale czystym.

— Tak pani, czystym lub nie żyć! zawołał Jerzy z zapalem.

W kilka chwil potem Jerzy już był na drodze do Zarubiniec; ale wieczór był późny, gdy tam przybył, spali już wszyscy, musiał więc zanoćować w karczmie, i rzuciwszy sobie garść słomy pod głowę, usnął spokojnie jak zawsze, marząc o Anecie i Loli.

Gdy się obudził, ranek już był dobry i godzina, w której w pałacu stawić się godziło. Naprędce więc ogarnąwszy się tylko, poszedł ku dworowi.

Z dala już postrzegł Malczaka, który w kaftaniku stojąc przy drzwiach, z krzywą głową, fajeczkę palił, a poznawszy go widać, znikł zaraz jak kamfora, pozostawiwszy sługusa jakiegoś na swoim miejscu.

— Chcę się widzieć z hrabią, rzekł Jerzy; dajcie mu znać.

— A to ja nie wiem, trzeba będzie chyba przez Malczaka dać znać.

— Mów komu chcesz.

Jerzy wszedł do salonu. Pusto tu było i puściej niż wówczas, gdy mieszkała hrabina. Choć na dole rzadko przebywała, schodziła jednak czasami, ślad jakiś przejścia zostawując po sobie: kwiatek, książkę, robotkę. Teraz w salonie pył szary okrywał wszystko, okna były pozamykane, powietrze duszne. Juraś przypominał sobie ów kuncert w tej samej sali, wieczór pamiętny w jego życiu, pierwsze wejrzenie na Lolę, wzrok ojca, i wiele a wiele rzeczy, które się z tej chwili wysnuły.

Spokojny usiadł i dumał, i nie wiedzieć dla czego wracało mu ciągle na myśl wrażenie, jakiego doznał, gdy oczy jego spotkały spojrzenie téj, o której wówczas nie wiedział, że była jego siostrą. Szukał śladów w sercu uczucia, które go przejęło, walczył z myślą, która mu piękną Lolę inaczej niż chciał przedstawiała... i zapomniał o reszcie wypadków. Już wczerajsze zbliżenie się do Anety, jój rozmowa, wywołane nią uczucie jakieś, zatarły się jedną nocą snów spokojnych, a Lola stała przed jego oczyma tak żywa, przytomna, jakby ją dziś widział dopiero... Tęskniéj wydały mu się Żarubińce bez niéj.

— Siostra!... nie wiem, czy takie być może przywiązanie brata... mówił do siebie—czy to szal jakiś dziwny? Tamta jest mi obojętną, zaledwie od niéj odjadę; téj obraz nie opuszcza mię na chwilę...

I wszedł w targi z sercem, w rozbiory uczucia, a zadumał się głęboko, gdy służący przerwał mu pograżenie to, wołając nad uchem:

— Pan hrabia prosi.

— Gdzież jest?

— U siebie.

Jerzy poszedł prędko—pilno mu było. Hrabia czekał nań wsparty o stół, z zaciętymi ustami, a gniewny. Skłonili się sobie z daleka.

— A więc nareszcie przychodzisz pan po to, co ci się wydrzeć mi udało, rzekł Rajmund: podstępem, zdradą, fałszem, bo tak jest! tak jest! Zaklinałeś się wpan, że nie chcesz majątku, a knułeś, i odbierasz mi go.

— Panie hrabio, rzekł Juraś: przyszedłem tu tylko po to, aby ci powtórzyć, że tego majątku nie chcę,

że o tém wczoraj się dopiero dowiedziałem że nie rozumiem o co mnie posądzasz...

— Przecież ci go oddają! ten majątek! Któż starał się o to?

— Ja nie wiem.

— Wpan nie wiesz!

— Ale to wiem, panie hrabio, że dziś, zaraz, gotów jestem napisać przyjęcie testamentu, zgodzenie się na to, abyś sobie wszystko zabrał.

— Jak to? spytał hrabia.

— Najprostsza rzecz w świecie. Każ posłać po adwokata, po księgi, napisać co potrzeba: podpiszę. Nieprawdaż, iż to dostatecznie przekona, żem mówił prawdę?

— Cóż chcesz za to? spytał hrabia z niedowierzającym uśmiechem, nie mogąc pojąć Jerzego i przypuścić, by był tak dziwnie bezinteresowny.

— Co chcę? tylko abyś mnie wpan nie posądział odparł Jerzy—i dał mi pokój!

Stryj nie wiedział co począć, zagryzł wargi. Jerzy dobył srebrnego zegarka, spojrzał nań powoli.

— Jest godzina dziesiąta, rzekł: jadę do Robowa, czekam tam do jutra, byście mi znać dali. Możecie zresztą przysłać adwokata, papiery, podpiszę co zechcecie.

— To bardzo pięknie, odezwał się nareszcie hrabia. No, ale kiedy tak... jeżeli już... szanujesz wolę ojca... no! to przecież przyjmiesz coś od stryja.

Jerzy spojrzał nań z uśmiechem.

— Wszakże dziś mam wszystko, nie prawdaż? Gdybym chciał, oddałbym wam część tylko, a sobie bez daru drugą zostawił. Mogę mieć co sam wybiorę,

wszystko. Za cóżbym znówu pozwalał sobie robić łaskę, gdy jój nie potrzebuję?

Ruszył ramionami, skłonił się i wyszedł, a hrabia pozostał osłupiały.

W drugim pokoju stał za drzwiami Malczak, który się zaraz wsunął po cichu.

— Posłać po sędziego! zawołał hrabia: prędko dwóch ludzi, konie rozstawić! w minutę, natychmiast! żywo!

Malczak stał i patrzył.

— Nie do wiary! on mi wszystkiego, odstępuje.

— Bo to taki, jak ja panu mówiłem, głupi chłopiec, rzekł Malczak.

— Sam nie wiem! niepojęte rzeczy się dzieją! co począć! muszę się poradzić.

— Czego się tu radzić? najprzód brać, a potem się radzić.

— Ale ludzie! co powiedzą ludzie!

— Niech co chcą gadają...

— Tak, jednakże to źle być może, i hrabina!... szeptał zamyślony Rajmund.

Dziwna rzecz! hrabia, który w czasie długiego pożycia z żoną żadnej dla niej nie okazywał czułości, który często bardzo długo się z nią nie widywał a nie tęsknił do niej, niecierpliwiąc się jój dobrocią, zżymając na dowody czułości, — teraz, gdy ona uszła mu sama, gdy dom stał pustką, często chwycił się na jakiejs tęsknocie, na pragnieniu widzenia jój i córki, czuł potrzebę rodziny, jakąś o nią obawę, jakiś w sercu niepokój. Dodajmy, że drażliwy na głosy i opinie ludzką, bał się gadania, tłumaczeń, lękał się być ode-

pełnięty, a wiedział, że zazdrość i niechęć różnie wykladać mogą całą tę historję małżeńską.

Kilka razy już sam wybierał się do żony, i w chwili wyjazdu pycha go tylko wstrzymywała; teraz przyszło mu na myśl, że to wyrzeczenie się Jurasia może ieli na wieki poróżnić. Ale z drugiej strony czuł, że majątek tak znaczny postawi go na nogi, może dogodzić wszystkim jego marzeniom, że jednocząc w ręku całą fortunę imienia, świetny los córce zapewni.

Maleczak widział tę walkę na twarzy jego i śmiał się w duchu; bo dla tego bydlęcia nie było wątpliwości i wahania, gdy szło o zabranie grosza.

Jerzy tymczasem lipową ulicą poszedł ku Robowu powoli, przybył, siadł do fortepianu i począł najspokojniej grać z nót rozłożonych dawniej, a marzenia uniosły go w świat inny, daleko, tak daleko, że po z nim znikło wszystko, prócz Loli. Twarzyczka jej okolona włosy jasnemi, jak te aniołki dwuskrzydłe na obrazach, co tylko główkę mają i parę piórek do lotu, ciągle po nad nim się unosiła. Chciał zaraz pojechać do niej, tak tęsknił ku niej, ale musiał, zobowiązawszy się, czekać dwadzieścia cztery godziny na prawników i spełnić dane hrabiemu słowo.

Szczęściem nadszedł Otto, i dzień szybko na muzyce upłynął niepostrzeżony.

Wieczorem przyjechali gryzpiórkowie z papierami, z wejrzeniem osobliwszą zaostrzoną ciekawością, jakby chcieli przypatrzeć się raz pierwszy w życiu spotkanemu fenomenowi, oddającemu miliony dla dzikiej jakiegś delikatności. Sposób, w jaki zapatrywali się na Jurasia, godzien był zaprawdę postrzeżeń; nie wiem, czy bracia Siamscy lub Albinos większąby się im wydawał osobliwością.

Jerzy nie wdając się wcale w rozmowę, podpisywał wszystko, a że ta ceremonia przerwała im *trio* Mendelssohn'a, które grali przed chwilą, rzuciwszy pióro, szczerze i bez przesady zaproponował, aby wrócić zaraz do muzyki. Panowie ci siadali śmiejąc się na bryczkę, gdy fortepian brzmiał już na nowo rozpoczętym *allegro*.

— Słuchaj, rzekł Otto, gdy skończyli *trio* jedno i spróbowali drugiego: stało się! ale żeś glupstwo zrobił, to pewna.

— Jak to? i ty to mówisz?

— Ale-no posłuchaj. Najprzód wszyscy jesteśmy tego przekonania, że ojciec nie chciał cię wydziedziczyć...

— Jednakże na to ja żadnego dowodu nie mam, a na przeciwną wolę jego jest dowód...

— Teraz drugie, rzekł Otto. Pieniądz i majątek to siła; gdybyś miał miecz, a w chwili niebezpieczeństwa oddał go w ręce temu, który go użyć nie umie? Pomyśl tylko, ilu to szczęśliwych mógłbyś uczynić, iluby ci błogosławiło, ile tybyś zrobić mógł dobrego!

— Tak, a jeszcze więcej gdybym miał skarby jakiegoś Monte-Christa. Ale cóż z tego marzenia, jeśli to nie jest moje!

— Któż wie? prawo wyrzeka i powiedziało za tobą.

— Sumienie ma także swe prawa i osądziło inaczej. Niech żyje swoboda! sukmana! praca! cichy dworek i życie ubogie! Jam nie stworzony na pana. Co się stało, to się stało!

Po dłuższej wieczorniej rozmowie, nazajutrz rano Jerzy niespokojny popędził do stryjenki, marząc coraz goręcej w drodze o Loli, o spotkaniu z nią, o tém jak go powita, co będą mówili i jak rozkoszny dzień

z sobą przepędzą. Niecierpliwił się nawet, że konie szły powoli, a im bliżej był, tém n... się zdały wlec nudniej.

Nim bryczka stanęła, wyskoczył i już był w ganku, a rzucając okiem niespokojném wkoło, postrzegł koczyszek wytworny, oznajmujący mu, że zastał gości.

Gość nie w porę gorszy od Tatara, mawiali starzy; Juraś to sobie powtórzył po cichu. Potrzeba mu było saméj stryjenki i Loli, poufałej z niemi rozmowy, uspakajającej, serdecznój, a tu... Zatrzymał się nieco w ganku, tak mu się przykro jakoś zrobiło, ale trzeba było wejść nareszcie.

W małym saloniku, który skromnie, ale ładnie urządzone był staraniem Loli, a wedle opowiadań matki, miał jéj nieco przypominać dawne czasy, siedziała na kanapie milcząca hrabina, obok roztargniona Lola, a na krześle wyprostowany, nadzwyczaj wytwornie ubrany, bardzo piękny mężczyzna, jakby wprost z paryżskich przeniesiony tu bulwarów.

To zjawisko, zwłaszcza w okolicach Warszawy, nie jest tak bardzo rzadkie; jednakże egzemplarz ten odznaczał się pięknością i wart był opisania przez profesora Wągę. Ten piękny okaz rodzaju owadu, który nam zjada niejeden listek zielony, niejedną zabrzydza grzędę, niejeden posiew marnuje, zdałby się do gabinetu entomologicznego.

Emil Bączyński, o ile po świecie dowiedzieć się było można, wcale nie należał do tych liszek, z których się wylęgają motyle salonowe. Ojciec jego *apteros* (bezskrzydły), prosty ziemianin, służywał po panach, był rządcą, potem dzierżawcą, handlował wolami i tém stworzeniem, które nie wiem dla czego

niegrzecznie jest mianować po imieniu, chyba dla tego może, żeby się kto nie poczuł do pokrewieństwa.

Jak z tego, tak prostego człowieka, wyszedł taki wykwinny młodzieniec, trudno pojąć; stało się wszakże, że stary Bączyński starając się, jak to nieraz bywa, zrobić z syna coś lepszego od siebie, dając mu wychowanie bardzo świetne, niespodzianie uczynił z niego jakby nie swojego syna i istotę, która do skromnej kolebki, z jakiej wyszła, niebardzo się miała ochotę przyznawać.

Emilek był tak dystygowany, tak ślicznie mówił po francuzku, tańczył tak pięknie, jeździł konno tak śmiało, miał upodobania tak arystokratyczne i stosunki również od młodości tak pańskie, iż mu już nie wypadało czémś inném zostać tylko paniczem. Była w tém małeńka trudność, gdyż ojca jego, poczciwego Bączyńskiego, znali wszyscy i o pochodzeniu jego skromném dobrze naokół wiedziano; ale kiedy komu Pan Bóg da twarzyczkę i głosik, obyczaj i maniérę pańską, a fortunę przytém, reszty się już jakoś dorobi. I tu się tak stało. Szperając w papierach, gdyż bardzo lubił genealogię, Bączyński niespodzianie odkrył, że rodzina jego należała do najstarszych w kraju, a nieszczęściem tylko, które i szlachtę spotyka, tak podupadła, że ojciec jego służyć musiał. Okazało się jawnie jak na dłoni, że Bączyńscy z Bączyna na Kurzěj Woli i Stawiszynie, herbu Leliwa (nawet), byli w Rzeczypospolitej bardzo zasłużeni, że jeden Bączyński za Zygmunta Augusta był podkomorzym królewskim, że inny za Batorego rotmistrzował pod Pskowem, że za Zygmunta III, o mało inny znów nie został kasztelanem, a potém, a potém—jakaś fatalność

zaczęła ciążyć na rodzinie. Mówiono po cichu, że była waśń między braćmi, że ktoś kogoś w pojedynku ranił, że niebiogospławieństwo boże spadło na nich do dziesiątego pokolenia... Z papierów też okazały się świetne kolligacye z Sobieskimi, Leszczyńskimi, Opałuskimi i z całą przez nich Polską pańską i szlachecką. A że, gdy kto szpera dobrze, zawsze się czegoś dobadać musi, w ostatku Emil Bączyński miał wielkie podejrzenie, że jeden z cesarzów Habsburgów, w poselstwie wysłanemu do Wiednia, dla traktatów o Maksymiliana, Albertowi z Bączyna Bączyńskiemu nadał hrabiowstwo, które tylko *lapsu temporis* i dla ówczesnej równości szlacheckiej zaniedbane zostało.

Miał więc prawo w skutek silnego prawdopodobieństwa pan Emil kazać wyryć na swój pieczęcie koronę hrabiowską; a choć tylko lokaj z początku nazywał go hrabią, choć drudzy nieprzyzwolicie się śmieli z tego—koniec końców był już silny prejudykat do hrabiowstwa. Z takich pogłosek, jak z potwarzy, zawsze coś zostaje. Jeszcze jedno lub dwa pokolenia, a miało się to utrzcć i przejść do rzędu faktów spełnionych, a zatem nieodwołalnych.

Wprawdzie w towarzystwach arystokratycznych, wspomnienie o tym tytule wzbudzało uśmieszki na pięknych usteczkach hrabiów i hrabiątek; ruszano ramionami, ale Emila przyjmowano wszędzie, i nie szkodziło mu to wcale, owszem... Dowiedziona rzecz, że kto ma odwagę przenosić jakiś czas taką śmiesznośćkę na plecach, nagradza mu się ten stoicyzm potem poważaniem powszechnym. Trzeba cierpieć, by być pięknym, powiada francuzkie przysłowie.

Emil zresztą był śliczny, dobrze wychowany i wydelikacony bardzo; więc ta jego dystynkcyja zacierała

pamięć ojcowiskiej prostoty: uchodził w ogóle za *très comme il faut*. Nadewszystko go zalecało, że nie chorował na żadne młode szale, regularny był, chłodny, oszczędny, dobrego towarzystwa, i tak w sobie życie zaszczeniował, zakopertował, zapiał, że mu ani okiem, ani usty, ani miną, nigdy nie wyszło na wierzch. Umiarkowany, niezmiernie przyzwoity, strzegący się wzruszeń i hałasów, mówił cicho, stąpał powoli i ostrożnie, uśmiechał się półgębkiem, a spytany o zdanie, objawiał je w ten sposób, aby ani czarnego nie potępić, ani białego nie wynieść, ani się bezpowrotnie nie zapuścić w stronę, z którejby powrócić było trudno. Entuzjazmu obawiał się jak rzeczy parzącej, na żarty i sarkazmy uśmiechał się, ale do ich preparowania nie należał; był letni, wilgotny, strzegł się być zimnym, nie chciał być gorącym, ani mokrym, ani suchym. Wszystkiemu to temu razem zbiorowisku przymiotów winien był przyznanie tytułu: dystygowanego. Dodajmy, że towarzystwo sobie dobierał tylko dobre, takie, które się zwało śmietanką, choćby owa śmietanka w kwaśny i gęsty zwarzyła się kożuszek. Stosunki jego były wyłącznie arystokratyczne; domy, do których klamek się dobijał, pańskie; gusta i zajęcia wspaniałe.

Byli ludzie, co znajdowali, że Emil przypominał porcelanowego Chińczyka, który tylko w jedną stronę głową kiwa i oczyma rusza, a siedzi zawsze na jednem miejscu i nie się od niego dowiedzieć nie można, prócz że jest mandarynem; — ale złość ludzka jest potężna, a zazdrość jeszcze większa.

Gdy Jerzy wszedł, towarzystwo już miało minę doskonale znudzoną. Lola siedziała wyprostowana, obrywając listki z róży; matka miała oczy wlepione w posadzkę; Emil trzymał kapelusz na kolanach, a głowę

prosto, ażeby krochmalnych kołnierzyków nie wbić sobie w gardło,—i nie wiem już o czém mówiono. Lola postrzegłszy Jerzego, zerwała się, zarumieniała; hrabina się uśmiechnęła. Emil niespokojny, na widok jego powstał; ale rzuciwszy tylko okiem na tę postać energiczną, silną i wcale niedystygowaną, a w stroju nadto prostym, z wyrazem nieprzyzwoitój na czole i ustach szczeroty, usiadł zmieszany, nie sądząc, żeby to było warte uwagi.

Powitano się serdecznie.

— Synowiec nasz—zaprezentowała hrabina—pan Jerzy Góra. Pan Emil Bączyński...

Obu nie dodano hrabiostwa.

Panowie skłonili się sobie grzecznie z daleka.

— Bardzo miło mi.

— Bardzo mi przyjemnie.

Jeszcze raz skłonili się i usiedli. Jerzy uczuł jakby go kto zimną oblał wodą; a Emil nieco ku niemu zawróciwszy głowę, sztywnie i ostrożnie zapięty, oczekiwając się zdawał rozmowy. Charaktery oba, jak dwa sprzeczne pierwiastki, od razu odtrąciły się. Poczuli, że się z sobą nie zgodzą. Emilowi Jerzy wydał się karykaturą; Jerzemu Emil obrazkiem z dziennika mód. Nie mogli trzech słów przemówić do siebie. Hrabina siedziała skłopotana, Lola z uśmiechem porozumienia coraz spoglądała na kuzynka.

— Jakież śliczne mamy lato!

— Co za pora przyjemna!

— Ale dziś gorąco ogromnie.

Te i tym podobne preludya zwiastowały rozmowę nieobfitą w myśli. Pan Emil jakoś przecię skorzystał z niej, by się dostać do Paryża, południowej Francji i Włoch, o których mówił często głosem pieszczot-

liwym, wyuczonym, delikatnym, cichym, napół po francuzku. Zaczął więc przebąkiwać coś o swych peregrynacyach.

Niedaleko i to zaprowadzić ich mogło. Jerzy wszakże zajechał też do Krymu, bo go hrabina tam sama popchnęła. Potém mówiono o owocach; ale jak gorącego kruszcu do zimnej sztaby przylutować nie można. tak tych dwóch charakterów chwilowo nawet zlepicić nie było podobna.

Emil przykrego doznał uczucia, jak to później wyznał przed przyjaciółmi; nie w swoim był świecie, *il se sentit dépaysé*.

Lola spoglądając na obu, nie chciałbym ręczyć, że porównywała tę parawanową litografię z żywą istotą w czarnej sukmanie, na której czole, w oczach, ustach, drgało czucie i życie płynęło.

Emil siedział uparcie, choć się nudził. Jedyłą jego wadą towarzyską było to właśnie, *qu'il ne savait pas s'en aller*, jak mówiła jedna pani, stosując do niego, stworzoną dla kogo innego, dowcipną charakterystykę. Była to resztką nieśmiałości odziedziczonej po p. Izydorze Bączyńskim ojcu.

Wejść i wyjść z salonu było mu trudno; może wrodzona skromność i uczucie to, że nań zwracały się oczy ciekawe, odbierały mu potrzebną odwagę. Powiedzmy nawiasem przytém, że wchodzić i wychodzić rzadko też kto umie.

Jedni wpadają z hałasem; drudzy wchodzi zmiészani, trącając o wszystkie krzesła, nie widząc nikogo. Ci grzeszą przesadą śmiałości, inni egzageracją pokory; a zawsze ta nieszczęsna miłość własna którymś końcem wyjść im musi.

Emil siedział i siedział. Zostawić go z hrabiną, by-

ło nielitościwie skazać ją na męczarnie; dać mu na pastwę żywą Lolę, równie wielkiemby było okrucieństwem. Męczyli się więc wszyscy razem do herbaty, po której nareszcie gość przywdział paliowe rękawiczki Jouvain'a, i pożegnawszy ceremonialnie towarzystwo, uznał za rzecz słuszną odjechać.

Jerzy teraz dopiero odżył, na nowo się przywitał z hrabiną i Lolą, i począł opowiadać im swoje przygody. Marya już wiedziała, że testament został obalony, i to ją czyniło weselszą; ale Jerzy pośpieszył z oznajmieniem, że się formalnie zrzekł spadku.

— I mąż mój przyjął to! zawołała rzucając się na kanapę hrabina.

— Musiał.

— Ale cożeś ty zrobił!

— Com był powinien, stryjenko. Nie mówmy o tém.

Lola spuściła oczy.

— Mógłżem inaczej?

— A! całą moją zniszczyłeś nadzieję! zawołała hrabina. Nie wróćmy teraz do Zarubiniec.

Wymówiła się z tém mimowolnie, ale prędko zamknęła usta i zamilkła. Chwilę długą cisza panowała w salonie; nikt przerywać jęj nie śmiał, Lola nawet gryząc różę w ustach, odezwać się nie umiała.

— Doprawdy—dodał Jerzy—nie rozumiem com zrobił tak złego; inaczej postąpić było mi niepodobna. Gniewać się nie możecie, że wam oddałem...

— To, czego my właśnie nie chcemy, przerwała Marya. Na co nam to? ażeby kupić sobie zgryzoty, a Loli sprowadzić takich jak dzisiejszy konkurentów!

— A, prawda! uśmiechnęło się dziewczę: wszystkiemu Jerzy winien. A tak nas ten pan znudził!!

— Tylko co nie widać drugiego i trzeciego, rzekł

Jerzy wesoło. Ale pociesz się siostrzyczko: możesz ich poodprawiać.

— A nudy! a przykrość! Wiem, że ich nie przyjmę, ale się naziewam i naniecierpliwę z nimi...

Jerzy się śmiał, nadrabiał miną i humorem, bo smutek hrabiny ciążył mu na duszy.

— Jerzy mój, rzekła stryjenka: to już przechodzi delikatność, to po prostu dziwactwo nie do darowania. Znałeś i znasz słabość hrabiego; na cóż ci było korzystać z niej, aby mnie dotknąć boleśniej?

— Stryjenko kochana, odparł Jerzy: ależ tu nie o fantazję chodziło, lecz o powinność, o przekonanie, a uczciwy człowiek nigdy go nie poświęca.

Zamilkli znowu,—a Lola widząc matkę zamyśloną i prawie rozplakaną, kiwnęła na Jerzego, aby ją samą zostawić, i wyszła na ganek.

— Mama każdy smutek wypłakać potrzebuje, odezwiała się po cichu. Siądźmy tu. Nie prawdaż, że u nas ładnie, choć ubogo?

— Prawda: cicho, spokojnie i ślicznie.

— Ale tobie czy się to wyda ładnym, po tych dworach i paniach, u których bywasz? dodała.

— Ja?

— O! ja wiem wszystko! Byłeś u Anety.

— Już wiesz o tém?

— To mnie zajmuje, to mnie prawie niepokoi... cały świat o tém gada.

— O czém?

— Mówią... że Aneta cię kocha... że do szaleństwa kocha... że ty...

Spuściła oczy Lola.

— Al! ja się jój nie dziwuję, dodała: gdybym nie była twoją siostrą, kto wie?

— Ależ ty nie jesteś siostrą moją! przerwał Jerzy, ogniste w nią topiąc wejrzenie; ty jesteś tylko daleką krewną.

— Ale siostrą! siostrą! zawołała czerwieniąc się Lola: bo doprawdy jakby się to odkryło, musielibyśmy z sobą być ceremonialnie, a tak, bardzo mi dobrze z tobą. i mogę spokojnie kochać cię jak brata.

Podawała mu rękę i bliżej przy nim usiadła.

— Ale powiedz mi, spytała: prawdaż to, że ty kochasz Anetę?

— Chcesz prawdy! ale czyż ją zrozumiesz, gdy ci powiem?

— Oho! nie myśl, żeby trzpiotowstwo moje odejmowało mi kobiecą przebiegłość. Spróbuj tylko, mów szczerze: pojnę cię pewnie.

— Więc powiem ci szczerze: Aneta bawi mnie jak ładny obrazek, ale gdy odjadę, znika mi z oczu i z serca, nie myślę o niej wcale; a ty, co jesteś mi tylko siostrą, ciągle jesteś ze mną. Twoja twarzyczka, twój głos ścigają mnie wszędzie; gniewam się nawet trochę na tych nieznośnych natrętów.

— A! niedobry Jerzy! czyżem ci się tak naprzykrzyła! Ale Aneta bawi się tobą jak ty nią, a ja... ja... rzekła ciszej—ja ścigam cię sercem i duszą, bo bardzo cię kocham... jak brata.

— Tylko jak brata? westchnął Jerzy.

— A, wszakże inaczej nie mogę!

— A gdybym nie był twym bratem?

— No, tobym może czuła toż samo, ale ci nie powiedziała tego,— odezwała się prędko Lola, porywając się z siedzenia zarumieniona i drżąca.—Ale czekaj, mama nas woła!

I wbiegła do salonu. Jerzy pozostał w ganku z bi-

jącem sercem i przytuloną do czoła dłonią. Co się z nim stało, nie wiedział. Ta krótka rozmowa, tych słów kilka wzburzyło go, chaos w piersi, chaos zbudziło w sercu! Nie mógł wniknąć do salonu, bo mu się zdawało, że każdy wyczytałby w jego twarzy uczucie, które nim wstrząsało, a najpierwsza matka. Lola wróciła po chwili do niego, a widząc go niespokojnym i pogrążonym w zadumie, spytała:

— Co ci to jest?

— Nic, tylko szczęśliwy, odparł Jerzy. Nie chcę niczem zmącić wrażenia szczęścia...

Ona powoli wyciągnęła ku niemu dłoń drżącą, potem pochyliła się i czoło gorące przytuliła do jego czoła; i oboje nie postrzegli się, nie wiedzieli sami, jak usta ich spotkały się w tym pocałunku poety, bez namysłu, bez wstydu, gwałtownym i koniecznym a czystym jak uścisk dwóch aniołów płynących przez niebiosy. Gdyby tysiące ludzi patrzyło na nich, gdyby nad ich głowami zawisł piorun śmierci, nie postrzegliby groźby, nie obawialiby się kary...

Lola wreszcie podniosła twarz, jakby wychodząc z upojenia, jakby nowym życiem objęta, drżąca, wzruszona, szczęśliwa.

— Bracie, rzekła głosem osłabłym: chodźmy. Nie wiem co się dzieje ze mną, co się z nami stało; ale czuję jakbym nową, inną istotą oderwała się od ust twoich, jakbym wstała pobłogosławiona do życia... Już się ta chwila nie powtórzy może nigdy; ale byłam tak szczęśliwa! Ja ciebie kocham, ja kocham ciebie!

I wymówiwszy te słowa szybko, ciągnąc go za rękę, wbiegła z nim do matki, upadła przy niej na krzesło, łzawemi od szczęścia oczyma wpatrując się w jej osmuconą twarz.

— Jerzy mój, bracie, nie dajmy jój się tak smucić! Kłękniéjmy przed nią, prośmy jój, niech się rozweseli. Na co ta chmurka na takim dniu jasnym?

Jerzy byłby dał dla niéj życie teraz, więc pobiegł żywo ku hrabinie, i pomału reszkę niewinnego pocaunku, którym gorzały mu usta, złożył na jój rękach.

— Stryjenko, matko kochana,—rzekł—nie smuć się. Jeśli my pobiłdaliśmy, Bóg to naprawi, miejmy nadzieję; ja zrobię co tylko zechcesz.

— Mój Jerzy, dziś już to nie w twojój mocy.

— Matko droga, posłuchaj, uważ: dziś całkiem inaczej stoją rzeczy niż były. Stryj mógł być winien w twojém pojęciu, gdy mi z mocy testamentu zabierał ojcowiznę; dziś wziął to tylko, com mu ja z dobrej woli mojej odstąpił. Któż mi zabroni być dziwką? Kto zaprzeczy prawa rozporządzania tém, co wczoraj było moje?

— Ale możeszże nic nie żądać? nic nie mieć?

— Mam serce wasze, mam ręce zdrowe, przyjaciół, młodość, swobodę...

Lola zerwała się weselsza.

— A widzisz, mamciu, Juraś doskonale mówi! Juraś ma zupełną słuszność! Jego potrzeba słuchać i nie płakać. On sobie dziwak, ale tak piękny i poczciwy fantastyk, że mu wolno być trochę innym niż ludzie. A zresztą, wie mama co ja powiem?

— Co, dziecko moje? wyciągając ku niéj dłoń i tuląc ją do siebie, spytała matka.

— Co? Oto że ja przecież coś mieć będę: no, to ja co mam, oddam Jurasiowi, a odemnie, ręczę, że weźmie.

— Od ciebie?

I podnosząc oczy na nich oboje, matka przeczuła

macierzyńską piersią, bo postrzedz nie mogła, że tych dwoje dzieci bliżej siebie stoi niż sądziła. Na twarzy Loli błyszczało rozpromienione szczęście, był jakby rozkwit wejrzenia i uśmiechu, z dziecka nagle stała się kobietą: tak jeden pocałunek wiele nowego wlał w nią życia.

— Od ciebie, moja Lolu? od ciebie?

— Ja mu oddam co będzie mego, a mnie Jerzy nie odmówi!

Jak winowajca Juraś spuścił oczy.

— Doprawdy? spytała matka.

— Życiabym Loli nie odmówił, rzekł młody chłopak.

— A! dzieci! dzieci! szepnęła hrabina, i zamyśliła się nagle jakoś [chmurno, jakoś niespokojnie, ale już było po czasie.

Jeszcze godzinę długą, która im przeleciała jak błyskawica, mówili z sobą i siedzieli, aż Jerzy oznajmił w końcu, że powołany przez starą przyjaciółkę ojca, musi jechać do Pińska, że wstąpi do Horycy dla odwiedzenia sług starych, i za parę tygodni spodziewa się powrócić.

— To dobrze, szepnęła cicho Lola; bo choć ja ciebie nie zobaczę, ale i Aneta widzieć nie będzie.

Matka dosłyszala.

— Co mówisz, Lolu?

— A! to sekret, mamo: nie chcę, żeby Jerzy nadto często bywał u Anety; wiem, że ona w nim szalenie się pokochała, i boję się.

— A jeśli on ją kocha także?

Lola potrząsła główką.

— Ja tego nie chcę; on mnie tylko kochać powinien... ja jestem zazdrośna o niego.

— Jak to! siostra?

— Trochę jak siostra... zresztą, ja nie wiem... Może-
bym popłakawszy odstąpiła go innój: Anecie nigdy.

— Czemuż nie Anecie?

Lola milczała trochę.

— Jestem zazdrosna. Aneta kochać nie umie: czu-
ję to w duszy mojej. Zresztą, może to wszystko dzi-
wactwo. Juraś dziwak, to i ja mogę być także tro-
chę dziwaczką.

Ale noc się zbliżała, i Jerzy nareszcie odjechać
miał. Pożegnał matkę, potem Lolę, która w długiem
ściśnięciu trzymała jego rękę, potem wzrokiem przy-
kuła go jeszcze do siebie, potem pod pozorem jakie-
goś rozkazu wybiegła przeprowadzić go w ganek, i nie
puszczając jeszcze, szepnęła przy rozstaniu:

— Jerzy! jam dziecko, nie prawdaż? ale cię kocham!

— Znajdź słowo, aby ci odpowiedzieć? Tyś moja,
ja twój jestem na zawsze! na zawsze!

— Pamiętaj! na zawsze! na zawsze! Bóg słyszy,
a gdybyś mię opuścił, przysięgam ci, jabym umarła.
I znikła mu z oczu.

Nie wiem czyśmy tę scenę niespodzianą i dziwną
a nagłą potrafili odmalować jak ona zajaśniała w ży-
ciu Jerzego, czystą i niewinną, jasną i piękną pro-
stotą swoją.

Lola uległa szybko gwałtownemu uczuciu, które ra-
chowac nie miało; pierwszemu rozkwitowi miłości,
która poczęła się wybuchem i wybuchem objawić mu-
siała. Jerzy pojął teraz, że kochał ją od chwili gdy
zobaczył, równie gwałtownie; że rozmyśl tylko, obawa,
przyzwyczajenie, wstrzymały go od przypuszczenia, że to
mogła być miłość, od rzucenia się ję na szyję z tym
wykrzykiem: „Kocham ciebie!”

Co dalej być mogło? jak skończyć się miały nadzieje? marzenia? nie myśleli oboje. Im dosyć było kochać się i być siebie pewnymi.

Gdy Lola powróciła do salonu matki, hrabina, która już coś dostrzegła, przywołała ją do siebie.

— Lolciu, ale ty doprawdy nadto jakoś gwałtownie przywiązałaś się do Jerzego?

— Ja, mamó? całą duszą, tak mocno...

— Może za nadto mocno, może zbyt śmiało i nagle.

— Ale ja mówiłam mamie—odparła Lola—że gdyś go pierwszy raz zobaczyła, zdało mi się, że mój anioł stróż stanął przedemną.. Uczułam coś takiego, jakby mnie oblały blaski, jakby z niebios zstąpił posłaniec, jakby... Nie! tego powiedzieć nie można.

— Dziecko moje! to nie jest miłość siostry, na Boga!

— Ale on nie jest bratem moim, sam mi to mówił... Ja nie wiem zresztą, mamciu, ja go kocham, bo o tém nie myślałam, bom tego uczucia nie wymarzyła... samo ono przyszło jak piorun i porwało mnie jak burza.

— Lolul dziecko kochane, co mówisz?

— Prawdę mamó...

— I mówiłaś to jemu?

— Mówiłam...

— A on... na Boga, cożeś zrobiła!... a on?

— O! bądź spokojna, mamciu drogą! on mnie tak kocha jak ja jego; on jest moim a ja jego na zawsze... na wieki!

Nic bardziej przerażającego nie mogło być dla hrabiny nad to wyznanie. Jój pojęcia, pobożność, bojaźli-

wość, czyniły myśl samą tego związku prawie świętokradztwem... Wstrząsła się, pobladła, załamała ręce.

— Al! to nowa kara boża! Nie wiesz chyba i nie pojmujesz jak jesteście bliźcy sobie, że prawa bożkie i ludzkie was rozdzielają. Nigdy nie możecie być czémś inném tylko siostrą i bratem, nigdy żoną i mężem; karze Bóg, nie błogosławią ludzic, wyklina kościół, świat wyszydza i odpycha....

Lola pobladła jak marmur.

— To być nie może! rzekła. Cożem ja winna, że kocham? za cóż nam jednym na świecie ma być zabroniona miłość?

— Miłość braterska, ale...

Hrabina wytłómaczyć się jaśniej nie mogła.

— Ale nigdy nie możecie być mężem i żoną...

— A na cóż mężem i żoną nazywać się mamy koniecznie? odpowiedziało dziecię czyste z uśmiechem anielskim. Ja nie pójdę za mąż nigdy, on się nigdy nie ożeni, pozostaniemy razem, wierni sobie, byle nam nie przeszkadzało całe życie zostać z sobą, patrzeć na siebie, kochać się, i kochać do śmierci.

— Ale świat? ale ludzie?

— A cóż światu i ludziom miłość nasza zaszkodzić może?

— Dziecko drogie! al! tego ci matka powiedzieć nie potrafi! Ale hamuj uczucie, póki nie pojmiesz wszystkiego, co dziś dla ciebie ciemne...

— Moja nannciu, to jakieś tajemnice, odparła Lola; ale powiedz mi choć to, dla czego kochać nie można, nie żeniąc się, i kochać serdecznie?

— Dość tego dziecię moje, dość, uspokój się. Niech ci Bog zesze pokój, bo na mnie padła nowa trwoga, której ty nie pojmujesz...

— Nie! Jam spokojna i pełna ufności w Boga! rzekła Lola kładąc rękę na piersi. I ty, mamo, możesz być spokojna...

Od śmierci hrabiego życie panny Izabelli Moroszówny wielce się zmieniło. Jakkolwiek zawsze była zamknięta w sobie i niełatwo było dojść co się w myśli jej dzieje, po pewnych oznakach postrzegano, że cierpi, że jest niespokojna, że ją tajemnie gryzie myśl jakaś skrywana. Porzuciła prawie tę muzykę, którą żyła jedynie, całe noce chodziła po pokojach z głową opuszczoną, a gdy pocziwa sługa przyszła namawiać ją do snu, stała przed nią, odzywać się musiała coraz głośniej i nieposłyszana ciągnąć musiała swą panię, aby ją z zadumy obudzić i prawie gwałtem do jej pokoju odprowadzić. Tak samo we dnie, tylko razy kilka posyłała po Żerebę, dowiadując się o interesa, z których najpilniejszym dla niej był testament hrabiego. Żereba kiwał głową, nie mogąc tego zrozumieć; ale konie porozstawiał i miał coraz świeże wiadomości, a gdy testament obalony został, dano znać zaraz drugiego dnia do Pińska tą pocztą zaimprovizowaną. Panna Izabella zdawała się nieco uspokojoną. Cóż gdy w parę dni nowy posłaniec z dziwną wieścią i obszernym listem od Szperki, że Jerzy dobrowolnie rzekł się całuteńkiego spadku na stryja!

Żereba nie wiedział już jak z tém pójść do pani, przewidywał burzę, a bardzo pragnął, żeby sobie do zwykłego trybu życia powróciła, z czém mu było daleko wygodniej.

Utaić przecię nie było podobna, i rano z tym lis-

tem poszedł zafrasowany, jak najwymowniejsze gółując sprawozdanie.

Gdy jój o plenipotencie oznajmiono, wyszła panna Izabella, jak zawsze ubrana bardzo skromnie, z twarzą od kilku tygodni postarzałą i zmienioną. Piękne jej oczy wpadły, policzki pobladły, czoło się pomarszczyło, gęściejszy włos srebrny przebijał się na głowie. Zawsze jeszcze piękna i poważna, teraz nosiła na sobie majestat głębokiego smutku, w który obleczone, prawie straszną wydała się Zerebie.

— Co tam chcesz panie Ignacy? Możebyś obszedł się bezemnie? jestem cierpiąca.

— To sprawa osobiście tycząca się jw. pani, rzekł adwokat z ukłonem.

— Jaka?

— A to nieszczęsne rozporządzenie nieboszczyka hrabiego... znów nowe rzeczy.

— Wszakże testament obalony?

— Jakem to miał zaszczyt zwiastować—rzekł Zereba, nie uwalniając się od deklamacyi—tak było; ale zaszły nowe okoliczności.

— Cóż mogło zająć? spytała przestraszona panna Izabella.

— Ten młodzieniec, dziwak, nie dosyć, że sam nie chciał dotknąć testamentu, że poddał się wyrokowi od razu, teraz znowu zrzekł się sądowego na swą korzyść rozstrzygnięcia i całego majątku na rzecz hrabiego.

— Jak to! zrzekł się? wszystkiego?

— Jakem miał honor mówić.

— A stryj?

— Szperka pisze wyraźnie że wszystko przyjął.

Panna Izabella podniosła głowę, obruszyła się, targnęła, zmarszczyła.

— To być nie może! zawołała.

— Są listy, są dowody, jest kopia zrzeczenia.

— I cóż mu pozostało?

— Nic.

Była chwila ciężkiego milczenia.

— Prosiłście go w moim imieniu, żeby tu przyjechał?

— Uczyniłem stosownie do woli, i mam nadzieję, że przybędzie.

— No, stało się... sama do siebie zamyślona odezwiała się panna Moroszwówna: na to nie ma ratunku.

— A kosztą znaczne jak w błoto rzucone, dodał Żereba. Niemiała rzecz, bośmy musieli przeciwko mu działać...

— Ileż tam?

— A jednak kilkanaście tysięcy złotych.

Panna Moroszwówna nie odpowiedziała.

— Co pani raczy rozkazać? spytał Żereba.

— Na teraz nic jeszcze, lub... czekaj...

Namysłając się przeszła powoli po pokoju.

— Po obiedzie wezwiesz wpań do mnie pana Trzeciakowskiego.

Trzeba wiedzieć kto był pan Trzeciakowski, aby zrozumieć wrażenie, jakie to nowe żądanie wywarło na adwokata, który zbladł, zżymnął ramionami, poruszył się, chciał przeczytać, i pomyślawszy, zamiłkł posłuszny.

— No! już znów Trzeciakowski na placu! rzekł do siebie wychodząc. Otoż do czegośmy doszli!

— Panie Ignacy, odezwiała się za wychodzącym

panna Izabella: jeszcze słowo. Jeżeliby Trzeciakowski nie chciał przyjść do mnie, ja pójdę do niego; powiedz mu to. Koniecznie z nim widzieć się muszę.

Trzeciakowski był urzędnikiem niegdyś od wyborów, sływał ze znajomości prawa, a co lepsza, z nieposzlakowanej uczciwości. Był on dosyć śmieszny; nosił strój z czasów, w których był młodym i ubierać się lubił; przesadna postawa, peruka, fizyognomia, sam sposób wyrażania się zbyt wyrazisty i dokładny do zbytku, czyniły go dosyć nudną karykaturą. Ale nikt jeszcze w potrzebie nie zawiódł się na Trzeciakowskim. Była to prawość i sumienie chodzące. Gdy kto miał ważną jaką sprawę, potrzebującą tajemnicy do spełnienia, wzywano Trzeciakowskiego. Choć ubogi i obsadzony dziećmi, stary był sumienny i bezinteresowny, za poradę nawet nigdy nie nie przyjął, i wszędzie gdzie był, przyjmowano go tylko łakociami, gdyż jak dziecko słodczye lubił, a prócz miodu i rodzenków, w domu przez oszczędność innych sobie nie pozwalał. Za to w obcych domach łakomy był do śmieszności.

Żereba nie cierpiał Trzeciakowskiego, i ruszał ramionami, gdy o nim była mowa, a wyśmiewał go wszelkimi możliwymi sposobami, nie dopuszczając nawet, żeby dobrze znał prawo, cytując porobione przezeń omyłki formy, prócz których wszakże nie nie mógł mu zarzucić mimo najlepszych chęci.

Byłby Żereba może próbował nie zastać go w domu, powiedzieć, że chory, lub tym podobnie, ale mu panna Izabella zapowiedziała, że gotowa sama pójść do niego, i to zmusiło pójść prosić na poohiedzie, choć kwaśno i niechętnie.

Trzeciakowski popatrzał mu w oczy, pokiwał głó-

wą, poprawił peruki, i z właściwą sobie dokładnością począł pytać:

— Czekajże wpan, co znaczy: po obiedzie? Obiad chłopci jedzą o dziesiątej rano, na wsi szlachta o dwunastój, ja o pierwszój, inni o trzeciej, a mówią, że za granicą dają go i o szóstój,—więc wytłómacz mi co to jest: po obiedzie?

— No! ja myślę nad wieczorem, odparł Żereba.

— O godzinie?

— Trzeciej... czwartej...

— Zatem której?

— Naprzykład pół do czwartej.

— Bardzo dobrze; więc o pół do czwartej. Bądźże wpan łaskaw pokazać mi swój zegarek?

Żereba dobył niecierpliwie się Breguet'a, sprawdzili oba.

— Pięć minut różnicy, będę punkt na pół do czwartej, i proszę złożyć moje uszanowanie.

O godzinie naznaczonej, już na stoliku stała butelka starego wina, konfitury, orzechy, pomarańcze, przysmaki wreszcie domowej roboty, pierożki, tłuczone, makagigi. Panna Izabella chodziła po pokoju, gdy punkt o pół do czwartej ukazał się z łaską w ręku, w ryżej peruce pan Trzeciakowski, kłaniając się, okiem mierząc minowolnie rozłożone na stole słodycze, które go od razu w bardzo dobry humor wprawiły.

Ucałowawszy podaną rękę, zaproszony siadł na kanapie, a panna Izabella obejrzawszy drzwi i rozkazawszy surowo nie wpuszczać nikogo, gdy stary począł się brać do słodyczy, nie wiedząc tylko jak racjonalnie je ułożyć w porządku, by jedno drugiemu smaku nie odejmowało, odczuwała się z westchnieniem:

— Szanowny panie, mam wielką prośbę.

— Cały jestem na usługi... Czy to jest róża w domu smażona?

— Nie, kupna.

— Kijowska, od Bałabuchy, to się zaraz postrzeża..
Słucham, słucham.

— Czuję się niebardzo dobrze na zdrowiu, nie chciałabym bez rozporządzenia umierać.

— Ale na Boga! czyż to o tém myśleć w wieku pani!... Róża przedziwna!

— W każdym wieku się umiera.

— Święta prawda!... Śliczne pomarańcze.

— Uprosiłam więc pana dobrodzieja, bo nie żyłabym sobie, żeby kto wiedział o mojem rozporządzeniu, a chciałabym, aby było niewzruszone.

— To się rozumie, rzekł Trzeciakowski; i zrobimy mocno... Wolno spytać, czy tłuczenie są asani dobrodziejki?

— Robione w domu.

— Massa osobliwszój delikatności, proporcya skórki pomarańczowój wyrozumowana... Ale o czémżeśmy mówili? bo te delikatesy robią mi dystrakcyę.

— Mój kochany sędzio, możeby spisać, bo nie zapamiętasz?

— Będziemy pisali... (odsunął nieco tacę, biorąc co napadł z brzegu). Kalamarz, pióro i papier widzę w pogotowiu. Najprzód tedy stan czynny majątku.

— Oto jest gotowy, odpowiedziała panna Izabella, dobywając papier. Sporządziłam go z pamięci. W kapitałach, nieruchomościach ocenionych nizko, różnych sprzętach, obligach pewnych, summa...

Trzeciakowski spojrział, i przestraszony upuścił tłuczeńca.

— Możeż to być?

— Tak jest, po cichu odezwała się panna Morozówna. Praca i oszczędność wiele mogą.

— Straszne rzeczy! straszne rzeczy!

— Krewnych nie mam, żadnej rodziny nie znam.

— A więc zapewne na dobroczynne zakłady? spytał Trzeciakowski.

— Mam myśl inną; chcesz mnie pan wysłuchać?

— Słucham, słucham, z duszy i serca.

— Mam sobie wiele do wyrzucenia; wyrzuciłam krzywdę, a raczej ubocznie wpłynęłam na jej wyrządzenie; chcę to naprawić. Znałeś wpan hrabiego Górgę?

— Hermana? O mój Boże! doskonale! Miał stare sery jabłkowe wyborne, rzekł Trzeciakowski; raz'em ich tylko kosztował, ale ich zapomnieć nie mogę. Bardzo zacny był człowiek! Świeć Panie nad jego duszą! Pełne szafy łakoci. Komu się to dostało?...

— Syn został wydziedziczony, brat objął majątek.

— Ze spadkowego majątku? syn? to być nie może!

— Sam się zrzekł.

— Nie rozumiem.

— Dziwactwo! Ale mój sędzio, tu nie o to już idzie. Czuję się być winną w całej téj sprawie; nie mam krewnych; synowi hrabiego, Jerzemu zapisuję wszystko ..

— Wszystko! powtórzył Trzeciakowski—wszystko!

— Wyjawszy legat dla Żereby i kilka mniejszych, które tu są spisane. Testament chcę mieć ważnym, a spodziewam się, że mi nie odmówisz pomieścić w nim tysiąca dukatów dla córek... Ofiarowałabym je ojcu, ale wiem, że ich nie przyjmie.

Trzeciakowski się skłonił.

— I ja nie wezmę—rzekł—i moje córki nie przyjmą. Nie! nie! tego nie potrzeba. Umieć cenić sza-

cowną dla mnie łaskę pani dobrodziejki, ale to być nie może. *Quo titulo?* Już to z tego nic nie będzie, i nie ma potrzeby.

Panna Izabella nie nalegała, wiedząc, że stary był w tych rzeczach nieugięty.

Rozpatrzono papiery. Sędzia rozklassyfikował je drobnostkowo, ponumerował, ułożył, i zaczął znowu zakąsać słodyczami, z których miseczki nadzwyczaj szybko się opróżniały.

Pozostały tylko gruszki surowe, za twarde na stare zęby, i śliwki, których nie lubił sędzia, bo mu tam jakieś farmaceutyczne powidełka przypominały. Gdy wreszcie nic już prawie na tacy nie było, zasiadł na kanapie, aby po dwoistój pracy odetchnąć; poprawił peruki, i począł opowiadać, jak miał być sporządzony testament.

Rzecz trwała długo i była nudna, dla tego jęj nie powtarzamy; ale sędzia czuł się w obowiązku wyliczyć i zacytować prawa, zwyczaje, formy, a nawet przytoczyć niektóre ciekawsze wypadki nieważności testamentów, liczbą świadków lub stosownemi pieczęciami nieopatrzonych.

Narada byłaby się może zbyt już przeciągnęła, gdyby nie nadchodzący wieczór, który zmusił ją przerwać. Dopełniwszy co za niezbędne uważał, Trzeciakowski wstał, włożył rękawiczki, przygotował się do drogi, i przestrzeżony, że o rozporządzeniu Żereba wiedzieć nie powinien, poszedł powoli do siebie, myśląc o zjedzonych konfiturach, a bynajmniej o tysiącu dukatów ofiarowanych, których przyjęcia odmówił.

Panna Izabella uspokojona i weselsza, pierwszy raz od dawna poszła grać na salkę, a głos fortepianu wyrwał z ust przywiązanej służącej uśmiech i wykrzyk:

— No! to już chwała Bogu, będzie zdrował

Nazajutrz próżno czekały łakocie na Trzeciakowskiego, nie przyszedł; aż trzeciego dopiero dnia zjawił się z gotową rzeczą, opracowaną troskliwie, z podpisanymi świadkami, pieczętkami, annexami i co było potrzeba.

Odczytano rozporządzenie raz i drugi, p. Izabella złożyła podpis, i wstała z twarzą rozjaśnioną, chowając testament, którego druga kopia została w sądzie złożona.

— No! a jeśli ten waryat i tego testamentu się wyrzeczy? zapytał sędzieja zajądając: co wówczas?

— To być nie może.

— Zrzekłże się przecie po ojcu. Możeby położyć jakie zastrzeżenie na wszelki wypadek?

— Zastrzeżenie myślbymu poddało, odezwała się p. Izabella. Niech Bóg czyni co chce... Zrzecze się, weźmie ktoś przecie. Cóż mi tam! nie mam nikogo, obojętna mi komu zostawić: ubogim, złym czy dobrym, to już nie w mojej mocy. Ja robię, do czego się czuję obowiązana; Bóg resztę...

Sędzia zamilkł, spełnił już missyę swoją, zjadł zuowu tacę słodocy, otarł usta i odszedł wesoly, niosąc pełne kieszenie łakoci pod pozorem, że dla dzieci.. Tego może jednego w życiu zobowiązania nie był. w stanie spełnić sumiennie, bo w drodze zaraz mocno fideikomis nadwergżył. Dzieciom zostały podobno gruszki suszone i antypatyczne śliwki; o reszcie sędzia nie wspomniał...

Radwanowicz z Lacyną grali sobie w warcaby, a siedzieli naprzeciw okna; Paweł dla rozerwania samotności zszedł do nich także, i spoglądał na graczy, obrażając w milczeniu tabakierką.

— Biorę królową, zawołał Lacyna.

— Królowa, *alias* dama, *unum et idem*, bo wszystkie królowe są damy, a wszelka dama królowa... Sc miramis, zkad zaraz... Wschód, Medya, Persya, Babilon i...

— Biorę trzy...

— Gdzie? gdzie? jak? co?

— W Babilonie!

— No mniejsza o to, odparł Radwanowicz: i ja biorę.. Brać, słowo piękne, brać gdy dają i brać gdy nie dają. Ztąd wojna i bohaterstwo; znowu Aleksander macedoński, ku któremu wracać lubię, bo to był wielki człowiek choć hulaka; dalej Arystoteles, i cóż? Kwintus Kurcusz? Pan czytałeś Kwinta Kurcusza, mości Lacyno?

— Nie.

— Możesz go i nie czytać. Kwintus nazywał się dlatego, że nos spuścił na kwintę; a chodził w kurcie, zkad Kurcusz. Czegoż się można nauczyć od człowieka, który chodzi w kurcie, a nos ma na kwintę? Hołota historyk, nie prawdaż? Al! ale wpan go nie czytałeś?

— Nie: biorę jedno...

— Gdzie, gdzie? Tfu! No! no! mniejsza o to! Jedno, jedność, wielka i mistyczna liczba. *Hen kaj pan...* Wpan nie uczyłeś się po grecku?

— Nie.

— To i lepij... Nie masz wyobrażenia, jaki to je-

zyk balamutny: litery pokręcone jak w konwulsjach, a każda bestya z ogonem... Ogon, *cauda*; *Lucium a cauda*? Ha! lubisz wpan szczupaka?

— Na wpana brać.

— I owszem, biorę z przyjemnością. Czekaj! a! tak! O czémże była mowa? Mowa, *sermo*, wymowa, *eloquentia*, Demostenes i Cycero... I... *pro domo sua*... Takich mówców *pro domo sua* przepaść, choć nie Cyceronów; przedmiot łatwo natchnie. Ale my oba, panie Lacyno, domów nie mamy, i przez to okazyi do wymowy jesteśmy pozbawieni.

— Jak się wpanu zdaje, dodał po chwili: czy nas wypędzą?

— Nie, rzekł regentowicz. Ale że nam tu tak jak za nieboszczyka nie będzie, to nie; już zaczynają wyznaczać wszystko pod miarą i wagą.

— Skusznic, jest to troskliwość o zdrowie nasze, regentowiczu, a nie żadne skąpstwo. Troskliwość, *solicitude*. A nużbyś ty utył jak ja i począł sapać?... Żadnaby panna za ciebie nie poszła, z obawy, że nie dałbyś jój zasnąć; a znowu nie jesteś tak zabawny, aby bezscenność osłodzić?...

— Co wpan już pleciesz! Wygrałem.

— Bóg zapłać! Cożes wpan wygrał? zapytał Radwanowicz: co?

— No, partyę!

— Dudka na kościele! winszując; a ja przegrałem i nie umrę z desperacyi... Śmierć! co jest śmierć, panie Lacyno?

— O mój Boże! jak on plecie!

— Plotę? znowu plotę? Kto żyje, umiera; co nie minie: o tém się potrzeba naradzić i namyślić. Co

jest śmierć? zapytuję w imieniu ks. Baki. *Mors ultima linea rerum*. Z drugiej strony: co jest życie? nie wiesz wpan, panie Lacyno?

— Zawsze się ciebie żarty trzymają.

— Nie; *seriosissime...* *Vita*, życie; tajemnica, fig, mig, i skończyło się, jak świeczkę zgasił... głupia rzecz, panie Lacyno. Sokrates to powiedział, pijąc cykutę; a cykuta inna jest od cykaty, którą baby wielkanocne wysadzają. Zdaje się, że i ten filut Seneka napił się tego samego, aby być podobnym do Sokratesa.

— Co ja tam wiem!

— A, powinienbyś wiedzieć, panie Lacyno, choćby to... Seneka wielka figura: *percursor* chrześcijaństwa, żył nie do rzeczy, ale śmierć to mu się ślicznie udało... Na urząd!

Lacyna ziewnął, Paweł westchnął, Radwanowicz sapać zaczął.

— Zagramy jeszcze partycę? spytał regentowicz.

— Zagramy. Ale powiedz mi, kto wynalazł warcaby?

— Któż wiel

— Ja nie wiem, dla tego pytam; a p. Paweł?

Siermięzki przywykły do tych wybryków, ruszył tylko ramionami.

— Panie Pawle, daj tabaki; mówią, że ona ożywia i mózg rozwesela, ale nos smuci, dodał professor.

— Oho! tabaka! to rzecz pocziwa! rzekł Paweł.

— Nie przeczę. Kto zaczyna?

— Ja—rzekł Lacyna,—baczność!

— Raz, dwa, trzy...

Ale nie zaczęli partyi, bo Wicek wpadł zadyszany.

— Panicz przyjechał!

— Kto? jaki? porwali się wszyscy.

— A no! panicz! pański syn!

— Gdzież jest?

— W ganku, i pyta się o p. Lacynę i o p. Pawła.

Wszyscy jak stali, przewróciwszy warcabnicę, wybiegli ku gankowi, gdzie w istocie stał Jerzy, przyszedłszy pieszo z miasteczka od ks. Mizeryi, którego najprzód odwiedził. Powitano go okrzykami radości, a stary Siermięzki kręcił się, nie wiedząc czém go i jak miał przyjmować... Myśleli już, że im na dobre powrócił.

— Chwałaż Bogu! a to pan z nami znowu?

— Jakżeśmy tu tęsknili po panu!

— Chociaż rozmaicie tu było... począł Radwanowicz; ale nie dokończył, bo Jerzy się odezwał:

— Moi kochani przyjaciele, ja tylko tu przejazdem do was umyślnie w odwiedziny przybyłem, ale nie powracam do Horycy. Wszystko zostało jak było. Szło mi tylko o to, bym się przekonał, czy wam czego nie braknie, bobym się mógł upomnieć.

Paweł spojrzał mu w oczy.

— Oho! tu nie ma nic złego, ale pustki; kilka lat, a i domisko się zawali, och! i szkoda go będzie... A ja tu nie wytrwam i za wami taki pójdę..

— Dobrze, jak ja swój lub pożyczany kątek mieć będę. Bezpieczniej wam tu jeszcze, bo ja niekoniecznie wiem gdzie głowę przytulę. Młodemu to nie, a starym już ciężko się wałęsać.

— Jaby to samo co Paweł zrobił, rzekł Lacyna; ale muszę pilnować gospodarstwa, bo tu bezemnie wszystko do góry nogami przewrócę.

— Mnie też biblioteki porzucać nie wypada, bo to tego jak oka we łbie strzedz potrzeba, rzekł Radwa-

nowicz: myszy, szczury, pył sprzysiężeni na nią nieprzyjaciele, knujące spiski wrogi... *Conjuratio Catilinae*, a szczur tu reprezentuje Katylinę...

— Zostańcie więc, rzekł Jerzy: zostańcie; mam nadzieję, że tu wam tak źle nie będzie. Zapewniłem wam spokój i to wszystko do czegoście przywykli.

Paweł machnął ręką, jakby mówił: Co mi tam!

We czterech potem poszli z Jerzym oglądać domowstwo, którego on gdy pierwszy raz przybył, prawie nie widział, i ze wspomnień tylko dziecińczych miał je w pamięci.

Niewiele mu się też tu zmieniło od młodych lat, mniej jeszcze od śmierci ojca, w którego pokoju ogień tylko wygasł na kominie. Paweł nigdzie sprzętu nawet poruszyć nie pozwalał. Radwanowicz z kolei powiódł go do swjej biblioteki, którą się pragnął pochlubić.

Była to salka cała od góry do dołu wypakowana, dosyć skromnie na sosnowych i dębowych półeczkach umieszczonemi książkami, bez żadnego porządku. Radwanowicz nigdy nie mógł przyjść do systematycznego ich układu, utrzymując, że każdą książkę w chaosie tym może znaleźć na zawołanie, a gdyby inaczej je uporządkował, do niczegoby nie trafił. Leżały więc jak Bóg dał, w największym zamęciu, jak wiadomości w głowie Radwanowicza, i przedstawiały obraz dziwny nagromadzonych płodów fantazyi, umysłu, nauki z najróżniejszych świata duchowego krańców. Radwanowicz pysznił się swą biblioteką, i rzeczywiście poznawał w niej każdego mieszkańca, dziwnym jakimś instynktem, po okładce, po barwie, po wzroście, po cechach dla innego niedostrzeżonych.

Jerzy popatrzał na to z uczuciem, przypominając, że te stosy były jedyną ostatnich lat ojca pociechą

i rozrywką. Książka, którą czytał przed śmiercią, Tacyt, ulubieniec Hermana, leżał jeszcze roztwarty, a Radwanowicz nie śmiejąc dotknąć téj relikwii, wskazywał ją z uszanowaniem.

Tak powoli przeszli dom cały, i Jerzy nie spoczął, aż późnym wieczorem,—a nazajutrz do dnia urządzono mu podróż do Pińska.

Smutne na nim wrażenie uczynił dom panny Izabelli, pustka bezduszna a wrzawliwa, która go otaczała, brzydota, nieczystość, śmiećska opasujące dookoła kamieniczkę, jakby na wygnaniu stojącą. Wieczorem tegoż dnia wiedziano o jego przybyciu. Żereba dwakroć go odwiedził, i w końcu zaprosił na południe do swéj pani. Ranek cały nękał tymczasem przybyłego p. Jan Piotr Makiewicz, który miał sobie za obowiązek stawieć się przed hrabią z listą ofiar na cel ów ważny i wielki, któremu życie swoje poświęcał.

Placząc wskazywał ów przez siebie położony podpis ś. p. Hermana Góry, przysiegając, że on jeden pojmował tylko ważność missyi, której się podjął Makiewicz, i najsilniej go do wytrwałości zachęcał. Musiał Jerzy rad nie rad pójść w ślady swojego ojca, a Makiewicz natychmiast udał się do blizkiego szynku obchodzić tę wielką uroczystość.

O południu wszedł Jerzy do domu, który jeszcze jak przez mgłę ze szkół pamiętał; ale gdy przed nim stanęła panna Izabella, byłby już jéj nie poznał, tak wiek i smutki ją odmieniły. Nie bez wzruszenia zbli-

żyła się do niego biedna kobieta, której rysy młodego chłopaka żywo przypominały i nadzieje młodości, i przykry zawód, jakiego doznała. Poważnie, smutno podała mu rękę i posadziła przy sobie. Długo nie mogła wyrzec słowa.

— Pamiętasz mnie? spytała wreszcie.

— Wdzięczne uczucia nigdy się nie zacierają, odparł Jerzy. Pamiętam dobrze, gdy ojciec umyślnie mnie ze zbytnią surowością wdrażał do życia, paniś mi je starała się osłodzić.

— Dziś, gdy on już w grobie, przerwała panna Izabella: na tój świeżej mogile wszystko potrzeba zapomnieć i przebaczyć. Znałam ojca twojego od bardzo dawna i z blizka; była chwila w mojem życiu, gdym się spodziewać mogła, że losy wspólne nas połączą. Bóg i on chcieli inaczej. Jam pozostała wdową bez męża, sierotą na zawsze, i bardzo biedną. Nie obwiniam go; obojeśmy byli winni: on sercu nie wierzył, ja nadto rachowałam na nie... Wszystko to dziś sen, przeszłość, marzenie; zostały tylko obowiązki, o których mówić potrzeba. Ja starzeję... rodziny nie mam... dodała powoli. Jerzy, chcesz-li być synem dla mnie i dzieckiem serca mojego?

Jerzy nie wiedząc co odpowiedzieć, ucałował jej rękę w milczeniu.

— Nie miałaś ojca, chcesz-li choć późno odzyskać matkę? Możem ja przyczyniła się do wydarcia cię ojcu, ojca tobie: niech ci się sercem matki wypłacę. Wiem wszystko, kończyła żywo: twoje poznanie z nim. ostatnie chwile hrabiego, pojednanie wasze, testament i to, coś ty uczynić sądził koniecznym.

— Mógłżem inaczej? spytał Jerzy.

— Nie: rozumiem cię, pojmuję to bałwochalcze poznanowanie woli ojcowskiej, gdy się jój sprzeciwiło za życiał... Nic na tém nie stracisz. Chcę, abyś matkę miał we mnie. Jam stęskniona długą samotnością; choć na starość, choć cudzą, chcę sobie przyswoić rodzinę. Chcesz-li obarczyć się moją starością i smutkiem?

Jerzy stał nieco zmieszany.

— Nie rozumiesz mnie—rzekła. Czekaj i słuchaj chwilę. Jam bardzo nieszczęśliwa, jam bardzo samotna. Kochałam twójgo ojca, póki mnie nie odepchnął ręką zimną; kocham dziś dziecię jego miłością, zgryzotą, potrzebą przywiązania na starość. Nie będę ci ciężarem, potrafię może być pomocą. W samotności świat się oczom odstania tak nagi, tak prawdziwy jak nigdy; zyskasz gdy ja cię weń wprowadzę.

— Ale gdzież chcesz pani, byśmy razem byli? spytał Jerzy z wahaniem. Ja nie mam jeszcze ani kątki.

— Ty już masz wszystko co ja mam, odparła pan-na Izabella żywo: jestem bogata dla ciebie; od dawna już tyś dziecko moje, wyznaczone do odziedziczenia po mnie. Coś utracił po ojcu, weźmiesz odemnie, z żywych rąk matki, a raczej razem z matką. Prawnie już dokonane wszystko. Wszak mi nie odmówisz?

Jerzy rumienił się i mieszał.

— Ale wiesz pani, przerwał, dla czego odmówił spadku po ojcu? Lękałem się wdzięczności i niewoli!

— Wiem wszystko; ale tamto mienie kładło na cię pętą, moje cię uwalnia od nich. Ze mną nic nie bierzesz prócz mnie jednej, i nie ofiarę przyjmujesz, nie dar, ale spadek macierzyński. Świata nie znam, z nim cię nie zwiążę; pozwolisz tylko, by stara przyjaciółka ojca siadła u twójgo progu i czasem przy-

pomniała sobie młodość, roiła sobie rodzinę, śniła, że ma syna.

Tu oczy panny Izabelli pierwszy raz od dawna zaszyły rzewnymi łzami. Ujęła jego rękę drżącą, zdawała się błagać go, aby nie odrzucał téj ofiary.

— To co weźmiesz odemnie, da ci swobodę — dodała, — nie narzuca żadnej wdzięczności, bo nie mam komu przekazać mienia, sama go na nic nie potrzebuję i użyć nie umiem. Ale myśl tylko, czy ja ci nie będę ciężarem, czy zniesiesz starą, biedną kobietę u twojego boku?... Obyczaje moje samotne, siedzę zamknięta, lubię jedną muzykę: ona mnie przy życiu trzymała... Godzinę jakąś tylko w dniu dasz dla mnie, taką jaką ci zbędzie, z którą nie będziesz wiedział co robić.

— Czyń pani jak jój się podoba.

— Przyjmujesz więc? może to być? ty przyjmujesz?

I wstała z oczyma wyjaśnionemi, chcąc go ucałować w ręce z takim uczuciem, że chłopak cały przejęty ledwie miał czas się usunąć i drżące jój ucałować dłonie.

— Nie sądź — dodała żywo — bym stara i znużniała miała ci być ciężarem. To szczęście, którego mi dasz rzeczywistość, cenię drogo i poszanuję; będę ci matką, radą, sługą, będę piastunką pokorną i cichą, ale mnie nie odpychaj. Nie wstyd ci będzie przyjąć od matki przybranéj trochę tego lichego grosza, który jój na nic się nie przydał. Słuchajże teraz mnie jeszcze. Posłałam już do twojego stryja, aby u niego kupić Horyce; tam dla nas jest stary dom ojcowski. Dla mnie on będzie miłym i cichym przytułkiem. Ilrabia sprze-

da majątek, bo mu go dobrze zapłacimy. Nie się tam nie ruszy z miejsca, wszystko jak było zostanie: ludzie starzy, słudzy, sprzęty... tylko izdebkę gdzieś znajdziecie dla mnie. Nie dobryż to projekt?

Jerzemu snem się to wszystko wydawało. Życie jego w niespodzianych i coraz nowych zmianach tyłu go karmiło wzruszeniami, że młode i chciwe ich serce podołać im już nie umiało; nie wiedział jak radzić, jak je przyjmować.

W młodej piersi odzywała się teraz myśl tylko jedna, dawna: straconej swobody. Plotło się wszystko około niego tak, że musiał utracić panowanie nad swoim losem i sobą, i wniść znowu jak kółko posłuszne do téj maszyny, która się społeczną zowie całością. Poczuł, że próżnoby się wrywał z niej, że inaczej być nie może.

— Cóż pocniemy—spytał po chwili—jeśli do tego domu, który będzie twoim, który ty nazywasz naszym, jeszcze kto więcej przybędzie? I zarumienił się. Matko, jeśli mi się już tak pozwalasz i każesz nazywać: przyznam ci się, żem od dni kilku związany słowem, sercem, przysięgą.

Panna Izabella zadrżała prawie, uczucie macierzyńskiej zazdrości obudziło się w niej, choć najprzód przewidywać mogła, że Juraś sam nie pozostanie na świecie.

— Jak to! już twoje serce oddane? już wybór zrobiony?

— Tak jest...

— Mów mi więc wszystko, jak matce.

I Jerzy począł jég szczerze spowiadać się ze swego do Loli przywiązania, a takimi siostrzyczkę od-

malował farbami, że choć obraz był prawdziwy, zdawał się gorącą przesadzony miłością. Panna Moroszówna słuchała prawie z przykrością.

— A będziez ona mnie kochała? spytała smutnie. Cóż poczniecie z sobą, będąc tak blizkimi krewnymi? Nie stanąz wam na drodze zwyczaję, przesady, prawa? Nie jest-li to jutrzienka cierpienia zamiast gwiazdki szczęścia?

— Ja nie wiem, ale z serca chciałem się wypowiedzieć, rzekł Jerzy pokornie.

Cała reszta dnia zeszła na rozmowie, na dziwném tém przybraniu sobie dziecięcia, które nowe uczucie i zajęcie wlało w osierocone serce kobiety. Panna Izabella uczyła się macierzyństwa.

Na obiad przywołany wszedł Żereba ciekawy i niepokojny, a spostrzegłszy swą panię tak wesołą, zmienioną do niepoznania i odmłodzoną, przejętą i łzawą szczęściem jakimś, gotów był ją posądzić o poczwarne jakieś na Jerzego zamiary.

— To stary przyjaciel domu—rzekła panna Izabella, przedstawiając prawnika—pan Ignacy Żereba; a to syn mój przybrany—dodała—który od dziś dnia jest tu tak panem jak i ja...

Żereba zaciął usta, zgiął się pokornie we dwoje, ale dużo myślał rzeczy, których nie miał ochoty powiedzieć.

— Otoż to, dla czego Trzeciakowski zjadł tyle konfitur! rzekł w duchu: bogdaj się udławił! Ale do czegoż to podobna? panna przybiera syna... młokosa... rzecz więcej niż podejrzana!

Kwaśno spojrzawszy na Jurasia, usiadł zmieszany; wszystkie jego nadzieje były na raz zburzone: nie mógł się przemódz, aby okazać spokojnym.

Nazajutrz przyszła oczekiwana odpowiedź od bratniego Rajmunda, który ofiarował się sprzedać Horycę i delegował ku temu umyślnego pełnomocnika. Żereba wyznaczony został do traktowania z nim i dobicia. Panna Izabella usiłowała zatrzymać przy sobie Jerzego, ale jego i miłość i tęsknota pędziły ku Zarubnicom, gdzie był poczynił zresztą starania o dzierżawę i przygotowania. Teraz już stało się to niepotrzebnem, gdyż panna Izabella kończyła o Horycę, sama przemieścić się chciała natychmiast i przy sobie mieć Jerzego, oddając mu zarząd i gospodarstwo.

Jakkolwiek wszystko to na raz nie stało się głośnem, przez Żerebę jednak niechętnego tym nowym rozporządzeniom, przez sąd, który gotował na Horycę tranzakcyę, zresztą nie wiedzieć jakimi drogami, wiadomość o tych wypadkach poszła w świat na ludzkie języki.

Był to pokarm posilny dla próżniaków. Często z bardzo małej i prostej rzeczy robią się dziwy; cóż gdy zdarzenie samo z siebie jest dziwne i niezwykajne?

Życie Jerzego, jego losy, doskonałego dostarczały wątku do tworzenia ciekawych historyj i bardzo miłych ploteczek, a w miarę oddalania się od źródła, strumyki te wzbierały jak rzeki na wiosnę i coraz barwniejszemi płynęły falami. Z Pińska błyskawicą wiadomość o usynowieniu Jerzego przez pannę Izabellę poleciała w okolice Zarubiniec, a dziwne to przyznanie za dziecę przez dawną ojca jego kochankę, zapis ogromnej fortuny, którą powiększano jeszcze, kupno Horycy, z tém co każdy z własnej dosztukował fantazyi, złożyło całość wcale ciekawą i pigkną. Jerzy stał się bohaterem i przedmiotem żywych rozpraw

o kilkadziesiąt mil w koło. Rozumie się, że jemu i tym, co z nim byli w stosunkach, nie szczędzono jaskrawego kolorytu: kiedy malować to malować.

U państwa Jędrzejowstwa pierwszy jakoś dowiedział się o tém sam mąż, i wpadł zdyszany do żony, kręcąc wasy, których nie miał.

— Otoż nowina! oto nowina! wołał.

— Cóż się stało?

— Osobliwsze rzeczy! Żyd przyjechał z Pińska, który był, widział, słyszał i wie najdokładniej... to rzecz niezawodna...

— Ale cóż przecię?

— Kiedy mi nie dajesz powiedzieć, Kochawa Stasiu.

— Ja nie daję! *panie Jędrzeju!* z przyciskiem i wyraźną groźbą odezwała się żona...

— Przepraszam duszczko, całując usuwając mu się rączki, zawołał skruchą przejęty Jędrus. Ale nie patrzcie na mnie tak srogo, bo mi to odejmuje pamięć i przytomność... Otoż jest wiadomość z Pińska, że hrabia Jerzy... Jerzy... no wiesz, co Aneta w nim...

— Ale cóż pleciesz!

— No tak! Jerzy... znowu historyał

— Cóż się z nim stało?

— Przybrany został za syna przez niejaką pannę Izabellę Morosównę, bardzo bogatą, milionową osobę, która się niegdyś w jego ojcu kochała... Ta zapisała mu cały majątek, kupiła dla niego Horycę, i ma przy nim zamieszkać...

— Cóż to znowu za bajki! odezwała się Stasia.

— Jak to bajki, kiedy Żyd mówił! Żydzi zawsze wiedzą najlepiej... Jankiel... Już ja ci powiadam, że prawda.

— To do niczego niepodobne!

— Ale tak jest! tak jest! Aneta miała dobry wdech!.. ho!

— Co to jest? co to jest? groźnie i ostro prze-wala Stasia: co za domysł szkaradny?

Jędrus rozśmiał się z lekka jeszcze, ale mocno po-mieszany.

— E! to ja sobie tak tylko mówię...

— Aneta, wiedz wpan—rzekła matka—nie może być nawet posądzana... Ślicznieby było, gdybyś to wpan, jak to ci się czasem trafia, przy ludziach po-wtórzył! Pleciesz i pleciesz! Ej! panie Jędrzeju!

Jędrus spuścił głowę, pokręcił wężą i zamilkł przy-gnębiony, a matka żywo poszła z nowiną do córki, którą, jak zawsze, tak i teraz zastała roznerwowaną, smutną, zamysloną i niespokojną.

— Cóż ci to, moje kochanie?

— Czuję się niezdrową...

— Ja to sama widzę i posłałam po Szemerego.

— Posłała mama? na cóż?

— Ale, jeśliś chora...

— Ja znowu tak chora nie jestem.

— Zawsze lepiej, żeby cię zobaczył; pojechali po niego wczoraj jeszcze, ale go wyszukać niełatwo, bo nigdy w domu nie siedzi... Ja sama widzę w tobie coś nienaturalnego...

— Sama nie wiem co mi jest.

Matka troskliwie wpatrywać się w nią zaczęła.

— Szkoda, żeśmy do wód nie pojechali.

— Wodyby nie pomogły, odparła Aneta, patrząc na matkę zalawionemi oczyma.

Mówiły jeszcze z sobą, gdy wilk, o którym właśnie wspomniano, zjawił się we drzwiach. Szemere wszedł po pokoju, przydybany gdzieś u $\frac{1}{2}$ wistowego stolika

i gwałtem wyciągniony prawie do państwa Jędrzejowstwa.

Twarz jego brzydka budziła odrazę w Anecie, która w dowcipie i wesołości także niebardzo smakowała; ale poczciwy doktor rozbrajał ją pokorą i uwielbieniem. Rzadko kiedy go tu wzywano; na ten raz domyślał się już czegoś ważnego, i zdumiał się, zobaczywszy wszystkich na nogach i na oko zdrowych.

— Moja dobrodziejko, rzekł do panny Anastazyi: trzebaż mnie było odrywać od wista, w którym już, już zacząć miałem wygrzywać... dla jakichś spazmów? Nie widzę, chwała Bogu, ani śladu choroby nigdzie.

Gospodyni mrugnęła na niego, oczyma wskazując mu córkę.

— A! więc to jest moja śliczna pacyentka, rzekł zbliżając się i siadając naprzeciw niej. Hm! hm! gdzież to choroba może się pomieścić w takim ślicznym bożem cacku? Co pani jest?

— Mnie, doktorze? Ale nie, zupełnie nie: mama choruje za mnie.

— Matki to czasem lepiej widzą od dzieci, i dowiedziona rzecz, że kiedy dziecko ma cierpieć, najprzód to macierzyńskie serce poczuje. Więc egzaminujmy się.

— Ale ja jestem całkiem zdrowa! tak tylko trochę podrażniona.

— Dobrze, jest tedy symptom: podrażnienie. A więc nerwiga kochane w robocie: to utrapienie wszystkich lekarzy, to лихо którego ani opanować, ani mu dać rady, ani zrozumieć nawet. Cóż tedy? trochę smutku? trochę niepokoju? znudzenie światem?

— Nieżle zgadujesz, doktorze: coś podobnego.

— Ale to choroba pospolita wszystkich panien,

którym potrzeba iść za mąż, rzekł Szemere. Na to jest recepta, *panaceum* uniwersalne: ładny i pocziwy chłopiec.

Aneta ruszyła ramionami.

— Nieznośny pan jesteś ze swoimi żartami.

— Patrz pani! a ludzie jednak mnie znoszą, miejscami nawet kochają, odparł doktor. Ale ten stan nerwowy lepsze nawet niż ja rzeczy obrzydza.

— To nie sam stan nerwowy, jak go nazywasz, przerwała matka: boć ja wiem, że na to woda laurowa, kwiat pomarańczowy są wystarczające, kochany Szemere. Ale ona nic nie je, wieczorami głowa ją boli, łzy kręć się w oczach...

— Powiadam pani, to te nerwy lotry rozhułały się, dodał doktor. Laurowe krople i woda pomarańczowa dobre, kiedy się one na chwilę zbuntują; ale to coś zakrawa na stan chroniczny.

Spojrzał w oczy Anecie.

— Cóżbyśmy to z panią zrobili? he? A gdyby wieczór taneczny? to jest wcale niezłe lekarstwo, balik? przejażdżka? słowem coś z tych rzeczy, co to się zowią dystrakcyami?

Aneta wciąż ruszała ramionami, nie odpowiadając. Doktor po chwili ukłonił się i wyszedł z matką.

— Pani dobrodziejko, żart na stronę—rzekł—czy się tylko panna nie kocha?

— Ale, nie wiem...

— O! o! matka żeby się nie domyślała! Doktor to spowiednik: mów-no mi pani szczerze, może coś poradzimy. Miłość to jeszcze nic, ale gdy się sprzeciwi jej i podrażni, gotowa doprawdy spowodzić komplikacje osobliwsze. Tu wszakże trudno się czegoś po-

dobnego obawiać: panna piękna, bogata, rozumna, nie oparłby się jęj i święty. Ja pierwszy—dodał śmiejąc się—gdyby we mnie się zakochała, ryzykowałbym się.

— A! co pleciesz doktorze!

— Dalipan, że zrobiłbym ofiarę. Pani myślisz, że to nie byłaby ofiara?

Pani Anastazyja pogroziła mu palcem na nosie.

— A jużciż, będąc tak brzydkim i starym jak ja, to gotowa bieda. Ale mówmy seryo, droga pani: panna Aneta zakochana?

— Być może!

— El! mów pani jak przed przyjacielem.

Matka westchnęła głęboko i podparła się na dłoni.

— No! to ci to już koniecznie trzeba wszystko powiedzieć? Zdaje mi się, że odgadłeś.

— Chwała Bogu! górą medycyna! Poradźmy!

— Nie wiem, bo...

— Jużciż nie we mnie to pewna; powiedz mi pani, po cichuteńku, na ucho, w kim?

— One tu podobno wszystkie głowy potraciły dla tego bohatera wsierniężce... (Ruszyła ramionami). Prawda, że chłopak niczego, ale dziwak.

— Jestem w domu! Hrabia Jerzy?

— Tak i mnie się zdaje.

— A no! to go wziąć, zawołał doktor. Kobiety mają na to tysiąc sposobów, a na mężczyznę jednego dosyć.

— Nie tak to łatwo, powoli rozgadując się, odezwała się matka. Z każdym innym byłoby mi nierównie wygodniej, ale to zdziwiałe, samowolne! Aneta lepijby zrobiła daleko, gdyby go sobie z głowy wybiła.

— A, pani dobrodziejko! jak skoro siedzi w gło-

wie, to bardzo trudno; gdyby był w sereu, jeszcze jako tako: klin klinem... zaśmiał się Szemerc. Homcopatya w rzeczach miłosnych, doskonały środek.

— Wszystkich bo pozrażała! mieliśmy ich tylu!

— Cóż ja tu pani poradzę? Doprawdy, to komedya *Doktor w kłopotach!* Matka już lepiej od lekarza wiedzieć będzie co robić: w jej ręce rezygnuję władzę moją.

— Ale doprawdy, doktorze, mówmy już bez żartów. Ona nie je, nie śpi, chudnie, nieczmiernie chudnie, widzę to po gorsecie; blednieje, płacze... to rzeczy są groźne.

— Nie ma sposobu: albo ustawcie sidła na ptaka, albo szukajcie drugiego.

— Aneta była dotąd tak ostrożna, tak rozumna! westchnęła matka.

— I to bieda, rzekł doktor. Gdyby się była ze dwa razy wprzód wykochała, terazby jej to nie przychodziło tak ciężko; ale widać, że to na seryo!

— I ja się tego obawiam.

— Musicie więc sobie hrabiego zwербować, dodał Szemerc. Na to są przecie sposoby: zbliżyć się do stryjenki, ująć Maksa i Ottona jego przyjaciół, wreszcie pociągnąć *per fas et nefas*, a przeszkód mu nie stawić.

— A! mój kochany doktorze! odezwała się matka wdychając ciężko: najlepszy człowiek ten mój mąż, ale ty wiesz jak on biedak prostoduszny. Nie z nim zrobić! nieszcześliwa jestem, bo nie mam się kim posłużyć! Zostawiony sam sobie na chwilę, zawsze bąka ustrzeli i dom skompromituje.

— E! gdzieby zaś! odparł doktor. To prawda, że

pan Jędrzej *simplex servus Dei*; ależ ojciec, ale dobry człowiek: jak mu pani da lekcję, nauczy się jęć i wyrecytuje.

— Zawsze coś swojego dołoży.

— Tak, toby mogło wypaść niebardzo szczęśliwie. Zawsze jednak kiedy nie ma kogo użyć, trzeba tego co jest; leczcież trochę i na to, że ja stary intrygant, jestem także na wasze usługi. Tylko na mnie znów rachunek niewielki, bom papla.

— Al zlitujże się! nie wygadaj!

— Nie! nie! w innym razie, może; tu jestem jako lekarz przy pacjentce: radzę.

Pani Jędrzejowa ruszyła ramionami, zbliżyła się do ucha doktora i szepnęła mu:

— Tylko mnie nie zdradź! Wiedz, żem złapała list, który chciała pisać do niego...

— Pierwsza ona! to źle! to bardzo źle!

— Dla tegom tak niespokojna.

— I list poszedł? zapytał doktor.

— Ale nie! spaliłam go! Uprosiłam, żeby tego nie czyniła; ale Aneta ma wolę silną, i nie dziś, to jutro zrobić gotowa co postanowi.

— Ale on? jakże z nią był? spytał Szemere: dał powód do tego?

— On... właśnie, że to rzeczy niepewne. Bóg go wie, jak z nią jest; zdaje się, że się jakoś rozumieją, chociaż Aneta coraz traci śmiałość, dziecinnieje przy nim, i boję się, żeby jęć nie zawojował. A z drugiej strony, mówią, jakoby się szalenie kochał w swojej siostrze stryjecznej.

— Coraz nowe rzeczy! zawołał Szemere. Ależ to być nie może! Sodoma i Gomora! Na to ani pobożna hrabina, ani sztywny hrabia nie pozwoli nigdy... Za-

mieszanie! chaos, a panna chora z miłości! Czyż pani już konceptu zabrakło, żeby go tu przyciągnąć i środków, by przytrzymać? Taby był koniec świata.

— Mamże posłać po niego? cóż pocznę? Męża chyba wyuczę i odkomenderuję.

— A! na nic się to nie zdało! rzekł doktor kiwając głową. Męża sobie pani odeszlęj do gospodarstwa, to jego rzecz, a tu sama rób!... Gdybym mógł, gotowem i ja do tego pobożnego uczynku ręki przyłożyć. Jerzy przyjedzie do Robowa, tam go potrzeba złapać, trzeba nasztyftować Ottona, namówić Maksa; przecięż go w tyłu razem zaciągną tu do państwa, a dalej już niech kobiecy rozum dzieło kończy. Uczyć was nie potrzeba.

I nagle urwawszy, innym tonem zakończył:

— Cobyś pani na to powiedziała, gdyby dali śniadanie?

Na tém skończyła się narada; ale panna Aneta pozostała smutna i blada jak była, a matka niespokojna.

Kilka tygodni upłynęło od ostatnich wypadków, a Jerzy jeszcze się był nie pokazał ani w Robowie, ani u hrabiny; oczekiwano go co chwila i wyglądało nadaremnie. Zajęty był w Ilorycy urządzaniem domu dla téj, która mu się tak niespodzianie narzuciła za matkę, i całą swoją czułość przez długie oszczędzaną życie, zlała na głowę przybranego dziecięcia.

W Pińsku smutny ów dom zwany Murowanką, sprzedano, przywieziono sprzęt lepszy, i panna Iza-

bella z pośpiechem kobiety, która lęka się, by jej na odrobinę szczęścia nie zabrakło życia, przyjechała zaraz do Horycy. Juraś obmyślił wszystko, aby jej było wygodnie. Wyrestaurowano na nowo opuszczoną górę domu, odświeżono pustki, poustawiano sprzęty, a dwór stary hrabiego w podziwie i nie bez strachu wyglądał nową swą pani. Naturalnie wszyscy teraz pozostali na swych miejscach, nawet Paweł, który był niezmiernie zajęty; i choć miał dawne uprzedzenia przeciwko pannie Morosównie, otrząsł się z nich powoli, widząc jak kocha Jerzego, domyślając się, że w tém przywiązaniu jest coś i dla nieboszczyka pana.

— Tak to tam było coś niezłego! mówił po cichu. A że to do śmierci człowieka nie poznasz! Ktoby to powiedział na rok wprzód, że się tak wszystko obróci?

Lacyna pokręcał węsą i poprawiał czuba. Resztką zalotności dziwne mu jakieś myśli pędziła do głowy: a nuż nowa dziedziczka Horycy (czy to takie trafiają się rzeczy?) upodoba sobie mężką jego fizyognomię, lub da przynajmniej swe zaufanie wyłączne i szczególny fawor? „Kobieta—mówił w duchu—powinnaby się poznać na takim jak on człowieku.“

Radwanowicz bardzo był rad, że mu biblioteki nie ruszą; ale z powodu niewiasty mającej panować nad Horycą, cytował czasem różne nieciekawe rzeczy z Eklezjasty, z Erazma Rotterdama i Rabelazysza (bo tak Rabelais'a nazywał), kręcąc głową i mrucząc niezrozumiałe pod nosem, czego głośno dopowiedzieć nie śmiał.

Jerzy nareszcie przygotował się przewieźć swą opiekunkę do Horycy i wprowadzić ją do tego domu, do którego pierwszy raz po marzeniach młodości wchodziła drżąca już stopą. Spodziewała się niegdyś

być tu panią i towarzyszką szczęśliwą człowieka, który ją zółcią i octem napoił; dziś przez grób jego wchodziła do pustki panią wprowadzie... ale wdową i sierotą. Żyzy zjawily się na powiekach, a serce zabilo uczuciem nieodgadnioném żałoby i uspokojenia razem.

Gdy potém Jerzemu przyszło odjechać do Robowa, pocałowała go w głowę błogosławiąc, gdyż szczęście uczyniło ją pobożną jakąś i starszą niż dotąd była, dając jój powagę matki; ale wyprawiła w tę podróż, obawiając się jój instynktowo.

— Dziecko moje, rzekła przy rozstaniu: nie powiem ci co masz czynić, ty to wiesz lepiej; jedną tylko uzbrogę cię radą... Z dwóch kobiet, które cię kochać mogą, bo któżby ciebie nie kochał? jeśli jedna uśmiechać się będzie, druga poglądać łzawo, wybierz raczej uśmiech niż płacz. Żyzy miłosne są strumieniem egoizmu, a uśmiech zwykle bywa pokrywką ofiarną boleści. Nie znam obu tych, o których mi mówiłeś, nie umiem nic powiedzieć więcej, niech serce wskaże bogdanę.

— Ale ja nie myślę wybierać, matko, rzekł Jerzy; dla mnie jest jedna na świecie: tylko Lola.

— Siostra!

Jaraś spuścił oczy.

— Więc żadna! rzekł z cicha,—i z tém odjechał.

Na drodze już zręcznie zastawione czekały go sidła i straż. U téj samój nieuniknionej karczemki smutnego oblicza, od której go już raz schwymano do półkownikowej, stał od dawna poślaniec Maksa z listem oznajmującym mu, że jest mocno chory i gwałtownie widzieć się z nim potrzebuje, a o przybycie na imię świętej przyjaźni zaklina.

Maks nie był chory wcale, ale obrachował, że pewniej go chorobą i zakłębieniem pociągnie, niż najusilniejszą prośbą.

W domu ex-półkownikowej miodowe dni szybko już były przeleciały. Artysta idealny coraz bardziej roztapiał się i przekształcał na obywatela-szlachcica, gospodarza zabiegłego, najprozaiczniejszą w świecie i najabsolutniejszą istotę. Łzy biednej Amelii ukrywane, tajemne, nieraz już obmyły w kątku omyłkę, którą popełniła, i nieszczęsny koncert, w którym tak świetnie, tak ułudnie przyszły małżonek wystąpić umiał. Teraz był to sobie prosty tyran domowy, zimny jak lód, szyderski jak kat, zbrojny w miłość żony, którą się posługując, wyśmiewał.

W domu on panował jeden. Półkownikowa za trochę okazaną sobie czułości, za ten półmisek soczewicy, który jej podawał zgłodniałej, resztki swych praw starszeństwa pozbywała się codzień powoli. Stała się pokorną służką nie tego, którego zaślubiła, ale nowego człowieka, niespodziewanego, innego, w którego się ów długowłosy artysta chyżo przemienił po trafie.

Jerzy musiał uleść gwałtownej prośbie, i pojechał do Danowa. Znalazł Maksa w paradnym szlafroku, i choć nie chorego, jak sobie wyobrażał, ale na przypadek jego przybycia udającego chorobę dosyć szczęśliwie.

— Co ci to przyjacielu? spytał go na wstępie.

— Cóż chcesz! nudy wiejskie! odparł Maks ziewając i powracając do roli dawniej. Przywykłem trochę do cygańskiego życia. W tych dostatkach, w tém życiu regularném jak zegarek Breguet'a, napadają mnie

choroby dziwne, zachcenia osobliwsze, niecierpliwości
dzikiego zwierzęcia zamkniętego w klatce... Nudzę
się! nudzę!

— Pracuj! rzekł Jerzy.

— Muzyka mi obrzydła.

— Gospodaruj.

— To rzecz nie zabawna. Chciałem się z tobą
widzieć, ale nie dla porady dla siebie: mam do ciebie
interes.

Wyszedł spojrzeć za drzwi, i stanął w postaci men-
tora przed Jurasiem, widocznie zabierając się do prze-
mowy.

— Jest to sekret wielki, ale ci go wyjawić muszę.
Szczęśliwy człowiecze, domyślasz się lub nie, ale to
pewna, żeś wzbudził miłość w dziewczynie, która bez
ciebie schnie i umiera.

— Ja? dla mnie? Co ty pleciesz! zawołał Jerzy.

— No, nie plotę.

— O kimże mówisz?

— Rozumie się, że o ślicznej Anecie. Jakbyś to
się nie domyślał! Aneta kocha się w tobie. Dziel-
czyzna kilka lat żartowała sobie z młodzieży, aż na-
reszcie przyszła kréska na Matyska... znalazł się
mściciel.

— To jakieś bałamuctwo! rzekł Jerzy chmurno.

— Ale, ale! żartuj zdrow. Ja kiedy mówię, to na
pewnych zasadach! są fakta!

— Zkądże ci to urosło?

— Prawda szczerza: jest chora z miłości! Rodzice,
mówię ci to pod największym sekretem, rozesłali
wszędzie gońców, aby cię ściągnąć. Mów, co pocz-
niesz? co myślisz? co czujesz?

— Aneta dosyć mi się podobała, ale...

— Nie ma „ale,” to dosyć!

— Przepraszam, jest „ale,” bo jój nie kocham, odparł Jerzy.

— Jakże wiesz? Co u ciebie zowie się kochaniem?

— Gdybyś mię o to pytał przed kilku miesiącami, możebyś ci nie umiał odpowiedzieć; dziś wiem co jest kochanie.

— Aha! jestem w domu! więc inna! ale któż?

Jerzy zamilkł jak skała.

— Czy mnie upoważniasz do robienia plotki? spytał po chwili próżnego oczekiwania Maks.

— Nie, ale do szczerego powiedzenia tego co wiesz: prawda przedewszystkiē.

Maks się zamyślił i pokiwał głową.

— Ale ona cię kocha.

— To wymyśl, to potwarz! Któż ma prawo badać serce kobiety i ręczyć za to, co się w niē dzieje? Nie wierz temu i nie powtarzaj.

— Ale pojedziesz do nich..

— Teraz zdaje mi się, że nie mogę, rzekł Jerzy. Mogłaby ta bytność moja dać powód do nowych planin, jakiś pozór—nie chcę tego!

Na tē się skończyło prawie, i Jerzy niedługo bawiąc, podrażniony przykro, pośpieszył do Robowa uściskać pocziwego Ottona. Zastał dom pustkowiem, gdyż Otto podług swojego zwyczaju poszedł na grób ojca i narzeczonej, a Martynek do miasteczka. Siadł więc oczekując na nich, spocząć sam jeden w tym domku, który mu tyle przypominał niedawnych jeszcze, bolesnych i miłych dziejów.

Myśl jego pobiegła na przegląd życia, aż do głębi lat dziecińczych, aż do kolebki mglistej, do pierwszych brząsków młodości; potem na zielone niwy swobody,

do chwil, w których panem będąc siebie, niczém jeszcze niezwiązany, błdził po stepach... Powoli przeszedł do teraźniejszego życia, które się tak dziwnie z nieznanym zupełnie niedawno żywiołom uplotło.

— Co dalej czeka? co będzie? pytał się wchodząc w siebie. Czy ona może być moją? czy przyjdzie mi dalej wieść życie potargane, rozerwane, bolesne i tęskne, lub zniść zwyciężonemu w szranki powszednie, do pracy codziennój i zaprzeć się nadziei, marzeń, nawet artykułów mojej młodej wiary? Czy każdy tak w końcu apostatą zostać musi?... Nie! rzekł w sobie, krzepiąc się: cierpieć to nie jeszcze, ale wiernym być potrzeba sobie, przekonaniom i przeczuciom młodym; to zadanie życia. Ściera w nas powoli uczucie ideałów sam żywot; wiemy o tém, czujemy to—czemuż nie starać się zetknięcia z nim szorstkiego unikać?

Wchodzący Otto rzucił mu się na szyję.

— Cóż ty tu tak marzysz, młodzieńcze? zawołał wesoło. Masz już matkę, masz spokojny chleb, rodzinę, czegoż ci jeszcze chmura wisi na czole?

— A! bo mi jeszcze czegoś braknie! rzekł Jerzy.

— No! to wiem, ale tego ci zawsze braknąć będzie, odparł Otto z uśmiechem smutnym. Człowiek żyje pragnieniem, umarły tylko nie łaknie i nie pragnie. Pijemy i nie możemy się napić nigdy. Ambrozja, która nasycy, nie wytryśnie z ziemi!

— Słuchaj, rzekł Jerzy: tyś moim przyjacielem lub nikt; masz serce, co kochać umiało i pozostać wierném ceniom wśród rzeczywistości... do końca... poradź mi, powiedz, pociesz, naucz co czynić:—ja kocham.

— Teraz dopiero stałeś się w pełni człowiekiem, odparł Otto poważnie. Ale kochaj jak mąż, miłością

surową, wielką, cichą i spokojną, miłością jak moja, raz na wieki.

— Taką czuję w sobie.

— Nie pytam nawet cię: kogo?

Jerzy zakrył oczy.

— Siostra moja.

— Jak to siostra? ktoś taki? rzekł Otto.

— Znasz Lolę przecię.

— Znam, to źle... ale miłość się nie wybiera, rzekł powoli. A ona?

— Powiedzieliśmy sobie, żeśmy złączeni na wieki.

— Tak, sercami, odezwał się Otto; nie wiem czy dłonie się wasze połączą. Ani hrabina, ani hrabia nie pozwolą na to nigdy. Pokrewieństwo zbyt jest bliskie; prawo nawet kościelne związku takiego zabrania.

— Byłoby to prawdą?

— Jest tak! przygotuj się cierpieć i czekać.

— Będę czekał.

— Związki podobne nie są bezprzykładne, ale się z niemi łączy idea niebłogosławieństwa, ale im stawia przeszkody. Miłość to od razu namaszczona na cierpienie.

— Przyjmę je chętnie, rzekł Jerzy. Usta moje poślubiły jęj usta, dłonie się związały, serca zjednoczyły się na zawsze.

— Nic więcej ci nie powiem,—kochaj! Ale chcesz rady? dodał zasmucony Otto: nie okazuj jęj zbyt nięj miłości, abyś nie zwiększał bólu. Dziewczę to proste, szczere, pełne życia; w nięj miłość musi być raną krwawą, którą każde dotknięcie rozdrażnia.

— Nie mogę kłamać.

— Oddał się.

— Ottonie, tyż mi to radzisz?

— Milczę.

— Opuszczając tę okolicę, muszę przecie--odparł Jerzy--pojechać do nich, pożegnać się z niemi, opisać im nowe położenie moje, wytłómaczyć się... zobaczyć ją...

Otto milczał.

— Stało się--rzekł--Bóg reszty dokona. Co będzie, On wie jeden; ale uzbrój się przyjacielu i miej mężstwo.

— Tego mi nie zabraknie.

— Nigdy go nadto mieć nie możesz. Miłość twoja nie powinna być płaczliwą i dziecinną, ale poważną i mężką za dwoje. Jój i sobie musisz wskazać drogę. Ty tak masz kochać żywą, jak ja miluję umarłą, wiernie chodząc do mogiły i milcząc przy niej na modlitwie.

Długo tak jeszcze rozmawiali, a noc nadchodząca ledwie ich rozpedziła. Nazajutrz Jerzy pośpieszył do hrabiny, pędzony gorączkową niecierpliwością.

Jakieś przeczucia bolesne były mu w duszy. Nigdzie nie o nich posłyszeć, nie się o nich nie mógł dowiedzieć. Gdy zajechał przed ganek, myślał, że ich nie zastał, bo nikt naprzeciw niemu nie wyszedł. Służący wreszcie, którego spotkał w przedpokoju, oznajmił mu, że panienka jest chora, a sam poszedł dać wiedzieć hrabinie.

Jerzy zadrżał. Pomieszany wszedł do saloniku, w którym milczenie smutne zastał tylko... Po chwili się słyszeć szelest dał, i cała skłopotana, zmieniona, ukazała się hrabina, witając Jerzego twarzą chłodną, pomieszaną, nie swoją.

— A Lola? zapytał żywo przybyły.

— Lola trochę słaba, odpowiedziała matka, unikając jego wzroku. Nic nie ma straszego, jednakże musiałam ją położyć.

Rozmowa przerwała się, a co najboleśniej dotknęło Jerzego, to zmiana hrabiny, którą nazywał matką, niedawno jeszcze tak czulej dla niego, dziś ostryglęj, trzymającej się na wodzy z uczuciem, aby go nie okazać, ze słowy, aby ich z ust nie puścić. Jerzy poznać jej nie mógł; a ile razy szczerzej, od serca przemówił, głos jego rozbijał się o chłód umyślny, o jakiś zimny opór obliczony, niepojęty dla niego. Nareszcie opowiadanie o pannie Moroszównie, o Horycy, o nowém życiu, o tój kobiecie która dla niego stała się matką, choć przedłużane umyślnie, wyczerpać się musiało. Jerzy czuł się w położeniu niespodzianém, jakby spętany. Nie mówili do siebie jak dawniej, hrabina cierpiała sama widocznie, coś ich dzieliło i oddalało. Jerzy nie umiał sobie tego wytłómaczyć, ale i wytrwać w tém nie mógł.

— Stryjenko, rzekł wreszcie, zbierając się na odwagę: między ostatnimi memi a dzisiejszemi odwiedzinami i przyjęciem jest różnica, której nie mogę nie uczuć. Jam człowiek szczery i prosty, kłamać nie umiem i nie chcę, milczenie mnie męczy, mówmy otwarcie.

Hrabina długo popatrzała mu w oczy z zapytaniem, uśmiechnęła się jakoś niedowierzająco.

— Chcę wierzyć—rzekła—żeś szczery i pocziwy; ale niedoświadczenie jest czasem tak szkodliwe jak zdrada. Nie będę się tała przed tobą: mam ci wiele do wyrzucenia.

— Mnie?

— Tobie, Jerzy. Nie spodziewałam się płochości po tobie. Młody jesteś, może to naturalne; alem ja przywykła widzieć w tobie człowieka dojrzałego. Tyś może sam nie ocenił swój nierozwagi, ale już ludzie na nią boleją.

— Cożem zrobił?

— Jerzy, byłeś bratem Loli, i powinienes być pozostać bratem jój tylko, odpowiedziała surowo hrabina. Zamilkli chwilę.

— Stryjenko, rzekł Jerzy: są uczucia, za które człowiek nie odpowiada, bo panem ich nie jest.

— Nicchże je kryje w głębi serca...

— Takem czynił, alem nie wiedział, przyznaję się do winy, że uczucie pocziwe i święte może być występne i zmuszonem się ukrywać.

— Na coś się starał je rozbudzić?

— Ja?

— Nie chcę ci czynić wymówek... może Lola w Bogu i w modlitwie znajdzie pokój, który z twojej przyczyny postradała; ale łez moich i trwogi ty nie potrafisz obliczyć...

— Mam więc na wieki być ztąd wygnany? zapytał Jerzy z boleścią.

— Sam się wygnasz, jeśli masz litość nad matką i nad nią. Związek między wami jest niemożliwy, miłość występna, nadzieje daremne. Dla ciebie to może było tylko igraszką, gdy dla niej chodzi o śmierć lub życie.

— Igraszką dla mnie? wybuchnął powstając Jerzy. Pani, ty, którą matką nazywał, możesz mi to zarzucić? Najświętsze uczucie, dla którego gotów jestem dać życie, nazywasz igraszką?

— Sądziłam tak—odparła spuszczać oczy hrabina—z tego przynajmniej, że dwóch na raz kochać nie można i zwodzić się nie godzi.

— Dwóch! na Boga! zakrzyknął Jerzy—ja tego nie rozumiem!

— A Aneta?

— Czémże dla mnie Aneta? śmiejąc się gorzko zawołał młody chłopiec. Aneta! a to prawdziwie niepojęte! Któż znowu tę potwarz rzucił na mnie?

— Wszyscy przecie wiedzą, że tam bywasz, że się w tobie rozkochala, że ją uwodzisz.

Jerzy pochwycił się za głowę.

— Stryjenko—rzekł popędliwie, chwytając ze stołu różaniec, przy którym wisiał krzyż—wierzysz w ukrzyżowanego?

— Jerzy! co za pytanie!

— Wierzysz, że nawet zbrodniarz nie ma odwagi przysiąc krzywo na krew umęczonego niewinnic? Otoż! przysięgam ci, że to potwarz niepocziwa!

— Nie przysięgaj, wierzę ci, chcę wierzyć, ale cóż to pomoże?

— Jeżeli winien, to tyle tylko, że młodego pokochał jak siostrę, a dał temu uczuciu wyrosnąć w sercu więcej, niż świat i prawo wasze pozwala. Ale ja kocham jedną, ją pierwszą i ostatnią, i na wieki!

Hrabina pobladała, niepokój straszny odmalował się na jej twarzy, jakby ta przysięga powiększyła jeszcze jej trwogę. Załamała ręce, spojrzała na drzwi, przelekniona i drżąca.

We drzwiach, do których Jerzy obrócony był plecami, od kilku chwil stała Lola w białej sukience, blada, chwytając każde słowo wychodzące z ust Jerzego z owym wyrazem prawdy, który fałszu przypuścić

nawet nie pozwala. Nagle pochyliła się, oparła o drzwi, i nie mogąc wytrwać, choć matce dała słowo, że nie wyjdzie, wybiegła, objęła rękami szyję Jerzego, zawiesiła się na niój z uczuciem, i patrząc mu w oczy łzawym a pełnym boleści wzrokiem, zawołała:

— Tak jest, on mnie kocha, ja nie wierzę, nie wierzyłam nigdy tój potwarzy! Matko, ja więcćj już nic nie chcę, on mnie kocha!

I domawiając tych słów, Lola, która wstała z łóżka mimo zakazu, osłabiona, wzruszona, powoli białe rozpuszczając ręce, zachwiała się, posłoniła, i nim matka i Jerzy mieli czas zwrócić się ku niój, jak podcięty kwiatek na ziemię upadła.

Hrabina krzyknęła przeraźliwie...

Na licu zemdlalego dziecięcia był wyraz takiej błogości anielskiej, że Jerzy, któremu łzy trysnęły z oczu, pomyślał, czy warto ją było budzić do ciężkiego życia?.. Ale osłabienie było tylko chwilowe: wnet otworzyła oczy, podniosła się, podała mu chłodną rękę i powstała.

— Matko, zawołała blagajęco: ten raz, ten ostatni raz pozwól nam chwilkę zostać z sobą. Czyż to grzechem być może? Czyż Bóg potępi mnie i jego, żeśmy pokochali, nie wiedząc jeszcze co nas rozdziela? Przysięgam ci mamó droga, że pierwsze nań wejście było dla mnie życiem nowém. Uczułam, że on jest tym, który mi był przeznaczony na osłodę życia, na dopełnienie jego... Czy będzie mężem? czy pozostanie bratem? ja nie myślę, bylebym kochać go mogła, byle on mnie kochał.

Hrabina płakała; głos ten dziecka, błaganie jego, złamały ją. Usiadła smutna, biorąc rękę córki, którą poczęła gorącemi całować ustami. Jerzy przypadł na

kolana i chwycił drugą jej rękę, i była chwila milczenia i łez, która ich połączyła wszystko troje w jakiśś niemiłym zapomnieniu.

— Odezwiéj się do mnie Jerzy, przemówiła nareszcie Lola. Bóg już wie kiedy zobaczymy się znowu. Ja chcę głos twój posłyszeć, chcę się twą myślą nakarmić. Mam do ciebie pytań tysiące, chcę ci powiedzieć tyle rzeczy...

— To wszystko Lolu droga — odparł Jerzy — zaczyna się i kończy na tém jedném, że kocham ciebie. Ten, kto śmiał mówić inaczej, kłamał bezczelnie; dziś ty mu wierzyć nie możesz.

— Jam nigdy nie wierzyła, mój Jerzy! to być nie mogło! Nasza miłość jest jak sznur złoty, który pochwycić mogą i targać, ale go nie rozerwą.

I spuściła głowę.

— Mów, rzekła; jam łakoma cię słuchać.

Jerzy musiał wezwany choremu dziecięciu, opowiadać znowu swoje dzieje, a hrabina słuchając i wpatrując się w nich milcząca, przekonała się, jak to uczucie, które ją przerażało, silne i wielkie być musiało. Lola w ciągu téj półgodzinnéj rozmowy ożywiła się, odżyła, nabrała siły, na twarz jej wystąpił rumieniec, zdawała się być uzdrowioną cudownie. Każde słowo Jerzego wlewało w nią moc nową...

To przywiązanie tak gwałtowne, w macierzyńskiem sercu hrabiny odbiło się, stawiając w niém dwa ostateczne wyroki: śmierć lub grzech. Drżąc cała, ufała tylko w Bogu, że oboje odwrócić potrafi, ale sama nie wiedziała co począć. Lzy jej płynęły na rękę Loli, ciche, gorące, błagające o litość. Kilka razy spojrziała na Jerzego, nie mając siły go odegnąć, a każda chwila zdawała się jej zwiększać niebezpieczeństwo.

— Któż mógł wam—spytał w końcu Jerzy—spleść tę baśń o Anecie?

— Od której ja mało nie umarłam... przerwała Lola. Chcieli mi ciebie wystawić kłamcą, zabić we mnie wiarę, wydrzeć mi mój ideał... Al to była chwila okropna! Na miejscu mojego Jerzego stanął ktoś, szatańska postać z niewinnym wzrokiem, a zdradą w sercu... Gdyby tak kiedy być miało, żyć nie warto!

— Ale któż to przyniósł?

— Kto? odpowiedziała matka, wszyscy: Maks... doktor pocziwy... sami nawet państwo Jędrzejowstwo, będąc tu z córką, dawali do zrozumienia... Aneta płonąc się, gdy o tobie była mowa, pół-zwierzając się przed Lolą, potwierdziła te plotki...

— Na Boga! to spisek! zawołał Jerzy: to niegodny podstęp!

— Nie, odparła Lola, której boleść dawała jasno-widzenie: ja teraz czuję i rozumiem wszystko... Aneta kocha biedna, ona cierpi jak ja.

— Ale to być nie może!

— Aneta kocha! powtórzyła Lola. Ja się jej nie dziwuję: możnaż cię poznać i nie kochać?

Jerzy odpowiedział pocałowaniem jej ręki.

Hrabina była w dziwném położeniu. Czuli, że im bardziej przedłuża się ta rozmowa i bytność Jerzego, tém uczucie rozżarza się mocniej, tém większe grozi niebezpieczeństwo; ale złamana obawą o zdrowie Loli, słaba dla swój jedynaczki, nie śmiała im przerywać chwili téj czystego szczęścia, może jedynéj w życiu. Obciała odejść i obawiała się ich porzucić; siedziała przykuta. Jerzy zapominał o czasie, o godzinach... dzień przeleciał błyskawicą, wieczór się zbliżał. Lola

nie wychodziła na chwilę, bała się wstać, aby ruch jój nie był znakiem odjazdu.

— Kiedy ty do nas powrócisz? cicho szepnęła do Jerzego.

— Nie odjechałbym, gdyby można.

— A! pozostać ci nie wolno! Ludzie! matka twoja, potrzeba ci odjechać mój Jerzy... Jedź, dodała; ale wierz w serce siostry i myśl o mnie.

Ciche szeptanie oddaliło hrabinę.

— Mój Boże, rzekła do siebie w duchu; cóż te dzieci biedne złego mówić mogą? Może to chwila ostatnia, .. niech ją spędzą swobodnie.

Zaledwie matka odeszła, Lola powstała z kanapy.

— Jerzy, spytała: masz ty jaką obrączkę?

— Mam, jedną ojcowską, którą mi oddał przed skonaniem, wskazując mi, abym ją nosił.

— Ja mam tylko pierścionek z N. Panną. Jerzy, nam się potrzeba zaręczyć: ja będę potem spokojniejsza jeszcze; mówią, że zaręczyny tak są święte jak ślub. W obec Boga i aniołów zaręczam się z tobą, jeśli nie na życie, to na śmierć. Nie będziemy mężem i żoną, ale dwojgiem dusz poślubionych na wieki. Niech ta obrączka uprzytomnia nam przysięgę: weź Jerzy, ja biorę twoją...

I skłoniła białe czoło ku niemu, a szukając ust jój, Jerzy znalazł na twarzy łzy gorące, które spił z pocałunkiem na wargach jój drżących.

Wtém matka niespokojna weszła.

Trzeba się było rozstać i pożegnać. Lola sama teraz podała mu rękę, z uśmiechem uspokojenia.

— Mój Jerzy, odezwała się: oddalenie nic nie znaczy, możemy pisać do siebie; jedź, ja ci wierzę. Gdyby

mi jutro przyszedli oznajmić, żeś inną poślubił, ja śmiać się będę.

— Między i zachowaj tę wiarę, rzekł Jerzy. Jeśli ci powiedzą, że umarł, to prawdą być może; że zdradził, to niepodobna. Tyś mojem życiem, tyś wszystkiem.

— Jerzy, przerwała matka: jedź już, proszę cię, jedź! Loli to przedłużone wzruszenie szkodzić może... ja się obawiam.

— A kiedyż zobaczymy się znowu?

Na to pytanie nie było odpowiedzi. Jerzy ścisnął jej rękę, ode drzwi spojrzał jeszcze na nią, i zobaczwszy jak się rzuciła w objęcia matki, odjechał.

Gdy przybył do Robowa, gdzie Ottona zastał z Makssem, blady był i nie do poznania zmieniony. Otto odgadł, że coś zająć musiało, bo twarz Jerzego zdradzała cierpienie; ale nie śmiał go pytać.

Wesoły nastrój towarzystwa, które tu zastał, wydał mu się przykrym i dziwnym. Padł na kanapę zamysłony i znękan.

— A ty nie wiesz, rzekł Maks zaraz: że ja tu po ciebie przyjechałem z doktorem, i jutro wieziemy cię wprost do Jędrzejowstwa.

— Mnie? Ja nie pojadę! odparł Jerzy stanowczo.

— Jesteś proszony.

— Przepróście za mnie.

— Dla czego?

— Nie mogę.

Na te słowa, ziewając i przecierając oczy Szemere, który odpoczywał w kątku, przerwał:

— Co? co? kto nie może? dla czego? o co tu chodzi?

— Sam osądź doktorze, czy się to godzi, kończył

Maks: proszony do państwa Jędrzejowstwa, droży nam się Jerzy i odmawia.

— Odmawia jechać do tak ładnej panny? zawołał Szemere! O zgrozo! *o tempora! o mores!* Dawniej byłoby to sromotą, żeby kawaler pannie, i jakieżże jeszcze pannie! śmiał odmawiać, żeby się wahał nawet jechać do domu, dokąd go tak serdecznie proszą i nęca...

— Kochany doktorze, odezwał się Jerzy: i dawniej i dzisiaj pomiędzy matką a panną wybór był zawsze jeden i konieczny. Ja śpieszę do mojej matki. Powtóre, jeśli chcesz, chodź ze mną, powiem ci coś na ucho.

— I owszem, lubię gadanie na ucho, odpowiedział doktor: ty mnie na ucho, ja jemu na ucho, on tamtemu, tamten innemu, i tak to sobie przez wszystkie uszy przeleci, a nazywa się sekret. To piękna inwencya!

— No! jak ci się podoba; ale są rzeczy, które ja mówię na ucho.

Wyszli do drugiego pokoju. Jerzy wyciągnął ku niemu rękę.

— Kochany doktorze, mam cię za uczciwego człowieka, i dla tego ciebie wybrałem.

— Bardzo mi to pochlebia, ale niekoniecznie tym, którzy zostali za drzwiami. No! gadajmy.

— Po co mnie tam ciągniesz?

— No, bo ci tam będą radzi, rodzice i panna.

Jerzy popatrzał mu w oczy.

— Jesteś przyjacielem ich domu? spytał.

— Wielkim.

— No, to nie powinienesz mnie tam wieść. Z tego jeżdżenia rodzą się głupie i niepotrzebne plotki, a koniec końców to do niczego nie prowadzi.

— Do niczego? jakże to pan rozumiesz?

— Rozgadano po sąsiedztwie Bóg wie co, przykro mi, boleśnie... Ledwie ją parę razy widział, a już plotą, że się o pannę staram...

— To ci krzywdy nie robi.

— Ale czyni ją pannie.

— No! a gdyby się sprawdziło?

— Właśnie, że sprawdzić się nie może.

— Dla czego nie może? nie łap ryb przed niewodem. A jeśli ci się podoba, jeśli się ty podobasz, jeśli się pokochacie? Co nie jest, to być może, i bardzo może.

— Jeszcze raz powiadam ci doktorze: być nie może.

— Toś już za katy uparty, ale dla czego?

— Dla tego, rzekł ciszej Jerzy cedząc po słówku: że ten kto komu innemu przyrzekł i dał słowo, a jest uczciwym człowiekiem, słowa sercu swojemu i osobie wybranej dotrzymuje.

Doktor stanął zdumiony i trochę zmieszany, pokiwał głową, milczał długo, zażył tabaki, potem począł przechadzać się po pokoju.

— Zły interes, rzekł—zły! Nie ma po co jeździć w istocie. Ale gdzieżeś się wpan u licha mógł tak rychło upłatać? Chyba z jaką garderobianą, boś tu nawet, o ile wiem, nikogo nie widział.

— To rzecz moja.

— A nie wykręt?

— Nie mam zwyczaju kłamać, ani potrzeby się wykłęcać!

— Ślicznie robisz, ale to do licha głupio!

— Wróćmy do towarzystwa, rzekł Jerzy.

Maks rozповідаł o swojem gospodarstwie, jak wprzód o muzyce, doskonale umiejąc się przechwa-

lać, i w najżywszych malując barwach nowe zajęcia, plany i projekta. Otto słuchał i podziwiał: jak przedko potrafił z artysty stać się obywatelem; jak do serca wzięwszy szlachectwo swe świeżej daty, bronił już zażarcie tradycyi szlacheckiej, prerogatyw, patryarchalnej władzy nad wieśniakami i kochanej pańszczyzny; jak tłumaczył dawny serdeczny pana z knieciem stosunek, prawa własności, nietykalność ziemi i t. p. rzeczy do stanu i powołania nowego odnoszące się, których katechizm zwykły już umiał na pamięć.

Obszyty w tę nową skórę, Maks był już solidarną częścią ogółu, i dorabiał się, wkupował w bractwo, do którego pragnął należeć, powtarzając co chwila:—My szlachta, my właściciele, my posiadacze ziemscy!

W dodatku potrzeba wiedzieć, że go już tak wzięto na seryo i wiercono mu święcie, iż niektórzy sąsiedzi, których przekrzyczeć potrafił, mieli go za wyrocznie i przyszlą obywatelstwa podpórę. Maks miał już teraz muzykę za bajbardzo, śmiał się z tych, co się jój poświęcali, nie potrzebował jój na nic; a gdy wieczorem grać zaczęli, usiadł z Szemerem do marysza, by czas zabić.

Jerzy byłby tu sobie szczęśliwe chwile spędzone po przybyciu z Makssem i swobodę swą dawną przypominał, gdyby wspomnienie Loli bladój, znękanój, chorój i smutnój, nie dojmowało go boleśnią. Wyrzucał sobie teraz, że uległ pierwszemu popędowi, że sobie dał z ust i piersi wyrwać wyznanie, że się uczuci dał unieść... ale już było za późno.

W Zarubińcach hrabia, który wszystkie swe projekta szczęśliwie przyprowadził do skutku, mając teraz obfite do rozporządzenia fundusze, całkiem się oddał swęj namiętności wynalazków, i olbrzymie zakreślał plany, o których tylko jeden Malczak wiedział. Żółtowski uznany za coraz niedołężniejszego, niezdolnego pojąć żadnej wielkiej myśli człowieka, całkiem pozostał usunięty, na stronie. Była mowa o podróży do Paryża, dla dopilnowania zamówionych tam wozów i machin. Malczak na ten czas miał pozostać w Zarubińcach z władzą deskrecyonalną i nadzorem nad wszystkiém. Wzięte za Horycę pieniądze projekt ten jeszcze prawdopodobniejszym czyniły; a choć Żółtowski radził najprzód płacić długi pilniejsze i majątek oczyszczać, hrabia Rajmund ani chciał słuchać. Kredyt jego poprawił się, po cóż miał płacić? Nikt się nie upominał, przyszłość jaśniała mu świetnie.

Marzenie jednak o nięj nie mogło zupełnie zaspokoić potrzeb serca. Często w życiu naszém, maluczkie jakieś na pozór miejsce zajmuje człowiek, lecz gdy go nam zabraknie, wielka po nim zostaje próżnia. Tak się tu stało po wyjeździe Loli z hrabiną.

Oprócz tego hrabia Rajmund dotknięty był w miłości własnej tém, że go żona opuściła, nie zgadzając się z nim na odarcie synowca i opierając się jego zdaniu. Ten dzień, w którym pokorna dotąd kobieta wypowiedziała mu posłuszeństwo i skazała się na osamotnienie, na ubóstwo, na rozdział jak od zapowie-trzonego, boleśnie mu się zawsze przypominał. Cierpiało serce i miłość własna cierpiała. Z razu sądził, że to była tylko pogróżka, że hrabina mogła oddalić się chwilowo, ale nie wytrwa bez niego, że powróci sama upokorzona i zawstydzona, że to są jedném słowem

strachy na Lachy. Lecz gdy powoli Marya wszystko, co osobistą jej własność stanowiło, przewieźć kazała, gdy się zaczęła urządzać jak na zawsze w swój wiosce, hrabia począł się coraz bardziej niepokoić. W domu brakło mu czegoś. Był sam, robił co chciał; ale często łapał się w drodze na górę do pokoiów hrabiny, i zawracał z przykrém przypomnieniem, że jej nie ma; uśmiecbu Loli, jej szczebiotania i rannego pocałunku mu brakło. Sam z Malczakiem, który ze swą krzywą głęą na szatana wyglądał, skazany na jednostajny pokarm jego pochlebstw i plotek, czuł, że jakiegoś czystszeo żywiołu brak jego życiu.

Miał on usłuznych donosicieli, którzy mu dość regularnie zdawali rapporta z tego, co się działo u hrabiny; ale ci tylko to co widzieli przynieść mogli: wielu rzeczy od nich dowiedzieć się nie mógł. Z razą chciał sam jechać, duma go wstrzymała; potem wstyd, żeby się nie zdało, że upokorzony i skruszony sam się o przebaczenie doprasza; potem coraz żywiej czując udrczenie, za to co doznawał, począł głęboką urazę mieć do żony, i o zbliżeniu się do niej mowy ani myśli nie było.

Ale koniec końców niepokój i zgryzoty rosły co chwila. Malczak bacznie na to spoglądał z boku, a choć mu wiele rzeczy dotyczyć nie wypadało, cieszył się, że sam pozostał, starał się nieznacznie uspakajać, zajmować, rozrywać, aby tęsknoty nie dopuścić. Hrabia miał w nim jednego z owych zauszników bajecznych, jakich tylko słabi ludzie przy sobie ścierpieć i wyrobić umieją.

Codzień z rana, za ledwie wstał, Malczak w swoich pantofelkach i watowanym kaftaniku zjawiał się we

drzwiach sypialni i stawał na rozkazy. Rozmowa jednostajnie zawsze zaczynała się od zapytania:

— A co tam na dworze?

Na co Malczak miał talent odpowiadać coraz inaczej, kreśląc obraz nie tyle tego co było, jak odpowiednię tego co być miało.

Później rozmowa zwykle zwracała się do ukochanych machin, kólek, trybów i t. p. Malczak miał tu sposobność zręcznego podziwiania geniuszu hrabiego, i wprowadzania go w dobry humor, który potem pozwalał mu już bezkarnie mówić co ślina do gęby przyniesie.

Posiedzenia te ranne przy picu kawy, często tak się rozwijały naiwnemi ze strony hrabiego wyznaniem, że się nawet Malczak z nich, stojąc w ciemnym kątku, uśmiechał.

W obec ludzi nie przyjmował hrabia ani tak bez wyboru każdego kadzidła, ani tak prosto w piersi wymierzonych admiracyj; między nim a Malczakiem przestrzeń stawała ogromna. Tu zacieraly się położenia różnice; występowali tylko dwaj ludzie, z których jeden ląknął uwielbień, drugi mu je głodnemu dosyć niezręcznie przyprawione podawał.

— A! proszę jw. hrabiego, mówił Malczak: gdybyś jw. pan żył w innym kraju, na rękachby go nosili, monumentaby stawili. Co to taki geniusz! Ale u nas, proszę jw. pana, czy to się na ludziach poznają?

— Masz rację! Ja zawsze się dziwuję, jak ty, prosty człowiek, tyle możesz mieć zdrowego rozsądku? U nas się wszystko marnuje, największe geniusze w niwecz idą. Nie pochlebiam sobie, żebyśmy na równi stał z wielu znakomitymi mechanikami i wynalazcami;

ale tym rutynistom brak śmiałości w pomysłach, samorzutności, a ja to właśnie posiadam w najwyższym stopniu! Egzekucya jest słabszą stroną u mnie, ale i tu gdyby...

— Ale proszę jw. hrabiego, gdybyśmy sami wszystkiego nie robili własnymi rękami, coby to było?

— Ja ci wprost powiem, dodawał hrabia zwykle: gdyby nie twój talent, i tegobym nie zrealizował co jest. Któż tu u nas co zrobić potrafi? gdzie co wypróbować? kogo zapytać? Wreszcie człowiek potrzebuje zachęty: tu znajdzie tylko śmiech i obojętność.

— Toż to, proszę jw. pana, z nas doprawdy niektórzy śmieją się jak z waryatów.

— Bo zawsze geniusz musi być niepoznany! wołał hrabia w zapale: to jest jego znamieniem. Wszyscy wielcy ludzie dopiero po śmierci zostali ocenieni.

— Już to darmo, wzdychał Malczak, choć w duchu się uśmiechał: taki to los nasz, panie!

Krzywa gęba wielce mu ku temu była pomocna, że choć się czasem i rozśmiał z pana, wyraz szyderstwa nieknał w tych fałdach kalectwa, i odkryć go w nich nie było podobna, bo zawsze miał minę złośliwą.

Takie zwykle rano toczyły się rozmowy, niemal codzienną jednostajnie się powtarzające, a teraz tylko urozmaicane dopytywaniem nieznacznym o hrabinę, o której wszystkich czynnościach Malczak starał się być dokładnie zawiadomionym.

Po dobrowolnym rzeczeniu się Jerzego, hrabia napisał do żony, ale odebrał od niej odpowiedź tylko zaklinającą go, aby tego daru spowodowanego testamentem nie przyjmował. Na list ten nie odpisał już wcale. Uraza do żony rosła w miarę jej wytrwałości,

a może z tego powodu, że w głębi własnego serca sam hrabia czuł się mniej od niej czystym i upokorzonym. Przed Malczakiem nie odkrywał on się z tym zalem, udawał nawet, że się łożyli tak mieszkać dla zdrowszego powietrza, dla drewnianego domu i t. p.; ale w tém zachowywała się tylko pozornie przyzwoitość. Wiedział hrabia, że Malczak rozumie udanie; Malczak czuł, iż hrabia nie sądzi, by ~~mu~~ dał lada czém zaspokoić. Ale dla obu tak było jakoś zrzęcznieję i składnieję.

Z samego toku rozmów, objaśnień, zapytań znać było, że hrabia się poróżnił z żoną, ale zachowywano powierzchownie *decorum*.

Malczak ze swęj strony wcale ku zgodzie rzeczy nie obracał,—i owszem, z dawna nie lubiąc hrabiny, czując ją na przeszkodzie, szanować ją zmuszony i wystrzegać się, a nie umiejąc sobie zjednać najpodlejszém pochlebstwem, teraz korzystał z okoliczności, i raczej rozdzielał niż zbliżał ich ku sobie. Znalazło się zawsze coś dobrodusznie opowiedzianego, co hrabiego rozjątrzyć mogło.

Malczak obrachowywał, stopniował swe wiadomości, wylewał je i cedził po kropelce, dając dowody, że był prawdziwie na intryganta stworzony i mógłby niepospolitą w danych wypadkach grać rolę. Im wyraźnieję czuć mu się dawało usposobienie do tęsknoty w panu, tém zrzęcznieję zgodę i zbliżenie się czynił niepodobieństwem, trudności zmyślając z tamtęj strony, tłómacząc każde słowo opacznie, posługując się Żółtowskim nawet, który się wcale nie domyślał, co mu mówić kazano.

Jak przy długiem zżyciu się z człowiekiem, proste często stworzenie, wykształceniem niższe, sercem mniej-

sze, potrafi ovladnąć silniejszą istotą,—jest to doprawdy jedna z tajemnic słabostek ludzkich. Chwyta ono z ręcznie za objawione mu życiem chorobliwe oznaki, często śmiesznie, często niezgrabnie, ciągnąc przez nie potem gdzie i jak zażąda. Opanowany czuje nawet, że się oddał w niewolę, a oprzeć się jęj nie umie. Tak się i tu działo.

Malczak był już od dawna znakomitą w Zarubińcach figurą; teraz dążył przez faworytyzm do samowładztwa. Zdawało się to niepodobnem, patrząc na jego brudną minę, pantofelki i szlafroczek; a jednak tak było w istocie.

Ostatnich dni Malczak wiedział doskonale przez garderobianę, której uczynił zwierzenie się swych affektów i kapitałów: że Jerzy kocha się w Loli, ile razy tam był, co z sobą mówili w ganku (bo Julka ich podsłuchiwała), co potem zaszło, i jak Lola zachorowała, i jak znów przyjechał Jerzy, jak przyjęła go matka i córka, jak potem się rozstali. Nie śmiał jednak z tą ważną wiadomością wystąpić Malczak od razu, przygotowywał ją powoli, a ile razy o pani była mowa, z wielkiem uszanowaniem, ale z jakąś głęboką odzywał się o niej boleścią.

W końcu wypadło mu już wystąpić, aby go kto nie uprzedził. Wszedł więc z rana, gdy hrabia według obyczaju zapijał kawę powoli, chodząc po pokoju wielkimi krokami, z myślami wielkimi, które jakoś w rannęj godzinie żywił mu się nasuwały.

Jak sucharka do kawy, brakło mu Malczaka. Zobaczywszy go pokornie przy drzwiach stojącego na swym miejscu, aż się ucieszył.

— No, cóż stary? jakeś tam spał?

— El co tam spać, rzekł, drapiąc się po głowie
Malczak: czy to tam spać!

— A cóż?

— Człowiek przy jaśnie panu to się takich dziwów
napatrzy a namyśli we dnie, że potém nocą ani oka
zmrużyć. Koła mu po głowie chodzą, walce warczą,
tryby piszczą...

— A no, to coś i ja tak śnię nieraz o moich ma-
chinach. Bieda, mój Malczak, tym, co pracują: trud
ten szalony i we śnie ich nie opuszcza. Ot, patrz na
tę gawiedź próżniaczą: jak to im dobrze, jak to śpi
i tyje!..

— A w dodatku, jeszcze się z nas śmieją, dodał
Malczak.

— A no! tak zawsze... Cóż na dworze?

— Skwar, jaśnie panie; duszno, słońce rano wstało,
deszcz będzie we dnie: nie chybi, i *w barometrze*
spadło.

— A no! a wiatr?

— Zachodni.

— Deszcz pewny. Żółtowski w domu?

— Był z rana, pojechał po gospodarstwie, bo
u niego jak na deszcz się zbiera, pewnie kopy w polu.

— A już to prawda, ma szczęście ten człowiek...
najniezręczniejszy w świecie.

— Kiedy nikogo nie słucha.

— Uparty i głupi, ale się człek do niego przyzwyczaił... przynajmniej milczy.

Malczak się rozśmiał.

— We dworze nic nowego? spytał brabia.

— Nie, proszę pana; nie słyszałem. (Tu chrząknął).

Tylko tu się ktoś przyjeżdżał dowiadywać od hrabiny, czy nie ma doktora.

— Co tam, kto słaby?

— Nie wiem, to podobno panienka.

— Panienka? dawno?

— O! to już nie dziś, podobno kilka dni czy więcej.

— Cóż to tam takiego?

— Ja tam nie wiem! Zwyczajnie, proszę jaśnie pana, hrabina nasza to taka dobra, taka dobra, że sama sobie rady dać nie potrafi... choćby i w tém...

— Tego się domyślałem... dziwy się tam dziać muszą.

— A oczywiście, że się dzieją.

— No, co takiego?

— Zwyczajnie... może to plotki ludzkich języków...

— Ale przecież mnie to obchodzi co gadają.

— At, gadają... nasza pani to dobroć sama...

Hrabia chodził mrucząc.

— A przez tę dobroć to i panienkę może trochę popsula.

— Może był uwaga twoja bardzo trafna.

— Ja zawsze, przez przywiązanie do pani i do panienki, mówiłem, żeby-no co z tego złego nie wynikło.

— Rozsądek nad stan i pozycyę zawsze to powtarzam.

— Ja czulem, że temu tylko oko i opieka jaśnie pana mogły zapobiedz...

— Otoż ja i z daleka czuwam nad niemi, ale zajęcia moje i prace naukowe... No, cóż to tam plotą? bo to mnie obchodzi bardzo; gadaj-no, gadaj!

— Nie warto powtarzać... może to i bajki.

— Mów, mów! ja rozeznam co prawda.

— Ludzie prawią, że pani przez dobroć serca swojego, bo to anioł, proszę pana, jak zaczęła się tak bardzo litować nad panem Jerzym a przyciągać go tam—słyszę, jeździł, jeździł, a płakali tam, a desperowali razem, aż i panienka się w nim słyszę... pokochała.

Hrabia rzucił się i wzdrygnął, a Malczak uląkł się sądząc, że nagle za wielką dał dozę.

— Co ty pleciesz?

— Ja też mówię, że to mogą być bajki.

— Oczywiście: brat stryjeczny, hołysz jakiś.

— Otoż to, słyszę, że i pani bardzo persadowała, że to brat stryjeczny; ale panienka aż się od tego rozchorowała.

— Z tego się rozchorowała? Malczak!

— Mówią, że jakoby z tego, ale kto tam wie: może zagięła się siedząc z nim w ganku albo co...

— I cóż jeszcze?

— Koniec końców, że gdy ostatnim razem przyjechał pan Jerzy, wyklęła się cała historia: zmusili go, że dał słowo, iż bywać dalej przestanie.

— I to wszystko stało się tak, że ja o tém nie wiedziałem ani słowa, gdy chodzi o moje dziecko, o mój dom, o imię moje! Otoż to kobiety! otoż to puść je tylko same! A już, prawda czy nie, ludzie nas wzięli na zęby. Sama myśl przeraża! On moim zięciem! ten przybłęda, którego własny zapał się ojciec, bez wychowania, bez wykształcenia!.. A potem jeszcze powiedzieliby ludzie, że czułem wyrządzoną krzywdę i chciałem mu ją wynagrodzić!

Hrabia mówił przerywanemi wyrazy, rzucał się i gniewał.

— A! rozumiem! dodał po chwili. Mysł ta tylko w głowie tak niedołącznej jak ona kobiety urodzić się mogła; ona to sama skleiła. Ale na Boga, nie dopuszczę, by co z tego wyrosło! nie pozwolę! Zaprzęgać konie!

— Ale, proszę jaśnie pana, wtrącił Malczak przeleknięty gniewem hrabiego: może to jeszcze wszystko bajki.

— Zaprzęgać mi konie! krzyknął groźnie hrabia, zrzucając szlafrok. A ty tymczasem pamiętaj, aby mi tryb żelazny dopuścić do miary; rozmiar ci dałem.

— Ale, gdyby...

— Nie gadać! ruszaj po konie! ja jechać muszę! Słyszaleś?

— Bo ja—dorzucił Malczak drżąc—z obowiązku wygadałem się. Zwyczajnie, co człek posłysz, to niesie do swojego pana. Zresztą kto tam wie!

— Cicho! mnie wiedzieć co fałsz a co prawda; uczyć mnie niepotrzeba! Rozumiem jak rzeczy stoją. Dobrześ zrobił, żeś mi powiedział wszystko; reszta do mnie należy. Zaprzęgać konie!

Malczak trochę przestraszony zbyt szybkimi skutkami zdrady, poszedł rad nie rad kazać konie zaprzęgać; ale znał hrabiego i wiedział, że tylko w pierwszym zapędzie jest niepohamowany, starał się aby konie mogły być dopiero za parę godzin gotowe; potem gdy już stanęły przed gankiem, przybiegł z owym trybem i rozmiarem, zaczął rozpytywać o jakieś koło, wrzucił coś o jakiejś maszynie, o której pragnął się objaśnić, i tak kilka dobrych godzin zmarudził, aż hrabia znacznie ostygł. Chmura jednak nie zeszła mu z czoła i wyjechał zasepiony.

W drodze znowu mocno się myślami własnymi roz-

ognił, i gdy wszedł do salonu hrabiny, miał poważną i surową minę sędziego. Loli nie zastał przy matce; znów była chora i stan jęj jakoś się pogorszył.

Małżonkowie znaleźli się sami, a Marya rozczulona przybyciem męża, patrząc mu w oczy, serdecznie ścisnęła jego rękę... Rajmund milczał. Po chwili dopiero zebrawszy myśli, rozpoczął rozmowę.

— Doszły mię wieści dziwne... nawpół tylko dają im wiarę... Mógłbym jednak i ususzę spytać: co zrobiła z Lolą? co się z nią stało?

— Jakież cię wieści dojść mogły? zapytała przerażona Marya.

— Lola chora; szepczą o jakichś tajemnych choroby przyczynach, zmartwieniu... nie wiem. Wyłómacz mi się pani. To dziecicę równie mnie obchodzi jak ciebie, równe do niego mam prawa. Chcę wiedzieć, co się tu stało?

— Ale nie! cóż ci mam powiedzieć?

Hrabina zalała się łzami. Rajmund zamilkł.

— Otoż to są skutki samowolności kobiecej, gdy żony chcą sobą kierować same i od rad doświadczonego wyłamują się towarzysza! Daj Boże, bym przyszedł w porę!

— Na Boga, mój mężu, odpowiedziała Marya z pokorą: mówmy spokojnie. Jeżeli co się stało, byłoby to zarówno i pod twojém spełniło się okiem. Lola jest jeszcze takim dzieckiem, Jerzy się jęj podobał od pierwszego wejrzenia.

— Tak! a wpani pieszcząc go, użalając się nad nim, przygotowałaś to uczucie, utorowałaś drogę intrydze. Ośmielił się zwrócić na nią oko! Siostra! na Boga! to zgroza! wybuchnął hrabia: to wstyd i hańba dla domu!.. Samo podejrzenie czegoś podobnego nas

kala! Ja muszę się z nią widzieć, i powiem jój stanowczo.

Hrabina porwała się przestraszona, i rozkrzyżowując ręce, stanęła we drzwiach, zasłaniając je sobą, błada jak marmur i drżąca.

— Chyba po moim trupie przejdiesz do niéj! zawołała. Ja winna jestem, być może, ale ja znam to dziecko, które przy mojej piersi urosło: jest to drobniuchny kwiatek, który lada nieostrożne dotknięcie zgnieść może. Jeśli ja winna, odpokutuję, złe naprawię sama; ale nie pozwolę nad nią się znęcać! Dziś Lola jest tak chora, że najmniejsze rozdrażnienie stan jój nieskończenie pogorszyć może... Hrabie, zlituj się...

— Tak! zawsze te pieszczoty! krzyknął Rajmund: pobjażanie bez końca! obawy! a skutkiem tego choroba dziecka, śmiech ludzki i wstyd rodziny!

— Przyjmuję, niech wszystko spada na mnie.

— Ale to dziecko jest mojem również, nie zapominaj wpań! zawołał Rajmund. Cóż mi z tego, że grzech i wina spadną na ciebie? Ja chcę ją ocalić, ja muszę, jednem słowem, rozbić te czeze marzenia, zamknąć głupie nadzieje, przyprowadzić ją do rozumu.

Hrabina uklękła, złożyła ręce, i płacząc pochwyciła go za nogi.

— Mężu mój drogi, ojczy, panie, nie idź! lub jeśli chcesz zobaczyć chore swe dziecko, przyjdź do niego ze słowem pociechy, z uśmiechem ojca, z pogodą na czole, nie pogarszaj jój stanu. Zlituj się nad nią, zlituj nademną!

— Dość już tych płaczów i tragedyj! Bezwarunkowo chcę widzieć Lole; muszę ją widzieć; będę wiedział jak sobie postąpić!

Hrabina opamiętawszy się wstała, ale w oka mgnieniu zamknęła drzwi na klucz, i nie mówiąc słowa, w dłoni go drżącój ścisnęła; potem wysiłona upadła na krzesło.

Gniewny Rajmund stał przed nią i zżymał się.

— Jak to? ja nie mam prawa widzieć własnego dziecka? Cóż to znowu! puścisz mnie wpani czy nie?

— Hrabio, słowo tylko twoje, że jój nic o tém nie wspomnisz? słowo?

— Nie przyjmuję żadnych warunków: zobaczymy.

— Ja cię błagam.

— Ja dyktuję prawa, rzekł hrabia dumnie. Wpani się zapominasz.

Walka ta przedłużona w końcu osłabiła hrabinę i znużyła do ostatka. Błada bez tchu, skłoniła głowę, zdając się blizką omdlenia, zawołała wody; nim ją podano, klucz odedrzwiał położyła na stole.

Hrabia tymczasem z zimną krwią wziął go powoli, otworzył drzwi i wszedł, nie oglądając się na żonę, przez parę izdebek do pokoiku, w którym biedna chorą leżała. Marya zobaczyła to, ale osłabienie nie dawało jój już nic przedsięwziąć; modliła się po cichu i płakała...

W małym pokoiku od ogrodu leżała w swoim łóžeczku blada dziewczeczka, a że jój już oznajmiono o przybyciu ojca, przybrała się do niego w biały kaptanik, w czepeczek świeży, i czekała myśląc, że przyjdzie ją po dawnemu w czoło pocałować. Serce biło jój trochę, bo myślała sobie:— „A nuż on wie? co on powie? co ja mu odpowiem?“

Nieśmiała była z ojcem, bała się groźnego wejrzenia i brwi namarszczonych.

Wszedłszy powoli, hrabia stanął w progu, popatrzał

na nią, i snadź spodziewając się znaleźć ją gorzej, widząc tak ubraną i tylko w łódeczku leżącą, jakby ją trochę zabolęła głowa—wszystko co mu żona mówiła o chorobie, wziął za zwykłą przesadę. Postanowił więc, korzystając ze zrzeczności, od razu skończyć rozprawę.

Widząc, że Lola nie wstaje i nie przychodzi do niego, sam zbliżył się do niej, a przywitał ją tak zimno, że od razu serce jej przeczuć mogło z czém przychodzi.

— Wiem o wszystkiém, odezwał się ojciec zmierzyszy ją okiem surowém: wiem... Nie tyle ty winna jesteś, ile matka i ten niepoczciwy młokos...

— Matka! kochany ojcze! łamiąc ręce porwała się Lola. Ona! on! ale cóż za wina ich? jaka moja?

— Cicho, dziewczyno! nie kłamać przedemną!

Lola zbladła, łzy potoczyły się jej po twarzy perliste, a serce zaczęło bić tak żywo, że ruch jego zdradzało pokrycie. Przestraszonemi oczyma szukała matki.

— Przyszedłem tu po to tylko—rzekł ojciec—abym ci zapowiedział jedno: nie łudź się żadną nadzieją. Wszystko to, coście marzyć mogli, jest szaleństwem, grzechem i hańbą; prędzejby umarł, niż na to pozwolił. Mogła matka przez słabość pobłażać, mógł on mieć w tém swe rachuby, mogłaś ty uleść niedoświadczona; ale to intryga brudna, której ja nie dopuszczę dokonać.

— Kochany ojcze, siadając na łódeczku odezwała się Lola odważniej, niżby się spodziewać można: jeśli tu kto winien, to ani matka, ani on, ale ja jedna! Grzech ten zrodził się w sercu mojem, urosł w niem nim go spostrzegłam, wybuchnął nim wiedziałam, że

to wina i plama. Matka cierpiała za mnie, on cierpi...
jam jedna występna.

— Dosyć mi tych deklamacyj! przerwał ojciec. Zostaw mi sąd o tém. Wiedz tylko jedno, że umrę raczej niż dopuszczę, abyście choć nadzieję mieć mogli; że pod błogosławieństwem ojcowości, słyszysz? że pod błogosławieństwem, zakazuję ci myśleć o tém. To jest moja wola i niezmiennie postanowienie.

Lola powoli upadła bez tchu na poduszki—a gdy weszła, a raczej wlokąc się powoli wcisnęła matka, już oczy jęj stanęły słupem, ręce się ścisnęły, zęby zacięły, i omdlenie w kość i marmur obróciło ją całą.

— Wody! ratunku! lekarza! załamując ręce wołała biedna matka. Lolul! dziecko moje! serce moje! to ja!

Nie spojrzała na męża, nie był to czas czynienia wyrzutów, bo i sam hrabia zatrzymał się przełękły, nie wiedząc co począć, jak się tłómaczyć, i niepokojąc się o skutki swojego uporu.

Śludzy rozbiegli się po leki. Lola leżała jak martwa. Marya wskazała tylko mężowi ręką, aby wyszedł; a Rajmund posłuszny tym razem, znikł za drzwiami.

Sam uczuł, że widok jego przy rozbudzeniu mógł córkę znowu o ten sam stan przyprowadzić.

Nierychło otwarły się jęj źrenice, usta przepuściły westchnienie, oczy żyły; pierś znowu wciągnęła powietrze i rączki schwyciły za bolące serce.

Budząc się, dziecina najprzód szukała matki, i rzuciła się na jęj szyję, tuląc główkę w objęciach.

— Uspokój się, uspokój, usniej, odpoczniej, pomódł się droga Lolul... w Bogu zawsze nadzieja!

— O! dla mnie nie ma nadziei! Ja noszę na sobie

przeklęstwo ojca, bo nie kochać go nie mogę, bo nie myśleć o nim nie potrafię, a ojciec przeklął nas oboje.

— Dziecko moje, to ci się tak zdało. Jam słuchała: on nie to powiedział.

— Serce moje to uczuło.

I jakby opamiętawszy się, powiedła oczyma szukając ojca, a nie znalazłszy go, zamilkła.

Stan jednak Loli pogorszył się mocno, i lekarz wezwany, który nadjechał wieczorem, zostając przy chorój, prosił, aby po drugiego posłano.

— Nie tu nie jest jeszcze, rzekł do matki; ale zawsze ja nie jestem tak biegłym na słabości kobiece lekarzem—wolę mieć kogoś do pomocy. Ze mnie konował; dobrze to, gdy sobie prosty człowiek nogę skaleczy, ale nie gdy dziecko dorastające roznerwuje się, a jeszcze tak delikatne.

Hrabia milczący pozostał cwałile, ale widząc sam, że sobie nieopatrznie postąpił, nie umiając poradzić, nie chcąc swych słów odwołać, nie mogąc inaczej się odezwać, pożegnał żonę i odjechał nie mówiąc słowa. Marya nie robiła mu wymówek próżnych; milcząc przyjęła zimne jego pocałowanie, i rozstali się chłodno, z bolem w sercu oboje.

— To dziecko zgubione, rzekł siadając do powozu Rajmund: zgubione pieszczotami, pochlebstwy; na to nie ma już ratunku.

U państwa Jędrzejowstwa oczekiwano niecierpliwie przybycia Jerzego, którego sprzysiężeni przyjaciele domu obowiązali się żywcem lub martwego dostawić pannie Anecie.

Sam Jędrus mocno około tego latał, matka pracowała po cichu, a Aneta spokojnie, jak pieszczone dziecię, oczekiwała pewnego już skutku. Chciała, — więc być musiało.

Nie mówiono jęj nic o poczynionych staraniach, bo o nich wiedzieć nie była powinna; ale dziewczę przebiegle łatwo się ich mogło domyślić.

Doniesiono wreszcie, że Jerzy już jest w sąsiedztwie, spodziewać się go zaczęto lada dzień, lada godzina, nie wątpiąc na chwilę, że go przywiozą. Ludzie nawet przygotowani byli na wypadek gościa; paradne serwisy stały poprzykrywane serwetami, owoce w szafach pod kloszami czekały; a Jędrus doglądał tylko, aby na zawołanie wszystko w całym blasku stanęło.

Tymczasem dni mijały, a Jerzy nie przybywał.

Po obiedzie, trzeciego dnia próżnych oczekiwań, spostrzeżono bryczkę w tumanach kurzu, a Jędrus wpadł do żony zdyszany z niespodzianką, że jadą od strony Robowa.

Z tego „jadą“, zrobiło się wkrótce tylko „jedzie“, bo to był Maks, który dłużej nie chcąc ich trzymać w niepewności, sam przybywał co rychlej ze złą nowiną.

Jędrus nań już czekał w ganku.

— A co to? sam? spytał.

— Sam, rzekł Maks, ale obawiał się spowiadać przed Jędrusem, który zresztą czując swoją nicość, nie miał do tego pretensyi, i poszedł tylko za gościem do pokoju żony.

Stasia obejrawszy się, przyjęła go dość kwaśno.

— A cóż? a on? spytała.

— A on? powtórzył wciskając się pod łokieć Maksowi Jędrus.

— Licho wie co mu się tam stało! zawołał Maks zachmurzony: prosiłem go, ciągnąłem, namawiałem.

— Więc cóż? przerwała Stasia.

— Odłożył to dla niezmiernych zajęć... interesa... nie wiem tam co... strasznie zakłopotany...

— Ale trzeba mu było powiedzieć, że go Stasia bardzo a bardzo prosiła, rzekł Jędrus naiwnie. Pewnie mu tego nie powiedzieli.

— Ale cicho! przerwała żona.

— Tak jest! cicho! Właściwie, poprawił się Jędrus: nie należało mu powiedzieć tego wyraźnie, ale dać do zrozumienia.

— Ja mu różne rzeczy dawałem do zrozumienia, ale zajęty i uparty...

— A doktor? spytała matka.

— Doktor pracował także...

— A finalnie cóż on na to? spytał Jędrus.

— Cicho-bo, panie Jędrzeju!

— No, jak cicho to cicho! rzekł do siebie, ustępując, mąż.

I stanął zakładając ręce jak Napoleon, co było jego metodą w obec ludzi, gdy chciał dać delikatnie uczuć żonie, że sobie już za nadto z nim pozwala.

— To dziwak, to zupełny szaleniec, dodał Maks.

— Ja zawsze od początku mówiłem jedno: szaleniec! rzekł Jędrus.

— Ale cicho, panie Jędrzeju!

P. Jędrzej ruszył ramionami.

— Ale jakże się rzeczy miały? mów pan, powtórzyła Stasia wskazując krzesło.

— Robiłem co było można; nie dał się wziąć.

— Nas przecież nie skompromitowałeś? spytała gospodyni.

— A uchowaj Boże!

— To głupiec! rzekł po cichu Jędrzej.

Gdy taka rozmowa po cichu się toczy w pokoju saméj pani, niecierpliwa Aneta wbiegła, rzuciła okiem po twarzach, i zrozumiała wszystko. Odgadła niepowodzenie, ale natychmiast przybrała pozór obojętności i wesela. Maksa przywitała śmiejąc się, zaczęła szczebiotać, i aż się wszyscy zdziwili, tak potrafiła pannaować nad sobą.

— Po co jęj ten cudak! rzekł Jędrus oszukany, w duchu. Ona sobie żartuje z niego, i ma rozum.

Matka to jednak inaczej zrozumieć musiała, i wyszła z nią po chwili do drugiego pokoju, a potem powoli w ganek od ogrodu.

— Nie ma tu co grać w ciuciubabkę, moja mamo, odezwiała się Aneta pierwsza. Ja tak dobrze widzę jak i wy... Maks przyjechał z raportem, że Jerzy nie będzie, nie prawda?

— Ale on nie miał czasu, moje dziecko, odpowiedziała zafrasowana matka.

— Rozumiem wszystko, i to, żeście się niepotrzebnie o niego starali, i jak on sobie z nami postąpił. Trzeba się mnie było poradzić: to do niczego wszystko.

Matka zafrasowana milczała; Aneta z zaciętymi od gniewu usteczkami, stała przed nią pozornie spokojna, ale w duszy rozdrażniona.

— Nie ma co tać! ja go kocham, on mnie nie kocha. Kocha Lolę, czy nie wiem tam kogo; ale ja go muszę mieć, mieć będę! dodała tupiąc nóżką: musi być i będzie moim!

— Cicho! na Boga! przerwała przestraszona Stasia.

— Cicho? dla czego? spytała Aneta. Niech słyszy kto chce, on sam; co mi to szkodzi! On będzie moim! dobrym czy złym sposobem, dziś czy jutro, mieć go chcę i będę. Raz w życiu zabiło mi serce, i nie pozwolę, by uderzyło darmo! Rozpaczać nie myślę, rozpacz rozum odbiera; płakać nie będę, płacz oczy psuje; ale przysięgam, musi być moim! będzie!

Wyraz, z jakim te słowa wyrzekła Aneta, czynił je przerażającemi jak groźba śmierci. Szatan nie inaczej musiał wypowiadać wojnę Bogu, niż ona wypowiadała ją ukochanemu. Matka przeległa się i zadrżała, tak straszne w tej chwili wydało jej się własne dziecko.

— Co mówisz? na Boga! pomiarkuj się dziecko moje! zawołała.

— Stało się, przysięgam i dotrzymam przysięgi. Jak? kiedy go mieć będę? nie wiem... ale będzie moim. Jeżeli się ożeni, wydrę go żonie; jeśli uciecze, dogonię; jeśli odepchnie—zabiję!

— Aneto! krzyknęła matka dostając spazmów: to szal! to okropność!

— Tak! to szal! spokojnie mówiła dziewczyna. Ja wiem... ale to nic nie pomoże: kocham go. A teraz, dodała zimniej: proszę cię matko, żadnych w moim imieniu starań, ani słowa, ani kroku. Jestem sama dość silna, by pokierować sobą i zwyciężyć los, jeśli mi się oprze. Ani słowa ojcu, nikomu... Widzisz, żem zdrowa, przytomna, pewna siebie, spokojna; dość tego. Nie jestem dzieckiem. Wróćmy do gości.

I z twarzą, na której tylko lekki rumieniec dowodził świeżo przegorzałego uczucia, Aneta śpiewając jakąś piosenkę przeszła do salonu, usiadła przy Maksie, i spokojnie rozmawiać z nim poczęła o rzeczach obojętnych.

Nawiasem ktoś powiedział, że Lola chora, a Aneta mocno się nad jój losem poczęła użalać.

— Nie dalej niż jutro pojedziemy do niéj, mamó.

— My! a pojedziemy.

— O! pojedziemy! dodał Jędrus.

— Ja tak kocham tę biedną Lolę, ten śliczny kwiatek naszéj doliny! dodała Aneta.

Maks natrącił coś o Jerzym, a dziewczę odezwało się obojętnie:

— Co to za szkoda, że tak zaniedbany, tak zdziaczały, że tak późno wszedł w lepszy świat, wnosząc już węń nałogi i obyczaje innego życia!

— Jaki to rozum u téj dziewczyny! szepnął Jędrus; niech ją... anieli kochają! Ja zawsze mówiłem, że im się ta miłość jakaś przywidziała; przecież sama mówi, że dziki... Ale one mnie tu mają za głupiego! Cóż robić!

Maks, który niedaleko widział, gdy nie o niego chodziło, dał się tak wziąć jak i drudzy. Jedna tylko matka jaśniej to rozumiała, ale przerażona milczała.

Tak skończył się spokój wieczór, a nazajutrz pan Jędrzej odebrał formalną dyspozycję kazać zaprządz do karety cztery gniade konie, gdyż paniejechać miały do hrabiny.

Aneta wstała spokojna, tylko oczko jój błyskało czasem jaskrawym ogniem przytłumionego gniewu. Ubrała się czarno, ułożyła twarz smutną, i zadysponowawszy ubiór dla matki, bo i to od jój rozporządzenia zależało, punkt o drugiej siadła do powozu.

Podróż minęła w milczeniu, a gdy wysiadły przed gankiem i weszły do salki, z razu nie zastały nikogo.

Po chwilce, nieubrana, z zapłakanemi oczyma, biedna hrabina wysunęła się zmieszana do swoich

gości; bo na wsi niepodobna ich nie przyjąć, choćby kto konał w domu.

— Al cóż to pani dobrodziejce? spytała Stasia: czy nie chora?

— Ja, nie; córka mi słaba. Pojmujesz pani niespokojność moją, odparła hrabina: jedyne dziecię!

— Cóż to takiego? przecież nic groźnego?

— Nie wiem: dla matki wszystko jest groźne, moja droga pani...

— Teraz to panują katary, febry, i moja Anetka także przez dni kilka była dosyć niedomagającą...

— Mogę pójść zobaczyć kochaną Lolę? przerwała Aneta.

Hrabina zafrasowała się.

— Nie wiem, może zasnęła...

— Ja wejdę na palcach, nie zbudzę jęj, zobaczę tylko—takbym chciała ją widzieć! Proszę mi pozwolić trafić sama.

I nie czekając pozwolenia, wsunęła się Aneta z jedwabnym sukni szelestem jak wąż do ciasnych drzwi-czek, przez pokoiki sunąc, aż do łóžeczka, w którém leżała chora.

Lola była na pozór spokojna, ale strasznie zmieniona. Oczka jęj choć suche, zdawały się świeżemi wypalone łzami; żrenice były powiększone, policzki wpadłe; pierś podnosiła się często i gwałtownie.

— Al cóż ci to jest, Loleczku! przybiegając do nięj zawołała Aneta: co ci to? chora jesteś?

— Tak, trochę...

— Wiesz, i ja byłam niezdrowa! dodała Aneta, siadając w jęj nogach; ale nam młodym tylko chcieć trzeba, aby się dźwignąć. Nie słuchaj tylko doktorów; zobaczysz, siły ci przybędą, byleś wstała.

— A jakie rączki masz gorące! rzekła biorąc ją za dłoń białą: czy masz pragnienie?

— O! wielkie!

— Nie mówmy o chorobie! to dzieciństwo! przyszło i przejdzie. Był tu kto u was, mieliście gości? My siedzimy jak zamurowani... A! co to za nudna okolica!

— U nas było kilka osób, ale ja wolę samotność.

— Był Emil?

— Był parę razy.

— Śliczny chłopiec; podobał ci się?

— Nie wiem, doprawdy nie przypatrzyłam mu się nawet.

— Żartujesz chyba, bo cóżbyśmy robiły biedne dziewczęta, gdybyśmy choć w oczy chłopcom nie spoglądały, dodała śmiejąc się Aneta. Prawda, że nie pociesznieszego nad nasze z nimi na oczy rozmowy... Oczy daleko wyraźniej mówią niż usta: nieraz się uśmieję myśląc, do czego służą te nasze rozmowy słowami, gdy wejrzenia daleko jaśniej tłómaczą bez ogródki, od razu, co w sercu i myśli.

— A, mój Boże, ja tego nigdy nie uważałam! słabo odezwała się Lola.

— Przypatrz się tylko kiedy... Język to tak jasny i rozumiały, a tak nic nie kompromitujący... Wchodzi, kłania się ceremonialnie, mówi o pogodzie i deszczu, a oczyma pyta:—Będiesz ty mnie kochała czy nie?—Ja mu na to powoli odpowiadając o pogodzie:—Nie wiem, zobaczę.—Patrz, jestem bardzo przystojny, mówią znów jego oczy.—I ja też nie jestem brzydka, odpowiadają moje. — Spójrzże na moją postawę... — Zobaczże moją rączkę i nóżkę...—Pokochałbym cię.—Pokochaj... zobaczę... — Jesteś ładna...—Podobasz mi się

i tak dalej... A mamy i papy ani wiedzą co się koło nich dzieje; a słowa sobie idą zimne, jak zdawkowa moneta dla dziadów... Nie także to moja Lolu?

— Ty to wiesz lepiej...

— Rozumiem! ja daleko już dłużej żyję i doświadczeńsza jestem od ciebie, zawołała Aneta. Powiem ci nawet, że tym mężczyznom czy ustami mówią, czy oczyma, wierzyć nie można: najczęściej sobie żartują lub kłamią.

— Czyż wszyscy?

— O! nie ma wyjątków! zawołała Aneta. Dla nich ja, ty, druga, trzecia, to wszystko jedno; byle piękna, byle młoda, często byle bogata... Myśmy zawsze dzieci, dajemy się tak uwieść jak ta biedna półkownikowa, której się zachciało artysty, a złapała pospolitego ekonomczuka... Wierzimy wszystkiemu, gdy serce kochać pragnie; wywołujemy fałszywe wyznania, świętokradzkie zakłęcia; potem ich łachmany kładziemy na sercu... a!...

— Ale czyż wszyscy? czy wszyscy? powtórzyła Lola.

— Wszyscy są ludźmi, odpowiedziała Aneta: gorsi, lepsi, ale to zawsze ciż sami ludzie, ta sama w nich płochość i niewiara.

— Nie! to nie może być, zawołała Lola: nie mów mi tego...

— Jeśli chcesz, zamilczę, śmiejąc się przerwała Aneta: ale gdyby kiedy spotkać cię to miało, moja Lolu, żeby ci się na świętości największe zaklął człowiek, poprzysiegając wiekuistą miłość, co niechybnie przyjdzie rychło, lub może już przyszło...

Aneta spojrzała na nią wzrokiem badawczym, a Lola pokraśniała i zadrżała.

— Wiedz, dziecię moje, że u nich przysięga,—kończyła dziewczyna z uśmiechem,—zakęcie, ślub nawet, to igraszka. My tylko biedne bierzemy to na seryo, chwytamy chciwie cacka, a potem serce nam pęka, a oni się śmieją. Dla nich to sobie zabawka, oni tak liczą swoje podboje jak my boleści.

Smutnie Aneta zwiesiła głowę, bo smutek należał do programu, był przekonywającym argumentem.

— Al nie mów! nie mów! przerwała jej Lola: słuchając tego, serce zamiera. Miałożby tylko złe być prawdą, a wszystko co dobre i piękne złudzeniem?

— Niestety! my-bo—zawołała Aneta—przychodzimy na świat z jakimiś pozaświatowemi o nim pojęciami, a póki się człowiek nie zrezygnuje na prozę, dużo wycierpieć musi.

— Ale to tak nie jest! Czyżes ty miała czas tyle wycierpieć, by się tak wiele nauczyć?

— Ja? Jeśli chcesz prawdy, niejedno mi się zdarzyło w życiu. Ale dziś, to rzeczy powszednie. Wiem, że serc nie ma i nie szukam; dobieram sobie twarz, człowieka, sługę, faworyta, cacko jakieś—więcej nie chcę. Ja mu się nie poddam; on poddać mi się musi. Miłości nie chcę; potrzebuję posłuszeństwa. Miłość, to dziecinny sen o białych aniołach.

Lola już nic nie odpowiedziała, ale chłód ogarnął ją przykry i serce się ścisnęło. Aneta, jakby wrażenia nie spostrzegła, mówiła dalej powoli:

— I ja przechorowałam na miłość. To tak jak szkarlatyna: raz w życiu przebyć ją potrzeba; potem już człowiek wolny na zawsze. Albo się z tego umrze, albo wyzdrowieje, i potem już nic.

— Ty kochałaś? spytała Lola.

— Al jak! jak kochałam! tak jak ty kochać będziesz,

gdy pokochasz! zawołała Aneta. I płakałam, i modliłam się, i chorowałam, i przysięgałam jemu! On mnie przysięgał i zamieniliśmy pierścionki...

Lola zbladła jak marmur; oddech się w jej piersi powstrzymał.

— Chodziliśmy razem po księżycu, pisaliśmy listy, płakaliśmy wsparci wzajem na ramionach.

— A potem?

— A potem on znalazł bogatszą i młodszą.

— A ty?

— A ja? płakałam jeszcze trochę, chorowałam i pogardziłam nim i *nimi*!

— A! trafiłaś nieszczęśliwie! żal mi cię.

— Traf ten wszystkie nas spotyka. Nikt nie jest szczęśliwszy: tylko jedna z nas przeboleje, druga gorzej, bo pójdzie do ołtarza, by w rok albo prędzej, jak półkownikowa, zobaczyć, że Maks genialny artysta, jest panem Maksymilianem, kandydatem na podsędkę, lubiącym barszcz z rurą i zrazy. Wzdychajże z nim po księżycu!

Tu szczebiotanie się urwało, bo hrabina przeczuwszy, że zbyt długą rozmową córkę znużyć może, weszła z panią Jędrzejową, i salon przeniósł się do łódeczka Loli.

Ale co się stać miało, już się stało: w duszę Loli wstąpiła niewiara, zwątpienie; obok rozpaczny stanęła obawa, przypomnienie słów, które ją mogły potwierdzać, tęsknota, gorzkie przeczucia. Odpychała je dusza dziewczica; ale te mary, gdy raz przyjdą i staną u łóża, już ich nie odegnąć niczem.

Jak w duszy pobożnego człowieka, wątpliwość sceptyka i uśmiech niedowiarka wiecznie szatańskiem piętnują się przeczeniem, które i na modlitwie przychodzi;

tak w sercu dziewczęcia zaszczerpiona nieufność, przypomina się nawet wśród uścisku szczęścia.

Człowiek przynosi z sobą zapas wielki miłości, nadziei, wiary; kwiaty te młodość rozwija. Lecz jak pączek perskiej róży, gdy w kielich kropla ranniej rosy padnie, już się nie roztworzy, a plama i rdza zjadają go mimo słońca: tak mała rosy kropelka, tyśiączna łyż cząsteczka, co się do serca zakradnie, już uczuciu rozkwitnąć nie da.

Niepostrzeżony to z naczek na listku, plamka nie-dojrzana, ale z sobą śmierć przynosi.

Jerzy powracał do Horycy rozteśkniony, zbolący; stanowczo odmówił bytności u Jędrzejowstwa; nigdzie nie mógł się pokazać w tym stanie ducha; sam potrzebował być z sobą. Przez całą swą podróż, którą odbywał dość powolnie, mimowoli porównywał swobodną swą przeszłość, z trosk pełną chwilą terażniejszą. W sercu, w myślach wiele się rzeczy zmieniło. Nie pomógł opór przeciwko światu: opasała go powoli żelazném kołem niewola, z której ledwie kilka lat młodszych wyrывa. Odzyskać znowu tych chwil swobody cygańskiej nie było już podobna: dojrzałe lata przybyły z obowiązkami, z trudem i znojem, od których tylko egoizm mógł wyswobodzić. Jerzy lepiej zaczynał pojmować życie i treść jego, którą jest boleść; postrzegł, że kto ma serce, cierpieć musi i wpleść się koniecznie w ten Holbejnowski taniec życia, z którego wyniść nie można, chyba do mogiły.

„Więc wszystko było marzeniem! mówił sobie; więc

ofiary i sny z przebudzeniem znikły jak mgły poranne! Z jednej strony przybrana matka, z drugiej ukochane dziewczę, dalej rodzice, starzy słudzy i przyjaciele, nad których losem czuć było potrzeba: wszystko to trzymało w związku ze społeczeństwem, w konieczności pracy, podległości, czuwania...

Ale pojął, że to, co się poświęca światu i ludziom, płaci się serdeczną pociechą, i pierwszy raz zbliżając się do Horycy, zrozumiał rodzinę i słodycz domowej strzechy... Tu nań czekano! było serce, oczy, co go wyglądały!

W miasteczku schwycił go ks. Mizerya na drodze, i uściśkał, nie mówiąc słowa.

— A widzisz! przemówił po chwili: mizerye ludzkie—co to Pan Bóg robi! wielki z Niego majster! Wróciłeś do ojcowizny, będziesz się modlił w tym kościółku, który dziada twego pamięta, i jeszcze mi w tym roku każesz łąkę wykosić. Bo to ja koniki hoduję, a siano już grubieje; to szuwar, na nic potem, a ja robotnika nie dostanę. Proszę, proszę — a nim się kto zlituje i z kosą pójdzie, to drudzy już w stogi złożą.

— A! mój ojczel! i łąkę skosimy i odmienimy ją, jeśli zechcecie.

— O! już odmienimy! zawołał ks. Mizerya. Stój chłopczel! niech sobie i szuwar będzie, byle stary a mój: ja się z nim znam, a wy mi nowy dacie, to znów będzie sam hnidnik albo łoża. O nie! starych przyjaciół niepotrzeba mieniać. A co to ja tam na tej łące pacierzy namówilem, a naklałem grzeszną gębą w czasie słoty! Ale cię już nie wstrzymuję, dodał; jedź, jedź, czekają tam we dworze. Paweł ciągle, słyszę, wychodzi na wzwiady ku grobli i rusza ramionami, że

ciebie nie widać. *Deus te reducat*, bywaj zdrów moje dziecko! A kosarzy mi na wiosnę przysłać nie zapomnij; otawy ja kosić nie będę: *non bis in idem*.

Przybycie panny Izabelli wiele bardzo smutny dom horycki zmieniło. Ta, co dla siebie nigdy o wygody i piękność nie dbała, pół wieku przesiedziawszy w opuszczoném domowstwie miasteczka, — tu dla przybrane-go dziecka krzątała się chcąc wszystko jak najwygodniejszém, miłém i wesołém uczynić. Stracony smak i poczucie piękna odzyskała, a Horyca w jój ręku wyświeżyła się do niepoznania, przynajmniej zewnątrz. Wewnątrz bowiem było pusto, tylko na górze pokoje przyozdobiono, dół jak był zostawując dla pamiątki, i zachowując nietykalnemi mieszkania Lacyny, Pawła i Radwanowicza, którzy się byli do nich przyzwyczaili.

Izdebka Siermięzkiego pełna makuter i przejęta wyziewem tabaki, schnących liści, próbek, niewodów, rupieci bez wartości, które wiek i nałóg gromadzą, nietknięta wśród odświeżonej góry została. Drzwi tylko od niej pomalowano, co Pawłowi nie do rzeczy się wydało.

Życie nowe wstąpiło w zamarłą Horycę. Zbliżając się do dworu, choć osmucony wspomnieniem Loli, Jerzy uczuł się jakby weselszym, był u siebie, miał rodzinę. Brakło tu tylko téj, której uśmiech byłby rozjaśnił i ożywił wszystko: bez której już dla niego nigdzie spokoju i szczęścia być nie mogło. Wspomniawszy to i westchnął wchodząc na próg, w którym powitała go panna Izabella.

Kto ją widział przed niedawnym czasem w Pińsku, a byłby ujrzał teraz, mógł jój nie poznać, tak przeistoczyło ją szczęście i zamiana uczucia zemsty i nienawiści przepalającego, na poczciwe miłości

i przywiązania uczucie. Żyła teraz tak w Jerzym, jak długie lata gryzła się pragnieniem zemsty nad ojcem jego. Wprowadzie twarz jej postarzała, bo i szczególnie przychodząc nagle zjada człowieka; ale oblicze to jaśniało pogodą, oczy śmiały się spokojem, a kiedy rękę podała Jerzemu, dłoń jej od radości drżała. Przykro jej tylko było spojrzawszy na twarz syna, znaleźć na niej ślady cierpienia, zadumę i troskę już rozpoczętego życia.

Razem z p. Izabellą, Lacyna i Radwanowicz, dwór nieodstępny, przywitani w progu młodego pana. Regentowicz był wesół, wyświeżony, rumiany do zbytku, co zawsze przypisywano wódce do poduszki, którą się bronił od bólu zębów. Radwanowicz nie schudł wcale, a z założonemi na tył rękami i okrągłą jak księżyc w pełni twarzą, miał minę niezmiernie poważną.

Serdeczne przyjęcie na chwilę tylko rozjaśniło oblicze chłopca, które zaraz posmutniało znowu. Brakło mu Loli, nie wiedział co się z nią dzieje: niepokój go uciskał.

P. Moroszówna nie śmiała go pytać o nic; przeczuwała, odgadła złe z oczu, ale starała się nie drażnić go nawet troskliwością zbyteczną. Wszyscy zaraz skupili się około młodego pana, który im powracał, niosąc nowe z sobą życie. P. Izabella powiodła go po domu, aby mu porobione w nim pokazać zmiany.

Każdy czems się miał pochwalić: Paweł sypialnią, w której przybór myśliwski i różne wygodki uporządkował i zgromadził; p. Izabella kwiatami; Lacyna gospodarskimi rejestrami i spisami, które położył na oku; Radwanowicz projektem ułożenia systematycznego biblioteki, który od lat kilkunastu ciągle poprawiany, na zawsze miał pozostać w tece autora.

Zacny ex-professor uznawał potrzebę jakiegoś porządku, ale zarazem przeczuwał, że był już za stary, aby się nim posłużyć, i w cichości postanawiał *statu quo* utrzymać, czemu się nikt nie sprzeciwiał.

Kiedy wreszcie z gorliwością się swą popisawszy, wszyscy się rozeszli, po cichu sobie szepcząc spostrzeżenie, że panicz czegoś bardzo smutny powrócił,—p. Izabella powiedła go z sobą na górę, a towarzystwo dworskie: Paweł, Lacyna, bibliotekarz, zeszli wzdychając do izdebki Radwanowicza, aby wziąć pod bliższe rozpoznanie co wyczytali na jego twarzy.

Paweł pierwszy kwestyę zagaił.

— Nieswój—rzekł—nieswój; nawet oto kiedy mu ten majątek odbierali ten sędzia z Burdą, nie można powiedzieć, żeby nie był weselszy. Dzisiaj powrócił jak przybity.

— Oczywiście rzecz, że to nie bez kozery, odparł Radwanowicz powoli. Fizys nie zwodzi, zkąd fizyognomika, nauka jak świat stara. Świat *mundus immundus*, stary upudrowany popiołem popielcowym intrygant... Intryga i miłość—*Kabale und Liebe*, Schiller, Goethe, poezya niemiecka, Germania, Arminiusz, Tacyt... Cezarówie, Rzym... i widzicie państwo, że wszelka droga do Rzymu prowadzi.

— Oto! już pojechał! wykrzyknął Lacyna ruszając ramionami.

— A cóż? wszystko w doskonałym związku, rzekł Radwanowicz; czego się wpan skarżysz? co pleciesz!

— Wpan sam pleciesz! odburknął regentowicz.

— Ja plotę! słyszycie!

— Expresse wpan sam! powtórzył Lacyna: co ma za związek panicz z Rzymem?...

— A ja ci pokażę, iż ma... Rzym, zaraz i Romulus fundator nowego Rzymu, Jerzy założyciel nowój Horycy, a wilczyca...

— Otoż patrz, pannę Izabellę zrobi wilczycą!

Radwanowicz piasnął się ręką po ustach i głowę schował w ramiona jak złapany na uczynku.

— Nie, rzekł: wilczyca, to oczywiście Seredowiczowa.

— At! przystąpiło do nich! przerwał Paweł; zawsze te głupstwa! Co jemu jest!

— A coby miało być, odparł Lacyna, wracając do przedmiotu: on się musi kochać, bo u młodego kiedy na czole smutek, to nie chybi kochanie przyczyną.

— Jest racya, przerwał Radwanowicz: kochanie, *amor*, co na wywrot *Roma*, znowu cudny związek rzeczy! *Amor omnia vincit... Veni, vidi, vici...* Cezar! komentaryusze... i...

— Ach! dałżebyś pokój! krzyknął Lacyna.

— Nigdy mi wpan mówić nie dajesz i sens nawpół rozcinasz! boleśnie westchnął professor.

— Jak gdybyś kiedy wpan mógł mówić z sensem! westchnął regentowicz.

— Ei to już do osobistości dochodzimy! obruszył się bibliotekarz; zkład honor obrażony, *honores mutant mores, sed raro in meliores...*

— I znowu jedziel westchnął Lacyna.

— No! no! nie bój się wpan, powróci, dodał Radwanowicz. O czémże mowa? O miłości naszego pannie, pamiętam...

— To już cała bieda, rzekł Paweł: jak się nam jeszcze to licho domiesza, nie damy z niém rady, póki go nie ożenimy.

— Ale to najgorsza rzecz, szepnął na ucho Lacy-na Radwanowiczowi: że kocha się, jak mówią, w córce stryja, a swojej siostrze stryjecznej...

— Ehe! a prawo kanoniczne pozostało w lewo! krzyknął professor. Nie będzie z tego sładu piwa! źle! Wprawdzie historya nam wystawia mnóstwo związków podobnych, a nawet daleko bliższych... ale religia kładzie *veto* i przeklina...

Paweł pokiwał głową.

— To jeszcze może być nieprawda, przerwał: drudzy mówią o Anecie Żelizance; niczego panna, ale nadto rozumna i dużo już przebierała... oj to organista!

— Przebierała! oczywiście organista! podchwycił professor: zkąd organy i Nowy Organ Bakona, o którym wy nie wiecie, i Logika i Arystoteles, i znowu mój kochany Aleksander Macedoński.

— A żeby go dyabli wzięli! tego Macedońskiego! i z wpanem razem!... krzyknął Lacy-na.

— Niechże mnie, ale za cóż Macedońskiego nie-szczęśliwego! jęknął Radwanowicz.

— Bo mi dokuczył! ciągle wylazi...

— A ma do tego prawo najzupełniejsze, odparł Radwanowicz. Pójdę z wpanem o zakład, jeśli chcesz, choćby o kopę gruszek: zacznij sobie wpan od czego chcesz, a ja ścisłą logiką dojdę zawsze do Aleksandra Macedońskiego, a zresztą do czego ci się podoba...

— Z nim już gadać nie można...

— Ale i milczeć trudno, dodał zaraz Radwanowicz; więc cóż robić? dwie ostateczności: którą sobie wybierasz?

— A już milczę.

— Ze się młody pokocha—rzekł powoli Paweł, który na intermedya rozmowy Radwanowicza i Lacy-ny

wcale nie zważał,—i nie nowina, i nie grzech; ale czy to koniecznie ma już być ta jedyna i koniec? Drudzy się i w dziesięciu kochają, nim na swoją trafią. Ot i ja sam...

— E! ja we dwudziestu się kochałem! przerwał Iacyna. Toby to było nic; ale kto jego wie jakie u niego kochanie. To zważcie państwo, że jaki człowiek, taka u niego *expresse* miłość: człowiek lekki, miłość lekka.

— A jeśli ciężki, to ciężka, wtrącił Radwanowicz. *Pondus, ponderabilis*, a ztąd zaraz...

— Dajże mi pokój i nie przerywaj! ofoknął się Iacyna. Nasz pan wygląda, że wszystko bierze na seryo; więc jeśli i miłość weźmie na seryo, może być bardzo źle...

— Świadkiem historya i Abelardus, który był bardzo uczony człowiek, tak uczony, że aż heretyk; jednak jak się zakochał w mniszce Heloizie, mości dobrodzieju, przepadł... Zkąd listy Heloizy, nowa tedy Heloiza Russa i mnóstwo Heloiz tandetnych... zkąd...

— Dosyć, że ty zawsze swoje brednie wtrąć musisz!

— Nieuchronnie, potwierdził professor; ale jakże, kiedy wpan zawsze mówisz z sensem, to dla równowagi europejskiej mój nonsens jest gwałtownie potrzebny. Koniec końców my tu nic nie uradzimy, i ja solwuję sessję.

To mówiąc, Radwanowicz wstał, i uczuwszy potrzebę przechadzki, pociągnął uspokojony ku miasteczku, pewien, że Pan Bóg w takich rzeczach lepij radzi od ludzi.

W pokoju panny Izabelli ważniejsza po cichu wiodła się rozmowa. Tę chmurę na czole Jerzego, którą

postrzegli domowi, widziała i ona; gdy więc zostali sam na sam, odezwała się:

— Nie śmiem cię badać, ale jako twoja przywiązana matka i przyjaciółka, chciałabym wiedzieć, z czém powracasz?

— Bez nadziei, ze smutkiem tylko, rzekł Jerzy— i z mocném postanowieniem wytrwania w uczuciu, które żyć musi we mnie do śmierci.

— Widziałeś Lolę?

— Widziałem ją chorą, biedną, znękaną, we łzach, i pożegnaliśmy się tak, jak na długą wieczność... przyrzekając sobie tylko wytrwanie...

— Jakże przyjęła cię matka?

— Smutnie; ją to przywiązanie przeraża: widzi w niem grzech i przekłństwo...

— Wszak to są rzeczy, które przewidzieć było można z góry, które'm przeczuła, i dla których jakkolwiek mi tu dobrze i spokojnie, choć odwykłam od świata, ludzi i odwiedzin, muszę do nich pojechać...

Jerzy wstał wzruszony.

— Jak to? chciałabyś?

— Muszę pojechać: może i moje słowo coś potrafi, może uspokoi, może na inne naprowadzi myśli, pocieszy, złagodzi... Chcę widzieć twoją Lolę, pomówić z niemi, jak z rodziną mojego syna. Wprawdzie przyjdzie mi to ciężko, ale czegożbym nie zrobiła dla ciebie? Mam przecucie, że ta podróż przyda się na coś... Zobaczę się z hrabiną, z hrabią nawet, z którym jeszcze mam resztki interesu sprzedaży, wezmę z sobą Żerebę... Nie trzeba zwlekać...

— A mnie nie weźmiesz? spytał Jerzy.

— Nie: ty nie pojedziesz, odpowiedziała panna

Izabella. Będę swobodniejszą sama... Zostań: miej nadzieję; czekaj...

— Ale może ja mieć nadzieję?

— Zawsze ją mieć potrzeba, odpowiedziała przybrana matka. Widzisz, że czasem nawet w starości przychodzi babie lato ze słońcem i pogodą, jak dla mnie, dla której wszystkie już były nadzieje pogasły.

Ta podróż tak szybko przedsięwzięta, nie była wcale łatwą, jak się na pierwszy rzut oka zdawała. Występując jako przybrana matka Jerzego, chciała p. Morosówna pokazać się przyzwoicie, a długie zasiedzenie w domu, opuszczenie się, tysiąc potrzeb zbytkowych uczyniło dla niej obcemi.

Musiano więc nagle wszystko zbierać, skupować, ściągając, urządzać na nowo, a to zajęcie gwałtowne nowém życiem napełniło Horycę. Krzątali się wszyscy, poczynawszy od pocziwego Porciakiewicza, który się coraz serdeczniej do Jerzego przywiązywał, aż do Lacyny, który najgłośniej krzyczał, a najmniej robił, do staruszka Pawła, który gryzł się i swarzył, ale drepotał skutecznie. Radwanowicz tylko ze stoicyzmem filozofa, poglądał na ten zamęt, i rzucał zdania oderwane, tyczące się Chaosu, Kafarnaum... o co znowu dzie sięć razy na dzień klócili się z Lacyną, wedle staro-dawnego obyczaju.

Nim powóz nowy przyszedł z fabryki około Stepania, nim sześć koni dobrano do niego, umundurowano służbę, ujeżdżono forysia świeżo z łapciów wyzute go, zaopatrzone garderobę panny Morosówny i zebrano do gromady wszystko to, co podróż w kraju naszym czyni niezbędném mieć z sobą, to jest całe podróżne gospodarstwo przewoźne,—dobrych dni kilkaście upłynąć musiało.

Nareszcie panna Moroszówna była gotowa, a cały dwór z Jerzym wyszedł ją wyprowadzać na ganek, żegnać, przestrzegać gdzie wypadało wysiąść na moście, do jakiego dążyć noclegu, żeby noc spokojnie przepędzić i t. d., i t. d. Paweł żałował, bo to była ruchawa natura, że mu niepodobieństwem było rozdzielić się na dwoje, i nie mógł napół pojechać z panią, pół z paniczem pozostać.

Teraz próbował on już powoli, po troszeczkę kłócić się z paniczem, tak jak był zwykł ze starym panem, ale mu się to zupełnie nie udawało. Hrabia wiedział, że to Pawłowi potrzebne było, i wywoływał sprzeczki, które się zawsze kończyły czule lub pocieszenie; młody ustępował mu w obawie, aby biedaka nie zmartwić, i Paweł musiał się cofać, widząc, że drzwi, które wyłamuje, stoją otworem.

Nie rzucił jednak służby przy paniczu, i ślizgał się cały dzień, chodząc niepotrzebnie po jego pokojach. A że w nim spieranie się i narzekanie długi nałóg drugą uczynił naturą, obrał sobie Wicka na uciemiezonego, na nim zółć swą wylewając. Nicustannie łapał go na jakimś zdrożnym uczynku, dawał morały, a niekiedy kręcił go nawet za uszy.

Wicek począł z rozpaczą przedwcześnie tabakę żyzwać, i to nieco złagodziło starego.

Zresztą też same dzieje powtarzały się w Hlorocy codziennie, często nawet jednemi słowy, bo do nowych brakło strawy świeżej. Jerzy sam pozostawszy, pędził życie, które mu może najlepiej do stanu jego duszy przypadało: jeździł po polach, polował, łamał się z końmi młodem, chodził na długie przechadzki.

Raz z jednej takiej powracając wieczorem, przyszedłszy do swojej izdebki, zdziwił się mocno, list

nieznajomą ręką napisany znalazłszy u łóżka na stole... Ręka i charakter wyraźnie były kobiece; rozrwał pieczętkę żywo, i postrzegł z biciem serca, że list był od Loli.

Nim jeszcze miał go czas przeczytać, zadzwonił na Pawła, dopytując kto go przyniósł? ale Paweł nie wiedział: podał go ktoś z miasteczka komuś ze dworu, i dojść było niepodobna. Zrobiono poszukiwanie jak najstaranniejsze, ale zdawało się, że oddawca umyślnie się zataił. Po dacie tylko poznać było można, że list musiał przyjść umyślnie i z wielkim pośpiechem.

— „Drogi mój, pisała Lola: obiecałam ci pisać, i choć tak smutna jestem, że nie przyniosę ci pociechy, dotrzymuję słowa. Mama nie wie o liście, muszę się z nim ukrywać: wiem, że pisaćby mi nie pozwoliła. Ja sama czuję, że może robię niedobrze, ale mi tęskno, i choć przez ten zimny papier muszę z tobą pomówić. Tak daleko jesteśmy od siebie! tak daleko! Ja tam i myślą nawet do ciebie dobiedz nie umiem.

„Al żebyś wiedział, jak mi potrzeba ciebie! jak przykre zwątpienie serce mi uciska i życie wysysa! Myślę sobie: ty zapomnisz o mnie; myślę sobie: ty mnie kochać przestaniesz; myślę nawet, że przysięga mogła być czczém słowem, które się rzuca na lekko, aby czyjeś serce ukoić... że to wszystko są sny i marzenia dziecinne dla ciebie, gdy dla mnie to treść życia! to życie samo!

„Nie wiem, chciałabym się wyleczyć z téj wątpliwości, z niewiary, którą może rodzi choroba; chciałabym, żebyś mi dodał ufałości i siły, bo ja—ja ci ich nie przeszlę, ja ich już nie mam, mój Jerzy!

„O mój najdroższy! mnie już nie chodzi o to bied-

ne szczęście moje, które pogrzebałam głęboko, ale o wiarę w ludzi, bez którejbym żyć nie mogła. Jeżeli zwątpię o tobie, w kogożbym uwierzyła? Jeśli zwątpię o ludziach, na cóż mi życie? po co przyszłość?

„A ja wątpię! ja cierpię!

„Napisz mi o sobie, odpowiedz długo. Mnie trudno pisać wiele: nie chcę niepokoić mamy, która zagląda co chwila, płacze i martwi się biedna. I jej życie za-trute przez nas zostało! Napisz, napisz mi nadewszystko, że mnie kochasz, tak silnie, tak mocno, jakem ci ja pierwszy raz to powiedziała. Chcę być i będę twoją na zawsze.“

L.

„Wyglądam, proszę cię, błagam choć o słówko od ciebie: ono mi da życie!“

List zdradzał cierpienie, i Jerzy ucałował go prze-lękniiony, rozgorączkowany. Oprócz choroby widać w nim było stan duszy niewłaściwy temu dziecięciu, które z taką wiarą i ufnością na pierś się jego rzuciło.

Siadł natychmiast odpisać, chwytając pióro z boleścią razem i rozkoszą.

„Droga moja siostrzyczko! aniele mój! List twój był dla mnie szczęściem, póki trzymałem go w dłoniach, nie śmiejąc czytać; zranił mnie boleśnie. Któż cię napoił tą wątpliwością? Kto cię nauczył nie wierzyć? kto ci natchnął te czarne posądzienia i niepokoje? To nie mogło przyjść z ciebie; ja tak znam serce twoje i duszę, że wiem, iż z niej ten czarny kwiat wyrosnąćby nie umiał? Nie wiem o niczem, ale domyślam się przecuciem wielkiego mojego przywiązania do ciebie, żeś ty nie zwątpiła pierwsza. Znam ludzi niewiele, ale serce moje dobrze; za nie ci ręczę, że się nie pokalało kłamstwem, nie zaprzysięgło fałszu, choćby nim życie okupić miało.

„Kochałem cię od pierwszego wejrzenia, kocham jak jedyną istotę wybraną, boś czysta, anielska, boś sobą, a ja nad ciebie nie pojmuję nic wyższego. Kocham cię i kochać będę, a miłość moja to nie igraszka swawolna, to nie zabawka dziecienna, ale uczucie wielkie, poważne, święte, które się nie lęka z czasem walczyć i z ludźmi wojować. Szanuję siebie, bo ty mnie kochasz... pragnę życia, bo w niém spotkamy się jeszcze i dłonie nasze znów się połączą. Nie, Lolu, siostrzyczko moja, nie wątp, nie wątp nigdy. Mogłaś kiedy na ustach moich schwycić szyderstwo, w oku fałsz, we mnie zaród jaki tego, co cię przestrasza?... To myśl nie twoja: ktoś obcy ci ją przyniósł, z innego świata.

„A jest ich dwa na ziemi, rozdzielonych całą przepaścią: myśmy z tego białego świata, który wierzy, kocha i umiera; oni z tamtego, który śmieje się, rachuje i żyje. Bóg zmieszał te dwa ludzi rodzaje, jak połączył na ziemi drapieżnego zwierza i bezbronne istoty, aby były tamtych pastwą i ofiarą... Zamiarów bożych nikt nie przeczyta z życia, choć księga ta wiecznie otwarta; lecz my jój pisma nie znamy... Tak jest,—ale Lolu droga, ja nie należę do czarnych, i wolę być pożartym, niż karmić się łzami i bolem.

„Życie moje upływa w ciągłym marzeniu o tobie: chodzisz ze mną, lecisz nademną, jesteś we mnie, czuję ciebie dokoła. Świat mi się innym wydaje, bo wiem, że tam daleko bije to serduszek złote, dzieciinne, pocziwe, do którego uderzeń ja mam prawo, które pierwszy raz zabiło dla mnie. Możesz pomyśleć, abym szczęśliwy twoim wyborem, tak podniesiony przez ciebie, mógł ten mój klejnot najdroższy zmarnować, odrzucić, sponiewierać? Lolu, jeśli ci myśl

zwątpienia przyjdzie, odepchniej ją jak występек... jeśli ja kochać nie potrafię, nie ma miłości na ziemi.

„Spójrz na obrączkę moją, jak ja twój pierścionek przyciskam do ust, pisząc te słowa, i wierz, wierz, wierz, bom twój na zawsze.“ J.

Nazajutrz rano chodziło tylko o to, jak list ten, do którego jeszcze przybyły przypiski i dodatki, co najprędzej wyprawić. Jerzy nie mógł się obejść bez pomocy ludzi, potrzebował kogoś roztropnego i pewnego. Paweł już był za ciężki: stawiał się na zawołanie Lacyna, któremu musiał polecić wybór i nauczanie posłańca.

Trochę zarumieniony rodzajem posługi, jakięj od niego wymagać musiał, przystąpił Jerzy do regentowicza.

— Kochany Lacyno—rzekł—trzeba, żebyś mi pomógł do wysłania tego listu. Jest to list ważny.

— Ja to już wiem! kręcąc wasa i odchchrząkując, odpowiedział regentowicz.

— Potrzeba roztropnego człowieka, któryby go mógł zawieźć co najprędzej, nie tracąc chwili, i oddać... oddać... jakże ci to mam powiedzieć?

— Już ja się domyślę, tylko komu proszę j. pana? zapytał ochotny pomocnik.

— Siostrze mojęj... dokończył Jerzy; potrzeba go oddać tak... aby... do jęj własnych rąk... Znajdziesz mi wpan kogo?

— Najpewnięj, znajdę, a nawet już znalazłem, bo *expresse* ja go sam zawiozę.

— Wpan? Nadto jesteś widoczny i znajomy.

— Nikt mnie tam nie zna, a jeśli potrzeba, to się przebiore.

— Mnieby się zdawało, że dosyć prostego, ale roztropnego ze wsi człowieka.

— Już ja to biorę na siebie. Czy ma być odpowiedź? spytał Lacyna zbyt jakoś pewien, że sobie da radę.

— Nie wiem, nalegać niepotrzeba; to zależeć może od okoliczności.

— Mówiny otwarcie, proszę jw. pana, przerwał regentowicz, który to posłannictwo brał bardzo do serca: ja się *expresse* podejmuję wszystkiego, ale proszę mnie dobrze objaśnić.

— Nie mam tajemnic dla starych ojca przyjaciół.. Jest to list do mojej siostry. Ona chora, potrzebuje odemnie i czeka wiadomości; ale musi się kryć przed ojcem i matką: nikt o liście wiedzieć nie powinien. Oto rzecz cała.

— To się rozumie już, przerwał Lacyna kładnąc rękę na sercu; to się spełni święcie, jak najlepiej, jak najbezpieczniej. Sam jadę, i choćby przyszło głową nałożyć, stanie się jak jw. pan życzysz. Lacyna w tém.

I z pewną dumą, jakby mówił *Zawisza*, powtórzył jeszcze:

— Lacyna w tém! proszę być spokojnym!

Jerzy, chociaż niewiele w istocie polegać mógł na regentowiczu, którego starego trzpiotowstwa nieraz już doświadczył, nie miał w téj chwili i nie mógł użyć kogo innego. Szło mu niezmiernie o to, aby list doszedł prędko i pewno. Ofiarujący mu się tak natargiwie, zdawał mu się dobrej woli, roztropny, gorliwy, i tyle dał dowodów swojego przywiązania, że choć na ten raz, zaufać mu zdawało się rzeczą możliwą. Pojął rzecz i jej warunki. Jerzy uściskał go, podziękował serdecznie, i nagle tylko o pościech, odprawił.

Lacyna ze swój strony niezmiernie był rad temu zaufaniu pana i przedsięwziętej podróży. Dawało mu to rolę powiernika, stroiło w nową powagę i potęgę; gorzał gorliwością niezmierną i rzucił się do drogi z nadzwyczajnym pędem.

Radwanowicz i Paweł czekali nań w jego izdebce, gdy wszedł do niej cały przejęty ważnością tego posłannictwa, pocierając czubą, odchrząkując, prostując się i mrugając oczyma, ale tajemniczy i zamknięty jak Sybillińska księga.

Spojrzał po swych gościach i rzekł z westchnieniem:

— Wyjeżdżam.

— Co? wpan? jedziesz? spytał ex-professor; jedziesz? a dokądże?

— To mnie wiadomo.

Klasnął na Wicka.

— Pakować tłumoczek.

— Jak to? zaraz?

— Natychmiast.

— I nie wolnoby wiedzieć?

— To moja rzecz, odparł tajemniczo Lacyna; proszę się nie dopytywać, bo to sekret pański, to święte... trzymaj język za zębami...

— A no! jak tajemnica, to tajemnica, ruszając ramionami, rzekł z cicha Radwanowicz siadając. Zatem *suā rosa*, stul gębę i nie ma co badać, a nawet radziłbym na drogę, aby nie przyszła ochota paplania, albo chustką gębę zawiązać lub plastrem *diachylum* zalepić, bo z gębą nie żartować, figle płać; z kąd nie-dyskretya, z kąd kłopot i bieda, i puszka Pandory, która nie była puszką od mydła.

— Już jedzie! rozśmiał się Lacyna.

— A kiedy wpan w podróż, to i ja sobie! odpowiedział bibliotekarz.

Podano tedy śniadanie. Lacyna był bardzo poważny, milczący, nieco pochmurny i całkiem zamknięty w sobie. Paweł ani się go pytał nawet. Radwanowicz wyrósł ogromnie, i zdawał się nie widzieć otaczających, tak był swą wielką missyą zaprzątnięty.

Z dwojakiego powodu, oprócz wymienionych już, Lacyna zawsze był bardzo rad wszelkiej z domu wycieczce. Mówiliśmy już o tém, że miał zwyczaj na noc usta wódką popłókiwać, zmuszony to czynić do poduszki, aby złośliwi ludzie inaczej tego sobie nie tłómaczyli... Od tego płókania często miewał ból głowy... W drodze zaś mógł sobie i we dnie pozwolić lekarstwa, będąc sam na sam z naturą tylko, powolną w tym względzie, lub obcymi, których użycie tego antydotu tak upowszechnionego nie miało prawa zadziwiać... Powtóre, czułe serce regentowicza, który dotąd nie trafił na miłość prawdziwą, jakiej się życiem całém dobijał, zawsze marzyło, że gdzieś w podróży znajdzie ową piękną nieznajomą, która go miała pokochać i być nawzajem kochaną. Podróże więc wielce mu smakowały. I gdy furka, którą miał ruszać, stanęła gotowa, a Radwanowicz i Paweł żegnać go poczęli, a on wynosząc nieodstępną dubeltówkę, torbę borsuczą, węzelek z jajami twardemi, wędzoną kielbasę, chleb i jakieś jeszcze tajemnicze zawiniątko, siadł na wózek, uczuł się tak wesołym i szczęśliwym, że począł nócić półgłosem.

Nigdy człowiek nie wie, kiedy ma zapłakać, a kiedy zaśpiewać.

— Bywajże mi zdrów! rzekł Radwanowicz; a po-

wracaj rychło, bo cię oczekiwać będziemy zsercem bijącym. Serce, *cor*, zkład kordyalny i kord, i kordyaczny i opaczny!

— A niech tam pan Paweł mojego wyżła nakarmić pamiętał zawołał Lacyna.

Skinął, i konie ruszyły. Tyleście go widzieli.

Lola wciąż jeszcze była chora. Wstała wprawdzie z łóżeczka, ale blada, smutna, kaszląca i zmieniona, a troskliwość matki, wesołość pocziwego doktora, który ją swojemi zarcikami usiłował rozbudzić, nic na to nie pomagały. Z dniem każdym ślady trawiącego ją cierpienia stawały się widoczniejsze; biedna matka płakała w kątku, aby też jej swych nie pokazać, niepokojąc się tym stanem.

Często dni całe siadywała Lola w oknie i poglądała nieruchomemi oczyma na drzewa i lasy, nie nie widząc, jak zwykle ci, których dusza patrzy gdzieindziej. Napróżno starano się ją rozerwać. Częste nawet odwiedziny Anety, która jakąś nadzwyczajną czułość i przyjaźń okazywała dla Loli, nie tylko nie pomagały, ale stan ten zdawały się pogorszać jeszcze. Dostrzegła tego nawet matka, starała się unikać Anety; ale natrętniej i wylaniej przyjaźni niepodobna czasem się uchronić bez niegrzeczności, która wiele kosztuje. Trzeba było znosić, a pod pozorem książek, zabawy, kwiatów, choroby, przywiązania, Aneta przyjeżdżała coraz częściej, przesiadywała dłużej, i nazajutrz na oczach Loli widoczniejsze były też ślady.

Aneta okazywała jawnie, głośno i z wielkimi wykrzyknikami swoją najserdeczniejszą przyjaźń dla tej biednej Loli.

Jednym z najczęstszych teraz gości w domu państwa Jędrzejowstwa, był od niejakiego czasu Maks Fermer. Czulość jego dla żony weszła w stan normalny, w jakim pozostać miała na zawsze: grzeczny był, ale nie mogąc na nieustanne jej roztkliwianie się odpowiadać, co go zbyt wiele kosztowało, jawnie rozgłaszał swą teorię, że małżonkowie powinni miłość swą starannie tać przed oczyma ludzkiemi, aby nie napędzać oskomy tym, którzy tego szczęścia nie kosztują. Postępował też z tą biedną Amelią zimno, nawet czasem trochę ostro, aby pokryć głębokie przywiązanie, które miał dla niej.

Natomiast nie mógł czy nie chciał się wcale z tém tać, że panna Aneta coraz bardziej się mu podobała. W domu państwa Jędrzejowstwa był to gość nieustanny, sługa najwierniejszy, a Jędrus po cichu nazywał go swoim adjutantem, co się kazało domyślać, że się miał za generała...

Maks, choć głównie naturalnie starał się o łaski panny, której był zapalonym admiratorem, potem o względy matki, dla której czuł gwałtowny szacunek, nie zapominał wszelako i o Jędrusiu, czuł z nim wiążąc się przyjaźnią do tego stopnia, że długie nawet prowadzić był gotów rozmowy, co wcale nie było rzeczą łatwą, bo p. Jędrzej wielce w sobie zamknięty, jeśli miał jakie przymioty umysłu, jak najstaranniej ukrywał się z niemi.

P. Aneta bardzo dobrze znała Maksa, umiała go doskonale ocenić, ale pięknościom tego rodzaju często i najmniej słudzy są potrzebni, a gdy dworu uby-

wa, bierze się kto nawinie. Maks nie był bez użytku: można go było posłać, posłużyć się nim, obracać jak się podobało. Codzienny prawie gość u państwa Jędrzejowstwa, smakował bardzo w rozmowie Anety, ubierał się do niej zdobywczco, i godzinami całemi słuchał jęj deklamacyi z taką poddańczą uległością i uwielbieniem, że musiał wreszcie choć trochę sobie łaski zaskarbić. Zresztą piękne panie często nie przebiegają w kadzidłach, i nie patrzą, z jakiej one dymią kadzielnicy. Powoli Maks w ten sposób wcisnął się do domu, który go już potrzebował. Aneta mówiła z nim o wszystkiém, między innemi i o Loli, z boleścią przewidując, ile ta jęj przyjaciółka cierpieć będzie z powodu swjéj nieszczęśliwéj miłości... Maks mocno też ubolewał, dzieląc we wszystkiém zdanie p. Anety...

— Napróżno pracuję nad nią—odezwała się raz wieczorem piękność,—aby jęj to wybić z głowy. Dziecię rozkołysane pieszczotami, jak już sobie raz powiedziało, że kocha, nie można mu tego wyperswadować. Prawdziwie, byłby to chrześcijański uczynek, gdyby co na to poradzić można...

Zdaje mi się, że się teraz już widywać nie mogą, dodała Aneta; bo ojciec i matka są bardzo przeciwni. Ale prawie pewna jestem, że do siebie pisują: mam nawet poszlakę, że niedawno chodził posłaniec tajemnie do Horycy. Moja służąca ma siostrę ciotecznią za ekonomem u hrabiny; powiadano jęj, że kogoś po cichu wyprawiono kilka dni temu. Zaczną się listy, i znów to biedne dziecko więcej cierpieć będzie...

— El tym listom najłatwiejby można przeciąć drogę, rzekł Maks.

— Ale jakże się w to wdawać? spytała Aneta. Pan sam to czujesz. Choć istotnie byłby to miłosierny uczy-

nek, rozerwać te stosunki; ale jakże tego dokazać? A mnie tak serce boli nad losem tego biednego dziecięcia!...

— Podzielam w zupełności uczucia pani, odparł Maks; ale jakżeby można zadośćuczynić pragnieniu litościwego jój serca?

— Ja sama nie wiem! Możliwy może dojść jak się z sobą komunikują... przerwać to, zapobiedz... ja do prawdy nie wiem...

Aneta była trochę pomieszana mówiąc te słowa.

— Ja o tém muszę pomyśleć! odezwał się Maks: bo pani jak zawsze tak i teraz, masz najzupełniejszą słuszość.

Na tém skończyła się rozmowa, i Maks późno w noc potem powracał do domu, gdy o kilkanaście kroków od karczemki stojącej na granicy między Danowem i Jędrzejówką, coś mu się około koni popsuło: poszedł więc pieszo. Byłby może i tak do téj gospody na rozdrożu wstąpił, bo w niej umieścił niedawno na szynku bardzo ładną, młodzieńczą, świeżo za mąż wydaną garderobianą swęj żony, sierotę, którą się troskliwie opiekował; ale zerwanie uprząży było najbliższym do tego powodem. Choć noc już była późna, świeciło się jeszcze w karczemce; Maks zastukał do drzwi. Nie wiem czy się go tam pupilla spodziewała; ale to pewna, że zaraz otworzyła drzwi z pośpiechem gosposia, utrzymując, że po brzęku dzwoneków uprząży poznała swojego dobrego opiekuna... Zarazem jednak mówiąc to, położyła palec na ustach, wskazując alkierz przedzielony tylko od izby karczemnej przegrodą z tarcic... W alkierzu się właśnie świeciło...

Nie wiem czy ta, czy inna okoliczność, w dość zły humor Maksa wprowadziła.

— Niech tam konie wytchną, rzekł do ludzi. Poprawić uprząż... ja trochę odpocznę...

Piękna Zuzia przyjęła pana i dobrodzieja z oznakami największego uszanowania, starła ławkę, poprawiła ogień w kominie, zaczęła się krzątać bardzo, nawet sukienkę obciągać i włosy gładzić, uśmiechać się, wdzięczyć, tak, że ktoś bardzo podejrzliwy mógłby być Maksa i ją o jakieś poufale stosunki posądzić. Szeptali, uśmiechali się, podawali sobie ręce, jakby w najlepszym byli porozumieniu; ale między sierotą i opiekunem, coś dziwnego, że trochę poufalsze wyrodzi się obojście? Godziż się znówu przypuszczać, aby tak świeżo ożeniony z miłości człowiek, dopuścił się tak niedarowanej płochości? I jak to pogodzić znówu z nadzwyczajną Maksa dla Anety czułością, zakrawającą na zakazany sentyment? Jakieżby to tam było serce? albo raczej jaki brak jego?

Zapewne sąsiedztwu jakiegoś podróznego, który odpoczywał w alkierzu, i któremu przerywać nie chciało spoczynku, przypisać było potrzeba szeptu między gospożą a panem, które zmuszały do tak często blizkiego ku sobie nachylania się, że złośliwy człowiek byłby ich gotów o całusy posądzić. Zuzia była świeżucha i bardzo ładna! a taka zalotnica!

W alkierzu tymczasem ów podrózny, który był na noc zajechał, nie śpiąc także, nócił sobie, przechadzając się, piosnkę bardzo czułą, którą niekiedy przerywał potężnym, spazmatycznym ziewaniem, to popijaniem czegoś, jakby lekarstwa, w pewnych dość regularnych czasu odstępach.

— Zuziu! kogo to tam masz? zapytał cichutko pan.

— Albo ja wiem! jakiś podróżny, z wąsami, trochę kulawy na jedną nogę; ale wesoly i trzpiot, choć niebardzo już młody...

— Zkąd? kto?

— Nie wiem: gdzieś z Polesia, od Pińska...

Uderzyło to Maksa.

— Pójdź-no mi, spytaj jego człowieka, zkąd i dokąd jadą?

Zuzia posłuszna wybiegła do sieni, zabawiła kilka minut i powróciła szepecząc:

— Z jakiegoś Horycy, od hrabiego Góry...

Maks raptem wstał na nogi i zamyslił się głęboko.

— Dokąd jadą?

— Człowiek nie wie.

Myśl mu przez głowę przeszła dziwna.

— Nastawić samowar, rzekł głośno do Zuzi: coś mi zimno. A maż twój?

— Pojechał do miasta, proszę pana.

Zuzia zakrzętnęła się około samowaru, który zaraz wyniosła z drugiego alkierza; a podróżny czy zniecierpliwiony tą późną krzątaniem, czy rozciekawiony rozmową, uchylił drzwi i pilno zaczął się przypatrywać Maksowi, który teraz, jakeśmy powiedzieli, wyglądał już na tak poważnego obywatela, że go nawet można było z daleka wziąć za marszałka.

— Héj! gospodyni! zawołał podróżny.

Zuzia pośpieszyła ku alkierzowi.

— Kto to tam przyjechał?

— E! to nasz pan.

— Jak się zowie?

— Albo ja tam wiem! Pan, to i dosyć, który się niedawno z naszą panią półkownikową ożenił; bardzo grzeczny i dobry człowiek.

— A! a! że grzeczny i dobry dla ciebie, to nie dziw, odparł śmiejąc się rumiany podróżny, który przy téj zręczności Zuzię pod brodę pogładził. Ktoby to nie był dobry dla takiego buziaczka! ależ *expresse* pyszczek, niech go!...

Po tém przysłowiu już, trochę po czułości na wdzięki kobiece, powinniście byli poznać szanownego regentowicza Lacynę.

Regentowicz widząc, że głaskaniu się nie broni gosposia, już miał wąsatą swą twarz przybliżyć do jej rumianych, śmiejących się ustek, gdy Zuzia rozśmiała się, zakręciła, furknęła, i z alkierzyka wybiegła jak ptaszek.

Podróżny zaczął nócić w alkierzu, Maks głośno z drugiej strony po izbie... Zuzia dmuchała w samowar i przyrządzała herbatę.

— A maszże herbatę? spytał Maks.

— Nie mam: myślałam, że pan ma swoją.

— A nie mam! do kaduka! cóż to będzie?

— Ten pan ma! szepnęła Zuzia, wskazując na alkierz.

— A cóż mi z tego?

Lacyna ukazał się w progu.

— Jeżeli mogę, *expresse*, służyć moją herbatą, bardzoby mi było przyjemnie.

Maks spojrzawszy nań, poznał, że ma do czynienia z dobrze już podochoconym człowiekiem. Zbliżył się do niego i spostrzegł, że napół wypróżniona faszka jakiegoś płynu, stała przy nim na stole.

— Nie robi to panu subiekcyi?

— Bynajmniej: owszem będę bardzo szczęśliwy.

Uklonili się sobie wzajemnie i Maks wkroczył do alkierza.

— Muszę tu zaprowadzić porządek, żeby w karczmie przecię była herbata.

— Ale bo była herbata, przerwała szczebiotliwie Zuzia, zbliżając się żywo; tylko że mi ją oficerowie wypili, a mąż jeszcze nie przywiózł... Nawet bardzo dobra, bośmy ją po sześć złotych funt płacili w miasteczku...

Tymczasem nie zważając na objaśnienia Zuzi dotyczące się herbaty, znajomość robiła się w alkierzu, gdzie Maks zasiadł z cygarem, a Lacyna chodził z fajką,

— Pan z daleka? spytał Maks.

— Ja, od Pińska.

— Cóż tam słyszeć?

— Nic, panie dobrodzieju: woda duża...

— A wolno spytać dokąd? rzekł Maks.

— Ja tu w sąsiedztwo, odparł Lacyna trochę jeszcze pan siebie i zachowujący resztę przytomności. Mam interesik...

Tymczasem kipiał samowar, przygotowywała się herbata, Lacyna się rozgadywał. Nieznacznie wypaplał coś o Horycy, ztąd o starym hrabi. Maks na to odparł, że zna dobrze dom brata jego w Zarubińcach i że jest jego wielkim, serdecznym przyjacielem. Potém począł mówić o saméj hrabinie z uwielbieniem; potém o hrabiance Loli ze czcią największą.

Lacyna ucha nastawił.

— Różnie to teraz ludzie gadają, i nie wiadomo jak się to wszystko skończy, dodał Maks. Słyszę hrabianka chora, hrabina odjechała od męża, jakieś nieporozumienia, kwasy. Mówią, że pocziwy ten Jerzy kocha się w tój ślicznój Loli.

Lacyna ukąsił się za język.

— E! bo to gadanie! rzekł.

— Jest podobieństwo, dodał Maks. Ja byłem i jestem w wielkiej z Jerzym przyjaźni, a coś także o tym wiem, bo dla mnie on sekretów nie ma.

— Doprawdy? spytał Lacyna.

— Przecież to ja Jerzego pierwszy w te strony przywiozłem; ze mną on tu przybył, razem dawaliśmy ów koncert sławny, na którym go ojciec poznał. To mój serdeczny drah... O! my z nim jak dwaj bracia. Dla tego—dorzucił Maks z przyciskiem—mówię, że coś i ja wiem, bo wszystko wiem...

— A! a! odparł Lacyna, nabierając uszanowania dla Maksa—to co innego.

Ale jeszcze się ukąsił za język.

— Dla tego to, dokończył Maks patrząc mu w oczy, wiedząc, że wpan jedziesz z tamtych stron, pragnąłem się zbliżyć do niego, aby się czegoś o tym pocziwym naszym Jurasiu dowiedzieć. Ta jego nieszczęśliwa miłość nadewszystko mnie obchodzi; bo co to te biedne dzieci cierpią! Gdyby mnie słuchał lub chciał się poradzić; ale...

Lacyna wciąż milczał. Podano herbatę.

— Gdyby zamiast nieznajdującego się tu rumu, dolać kroplę przedziwnej starki? zaproponował spojrzawszy na Maksa.

— A dobra starka?

— Starka nasza? z Horycy! to sławna przecię, pięćdziesięcioletnia! Ani słyszeć, ani poznać, że to wódka. Nektar, panie, *expresse* ambrozja, albo raczej najdoskonalsza jamajka!

— A no! to spróbujemy.

Lacyna dolał zaraz Maksowi, który jako ex-artysta obowiązany był mieć tęgą głowę, a niemniej nie skąpił i sobie, choć już czuł, że mu się we łbie mroczy

nico. Ale dowiedziona jest rzeczą, że człowiek najpochopniejszy do butelki, kiedy już jęj skosztował; zdaje mu się naówczas, że więcej już zaszkodzić nie może.

Siedli tedy do herbaty, którą Zuzia im nalewała, choć obaj podobno nie bardzo radzi, że im wzajemna bytność ich, umizgi do pięknej szynkareczki przerwała. Lacyna wszakże miał na widoku, że się Maksa pozbędzie, a Maks myślał, że spoi Lacynę.

— Powiadasz pan, że byłeś i jesteś przyjacielem hrabiego... rozpoczął regentowicz. A! panie! co to za człowiek!

— Ja go znam lepiej niż wy wszyscy: co za człowiek! Ba! ja go widziałem na próbie, w ubóztwie! Jam go pierwszy wsparł i między ludzi wyprowadził; nie chwając się, muie to on winien wszystko.

— Między nami mówiąc, *expresse*, co to za dziwne losy!

— Ha! przechodził koleje! rzekł Maks. A nie doleliśmy téj jamajki: wcale piękna!

— O! że doskonała, za to mogę ręczyć honorem. Powiem panu, to szczęście, iż sprzedając Horycę, ludzie ślepi i nieznający się na wartości rzeczy, sprzedali i kufy z tą wódką. To kordya! to cacko ta starka!

— A dużo jęj macie?

Lacyna zamyślił się.

— Ja to tam nie wiem *expresse*, rzekł: bo rzadko tego używam, tylko w drodze, gdyż w podróży potrzebuję pocieszenia.

— Cóż tam się dzieje z Jerzym? spytał znowu Maks. Zmiłuj się, powróciwszy, kłaniaj mu się od Femera. Cóż? wesół? smutny? co porabia?

— Poluje, jeździ i wzdycha—oj! wzdychał

— No! bo się taki kocha, przerwał Maks. Ja to wiem, bo mi się ze wszystkiego zwierzył.

— On się panu zwierzył? spytał Lacyna trochę zdziwiony.

— Przecież lepszego nie ma przyjaciela nademnie. A! kocha ją!...

— Hm! rzekł Lacyna namysławiając się pod wrażeniem starki, która mu głowę mąciła: gdyby... nie... ale nie!

— Cożescie to powiedzieć chcieli?

— Nic, tak...

— Przysięgam, że zgadnę! Bądźcie bo ze mną szczerzy.

Lacyna dołał wódki. Kłopotał go niepomału list, który wiozł, bo nie wiedział sam jak go odda; radby się był poradzić, coś z Maksa wyciągnąć, ale wahał się jeszcze.

— Zaczny pan! rzekł.

— Zaczny chłopak i dobra jego starka! dodał Fermer.

— Gdybyśmy jeszcze doleli?

— Z miłą chęcią! to nektar nie wódka: mnie to orzeźwia.

— A istotnie i mnie to jakoś orzeźwia! odezwał się Lacyna, który już nietylko na nogach własnych, ale nawet w krzeselku miał trudność się utrzymać, i pochylał się to w prawo, to w lewo.

Zapili tedy znowu.

— Biedny chłopiec! rzekł Lacyna.

— Nieszczęśliwy! każdyby mu rad z serca pomógł.

— Schnie, proszę pana z téj miłości, rzecz widoczna... schnie... ot tak w oczach usycha.

— Czemuż nie szuka sposobów, czy pannę wykraść, czy co? Wszyscybyśmy mu pomogli.

— Nie, kraść! to on nie do tego, ani panny, ani żadnej rzeczy: zawsze to taki złodziejstwo, rzekł Lacyna. Choć niby to nie jest kraść! bo, uważa pan (język mu się plątał), kraść! co jest? jest to zabierać cudze. Tak? nie prawdaż? a człowiek nie może *expresse* do człowieka należeć, chyba żona do męża, a tu nie ten jest wypadek.

— Osoba wolna.

— Zatem kraść nie jest kraść, rzekł Lacyna; ale on znowu tegoby nie chciał... El gdyby się mnie tylko udało!

— Co się to panu ma udać? mów! ja ci z chęcią pomogę.

— El czyżbyś chciał istotnie?

— Z serca i duszy; zobaczysz...

— Hm! ale przysiążże mi pan, że nie powiesz nikomu.

— Z największą chęcią, przysięgnę...

— Nie! nie! to już ja i tak wierzę: nie przysięgaj wpan, rzekł Lacyna. Wszystko już ci powiem.

— No, jak stoją rzeczy?

— A! odparł Lacyna, przysuwając się z krzeselkiem, którego o mało nie wyrzucił, i oglądając się dokoła—wie pan, po co ja jadę?

— Nie wiem, odparł Maks naiwnie.

— Otoż ja, jako przyjacielowi pana mego, którego mam zaszczyt w nim oglądać... mogę wyznać pod największym sekretem, że wysłany jestem *expresse*... z listem do hrabianki.

— A! rzekł Maks, któremu w tejże chwili przyszły

na myśl słowa Anety, i zaraz gwałtowna owładnęła nim chęć podchwycenia pisma, które niesło życie, wiarę, się biednemu oczekującemu go dziewczęciu. A jakże się tam wpan myślisz dostać?

— Już ja to tam na miejscu starać się będę uskutecznić jak naj., jak naj... (Wódka nie dała wynaleźć przymiotnika). Bo wpan nie wiesz... dodał Lacyna, wyrzekając się wyrazu, który przyjąć nie chciał; może być, że jestem niepozorny (tu uśmiechnął się pijano), ale regentowicz Lacyna nie dla proporcji nosi głowę na karku! Złe mówię, nosi proporcję na głowie; złe mówię, nosi głowę na proporcji, czyli kark na proporcji. Wpan dobrodziej rozumiesz zresztą! tfu! co u licha!

Maks postrzegł dopiero teraz, że Lacyna okrutnie już jest pijany, i coraz niebezpieczniej kołysze się z krzeselkiem.

— Niech pan nie zważa—mówił dalej—na niepozorną *expresse* postać regentowicza; swojego czasu był to koń, ale się trochę zjeździł. Nie! tak! nie! nie zjeździł! W potrzebie jeszcze rachuj na niego jak na Lacynę. Wszystko jedno co Zawisza... to u nas w Pińsku rzecz wiadoma!

— Jestem tego pewien.

— Pan może i nie jesteś pewien, mówił nie mogąc ust zamknąć Lacyna; ale ja, *pewnissimus*, jak powiada Radwanowicz. Pan nie zna Radwanowicza, ex-professora, który ma zajaczki w głowie? Nie? Szkoda! Myślałem, że go pan zna. Mój wielki przyjaciel. Jeszcze tedy nektaru tego!

I znowu dolawszy sobie z flaszki, napił się, chciał wstać, pochylił się jakoś w tył niebezpiecznie i padł

na siano, które mu posłano w kącie; a że chmury już oblegały mózg, wnet kilka słów ledwie wybełkotawszy, począł usypiać.

— Lacyna górą! Lacyna i Zawisza! Panno Petronello, mam serce gorące! Daj Pawle tabaki! Do pana dobrodzieja, *expresse*, jamajka!..

Daléj nastąpiło niewyraźne mruczenie, bełkotanie, uśmiechy, i regentowicz oddał ducha, a Maks poglądając na niego i widząc w jak niewygodném położeniu się znajduje, gdyż nogi miał na poduszce a głowę na podłodze, zawołał Zuzi, aby mu pomogła lepiéj go ułożyć w pościeli.

Z niezmierną troskliwością chodził około niego, rozebrał go nawet, porozpinał, aby się nie dusił, dopilnował położenia, okrył, schował mu sakiewkę i papiery pod poduszkę, a potém wyniósł się cicho z izdebki, gasząc światło, aby nie pocziwemu Lacynie nie przerwało tak potrzebnego spoczynku.

W godzinę jakoś potém, Maks rzeźwy i wesół był już na drodze do domu, gdzie zastał półkownikową jeszcze na niego oczekującą, za co ją czule zgromił, że nie szanuje swojego drogiego zdrowia, ucałował jéj rączki, i uściskiem serdecznym długie chwile oddalenia i niepokoju sownie opłacił. Biedna Amelia nie śmiała mu robić wymówek, taki tym razem był serdeczny, a choć czuć było jakoś od niego niebardzo estetyczny zapach gorzałki, nic mu za to nie powiedziała, acz nieprzyjemnie na nerwy jéj podziałał. Małżeństwo było w doskonałej zgodzie, a półkownikowa kilkakroć tylko spytała go cicho: „Ja myślałam, że ty mnie już nie kochasz?”

Maks na to buchnął śmiechem ogromnym, zaczął całować, ścisnąć, i zmusił, aby swe drogie dla niego

szanując zdrowie, niepokojem się i bezsennością nie zabija, gdy on i t. d. Plół pod koniec jak Lacyna.

Nazajutrz zdziwiła się mocno pani Maksowa, gdy mąż jój oznajmił wstając, że musi nów jechać do Jędrzejowstwa.

— Znowu do Jędrzejowstwa! zawołała; ale cóż to jest?

— Ale bo to ten Jędrus winien, odparł Maks; tak mnie on już nudzi, a nie mogę mu odmówić... Bo wiesz, szepnął jój na ucho, znając jój słabość: obiecuje, że mnie wybiorą na sędziego; słowo ci daję! Użyje wszelkich swych wpływów; tylko dziś tam ktoś u nich ma być ze szlachty, co to najgłośniej na wyborach krzyczy...

Półkownikowa, która mocno pragnęła, ażeby mąż jój miał jakiś tytuł, coby dawny zastąpił, zgodziła się już na wszystko; prosiła tylko, aby powracał wcześniej i nie zatrzymywał się nigdzie, co Maks najuroczyściej jój przyrzekał, będąc w duszy pewien, że go to do niczego nie obowiązuje.

Pojechał tedy, i w porze obiadowej stanął u Jędrzejowstwa, z podziwieniem nawet samego gospodarza.

— A! to ty i dziś tu? spytał go pokręcając lewego wąsa, który widocznie podrastał, (dwa włosy w nim od roku przybyły).

Maks nie zważając na niegrzeczne pytanie, odparł:

— I dziś, i zawsze, i na wieki wieków, amen, kochany przyjacielu.

— Aleś ty nie do mnie przyjechał... idźże sobie do tych pań, rzekł Jędrus.

I wyprawił go do salonu, po którym krokiem majestatycznym chodziła właśnie Aneta z książką w ręku.

Maks stanął we drzwiach z miną zwycięzką, wesołą, rozplómienną, i uśmiechnął się, ukazując jęj z daleka w palcach biały zapieczętowany papierek.

— Dzień dobry pani! Wie pani co to jest?

— Cóż to być może? surowo spytała Aneta.

— Niech pani zgaduje...

— Kobiety zadają zagadki, ale zgadywać ich nie są obowiązane.

— No! to ja pani powiem...

I zbliżył się, pewien skutku jaki uczyni objawienie tajemnicy.

— Przypomina sobie pani, cośmy tu wczoraj mówili o Loli i Jerzym... Wyjechałem ztąd późno, i trafił chcial, że właśnie...

Tu poczał po swojemu opisywać, jak zajechał do karczemki, jak w niej napilego znalazł Lacynę, jak się ten przed nim z poselstwem wydał, i jak mu potem z kieszeni wypadł sam list do hrabianki. Naturalnie, obawiając się, aby nie została skompromitowana, musiał go Maks podnieść i schować...

Fizyognomia Anety w czasie tego opowiadania zdradzała żywy niepokój, owszém nieukontentowanie, niecierpliwość, oburzenie prawie. Maks nie zważając, ciągnął dalej:

— Pamiętny tedy tego, coś mi pani mówiła, bojąc się, by ten list kompromitujący nie walał się po świecie, musiałem go wziąć; a wiedząc, jak troskliwie czuwasz pani nad tą nieszczęśliwą, aby większym w przyszłości cierpieniom zapobiedz, składam zdobycz w ręce przyjaciółki...

Ale panna Aneta cofnęła się o kilka kroków, na pozór przełękla i oburzona.

— Co pan mówisz? zawołała; ja sobie życzyłam?

jam radziła? jam mogła panu poddać myśl, aby cudze listy przejmować? ja? ja? ja?...

— Ale, pani...

— Wpan mnie obrażasz! Popelniles niedelikatność... gorzej, bo prawie występek! To niegodnie! to szkaradnie! Schowaj pan sobie to pismo! zrób z niem co chcesz: ja wiedzieć o tém nie chcę, nie mogę... mnie to oburza!

Maks osłupiał.

— Ależ proszę pani, jeśli się miało walać?

— Niechby się z niem stało co chciało. Miałże kto prawo go dotknąć? P. Maksie, sam się zastanów.

Maks zarumienił się i zmieszał.

— Cożem miał robić?

— Nie pytać, nie patrzeć! nie brać! Dziwuję się panu! Pan, co tyle okazujesz zawsze uczucia, mógłżeś popelnić taką... taką niedelikatność?... Czyż to podobna!

Zmieszany do reszty ex-artysta, zabełkotał i umilkł pomiarkował, że zaszedł za daleko. Aneta oddaliła się od niego, okazując mu prawie wzgardę.

— Przyznaję się, rzekł: w najlepszej chęci popelnilem niedorzeczność; ale cóż z tém zrobić?

— Spal pan! wyrzuć! zniszcz! dokoń i oddaj Lacy nie temu!

— Ja! ja mu oddać nie mogę, bobym się przyznał, że wziąłem.

— Więc zniszczyć.

— Zniszczyć! powtórzył, i chciał zacząć drzeć; ale Aneta szybko z rąk jego list pochwyciła.

— W drugim pokoju jest ogień na kominie — dawaj pan!

I porwawszy pismo wybiegła, a za chwilę wróciła

zarumieniona, ale spokojniejsza i ulagodzona nieco. Maks stał przed nią jak winowajca.

— Prawdziwie w tém panu nie poznaję, odezwiała się powolnie: to rzecz dla mnie niepojęta. Jak pan mogłeś dopuścić się czegoś podobnego? A jeśli się ludzie dowiedzą? co o panu pomyślą? Spojony posłaniec, wydarty list! to szkaradnie! Milczże pan przynajmniej!

— E! o to się nie frasuję, odpowiedział Fermer. Ten pijak dziś już nie pamięta co się z nim wczoraj działo; szulkarka mu też nie powie z kim się spotkał, a poszukiwać nie może, boby się przyznał do winy: to przepadło! Ale nie samaż pani mówiłaś wczoraj...?

— Ja! zakrzyknęła Aneta, tupiąc nóżką; ale cóż to jest znowu? Co pan mi przypisujesz, to szkarada! Obwiniać mnie! kobietę! żeby ja mogła coś podobnego powiedzieć! Pan mnie chyba nie zrozumiałeś!

Maks zahukany zamilkł, a Aneta choć później udawała spokojną, daleka była od zupełnego uspokojenia. Szczęściem, nadejście matki przerwało rozmowę, wprowadziło ją na tór inny, i Maks zagryzając usta, że wpadł w taką łapkę, za którą jeszcze burę oberwał, odjechał wkrótce z dość kwaśną miną.

Trzeba wiedzieć, że w drugim pokoju nie paliło się na kominie; a list?... nie wiem co się z nim stało.

Tymczasem p. Izabella Moroszówna ciągnęła powoli ku Zarubińcom, nie bez niepokoju w duszy, rozmyślając nad środkami, jakich jéj użyć wypadnie, aby uprzątnąć zawady na drodze do szczęścia kochanemu Jurasjowi.

W takich zrozpaczonych razach, często osoby jak p. Moroszówna mniej oswojone ze światem i mniej uległe jego żelaznym wymaganiom, kiedy niemi owładnie uczucie, lepiej sobie mogą i umieją dać radę od ostyglych i zbyt przywykłych stosować się do przyjętych prawideł, potrzebujących aż wybuchu namiętności, żeby się zdobyć na siłę rozbratu z przyzwoitością.

We dworze hrabiny smutno było, pusto i cicho. Nie otaczała jej ta zgraja ludzi, których zwykle bogatsi przywykli używać nie dla istotnej potrzeby usługi, ale dla pokazu i popisu zamożności; skromnie było w koło, a ten pozór cichy i ubogi, ośmielił nieco przybyłą. Wszedłszy do saloniku, ujęta była jego prostotą, gdyż sprzęty jego stare i niewykwintne, ledwie zamożnemu szlacheckiemu dworkowi byłyby przystały. Hrabiny nie było; po chwili dopiero weszła z twarzą bladą i smutną jak zawsze, ale pełną rezygnacyi i łagodności.

— Przebaczysz pani mojemu natręctwu. Zdawało mi się, że obowiązkiem jest moim podziękować jej za łaski, jakich od niej doświadczył mój syn przybrany Jerzy. Jestem Izabella Moroszówna...

— Bardzo miło mi poznać panią, odpowiedziała rumieniąc się hrabina.

Po tych kilku słowach rozmowa pękła od razu; zwróciła się potem na kraj, drogę, porę i nie mogła wejść na tór, którymby się swobodnie toczyła. Między dwiema paniami stała tajemnica, która je oddalała od siebie, o której obie wspomnieć nie śmiały, choć nie schodziła im z myśli.

Ale to długo trwać nie mogło. Hrabina męczyła się widocznie, Izabella czerwieniła, nie mogąc się zebrać na odwagę pierwszego słowa; i choć kobiety

czuły ku sobie sympatyę, żadna z nich począć od wyznań nie śmiała.

— Gdzież córka pani? spytała panna Moraszówna, słyszałam, że była chora?

— Jest już lepij, choć jeszcze niedobrze... westchnęła hrabina. Już wstała, jednak... Doktor właśnie przybył dzisiaj, każą nam jechać do wód, choć spóźniona pora, może do Włoch lub Nizy na zimę.

— Droga pani, przerwała panna Moraszówna: miarkujesz, że mnie tu nie sama grzeczność przywiodła; jest powód ważniejszy, święty dla mnie. Ja mam syna, pani córkę; ratujmy dzieci nasze, mówmy jak dwie strapione matki.

Hrabina rozplakawszy się podała jej rękę.

— A! możemyż je ratować?

— Dla czegoż nie? czyż Bóg ich dzieli? czy prawo to tak nieprzełamane? Na wielkie i czyste przywiązania jest pobłażanie, są wyjątki, są przykłady wyrozumiałości. Czyż ich poświęcimy, nie próbując uratować?

— Ale jestże to możliwe?

— Mnie się zdaje: myślmy tylko, poradzimy się chciejmy...

— A mąż mój?

— On może z koniecznością zgodzić się później.. Te wyjątkowe okoliczności zmuszają do wyłamania się, do wymodlenia się z pod prawa, które tysiąc razy naruszane było dla daleko mniejszych powodów. Sama pani powiadasz, że córce jej każą jechać do Nizy; niech Jerzy jedzie do Rzymu, niech prosi Ojca Św., wyjedna pozwolenie, a gdy się pobiorą...

— Ale to być nie może! przerwała hrabina. A! nie! prawo jest niewzruszone. Choćbyśmy uchylenie jego

wyjednali, zawsze nad nimi ciążyć będzie niebłogosławieństwo...

— Pani! ludzie szafują tą groźbą, Bóg nie rzuca przekleństwa na niewinnych... Cóż oni winni?

— Tak, oni niewinni; los, wypadki, może niepatrzność moja, ślepotą, pobażanie; zresztą ja już nie wiem sama... to jak piorun spadło na mnie...

— Jerzy nie przeżyje rozdziału! zawołała panna Moroszwówna. Gdybyś go pani widziała! to biedne dziecko kocha całą siłą duszy!

— A! pani! gdybyś ją zobaczyła! Piękny mój świeży kwiatek, jak wiadł, jak się pochylił, jak we łzach się roztopił! Muje, patrząc na nią, trwoga i rozpacz ogarnia: ona codzień niknie w oczach. Szczebiotliwa pieśczołka moja stała się milczącą, płaczącą, tęskną, ponurą; widzę, jak życie z niej ucieka... a ja ją mam jedną! na świecie ona tylko i w niej wszystko moje!

— I ja mam jego jednego, odparła Moroszwówna.

— Radźmy...

— Radźmy, pani, i miejmy dość męztwa, by ich ratować...

— Ale nadewszystko, przerwała hrabina, cicho! nie mówmy nic, nie dawajmy nadziei, którąby potem ciężko odbierać przyszło... Ja znam mojego męża, on człowiek niezłomny, on nie zgodzi się nigdy!

— Nie możeż się to stać bez niego?

Wejście Loli wnet przerwało naradę. Hrabina dała potajemnie znak pannie Izabelli, która go doskonale zrozumiała, i poczęły zimną, ceremonialną znowu rozmowę.

Lola, na którą pierwszy raz wejrzała nowo przybyła zabierając z nią znajomość, była w istocie nie do poznania zmieniona. Biała jak marmur, blada, spo-

kojna a sinutna jak grabowy posąg, szła cicho, poglądała obojętnie, nie uśmiechnęła się nawet matce. Poznając się z panną Izabellą, zarumieniła się tak leciuchno, jakby na nią padł odblask z różowego promyka zachodzącego słońca, i siadłszy zbieła znowu.

Śliczna to była postać, coś nakształt wymarzonej przez poetów rusałki, jak mgliste Ondyny i powietrzne Latawice, co wiekuistą rozpacz noszą na umarlém czole, w nocy się budząc, by cierpieć, w dzień usypiając, by czekać cierpienia. Z dawnéj jéj wesołości nic już nie pozostało: stał się uśmiech, znikły wesołe dolki twarzy, a wargi składały się tylko w jakiś wyraz cierpienia zamykającego się w sobie, bo nic już nie spodziewającego się od świata.

Popatrzała na pannę Izabellę długo, i lezki jakieś, co się w oczach zbierały, zwilżyły jéj źrenice. Miała ochotę rzucić się ku niéj: nie śmiała; serce jéj biło. Chciała spytać o niego: nie mogła, zamilkła.

Nie będziemy opisywali tego dnia przebytego u hrabiny, który zresztą mało dozwolił dwom matkom sam na sam widzieć się i mówić z sobą; bo i doktor Szemere, i po południu hrabia, który teraz czasem żonę odwiedzał, aby jéj przytomnością swoją wiele złego przebytego przypomnieć, w ostatku Aneta ze Stasią zjechali się jakby unyślnie, aby im przeszkodzić.

Ostatnie odwiedziny tém się zdawały dziwniejsze, że obie panie były bardzo niedawno, i nic nie zdawało się usprawiedliwiać tak prędkiego ich przybycia. Aneta rozdzieliła się na dwoje: napół przy Loli, którój nieustannie coś szeptała, ciągle ściskając ją i żalując; napół przy Moroszównie, dla którój osobliwsze miała względy...

Żądała być jéj przedstawioną, i odegrała przed nią precudnie rolę dziewczeczki naiwnéj, prostéj, szczeréj,

pełnej serca, a tak umiała ująć ją sobie, że panna Izabella nie mogła się później odchwalić jej i nawielbiać tego pocziwego i miłego dziewczęcia. Własna matka Anety ztrudnością sobie sprawę zdać mogła ze stanu, w jakim ją widziała przy pannie Morosównie...

Czy to było właściwym charakteru panny Izabelli wypływem, czy spowodowane czémś niezrozumiałem dla ludzi—to pewna, że Aneta inną całkiem była przy tym gościu, a inną dla powszedniego tłumu. Odmłodniała, spokorniała, stała się miłą, potulną; nawet względem własnej matki, zazwyczaj panująca a niekiedy szyderska, przybrała ton i pieszczotliwość rozserdecznionego dziecięcia.

Skutkiem téj pożyczonéj fizyognomii, która dla obcej i nieznanéj jej osoby, mogła się wydać naturalną i zwyczajną, ujęła sobie wielce przybraną matkę Jerzego. Była-li to prosta zalotność kobieca, czy rachuba, wpływ chwili przeważny, czy dziwactwo jakieś, trudno odgadnąć.

Aneta z matką zabawiły bardzo długo, a choć Stasia kilka razy do pożegnania wstawiała, zawsze nieznaczne mrugnięcie córki jej odjazd wstrzymywało, tak, że późno dopiero w noc opuściły dom hrabiny.

Skutek tych odwiedzin na Loli był zawsze jeden: czułość Anety sprawiała jej niewytłómaczoną odrazę, obawę jakąś, nabawiała ją niepokoju i gorączki; a matka coraz się mocniej przekonywała, że każda bytność téj przyjaciółki pogorszała stan biednego dziewczęcia. Ale możnaż było obwiniać Anetę, która otaczała ją najczulszém staraniem, usiłowała rozbawić, rozerwać, rozśmieszyć, i z tego zamurowanego smutku wywieść znowu do życia, powrócić dziewczęmu weselu i swobodzie?

Im się jęj to więcej udawało, tem Aneta goręcej podwajała usiłowania.

Hrabia odjechał nieco wcześniej. Popatrzał na córkę, na żonę, przemówił zaledwie słów kilka, zimno bardzo i z góry przyjął pannę Izabellę, a wreszcie zawinawszy się, powrócił do domu.

Lola po odjeździe gości wróciła do swojego pokoiku ze wzrosłą gorączką, i doktor musiał użyć silnych środków, aby ją do normalniejszego stanu uspokojenia przyprowadzić.

Oczekiwanie odpowiedzi, która nie nadchodziła, przyczyniało się wielce do tego rozdrażnienia. Dzień za dniem uchodził próżno, listu widać nie było. Lola nie wiedziała kogo obwiniać: czy obojętność Jerzego, czy jakieś nieodgadnione przeszkody, które na drodze pismo gdzieś wstrzymać mogły. Słowa Anety rzucane jakoś niebacznie, podwójnie teraz na nią działały: coraz więcej dawała im wiary, widząc jak się iściło wszystko, co jęj przepowiadała.

Dla lekarza, dla matki nie było już wątpliwości, że Lola jest zagrożona chorobą niebezpieczną, która z razu objawiała się tylko jako daleka groźba, a teraz codzień przybierała wydatniejszy, silniejszy charakter. Matka jednak nie śmiała pierwsza mówić o tém lekarzowi, a lekarz nie chciał przestraszać matki. Myślano, że symptomata te przejść mogą, że zdrowie sama natura przywróci.

Ale gorączka rozwijała się coraz uparciej, trwając dni i noce, coraz silniej paląc usta i twarz... Środki materyalne, użyte do powściągnięcia jęj, okazywały się zupełnie bezskutecznymi.

Matka modlić się tylko mogła; doktor zrobiwszy

co był obowiązany jako lekarz, sądził, że jako człowiek coś jeszcze uczynić powinien. Wiedział on że upór hrabiego w znacznej części mógł być powodem choroby, i pojechał do niego. Biednemu Szemeremu ciężko przychodziło całe życie przywykłemu do żartów z siebie i ludzi, wejść na drogę poważniejszej rozprawy; ale sumienie kazało—musiał. Siadł więc na wózek, i w parę dni potem pobiegł do Zarubinieć.

Zarubiniece były wielce podobne do owych zaczarowanych zamków w bajce, w których wszystko co żyło skamieniało. Zmian tu nigdy nie spostrzegłeś żadnych: wiecznie też same twarze, ruchy, obyczaj, godziny. Teraz tylko, zbogacony spadkiem, hrabia uznał za rzecz przyzwoitą nieco wyświeżyć stare swe gniazdo, zapobiedz gdzie niegdzie rozpoczętemu zniszczeniu, podnieść skalę życia do rozmiarów majątku. Ale Malczak został w swoim watowanym kaftaniku i przydeptanych butach obciążonych, a maszyny i inwentye szły swoją drogą. Szemere zastał hrabiego przy pompie, która dotąd ssać nie chciała, ale miała być wielkich nadziei wynalazkiem, byle tylko dojść do tego, żeby już w nią woda poszła, która tylko przez upór współdziałania odmawiała. Hrabia obwiniał o to i domorosłych robotników, i zły gatunek materiału, i po cichu nawet rodzaj wody brzydkiej i mętnej. Silił się na wynalezienie wady jakiegos w wykonaniu, nie przypuszczając jej w pomyśle.

Gdy doktor wszedł, egzaminował właśnie kłapę, której część użył Malczak na podeszwy do butów świątecznych. Rozmyślał już nad tem, czemuż można skórę zastąpić?

— Do nóg upadam hrabiego! rzekł doktor witając go.

— A, to wpan, doktorze! Dzień dobry! Co tam sly-
chać? czy u nas kto chory?

— Tu, nie panie hrabio; ale...

— No, ale na wsi, chcesz mówić? Któż? co? mo-
że ci kazać dać koni?

— Nie, panie hrabio.

Hrabia podniósł głowę i spojrzał nań z wielkim
znakiem zapytania: jakaby mógł mieć jeszcze sprawę
tak ważną, aby się czuć w prawie jego medytacye nad
klapą przerywać?

Doktor stał milczący.

— Pozwolisz mi pan hrabia—rzekł wreszcie—kilka
słów z sobą pomówić otwarcie?

— Otwarcie, kochany Szemere, o czém?

— Mam ważne powody.

— No, to mów; bo widzisz jak jestem strasznie
zajęty.

I wciąż oglądał klapę skózaną.

— Muszę spełnić obowiązek, dodał lekarz: chodzi
tu już nie o zdrowie, ale o życie jedynego pańskiego
dziecięcia.

Hrabia odrzucił klapę i ruszył ramionami.

— No! no! rozumiem! Nasadzony jesteś, abyś mnie
strachem przymusił do postąpienia przeciwko moim
zasadom. Mów, mów: ale to nie nie pomoże.

— Jak to? nasadzony? a któż doktora, uczciwego
człowieka nasadzić może? zapytał Szemere.

— Kto? a no, matka nierozważna, przyjaciele glu-
pi lub t. p. Doktor dobry człowiek w gruncie, po-
dejmuje się zastraszyć, napędzić i doprowadzić ojca do
tego, aby niedobranemu i świętokradzkiemu związko-
wi nie stawał na przeszkodzie.

— Panie hrabio! zawołał perząc się Szemere: co wpan dobrodzięż mówisz? zastanów się.

— A! a! wpan myślisz, że ja ludzi nie znam? że dla tego, iż się przy moim warsztacie zasiadziałem, nie znam sprężyn serca ludzkiego? Mocno się mylisz! mocno!

— Pan hrabia gorzej się mylisz, przypuszczając, że lekarz szanujący w sobie charakter człowieka i powołania, mógłby się do podobnej mieszać intrygi.

— No! no! doktor! to się daje babom uwodzić i im służy! Dalej co?

— Ale, panie hrabio! słowo uczciwego człowieka!

— Tak! Wpanu się może zdawać, żeś to sam skomponował i doszedł do tego o swęj sile, a niemniej narzucono ci! narzucono, nieboraku!

— Nie mogli mi przecię narzucić symptomatów choroby, jęj rozpoznania i przekonania o niebezpieczeństwie, w jakim się córka jego znajduje.

— Imaginacya! odparł hrabia, ruszając ramionami; imaginacya!

— Nie wiem, czybabyś hrabia i na tém, jak na mechanice, lepiej się znał odeinnie, rzekł z trochę przekąsu doktor.

— A jużciż ją znam lepiej od wpana, to pewna. Od lat niemowlęcych wrażliwe to, nerwowe, delikatne. Ledwie co, lada podmuch wiatru, zgina tę łodygę, lada co ją orzeźwia i podnosi; dziś zdaje się umierać, jutro będzie w pełni życia i siły. Wy mierzycie miarę ogólną, a to jest natura wybrana, dziwna i nie taka jak u pospolitych ludzi. Co wpan powiadasz!

— Powtarzam jeszcze raz, że córka pańska jest w niebezpieczeństwie. Jeśli co ją dźwignąć i uleczyć

potrafi, to pociecha moralna, ulga i nadzieja, której pragnie.

— Tak! tak! wiemy i znamy! odparł hrabia zimno. Myśl wpan o innych środkach: tych ja jej nie dostarczę, nie ustąpię tak łatwo; wolę, żeby odchorowała. Młodość ma w sobie siły potężne: niech przeboleje raczej, niżbym ja dla niej miał z zasad moich ustąpić. Wina matki! wina matki nieroztropnej! Mówiłem, powtarzam: nie ustąpię! darmo się nie trudź... dość tego!

— I wolisz pan, żeby córka umarła! zawołał gwałtownie Szemere.

— Strachy, mospanie, któremi mnie nie weźmiesz!

— Hrabio, ja nie żartuję!

— Doktorze, ja także.

— Spelnilem com był powinien, dokończył kłaniając się Szemere i smutnie zabierając do wyjścia. Teraz umyвам ręce i za skutki nie ręcę...

Hrabia ruszył ramionami i popatrzał zupełnie obojętnie.

— Otoż to ludzie! rzekł Rajmund: zdaje im się, że lada lichą intrygą podejda człowieka! Doktorze, nie spodziewałem się tego po tobie.

— Ani ja tego po was, panie hrabio!

Uklonili się sobie z wyrazem ironii, i Szemere wyszedł, ale gniewny i zaperzony, spluwając na prog. Od lat kilkunastu już nie pamiętał podobnego wzruszenia, przywykły był bowiem znosić wszystko obojętnie i zbywać żartami.

Hrabia dosyć spokojnie powrócił do oglądania kłapy i zawołał w pomoc Małczaka.

Nazajutrz rano po owym noclegu w karczmie, w której mu pięćdziesięcioletnia starka tak bolesnego wyrządziła figla, Lacyna obudził się, zupełnie sobie nie mogąc zdać sprawy z tego, co się z nim stało. Przetarł oczy, uczuł lekki ból głowy, ziewnął szeroko, i po chwili zaczął mozolnie rozproszone zbierać myśli. Okienniczka była przynknięta i przez szeroką tylko w niej szparę promień wesołego letniego słońca zakradłszy się do alkierza, rozciął go na dwoje jasnym pasem, w którym miliony drobnych ruchawych pyłków igrały.

Regentowicz otworzył oczy szeroko. Coś mu się ze dnia wczorajszego przypominało jak sen: jakiś człowiek, kobieta, samowar, rozmowa; ale dobrze tego w całość związać nie mógł. Spojrzał na zegarek.

— O! późno do licha! a to sprawa tak pilna! Héj! jest tam kto? zawołał.

Kaszlnięto, i przez maluczko roztwarte drzwi zjawiła się figlarna Zuzi twarzyczka, która kryjąc usta szydersko uśmiechnięta, ciekawie przypatrywała się zaspanemu Lacynie.

— Héj! samowar! rzekł regentowicz: a żywo! bo jechać trzeba. Kto to był wczoraj? dodał: ten, ten, co tu gadał ze mną? dobrze sobie nazwiska jego nie przypominam.

— Nie wiem, jakiś pan... wybąknęła Zuzia, zamykając drzwi, ktoś podróżny.

Lacyna już całkiem wytrzeźwiony, coraz bardziej się przerażał przechodzącymi wspomnieniami.

— Co to było? mówił sam do siebie. Piliśmy? Karafka próżna! O! to bestya! la! strasznie, wysuszył ją do dna! Szczyściem mam jeszcze drugą butelkę w sianie, w wózku, opieczętowaną; woźnica jęj naru-

szyć nie mógł. Ależ pil! ależ ciągnął! No! i ty musiałeś się popisać regentowiczu. He? byleś pijany, przyznaj mi się? Nie? Ba! Ale ze zbytniego gorąca i zaduchu dostałeś zawrotu głowy, nie więcej. Dyabli cię skusili! Głupia rzecz! musiałeś paplać? Ale gdzież pieniądze? spytał się opatrując rzeczy. Ha! są chwała Bogu!

I wtém uderzył się po piersiach, gdzie miał schowany list w pochewce, zaczął go szukać i struchlał! Listu nie było!

— E! głupstwo! gdzieś wypadł w sianol

Zajrzał pod poduszkę... nie było; przetrząsnął naprędce posłanie z gorączkowym pośpiechem... ani śladu.

Usta mu się trząść zaczęły.

— Ależ on zginąć nie mógł! nie! nie! Szukajmy-no jeszcze.

I pobiegł do okna, odrywając je, a okiennicę odpychając konwulsyjnie, aż ściany karczemki od uderzenia jój zadrżały.

Światło wlało się ogromne do izdebki i oświeciło okropny nieład, który w niej panował: ślady wczorajszej orgii i snów niespokojnych. Roztrzesione siano, rozrzucone posłanie, porozsypywane pąkunki podróżne.

Lacyna nie mając czasu do postrzeżeń, jak stał, począł znowu krzątać się około wyszukania listu. Pot kroplisty lał mu się z czoła, wargi drżały, ręce dygotały. Przerzucił pościel, przebrał siano po ździebelku, opatrzył kąty izdebki i śmiecia w nich nagromadzone, szukał po kieszeniach, w odzieniu, na stole, pod stołem i ławą, a gdy raz i drugi przetrząsnął wszystko, padł na ziemię jak trup błądy i znękany.

— Nie ma! rzekł głosem przerywanym; nie ma! A no, tak być musiało! Pijak! pijak, łajdak regentowicz Lacyna! zapił się, zalał, to i ufność zdradził... Zgubił, sprzedał, przepił, kto wie, może po wódeczce fajkę zapalił tym świstkiem! A co teraz panie Lacyno? a co teraz?

Czoło mu się zmarszczyło, łzy pociekły z oczu.

— Za chleb, który jadłeś, za gościnę, za łaskę, za wiarę i zaufanie, ot jakieś to się odwdzieczył dziecięciu twojego pana! Zdradą! podłością! Slicznie! O! o! Lacyna i Zawisza to jedno! prawda! Jakże to nazwiesz? Otoż tobie wódka! otoż starka! Mowilem zawsze, że się to tak skończy; czułem, że ona cię zgubi! Teraz nie ma co myśleć. Wstyd, hańba i sromota! Tam już oczu nie pokażesz, ani im w oczy spojrzysz. Pijanica! Ale nie! to nie może być, to sen straszny! ten list musi się tu znaleźć! zawołał rzucając się żywo. On tu być musi, jam go nie zgubił, kładąc się czułem go na piersi...

I rozdarł koszulę na sobie, przerzucił suknie raz jeszcze, przebrał siano po listku, ale papieru owego nie znalazł...

I znówu usiadł na ziemi, a wchodząca Zuzia przelekła się zmienioną nagle, obłąkaną jego twarzy.

— Co to panu? spytała.

— Nic, chory jestem... nic...

— Może wody?

Lacyna się uśmiechnął i machnął ręką, by jej się pozbyć co prędzej.

— Nic mi nie trzeba, rzekł ponuro.

— A no, dodał gdy wyszła: kto źle żył, niechaj choć skończyć umie po mężku. Tu nie ma wyboru.

Sromota albo śmierć. Sromoty Lacyna nie zniesie, więc śmierć!

Dobył z torby borsuczej kawałek zniętego papieru, przyparł się do stolika i pisać zaczął z gorączkowym pośpiechem, a łzy jak groch ciekły mu na stół, na papier, na ręce, po twarzy.

Nareszcie wstał, rzuciwszy pióro.

— Wszystko trzeba pożegnać! krzyknął rozpaczliwie. Jużby Lacyna oczu nie śmiał podnieść na ludzi; nie ma co tam powracać nazad... Bywajże zdrowa Horyco, Piotrusiu moja serdeczna i stary wyże! Trzeba umieć umrzeć, kiedy się żyć nie umiało! Otoż taki tobie koniec Lacyno. W karczmie dyabli wezmą pijanicę—i dobrze!

Podparł się łokciem na stole i zapłakał; a ktoby go był zobaczył z tą skruchą, w tej nędzy i upokorzeniu, byłby sam z nim łzę uronił.

— Godziny upływają, rzekł nareszcie. Nie ma co dłużej robić na nieswoim świecie; nie ma co się z życiem cackać: na tamten świat...

Uderzył się w piersi.

— Panie Boże bądź miłościw grzesznej duszy mojej... Ty widzisz, że żal czuję, ale sromoty przeżyć trudno, a uciec niepodobna. Trzeba kończyć.

Poszedł tedy do kąta po dubeltówkę, która stała nabitą, obejrzał ją baczenie, gdy myśl jakaś wytrąciła mu ją z ręki.

— Ej! to głupia śmierć! A nuż palec zadrzy: chybię i pokaleczę się tylko, wstyd gorszy i cierpienie. Wszak to się tysiąc razy trafia, że kto do kuropatwy w lot nie chybia, do własnego mózgu wycelowanie umie. Nie! nie!

Wyjrzał przez okno. Naprzeciw stała studnia.

— Hm! kto ją wie? a nuż płytka? rzekł w duchu.

Wtém gdy się odwracał, oko padło na strop i wbiły weń hak żelazny, który zwrócił mimowolnie jego uwagę. Wisiał tam niegdyś szabaśnik, ale zdjęty został i resztką tylko opylonego sznurka pozostała, opleciona pajęczynami.

Lacyna żywo wdrapał się na stół, sięgnął i wypróbował, że haka dostanie. Sznur od tłomoka leżał na podłodze; chwycił go i zarzucił na kruk, próbując siły. Zrobił petlę, ale w chwili gdy te przedśmiertne przygotowania były gotowe, serce mu się ścisnęło żalem świata!

— A! rzekł: jeszczeby się żyło i używało... nie takiż to wiek straszny: czterdzieści kilka, siła sama... Piotrusia poszłaby za mnie, w Hołubowie jeszczeby się chata szlachecka znalazła dla regentowicza, a w chacie spokój i szczęście... Ale już z tego nic być nie może: ze sromotą wyżyć się nie godzi, a hańba nad głową... Jest grzech, niechże będzie i kara. Ot tak!

I stojąc na stole, zarzucił petlę na obnażoną szyję, skoczył, zawisł, rękami strzepnął, sznur wyciągnął się, hak u stropu się zachwiał, a biedny Lacyna padł uduszony, ze straszliwie wykrzywioną twarzą, na której czerwoność chwilową już sina barwa i białe po niej rozrzucone plamy zastępowały.

Szynkarka krzątała się po pierwszej izbie, nie śmiejąc przeszkadzać podróżnemu. Dopiero w dobre pół godziny zajrzała przez szparę. Zdało jej się, że podróżny stoi w pośrodku alkierza; myślała, że się ubiera, i odeszła. Upłynęła godzina, zajrzała znowu. Stał na tém samém miejscu, tylko dziwnie pochylony i zgięty. Otworzyła nieco drzwi, i z krzykiem straszliwym odbiegła, załamując ręce.

Ale z obawy jakiegós urojonéj odpowiedzialności, jak to u nas prawie zawsze bywa, nikt ani śmiał wnijsć, ani odciąć wisielca. Rozbiegli się tylko ludzie przestraszeni, jedni do dworu, drudzy do wsi, nie wiedząc sami co począć. Lacyna dawno już nie żył.

W Horycy, dokąd z niewielką nadzieją powróciła zaraz p. Izabella po dwudniowym pobycie u hrabiny, Jerzy równie niecierpliwie oczekiwał matki i swojego posła. Matka nareszcie przybyła, usiłując go natchnąć otuchą, której nie zdobyła sama; ale smutna, zamyślona, utaić nie mogła, że hrabia przełamać się nie daje, że trzeba cierpieć i czekać. Długie godziny spędzali razem na opowiadaniach, rozpytywaniu, jak p. Izabella zastała usposobioną hrabinę, jak znalazła biedną Lolę. O niebezpieczeństwie jéj nie chciała mówić Jerzemu, ale go też nie uwodziła kłamstwem o jéj zdrowiu: przyznała, że jest chora. Jerzy czekał tylko na swój list odpowiedzi, aby uspokojony nieco, rozpoczął życie lub pobiegł choć ukradkiem ją zobaczyć.

Tymczasem dni rachował, napróżno; mijały jedne za drugimi, o Lacynie słyhać nie było. Jerzy dziwił się, niepokoił, kłamał przed sobą i czynił przypuszczenia różne; ale w końcu nie już tak długiego oddalenia posłańca usprawiedliwić nie mogło. Jednego ranka pod pozorem odległego polowania, pożegnawszy matkę i prosząc, by o niego była spokojna, siadł ze strzelbą na konia i ruszył sam jeden. Przywykły był do przejażdżek dalekich i czuł się w swoim żywiole,

gdy dosiadłszy wierzchowca wybiegł w pole jak ptak swobodny, niosąc tylko w sercu tęsknięcie i na duszy brzemie, ale pan siebie i wśród ciszy rozmawiając tylko z lasem, niebem i wiatrami.

Nikomui nie powiedziawszy słowa dokąd jedzie, zapowiedziawszy, żeby się go rychło nie spodziewano, Juraś na swoim szpaku, którego siłę i wytrwałości wypróbował, wolno z razu wyjechał za miasteczko; ale skoro z oczu stracił Horycę i ujrzał się w polu, gdzie go już nieczyj wzrok śledzić nie mógł, ścisnął konia i poleciał.

Młody wierzchowiec wyciągnął się tęgim klusem, i ruszyli tak szparko, że po parogodzinym tylko wśród dnia spoczynku, stanęli na noc o parę mil od Robowa.

W karczemce było dużo ludzi powracających z jar-marku, a Jerzy przy koniu nocować musiał na słomie. Tryb ten życia nie był dla niego nowy: wspominał na krymskie włóczęgi i ukraińskie wycieczki stepowe, i całą tę młodość swoją, która mu upłynęła w walkach i niewygodach a swobodzie; westchnął może do tych lat niepowrotnych...

Jak świt nakarmił sam i napił siwka, który wyleżawszy się, gotów był do drogi; rzucił nań siodło i pośpieszył dalej. Gościniec wiódł go właśnie pod tę karczemkę nieszczęsną, w której się obwiesił Lacyna; stała ona jeszcze dotąd opieczętowana i sąd miał właśnie zjechać dnia tego. Maks blady i pomieszany czekał na urzędników ze śniadaniem przywiezionem z domu i koszem butelek; cicho coś szeptał na ucho Zuzi, która jak liść drżała, gdy Jerzy zatrzymał się, zobaczywszy go niespodzianie. Maks począł nań krzyczeć z całych sił, aby stanął, machać rękami i czapką

tak, że podróżny. który nie rad był wcale spotkaniu, wreszcie zastanowić się musiał.

— A! to ty przyjacielu! Dokądże to?

— Do Robowa. Chcę się widzieć z Ottonem.

— Jak to? konno aż z domu?

— Cóż dziwnego? ja lubię to i przywykłem.

— No! tyle mil. Ale wiesz o mojej biedzie? szepnął Maks bojaźliwie.

— O jakiej?

— Jakiś czy ekonom, czy pisarz, szlachciura, bodaj czy nie z waszych stron, od Pińska, w karczmie się mojej obwiesił...

Domawiał tych słów właśnie, gdy z sieni karczemnych wybiegł człowiek, który jechał z Lacyną, poznawszy swojego panicza.

— A! paneńku! ratuj! nieszczęście!

— Co tu robisz? spytał Jerzy, poznając dworskiego parobczaka.

— Mnie tu, proszę pana, wstrzymali. Wielkie nieszczęście. Jeszcze z wieczoru był zdrow i przytomny, a z rana sobie stryczek na szyję założył i powiesił się...

— Kto? co?

— A Lacyna, proszę pana.

Jerzy zbladł i zachwiał się na siodło.

— Lacyna? To być nie może!

— To twój officyalista taką rzeczą? rzekł Maks niespokojnie.

— Tak, wysłany był przezemnie. Lecz cóż mu się stać mogło? ucziwy, spokojny człowiek... Mój Boże! Cóż to jest! to nie bez przyczyny...

— Nikt nie wie, bełkotał żywo Maks, spuszczając

oczy. Sprawa niepojęta. W karczmie była jedna tylko szynkarka. Z wieczoru słyszę, wesoly, śpiewał, wychylił butelkę starki, położył się spać napily, a nazajutrz rano stryczek na hak założył i najniespodziewaniej się powiesił...

Jerzy drżał ze wzruszenia.

— Jechał? czy wracał? spytał niespokojny.

— Dopierośmy jechali, panieńku, rzekł parobczak płacząc.

— Zlituj się! jeśli to twój człowiek, przerwał Maks błagając: poświadczyć przed policją, że miał czy pomieszanie, czy co podobnego, a to mi się śledztwo ciągnąć będzie i karczma zamknięta.

— Jakże mogę świadczyć? oburzył się Jerzy. Człek wyjechał zdrów, przytomny... nic nie wiem... przecież tam gdzieś ślady jakieś być muszą tego co się stało.

— Jest jakiś papier, który nieboszczyk trzyma zmięty w garści, ale mu go chyba doktor wydrze z palców, gdy do obdukcji przyjdzie.

Jerzy poruszony, przełękły, coraz bardziej niespokojny o Lolę, nie chciał się zatrzymywać dłużej. Widok tego miejsca napiętnowanego zbrodnią, do której mógł dać jakiś powód, dolegał go, jakby był jój winien.

— Jedziesz? spytał Maks, widząc poruszenie.

— Muszę, odparł Jerzy spuszczać głowę jak winowajca: śpieszę do Robowa, mam pilną sprawę. Dajcie mi tam znać co odkryje śledztwo. Biedny Lacyna!

— A niech go tamci porwą, do których mu tak było pilno! zawołał Maks guiewnie...

Ale już Jerzego nie było. Biegł co żywo, czując, jak Lola niespokojną być musi, dotychczas nie otrzymawszy odpowiedzi. Ten wypadek z nieszczęśliwym posłem, nagła śmierć jego, tajemniczy jój powód, napełniały go stra-

chem, przeczuciem, niepojętą jakąś obawą. Zimnym potem oblany stanął w Robowie, a koń rozparł się pod nim gdy zsiąść przyszło i tak bokami robił, że zdawał się ostatki ducha wyziewać.

Ottona nie było; Martynek sam siedział smutny na ławce.

— Co słyhać? zapytał Jerzy, gorąco rzucając się ku niemu.

— Al! to ty! ściskając go i z zamyślenia długiego wychodząc, krzyknął Martynek; to ty, kochany Jerzy! Co słyhać?? Cóż u nas można posłyszeć prócz muzyki? prócz tęsknoty i smutku?

Ale jakoś tak rzewnie to wyrzekł, że Jerzy, który sam jeszcze był niezmiernie wzruszony świeżym wypadkiem z Lacyną, ściskając go, ledwie się od łez mógł wstrzymać.

— Gdzież Otto?

Martynek chciał coś odpowiedzieć z razu, ale nagle się powstrzymał.

— Nie wiem—odparł pomieszany—doprawdy nie wiem; zapewne przy swoich grobach, a może powłókł się gdzie dalej.

— Jakżebyś ty o nim nie wiedział?

— Doprawdy... doprawdy, nie wiem.

— Więc poczekam na niego—rzekł Jerzy ocierając pot z czoła—choć kipi we mnie i pilno mi. A nie wiesz co się dzieje u hrabiny? w Zarubińcach?

— Ja? nie nie wiem. Cóż mnie obchodzi sąsiedztwo, którego nie znam?

Martynek jednak odpowiadał zakłopotany, jakby mu ciężko było zebrać się na słowo, jakby chciał co rychléj przerwać rozmowę, spuszczał oczy pomieszany. Jerzy też nie pytał go więcej. Obaj usiedli na ławce

w ganku i dūnali, a chłopak z ukosa bojaźliwie tylko niekiedy spoglądał na towarzysza, który przygnębiony i pogrążony w zadumie, opadł na siłach całkowiecie.

W téj chwili ciężkie wyrzuty sumienia pierś mu szarpały.

To biedne dziecię chore, niespokojne, może zagrożone śmiercią; ten nieszczęśliwy Lacyna, obwieszający się na rozdrożu, gdy do niéj z listem pośpieszał; to splątanie wypadków tak niespodziewanych, tak dziwaczych; otoczenie ludźmi nowymi, wprawiało Jerzego w stan nieopisanego rozdrażnienia i niezgody z samym sobą.

— Jest-li fatalizm jakiś przywiązany do mnie? mówił sobie. Rodzę się i śmierć prawie z sobą przynoszę matce; ojciec nęka mnie i zmusza do ucieczki; zrywam jedyny węzeł, jaki mnie łączył ze światem; wracam do niego, by znowu ojca radością życia pozbawić; by biedne to dziecię wyrwać z jego spokoju i szczęścia; by wreszcie tego pocziwego, starego sługę wysłać na śmierć. Któż wie? może są takie istoty wyznaczone od urodzenia, aby z sobą niosły wszędzie smutek, żalobę, niepokój? Możem ja winien, choć nie rozumiem méj winy? może coś jest we mnie grzesznego, co karę na mnie sprowadza?

Martynek spoglądał na zamyślnego i wzdychał, jakby się nad nim litował. Otto nie powracał. Jerze-
mu kilka razy łzy zakręciły się w oczach, młodzień-
czy żar wewnątrz go palił.

— Al rzekł w ostatku: dajcie mi tam jakiego konia. Muszę jechać, kiedy Otto nie powraca. Siwy mój ledwie żywy, dobrze jeśli nie zdechnie! Martynku, konia! ja jechać muszę!

— Dokąd? spytał chłopak.

— Do stryjenki, rzekł Jerzy.

— Ei poczekalibyście tu... Ottona tylko co nie widać.

— Nic mogę! konia mi dajcie! powtórzył Juraś, błagając.

Martynek stał zafrasowany.

— Tam bo i hrabia dziś pojechał! rzekł narreszcie po cichu.

— Ja, ja z daleka tylko się dowiem co tam się dzieje; nie mogę wytrwać—być muszę.

Jeszcze się spierali, a Jerzy gwałtem mu się już wydierał, gdy Otto nadjechał, ale tak smutny, złamany i zbiedzony, jak nigdy. Spozrzegł Jerzego, wyciągnął ku niemu ręce chciwie, z większą niż kiedy czułością.

— Zkąd ty jedziesz? zapytał Jerzy.

— Od hrabiny.

— Ty?

— Byłem wzywany: przyjaciel nigdy nie jest nadto...

— Cóż się tam dzieje?

— Gorzej nie jest.

— A więc jest źle? podchwycił Jerzy: źle! mów, co złego?

— Lola chora, i bardzo chora! rzekł Otto powoli.

— Konia mi dajcie! konia! ja tam być powinienem, ja tam być muszę! Na Boga! nie wstrzymujcie mnie, bo popełnię zbrodnię...

Otto ani myślał mu się sprzeciwiać; skinęli zaraz, by podano wierzchowca. Jerzy nikogo nie widząc, nie słysząc co do niego mówiono, rzucił się nań, i w galop puścił się przez pola.

Co się tam w tej młodej duszy działo wśród tej

szalonej pogoni przez pola, łąki, rowy i lasy, na oślep w stronę, w której czuł, że ona była? któż zgadnie i kto powiedzieć potrafi!

Burza na lądzie i burza na morzu, które z otchłani wydobywają fale, zaciemniają widnokrąg, mroczą niebo, osłaniają ziemię, jednym całunem czarnym wszystko spowijając na chwilę, nie dają wyobrażenia tego zamętu duszy człowieczej, gdy wichur niepokoi, gdy piorun nieszczęścia w nią uderzy... Myśl wówczas i uczucie płaczą się w jakieś pasma różnobarwne, bezładne, w których nie ma ciągu i związku. I dobywają się z ich głębi idee dawno uspięne, dawno zabliźnione rany, a wśród nich przytomna jedna, główna myśl ciosu, który nas dotknął, tkwi rozświecona błyskawicami, to czarnym pasem na chmurach. W takich razach człowiek nie jest panem myśli i uczucia, nie kieruje nimi, nie włada: one nad nim jak chmury ciągną się, przeganiają, łamią, błyskają, piorunują lub osiadają mgły gęstemi. Jeśli na chwilę odzyszcze władzę, znowu mu ją wytrąca siła téj burzy, która w łonie powstała, aby dowieść jego niemocy.

Taki był stan duszy Jerzego, który już nie mogąc walczyć, poddał się uczuciom trwogi i namiętnego niepokoiu, myślom rozpaczliwym, targającym nim na wszystkie strony.

Ani wiedział jak przebiegł przestrzeń dzielącą go od wioski hrabiny, jak konia zziąjanego i rozbitego rzucił pod gankiem, jak wpadł do sieni i do pokoju bezprzytomny.

Hrabina klęczała, i zachodząc się od płaczu, modliła się. Obok niej druga kobieta płkała także. W kątku doktor siedział ponury ze spuszczoną głową.

Milczenie śmierci, straszne, ciężkie panowało w ca-

łym domu... Jerzy spojrzał i pytać już nie potrzebował.

Matka na odgłos kroków jego odwróciła się, spostrzegła przybyłego i żywo pobięła ku niemu.

— Jerzy mój, pan Bóg cię może sprowadza! Ona już nic nie mówi, ale ciebie wygląda; ona bardzo, a! bardzo chora! Usnęła na chwilę... Gdy się obudzi, a! Bóg mi przebaczy, ja muszę cię do niej wprowadzić... Jerzy! ona tak kocha cię biedna!...

— A! matko moja! prowadź mnie zaraz! ona już nie śpi, chodźmy... Może tętent konia usłyszała.

Powoli, w milczeniu, poszli ku pokojowi Loli; a matka zostawując Jerzego za sobą, na palcach najprzód wcisnęła się do przyciemnionej izdebki.

Na łóżeczku cień biednego dziewczęcia, ze złożone mi na piersiach rączkami, spoczywał w bieli. Główkę miała zwisłą jak kwiatek uwiedły, oczy zamknięte, czoło, po którym wily się włoski rozsypane, blade było jak marmur i wypogodzone kamiennym snu spokojem...

Matka przystąpiła powoli, cichutko zbliżyła się i usiadła przy niej. Wzięła jej rękę; ręka opadła bezwładna, zimna, lodowata.

Z krzykiem rzuciła się na jej piersi... i Jerzy przypadł za nią do łóżeczka.

Z ust uśmiechniętych oddech i dusza nleciały: Lola nie żyła.

Zimne jej zwłoki z ust, na których zdawały się wypiętnowane wyrazy przebaczenia ludziom i światu, spoczywały jakby letargiem ujęte.

— O mój Boże! rzucając się na ziemię, krzyknął Jerzy: — za późno! Ani nawet pożegnania, ani z ust jej

słowa, ani przebaczenia! A! to okropnie! to straszliwie! Wówczas gdy ja, ja ją zabiłem!

Hrabinę wyniesiono omdłąłą. Rozruch w mgnieniu oka całym dworem poruszył; ludzie tłumnie zalegli pokój cichy przed chwilą, z którego dusza czysta dziewczęcia, na białych skrzydłach tęsknoty, powędrowała ku niebiosom.

W godzinę potem dwie świece paliły się u łoża; krzyżyk czarny stał w głowach; z kwiatkami i obrazkiem w rączkach Lola leżała na białej jak twarz jej pościeli, wybierając się w podróż na ten ocean bezbrzeżny, z którego nikt nie powraca.

Ksiądz szeptał u wezgłowia modlitwy za jej duszę.

Ranek zastał Jerzego leżącego jeszcze u nóg tych drogich zwłok, które z nim razem łzami oblewała matka, przy których z dala stał ojciec z okiem osłupiałem i wargą obwisłą, jakby i teraz jeszcze chciał niedowierzać śmierci. Milczenie przerywane tylko szepceniem modlitwy zalegało dwór, który nawiedziła śmierć, zabierając z niego najświeższy kwiatek, najjaśniejszy promyk wesela.

Na biednego sierotę, któremu pękało serce, niktby nie zwrócił uwagi, gdyby przybiegłszy na wieść o śmierci Otto, nie oderwał go gwałtem od skostniałych zwłok, nieumiejącego się bronić, niemogącego już płakać nawet.

Nikt go tu nie przywitał, nikt nie pożegnał, gdy dłoń przyjaźni wywlekła siłą z pośrodku żalem usa-

molubionych ludzi. Przy trupie córki tylko ojciec i matka splakani oboje uścisnęli się i zapomnieli urazy, zbliżając się do siebie znowu, ażeby cierpieć wspólnie.

Tak to biedne, zaledwie rozpoczęte życie, rozwiało się we łzach i boleści, uleciało jak sen z przed oczu ludzi.

Za trumienką dziecięcia, posypaną zielenością i kwiatami, poszła matka aż do grobu, i ojciec, i wierni słudzy. Jerzego nie puszczono, bo na chwilę był jakby zynisłów pozbawiony: szalał miotany gorączką. Dopiero po kilku dniach Otto sam idąc na ten cmentarz, do pokrytego już drzewy i kwiatami grobu swojej ukochanej, do mogiły ojca, wziął go z sobą, i sam zaprowadził na świeżą jeszcze darń, pod którą spoczywały całego życia nadzieje.

— Płacz tu—rzekł mu—jak ja od wielu lat płaczę; płacz modlitwą i rozmyślaniem, abys się więcej nie przywiązywał do życia i umiał je znikome poświęcić zawsze obowiązkom, cnocie, przekonaniu, powinności. Obcowanie z umarłymi cię nie popsuje: z nich tylko pozostaje to, co w nich dobrego było; śmierć oczyszcza i ubłogosławia. Masz swojego anioła w niebie; bądźże godnym jego na ziemi. A nie zapominaj, żeś mężczyzna.

— Patrz, dodał nie puszczając jego ręki i wiodąc go po cmentarzysku: oto groby ukochanych niegdys, na których w pierwszej chwili boleści poskładano marmury, pozasadzano ogrody, pozakładano obeliski nieskończone. Dziś chwast i ruina. Niech boleść twoja nie będzie tak gwałtowna, niech będzie chrześcijańska, męzka, spokojna a trwała! Lada dzieciak rozpaczać potrafi: wielkie tylko serca umieją pamiętać. Tę pró-

by czasu nie wytrzyma niejeden żal, niejedna rozpacz, niejedna miłość... Módl się, płacz, ale bądź mężczyzną. Dla niej lepiej jest, że umarła: nie bądź samolubem. Rozwiałyby się sny wasze przy rzeczywistości, która nielitościwie brudną dłońią kruszy alabastrowe marzeń gmachy; dziś, na wieki anioł twój stoi przed tobą jak usnął, w szatach białych swojego dziewictwa i miłości. Nie czujeszże ducha jego w sobie?

Jerzy zapiakał i pokląkł. Otto pomodlił się i usiadł potem na ławce, którą tam sobie na cmentarzu postawił przed grobem ojca i narzeczonej. Siedział tak długo milczący i patrzył na Jerzego, którego w końcu ujął za rękę.

— Wstań, rzekł mu. My żyjemy, życie ma obowiązki i ciężary; nie godzi się unierać duchem, gdy żyjemy ciałem. Co myślisz? co poczniesz z sobą? mów mi.

— A! nie nalega! nie pytaj! Miałem czas zebrać myśli? wienże co boleść zrobi ze inną?

— Mówmy lepiej co ty zrobisz z boleścią, odpowiedział Otto. Płacz sam nie jest dla życia dostatecznym pokarmem; trzeba żalobę nosić na sercu, a pracę na rękach. Masz matkę, masz braci, masz siebie, masz całe życie przed sobą. Ona cię pokochała nie za piękność twoją, ale za duszę i serce; byłeś dla niej ideałem, stań się nim w życiu.

Jerzy milczał.

— Może zawcześnie— odczywał się Otto surowo— narzucam ci obowiązki; lecz potrzeba, byś je pojął i myślał o nich. Jesteś sam na świecie, a pocziwa kobieta, która ci służy za matkę, nie dźwignie cię, bo sama upada pod ciężarem. Synem być powinienieś! Pamiętaj! A teraz wstań i chodźmy. Będziemy mó-

wili o niżej jeśli zechcesz. Milczenie gryzie, słowo jak łza unosi z sobą życia gorycze. Anioł twój słucha ciebie.

— Ten anioł może i tam mi nie przebaczy! zawołał Jerzy ze łzami.

— O mój drogi! odparł Otto: jeden tylko świat i ludzie nie umieją przebaczać; Bóg i anioły są miłością samą!

W Robowie za powrotem zastali wcale niespodzianych gości. Był to nieznośny Maks, który szczęśliwie pozbył się śledztwa o śmierci Lacy, i pan Jędrzej ojciec Anety. Obaj przybyli z serdecznymi kondolencjami do Jerzego, który ich przyjął ponurym milczeniem, oznajmującym jak nie rad był tej niewczesnej ich czułości. Ale tego rodzaju ludzie wcale nie zważają na obojętność i wstręty, jakie się im okazuje: p. Jędrzej nie domyślił się tego przez głupotę, Maks przez zarozumiałość.

To zajęcie p. Jędrzeja Jerzym, chociaż szanowny obywatel wcale czułym nie był, uderzyło Ottona. Pomniarkował, czego się zresztą od dawna domyślał, że Jędrzejowstwo i Aneta nie wyparli się swoich widoków na Jerzego, i w chwili nawet tak bolesnej nie zapomnieli o nich.

Biedny pan Jędrzej zmuszony do smutku, którego nie doznawał, w wielkim był kłopotcie, a nie mogąc inaczej wyrazić żmartwienia, kiwał boleśnie głową na lewo i prawo, trzymając ręce założone w tył i wzdychając niekiedy dość niewprawnie na różne tony.

Maks nie śmiał być jeszcze wesół, a trudno mu było długo wytrwać z powagą. Okoliczności te szczęściem skróciły wizytę, która wszakże nie była bez znaczenia. Kilka dni potem Jerzy pozostał jeszcze

w Robowiu, nie mogąc się od tych miejsc oddalić; ale niespokojne i błagalne listy p. Izabelli zmusiły Ottona odwieść go i namówić do powrotu do Horycy.

Tu czekało nań serce, co w milczeniu podzielić umiało jego boleść, i nie słowy, ale czynem dowiodło mu macierzyństwa. Jerzy znalazł, jeśli nie pociechę w nieszczęściu, to kogoś, co je umiał pojąć i poszanować.

W Zarubińcach, do których oboje hrabiowstwo powrócili, smutno było i pusto; brak jednego dziecięcia wszystkim się dotkliwie czuć dawał — pustkowiem i trumną. Dla biednej matki wspomnienie dziecka żyło wszędzie, obraz jego cieniem za nią chodził, zbierała pamiątki i płakała nad niemi. Wkrótce ten pokoik, w którym lat tyle spędziły razem, stał się jakby grobowcem muzeum, pełnym wspomnień zewsząd nagromadzonych. Krosienka Loli, jej książki, kwiatki, seksterna, dziecinne wzory, robotki, sprzęty zebrały się tu i otoczyły matkę, która marzyła chwilami, że Lola jej kochana nagle otworzy drzwi i wnijdzie z uśmiechem na ustach, przyskoczy ją objąć uściskiem, rozвесelić szczebiotaniem i piosenką. Ale głuche milczenie śmierci niczem nieprzerwane otaczało ją ciągle; a gdy wieczorem wśród modlitwy przez otwarte okno spojrzała w świat hrabina, gdy pomyślała jak z niego ku niéj nikt rąk nie wyciąga, nikt się głosem serca nie odzywa, nieraz upokorzona wetchnęła ku śmierci.

Hrabia odczekał także; ale w téj duszy, która kochać umiała tylko nałogiem, inne przywyknienia za-

stąpić łatwo mogły te, których jéj brakło. Mechanika powoli odzyskała prawa swoje. Malczak powrócił do dawnych obowiązków. Nieustanne wszakże niepowodzenia, zawody codzienne powoli zrażać i odstręczać zaczynały. Przychodził wprawdzie wedle zwyczaju oglądać nieforemne swe pomysły, nieszczęśliwie wykonane, ale już jakoś nie miał siły brać się do nowych. Czuł potrzebę w sercu, której zaspokoić nie umiał.

Przypadek rozwinął w nim wkrótce nową chorobę, która pierwszą miała zastąpić. Hrabia dochodził własnie wieku, w którym zwykle gasną inne namiętności, a obudza się chęć znaczenia, przodkowania i głośności. Dotąd siedział tak cicho, że mało go znano; majątek szczupły nie dozwalał mu dobijać się o dość zawsze kosztowną popularność. Teraz bogatszy o wiele, za podszeptem kilku przyjaciół, zwłaszcza pokornego sędziego, pomyślał, że i on mógłby mieć wpływ u współobywateli i jakieś między swoimi znaczenie, którego daleko od niego niżéj postawieni ludzie używali.

— Jw. hrabio, przemówił do niego Majszagolski, który sam coś liczył na rozbudzenie w nim uczucia godności: czyżby to jw. panu nie godziło się zająć w obywatelstwie przyzwoitego urodzeniu, fortunie i imieniu stanowiska? U nas nie ma głowy, coby prowadzić mogła; szlachta na to utyskuje. Byleby jw. pan sięgnął, pochwycisz co zechcesz: marszałkowstwo, prezesowstwo, urząd gubernialny. No! toć przecie człowieka stawia przyzwoicie, a robi go użytecznym ziomkom.

Hrabia popatrzał nań z góry.

— Ja się o nie dobijać nie lubię.

— Po cóż się tu bardzo dobijać? Raz, dwa dać obiad, wejść w obywatelstwo, trochę popularniéj ob-

chodzić się ze szlachtą, a zrobisz jw. pan z nią co zechcesz.

— To może być prawda—rzekł hrabia,—nie wątpię, że od razu mogę pozyskać wziętość; ale bylebym raz inaczej nosa utarł niż wszyscy, to ją tak samo stracę, i pójdzie nie wiedzieć dla czego, jak przyszła nie wiedzieć za co.

W tém hrabia wcale się nie mylił.

— Ale ba! przerwał sędzia: umieć się tylko potrzeba trzymać, to się zrobi co zechce. Wierz mi jw. pan, obywatelstwo całe oczy ma na niego zwrócone.

Chociaż świeża strata dziecięcia tak zaraz rzucić się w świat nie dozwalała, a opuszczać domu dla hrabiny, pogrążonej w smutku, nie wypadało,—hrabia wszakże dał się namówić w kilka tygodni, i pojechał do miasteczka na rugi, gdzie nadzwyczaj sympatycznego doznał przyjęcia, jak to zawsze bywa z początku. Szeptano wprowadzić po cichu różne rzeczy, ale kłaniało się i ściskano serdecznie, a większość twierdziła, że to są bajki tylko, rozsiane złośliwie.

— Znasz hrabiego? mówił jeden.

I długo potem szeptano historję na ucho.

— To nieznośna figura! mówił inny: i skąpy, i chciwy, i dumny! a zaprzędany duszą i ciałem...

— Ale co pan też mówisz! to fałsz! ja go znam!

— A? wpan go znasz?... jednakże słyszałem...

— Na cóż takie słuchy na wiatr rzucane powtarzać?

— Tak, zapewne! dowodów nie ma! jednakże! Mogą to być i bajki, ale ostrożność nie zawadzi.

— Zawsze bardzo podejrzany.

— Na miłość Boga! wołał sędzia: powiedzcież przeciw co zrobił, jeśli potępiać chcecie?

— Zrobić, on nie nie zrobił, to pewna, ale bardzo podejrzany, powtarzał szlachcic. Ja się go boję: zawsze to hrabia!

Téj siły argumentów używano przeciwko niemu, ale się jakoś nie wzięły, i hrabia wkrótce, po naradach i obiadach kilku, jednomyślnie na marszałka obrany został; a choć inni współzawodnicy zadawali mu różne zbrodnie, gdy się zgodzono nań, pierwsi go ścisnąć i rozczulać się zaczęli nad trafnością wyboru. Dla hrabiego urząd stał się zaraz namiętnością jak przedtem mechanika, nie lepiej opartą, nie jaśniej zrozumianą, ale również zaprzatającą. Był to bowiem umysł, który jak młyn raz puszczony, choć nic nie było na kamieniu, mleć musiał, i równo tarł mąkę czy piasek.

W Zarubińcach więc w jednym kątku łązy i modlitwa, w drugim rozpostarło się życie publiczne, obowiązki mozolne naczelnika szlachty, reprezentanta powiatu, a nowe zajęcia o krótkim smutku po stracie dziecięcia zapomnieć kazały.

Maks Fermer prowadził dalej życie, którego ofiarą padła półkownikowa, zmieniona do niepoznania, opuszczona, smutna, całemi dniami osamotniona i tęskniąca, gdy szanowny jój genialny małżonek latał po sąsiedztwie i kawalersko się zabawiał. Serce jój zbierało się kilkakroć na wymówki najukochańszemu, ale tak się go już obawiała, że nigdy jakoś do nich nie przyszło; a gdy żal wezbrał i miał wybuchnąć, ostrożny Maks pocałunkiem i pochlebstwem w porze zaadministrowaniem, doskonale umiał zapobiedz smutnym następstwom, jakie zbyt otwarte wywnętrzenia spowodzić mogły za sobą.

Pomimo małego nieporozumienia z Anetą, zawsze ona była jego najulubieńszą sąsiadką, a dom państwa Jędrzejowstwa najpoufalszym dla niego przytułkiem.

Aneta od niejakiego czasu, jak wszyscy uważali, wielce była zmieniona. Ta fizygnomia smutna, prostoty i naiwności pełna, którą była pierwszy raz przywdziała dla p. Izabelli, częściej coraz służyła jej za sukienkę powszednią. Szeptali wszyscy z ubolewaniem nad tém, że p. Aneta do zbytku spoważniała i za długo nosiła po przyjaciółce żalobę.

Sam Maks często ją tak zmienioną znajdował, że jej się lękać poczynął.

Kilku starających się o rękę jej, mimo wiedzy matki odstręczyła i usunęła; parę razy głośno objawiła zdanie paradoksalne, że za mąż wcale iść nie myśli; lecz w głębi serca, któż wie? może zachowała jakąś nadzieję powrotu Jerzego, któremu teraz nie przeszkadzało zakochać się w pięknej Anecie.

Z matką razem była na pogrzebie Loli, płakała na jej grobie, tydzień cały nosiła suknię i rękawiczki czarne, potem pilno rozpytywała Maksa o Jerzego, i nie wiedzieć jakim cudem, tak dobrze była o każdym jego kroku uwiadomiona, że on nawet zdumiewał się nad tą wszechwiedzą.

Kilka już miesięcy upłynęło od opisanych wypadków, gdy dnia jednego Aneta przez ojca najprzód podrzuciła matce myśl pojechania do Horycy. P. Jędrzej służył czasem córce za organ pośredni; ale tak się zwykle niezgrabnie wywiązywał z posłannictwa, że go tylko od biedy używano. I tym razem nie lepiej mu się udało.

— A żebyś ty, kochaneczko, Stasiu—rzekł prosto

z mostu — pojechała sobie odwiedzić w Horycy tę tam matkę Jerzego? co?

— Tobież zkaż ta myśl?

— A! myśl! prawda, że to jest myśl, powtórzył p. Jędrzej. Mnie ona znikąd, ot tak sobie. Albo by to co szkodziło? To po drodze do Pińska, toby i śledzi można kupić.

P. Jędrzejowa pokiwała głową: niełatwo ją było oszukać.

— Przyznaj mi się, żeś to nie ty skomponował?

— E! ja bo nic nie komponuję; ty to wiesz... odparł skromnie p. Jędrzej. Już ty się domyślisz czyja myśl.

Kiwnęli sobie głowami, nic nie mówiąc.

— Dość, że tej Anecie młokosa tego z głowy wybić niepodobna.

— Niepodobna wybić! niepodobna! rzekł smutnie p. Jędrzej.

— A no, to rada trudna, kiedy on do niej serca nie ma.

— No, toby jeszcze mogło się znaleźć, ja myślę nie szkodzi próbować. Młody... tego... i zawsze... dodał Jędrus, nie zbyt jasno wyrażając myśli zresztą zrozumiałą. Ale jak już sobie chcecie. No, a w ostatku gdyby i nie kochał, czyżby się dla tego ożenić nie mógł?

— Co ty pleciesz? groźnie spytała pani.

— Nie! nie! ja tak sobie! zawracając się odparł mąż pomieszany, czując, że na niebezpieczną wszedł drogę.

Skończyło się na tém pierwszym razem; jednakże gdy projekt poddano powtórnie, gdy Aneta coraz

smutniejsza wznowiła go jeszcze, p. Jędrzejowa choć wzdychając, musiała się wybrać do Pińska sama, niby przypadkiem mając zajechać do Horycy, z krótką tylko i ceremonialną wizytą od miasteczka do dworu. Projekt był starannie osnuty, a matka wyuczona dokładnie co mówić miała.

Stało się jak pragnęła Aneta, dla której te pierwsze wstępne odwiedziny tylko do drugich, w których ona udział mieć mogła, za przygotowanie służyły. Jerzy nie pokazywał się w téj okolicy, trzeba więc było gnać za nim; a Aneta coraz silniej zdawała się być przekonaną, że byleby ją teraz zobaczył, byle dni kilka swobodnie z nim przebyć mogła, ośwładnie nim i pochwyci za serce zbolale.

W Horycy wcale się takich gości nie spodziewano. Oddawna nikt tam nie zaglądał; życie płynęło jednostajnie i dość smutnie.

P. Izabella zajmowała się sierotkami, których całą szkółkę zgromadziła przy sobie. Jerzy urządzał majątek, zbliżał się do tego ludu, ku któremu największą czuł sympatyę, i gospodarskie niekiedy podzielał z nim prace.

Część dnia poświęcano czytaniu, rozmowie, nara-dom; resztę miłosiernemu krzątaniu się około dzieci i ubóstwa. W krzątaniu i stary ks. Mizerya brał udział chętny, choć niebardzo skuteczny, bo sił mu już brakło. Jerzy oprócz tego kołmami i polowaniem, gwałtownem zużyciem ciała leczył się ze smutku, ratował w tęsknocie i skracał długie życia godziny.

Przywiązanie jego do panny Moroszówny, która w chwilach pierwszej boleści okazała się dla niego najtłkliwszą matką, wzmogło się i rozbudziło, a synowskie obowiązki dla niej choć część serca zajęły. Je-

rzy starał się pilnie osłodzić ję życie smętne i puste, to muzyką, to czytaniem, to przechadzką i rozmową, to wreszcie zajęciem około szkółki dzieci, w której podejmował się dozoru i nauczycielstwa.

Nowe te zajęcia, nowy też pozór i fizyognomię nadały Horycy, w której Pawłowi staremu i Radwanowiczowi bardzo biednego Lacyny brakowało. Długo się po nim utulić nie mogli, długo odtęsknić, ani wytłumaczyć sobie katastrofy. Wyżłisko jego stare wychudło, oślepiło, znędzniało, i zaglądając do próżnej izdebki, wyjąc pod ję progiem, zdechło w końcu jednej nocy.

Mieszkanie zostało niezajęte długo, ale potem Paweł namyśliwszy się, wniósł się tam, oszczędzając nogom schodów, a Radwanowicz po staremu przychodził do niego na gawędę, z tą różnicą, że Siermieżki mu na jego dywagacye nie odpowiadał wcale, i rozmowa ograniczała się monologiem, przerywanym tylko kiwaniem głowy i zażywaniem tabaki. Niekiedy zjawiał się tu i Porciakiewicz, ale ten był zbyt żywy. Radwanowicz z nim także nie umiał prowadzić rozmowy, bo się zaraz skłócili i przychodzili do słów ostrych.

Paweł w ostatnich czasach tak nagle postarzał, że już nawet służby się wyrzekł i fabrykacyi tabaki. Najczęściej siadywał w kątku z rozłożoną na kolanach książką i różańcem, ale więcej drzemiąc niż modląc się podobno.

Tak plynęło życie w Horycy, gdy niespodzianie jednego poobiedzia, karetą na saniach podjechała pod wielki ganek, i wysiadła z niej pani Jędrzejowa. Panna Moroszówna była w swęj szkółce, Jerzy na polowaniu, a gość musiał chwilę poczekać w sali na gorze, nim

gospodyni w bardzo prostej sukni i ubiorze powszednim nadeszła na jego przyjęcie.

Niemąło zdziwiła się nawet odwiedzinom, które ledwie krótkie poznanie się u hrabiny usprawiedliwiała.

— Jadąc tedy do Pińska—odezwała się pani Jędrzejowa—nie mogłam się oprzeć chęci odwiedzenia choć na chwilę pani dobrodziejki, której miła acz krótka znajomość zawsze mi jest pamiętna i głęboko w sercu mojem utkwiła.

Naturalnie potrzeba było za to utkwienie w sercu podziękować czule, posadzić na kanapie przyjaciółkę, i począć ciężką rozmowę, która wlokła się jak po grudzie z niezmierną trudnością, póki nie dobiła do brzegów, ku którym zmierzała. Dostyc nawet zgrzecznie doprowadziła ją pani Jędrzejowa do Jerzego, do tego zamknięcia się jego w domu, które smutek uwiecznić i pomnażać może, do koniecznej potrzeby jakiegóż rozrywki dla młodego człowieka i t. p.

— Od rozrywki jeszcze potrzebniejsza jest praca, przerwała panna Izabella; a na tej nam nie zbywa. Jerzy gospodaruje, urządza się.

Myśl jednak rzucona utkwiła w sercu matki, że możeby świat i rozrywka jakaś nie były bez skutku na czarny humor Jerzego.

— Ja sama—odezwała się po chwili p. Jędrzejowa—doznałam tego co może dystrakcyja z moją córką; bo chociaż się ona jej opierała, wszakże zawsze sam przymus, goście, rozmowy, trochę mi ją rozerwały. Bo to, widzisz wp. dobrodziejka, trudno doprawdy uwierzyć jak ona odbolała po śmierci swojej przyjaciółki hrabianki... One się tak rozumiały, kochały żyły

z sobą, można powiedzieć, jak dwie siostry! Moja pocziwa Aneta długo, długo spać, jeść, utulić się nie mogła... A! co ja z nią doznałam trudności! Dziś jeszcze tego ciosu, który ją dotknął, nie może całkiem zapomnieć!

Pani Jędrzejowa miała to sobie zapewne dysponowane powiedzieć w przytomności Jerzego, ale nie mogąc się go doczekać, choć matce samą wynurzyła głęboki żal całego domu nad śmiercią Loli, pewna, że p. Izabella powtórzy to synowi.

Wieczór zimowy, szybko nadchodzący, zmusił w końcu Stasię do odwrotu i dalszej nazajutrz ku Pińskowi podróży, z kądem w myśl małżonka nawet beczułkę śledzi przywieziono. Był to najczystszy zysk téj przejażdżki.

Gdy późno w noc Jerzy powrócił i wedle zwyczaju przyszedł do panny Moroszówny, aby się o jęj zdrowie dowiedzieć, znalazł ją trochę ożywioną temi odwiedzinami p. Jędrzejowej.

Z razu opowiadanie o nich jakieś przykre na nim zrobiło wrażenie; ale p. Izabella tak czule i wymownie odmalowała mu współczucie tych pocziwych Żeligów nad stratą Loli, że Jerzy musiał im być wdzięcznym.

— Jakież to było dobre i kochane dziecię! rzekła w końcu matka: jak wszyscy co się do niej zbliżyli, co ją tylko poznali, musieli się do niej przywiązać. Wystaw sobie, że ta Anusia długo po jęj śmierci jak obłąkana chodziła, nie mogąc przemódz żalu po przyjaciółce, ani się we łzach utulić.

— Aneta? spytał Juraś: ależ to dwa charaktery, które wątpię, by kiedy z sobą zgodzić się i sympatyzować mogły! Lola była tak prosta, tak szczerą

i naiwna! ta tak jest wyuczona i wyegzaltowana na chłudo!

— Musisz się mylić, Jerzy; taką ci się może pod chwilowem wydała wrażeniem, gdyż wiele kobiet przez nieśmiałość przybiera ten ton fałszywy. Ja ją widziałam u hrabiny i podobala mi się bardzo... Znalazłam ją także prostą, otwartą, naturalną, rzewną, a taką śliczną i poważną!

— Nie wiem, mogłem się bardzo omylić, odpowiedział Jerzy. Prawda, że ją widziałem niewiele, i za każdym prawie razem inaczej.

— To dowód, żeś jęj nie poznał, że z obawy i nieśmiałości nie wiedziała jak być...

Na tém skończyła się rozmowa na ten raz, wznowiana potém przez p. Izabellę, lecz zawsze jedną przyjmowaną obojętnością przez Jerzego.

A czas powoli płynął i z nim życie. Dni gromadziły się jedne na drugie, zlatując jak liście jesienne... i nic już na pozór nie zmieniało się w Horycy...

Miało się już ku wiosnie, gdy znowu Maks jadący do Pińska zawrócił z drogi do Horycy i odwiedził starego przyjaciela Jurasia. Nigdy tu nie był jeszcze, i znalazł ten zapadły kąt kraju dosyć nudnym; ale że teraz starając się zostać obywatelem, aby zatrzeć swe pochodzenie artystyczne, musiał przejąć wszystkie upodobania nowego stanu, do których i myśliwstwo należało, więc unosił się nad lasami ogromnymi i doskonałym polowaniem. Zrobiono dla niego nazajutrz małe łowy, które się bardzo powiodły, i Maks wymógł wza-

jemnie słowo na Jerzym, że do niego na polowanie przybędzie. Jakkolwiek boleśnie dla niego było odwiedzić znowu tamte strony, wyrobił to na sobie, żeby pojechać do Maksa i zarazem być u Ottona. Pomysłał w duszy, że na grobie Loli się pomodli. Pragnął też bardzo zobaczyć hrabinę, dla której prawie synowskie uczucie zachował; ale się wahał, wiedząc, że odwiedziny te mogą jej przypomnieć bolesną stratę, i że hrabia, który zawsze wstręt ku niemu okazywał i teraz zapewne czulszym nie będzie. Zwlekło się jakoś to polowanie u Maksa, bo wilcy byli wyszli, bo mu żona potem chorowała, aż nareszcie w miesiecy kilka przybiegł umówiony posłaniec z zaproszeniem na następujący tydzień, i Jerzy rad nierad wybrać się musiał.

Łatwo się każdy domyśli, że wieczorem po łowach, gdy się wszyscy znaleźli w saloniku półkownikowej, dziś nie tak świeżym i wytwornie urządzonym jak dawniej, trafem przybyli państwo Jędrzejowstwo oboje, z Anetą, ubraną czarno, smutną, zamyśloną, a tak wyidealizowaną przybranem czy naturalnem cierpieniem, że istotnie zdawała się należeć do sławnej grupy Nio-by... Śladów dawniej zalotności i trzpiotowstwa ani znaku nie było na pięknej jej twarzy; oczy zdawały się we łzach pływać; czoło jakby wieńcem chmur miała opasane; poruszała się z wolna, ciężko, — rzekłbyś, że jej ciężko życie.

Gdy ujrzała Jerzego, lekki rumieniec przebiegł po twarzy jej, i w milczeniu trochę drżąc, podała mu rękę.

— Oboje straciliśmy — rzekła głosem, w którym łkaniem słychać było — drogą sercu przyjaciółkę... Wiesz pan, jeszcze po niej noszę żalobę, a z duszy pew-

nie nigdy jój nie zrzucę... Al uleciał anioł nasz w niebiosal

Początek rozmowy był bardzo zręczny, odpychał bowiem wszelką myśl samolubną, wiązał ich wspomnieniem czulém, przemawiał do serca, i Jerzy w imię zmarłej podaną sobie rękę ścisnął z głębokiem uczuciem. Łza zakręciła mu się w oku. Nie postrzegł, że łza ta wywołała iskrę ognia z oczu Anety, która szybko spuściła powieki, i odezwała się dość znowu głosem smętnym i łagodnym:

— Jakże ja dawno nie widziałam pana! choć sercem zbliżaliśmy się często, o! często byłam przy nim, współczując z jego boleścią. Mój Boże! ileż to pan wycierpieć musiałeś! Ja to tylko pojmuję, i to życia sieroctwo, i tę pustynię przeszłości...

Jerzy westchnął milczący.

— Nieszczęściem — rzekł — gdy człowiek pragnie śmierci, albo mu jój żądać nie wolno, albo życzenie wywołać jój nie potrafi. Trzeba żyć i walczyć do końca.

— Boć życie zawsze jest walką, odpowiedziała Aneta. Ale dla czegoż tak się pan zamknąłeś w domu? tak wszystkim swym wydarłeś się przyjaciółom?

— Pracuję, a świata nie lubię wcale, rzekł Jerzy. Jedno czyjeś serce, czyż to nie dosyć dla człowieka? Tłumy mu nic nie dają, a odbierają wiele.

— Ja nie wiem — odezwała się Anna — ale jednak człowiek póki żyje, musi potrzebować społeczeństwa i winien mu jest siebie. Zresztą wybierać można i potrzeba.

— Ja też wybrałem sobie — rzekł Jerzy — ubogich i biednych... tych, którzy nikogo nie mają.

— Dla duszy jednak czegoś więcej potrzeba, prze-

rwiała Aneta: nie dość jój oddawać siebie, ona i karmić się czémś musi.

— Książka w takim razie jest najposilniejszym pokarmem, w książce jest treść człowieka, której on nigdy prawie się nie powstydzi,—ta żywi.

— A jednak żywe słowo więcej jeszcze warte od najlepszej książki. Wyznasz pan, że ono czarodziejską posiada siłę. Książkę każdą człowiek jeszcze musi ogrzać myślą własną, musi ją zbudzić do życia, musi dopełnić sobą: to go wyczerpuje.

— I dobrze jest, bo pracować musi...

— Ale się za mało nakarmi, bo i ta praca życie zabiera.

— Prawda—rzekł Jerzy—choć są siły, których używając, wznagamy je. Samo żywe słowo czyni umysł przywykły do niego wyłącznie, lekkim i powierzchownym; książka, zmuszając do pracy, spowadza, stęży.

— Nie czyniż go znowu sztywnym i surowym do zbytku? Mnie się zdaje—dodała Aneta—że i tu różne żywioły w pewnym stosunku na życie pełne składać się muszą: książki, myśl, słowo, uczucie, czyn... Zawsze prawie brak jednego z nich okalecza człowieka. Same książki go wysuszają, sama myśl wycieńcza, samo słowo lekkim czyni, uczucie samo oglupia, sam czyn odbiera władzę sądu; wszystko razem stanowi dopiero człowieka.

— Tak, to jest prześliczna teoria, odparł uśmiechając się Jerzy; ale gdzie ten człowiek pełny? Każdemu z nas braknie czegoś, a ideał nie jest rodem z naszej ziemi.

— Ja nie wiem, przerwała Aneta: są chwile, w których on się żywym objawia, ale całe życie, równo od brzegu do brzegu, nikomu ideałem być nie wolno. Rozumiem

wszakże chwile apoteozy, które każdy w życiu przebywa; nawet zbrodniarz, nawet ubogi i najuboższy pod dachem, podnoszą się w tych chwilach, ów do cnoty, tamten do rozumu. Chwila ta trwa błyskawicę dla jednych, dla drugich godzinę, dla innych lata, a im dłużej w niej wytrwa człowiek, tém więcej jest ideałem.

I spojrzała na Jerzego owym łzawym wzrokiem, który tak pociąga, tak rozbudza na dnie serca leżące, martwe już nawet uczucia szczątki.

— O mój Boże! odezwiała się nagle: pan mi tak przypominasz szczęśliwe chwile! — I zasłoniła oczy. — Ja ją tak kochałam.

Maks, żona jego, pani Jędrzejowa, wszyscy jakby sobie słowo dali, odstąpili Jerzego i Anety, zostawiając ich na samotnej rozmowie; a Jędrus, który niezgrabnie o mało się nie wdał między młodą parę, dostał na migi tak groźne napomnienie od żony, że się już potem zbliżyć nie śmiał do Jerzego i jak najdalej od niego uciekał.

Aneta rzuciwszy raz wędkę, nie puściła z niej zdobyczy. Ciągłe w tym obłoku smutku, melancholiczna, rzewna, karmiła Jerzego wspomnieniami, a wzrok jej sięgał głęboko do duszy.

Co się z Jerzym działo, trudno zaprawdę tłómaczyć. Aneta wcale na nim przykrego nie zrobiła wrażenia; rozum jej, smutek, wymowa, zręczność, może potężny urok piękności, sprawiły to, że po godzinnej rozmowie prawie się uczuł z nią swobodnym i spokojniejszym. Ona tak umiała trafić w myśl jego i sercu pochwlebiać!

A tak była prosta, naiwna, szczerą, tak niewymuszona i niezalotna, iż prawie posuwała się do zupełnego zapiedbania. Wiedziała zapewne, że to jej nie ujnie wdzięku.

Zabawa przeciągnęła się późno w noc, Maks ożywał jak mógł towarzystwo, i choć żona jego chora była na głowę, państwo Jędrzejowstwo czekając na księżyc, dostadywali do drugiej.

A złożyło się tak jakoś dziwnie, że cały prawie wieczór Aneta była przy Jerzym. Z początku mówili o Loli, potem o kobietach, potem Aneta wpadła na niespodziane wyznania.

— Pan nie uwierzysz — rzekła — jak jestem stara, jak mnie już nic na świecie nie bawi, nie obchodzi, nie zajmuje. Patrzę obojętnie na ludzi: śmieszą mnie, napełniają litością, nie pociągają ku sobie. Tak to łatwo stracić tę epidermę młodości, która już nigdy nie odrasta, ten pyłek owocu, który lada podmuch zwieje, lada dotknięcie unosi... A to tak dobrze być młodym!

— Ale tak trudno! rzekł Jerzy.

— Jednak są ludzie na wieczną młodość stworzeni! odparła Aneta.

— Chyba na wiekuiste złudzenia i omyłki, dodał z westchnieniem młody człowiek.

— Nie, nie! na świeżość uczucia, która się nie wyczerpuje. Znam takich, których nawet gwałtowna miłość nie potrafiła oziębnić, którzy z równą siłą kochali kilka razy w życiu.

— Tego nie pojmuje, zawołał Jerzy, — chyba uczuciem różnym, przywiązaniem chłodniejszym, szacunkiem, przyjaźnią, którym niewłaściwie dano nazwisko miłości.

— Nie! nie! Są rośliny, co raz kwitną tylko, i co się rok cały okrywają kwiatami: czemużby i człowiek nie miał być różnie uorganizowanym?

— Może... nie wiem... ale sądzę, że takie uczucie jak

wielka i prawdziwa miłość, wyczerpuje się całe do razu.

— O! nie! nie! doprawdy! serce sercem jest zawsze, człowiek zawsze kochać zdolny.

— Czy pani kochała? zapytał naiwnie Jerzy.

— Ja? odparła zarumieniona Aneta—nie! Choć to pytanie dziwne, ale na nie szczerze odpowiem. Dzieckiem marzyłam, kobietą pragnęłam kochać, i nie znalazłam nikogo, kogo ukochałbym mogła. Ja może za wiele pragnę, wolę jednak nie niż to, co by mi nie wypełniło serca... Zdaje mi się, że gdybym pokochała, miłość moja byłaby ogniem, co by dał życie lub jak piorun je odebrał.

Słowa te wymówiła ciszej, niewyraźnie. Jerzy spojrział na nią, i w oku jej czarném spotkał przerażający jakiś wyraz, jakby strasznego pragnienia zemsty i nienawiści, który obwiał go chłodem i odepchnął.

Nazajutrz nie wiem jak Jerzy dał się Maksowi zawieźć do sąsiadów. Kiedy im to przyrzekł, nie przypominał sobie, ale weń wmówiono, że przyobiecał, że dotrzymać musi... Pojechał więc niechętnie, z uczuciem prawie zgryzoty jakiś i obawy. Tym razem Aneta była znacznie weselsza.

Poufale i po bratersku ścisnęła jego rękę; słowa już nie mówiła o Loli, tylko niekiedy naśladowanym jakby uśmiechem, ruchem, wyrazem, starała się ją przypominać, a wyuczona ta rola czasem się wcale dobrze udawała. Jerzy uczuł bicie serca; nie posądzał jej, aby się stroiła umyślnie w ten z trupa odarty wdzięk cudzy, ale mu to sprawiło rozkosz niewypowiedzianą; nawet głos jej srebrny dźwięczał jakby biednej Loli.

U państwa Jędrzejowstwa znówu się wszystko

dziwnie składało; ustępowano im z drogi, nikt nie przeszkadzał rozmowie, wszyscy jakby należeli do spisku, pragnąć się zdawali, aby Aneta miała czas usidlić przybyłego, związać go i pochwycić.

Nie brakło jój środków ku temu. Serce może było zimne, ale głowa paliła. Któż zresztą wie co serce? Gdzie granice uczucia prawdziwego od kłamanego uczucia? Często zaczyna się od fałszu, a kończy prawdziwą namiętnością. i jak wielu niedowiarków, co wchodzi do kościoła zimni, a wychodzą skruszeni i przejęci, jeśli się to porównywać godzi, wielu też zaczyna od udawanój miłości, by na najszczerzej zakończyć.

Tak może było z Anetą. Nie wiem, miłość, fantazyja czy racluba przeważyły, to pewna tylko, że idei swój poświęcić była gotowa wszystko, i nie dała się żadną zriąć trudnością i walką. Owszem, przeszkody, jak tamy wodę rzeki, więcj jeszcze nagromadzały zaciętości, a czas, co zwykle niszczy w zarodzie próżną namiętność bez celu, podnosił ją tylko i wznagał.

Na Jerzego cała ta strategia kobieca, którój sztuką było, żeby niedostrzeżona została, niewiele podobno działała; jednak chwilami ten głos, ta kobieta przypominały mu głos niewieści z innego świata, chociaż przy najgorętszj chęci przebrania się za Lolę, umysł Anety, jój doświadczenie, chłód i sceptycyzm, przebijające się mimowoli, nie dopuszczały jój tój roli dobrze odegrać. Burzyła jedném słowem co zbudowała wejrzaniem i głosem... Przez najczulsze wyrazy jój przebijala się niewiara, szyderstwo, zwątpienie.

Jerzy znajdował ją zajmującą, zabawną, ale w sercu nie czuł nic prócz jakiegoś rozdrażnienia. Stopniami, powoli jednak ten niepokój przeradzał się

w uczucie, z którego nie mógł, nie umiał sobie zdać sprawy.

O siłę i potęgę młodości! która oświecasz, jak promień słońca i słomianą strzechę, czyniąc z niej złoczone dachy, i najpospolitsze lica zmieniasz w twarze aniołów, i słowo ciche w hymn poetyczny przeradzać umiesz! może też i Anetę dla Jerzego, zimną i marmurową postać, czyniłaś już żywą i uroczą istotą!

Wdzięk, który w niej widział, w nim był samym więcej niż w tej kobiecie.

Bo w sercu młodzieńca zachowała się cała siła młodości. Nie wyczerpała jej pierwsza miłość, ani pierwsza wielka boleść, ani grób i tęsknoty grobowe; odzywała się w głębi piersi, promieniowała z niego, okrywała swojemi blaski wszystko, na co wejrzał, co napotkał. Tak w bajkach ludowych spotykamy bohaterów, którzy jednem dotknięciem przeistaczają wszystko, starców w młodzieńce, ruinę i śmierć w życie; a tą różczką cudowną, cóż jest jeśli nie czarodziejka młodość?

Czyż w jej oczach nie takie dzieją się dziwy, nie większe przemiany, w jej uścisku, w jej zachwytach? Mój Boże! ileż to cudów później, gdy siła odejdzie, gdy ten wzrok zgaśnie, gdy pierś się ta skurczy wychłodnie, niedojrzanych wtedy, zaprzeczonych, lekceważonych, niknie lub w prosty tryb powszednich zdarzeń wraca! Młodość tylko posiada ten dar opromieniania, widzenia piękna, poczucia go, wyprowadzenia na zewnątrz tak silnie, że zaciera rysy, któreby szpeciły mogły i rozczarowywać. Dopóki człowiek czuje piękno i zdolny jest do uniesienia, póty tylko jest młody, póty dobry; później bywa mądry i silny, ale inne już widzi strony żywota: tamta na wieki dla niego zgasła.

Jerzy posiadał jeszcze w sercu tę siłę, którą utracić tak łatwo, a odzyskać niepodobna; dla niego świat jeszcze chodził w szatach świątecznych, i Aneta też pigknęła mu się wydawała niż innym: bo znał ją taką, jaką chciał mieć, nie jaką była w istocie; nie zaglądał do głębi duszy i wierzył, że Bóg na to stworzył usta, oczy i czoło, aby mówiąc prawdę, świadczyły o duszy.

Na strązy jego serca stał jeszcze biały cień umarłego; pokochać nie mógł. Ale go przyciągnęła już ku sobie; już czuł się tajemniczo pochwycony — ludzka słabość — tém, że pierwsza zbliżyła się do niego, że mu okazała współczucie, że go potrzebowała.

Większą część miłości silnych rodzi początkowo to uczucie wdzięczności: podana ręka, rzucony wzrok temu, co sam dłoni wyciągnąć nie śmie, ani wejrzenia obrócić. Z dwojga zawsze kobieta pierwsza okazać musi trochę uczucia, bo mężczyzna każdy więcej ma jeszcze może dumy niż serca; boi się walki, z której nie wie czy wyjdzie zwycięzcą.

Aneta jednak była dosyć ostrożna, chciała się podobać, lecz o tę wolę porządzoną być nie chciała; wiedziała, że w oczach Jerzego odjęłoby to jój część uroku. Dla tego przy drugiem spotkaniu, gdy wyszli na ganek, rozmawiając głośno, odezwała się do niego, wiodąc dalej rozpoczętą rozprawę:

— Wiele jest do poprawienia na świecie, i w naszym nawet bycie kobiecym. Nie przeczę, że obowiązkiem kobiety jest kochać, być żoną i towarzyszką człowieka; lecz społeczność robi jój z tego więcej niż powinność, niewolę, wkładając na nią kajdany — i wyrzuca jój jeśli została wolną, nie pozwalając wybierać. Jest to coś nakształt tego, jakby kto niewolnikowi

przykutomu do ściany więzienia, miał za złe, że nikt go rozkuć nie przyszedł. Jeśli śmieszność i jakaś wzgarda ściga tę, co została panną, dla czegoż jój nie dano swobody wyboru? więcej powiem, woli i inicjatywy w przywiązaniu? Musimy czekać, aż nam ktoś raczy rzucić chustkę sultańską, a jeśli nie rzucił, wi-na nasza! To śmieszne! to nielogiczne! Każą nam, bądź co bądź, iść za mąż, a potem krzyczą, że nie spełniamy obowiązków, których nie przyjęło serce. Ja to inaczej pojmuję: nie poszłabym za mąż, chyba wybrawszy tego, który ma być moim mężem; inaczej śmiało zostanę starą panną—to wolę. Trzeba koniecznie—dodała ośmielając się—aby każda łodyga kwiat wydała; nie wolnoż okryć się zielonością, wystrzelić ku słońcu i zostać palmą samotną? Dla mnie ten stan swobodny mojego państwa ma urok, którego bym się nie umiała wyrzec, chyba dla wielkiego przywiązania, dla czegoś, czego nie mam pojęcia, bom nigdy nic podobnego nie doznała.

— W ogólności—rzekł Jerzy—w pojęciach o tém jest wiele konwencyonalnego, przekreśconego przez społeczeństwo zepsute, jest tyleż fałszu co prawdy. Kobieta za mało ma swobody i wszystkie wady niewolnictwa... W innych razach granice, które kładą jój czynnościom, są opiekuńcze i troskliwe.

— Więc wiecznie mamy potrzebować tój opieki? spytała Aneta,—i na zawsze pozostać dziećmi?

— Szukając siły, usiłując ją dobyć z siebie, możecie trafić na utratę wdzięku, który wam daje niemoc właśnie, słabość i dziecięctwo wasze... Nie jest-że potęgą to, że siły nie macie? że nikt szlachetny użyć jój przeciwko wam nie może? Jutro wzięwszy siłę, poślubicie walkę...

— A dla czegoż i my nie miałybyśmy walczyć? spytała Aneta.

— Dla czego? powtórzył Jerzy; dla tego, że i bez walki przy was zawsze zwycięstwo... Wam więcéj o pozór może niż o rzecz chodzi. Panujecie, ale kto inny dźwiga koronę i berło: chciałabyście wziąć te oznaki, a pozbyć się władzy?

— Władzy! ale jakiéj? nie jestże to zawsze przewaga faworyty zamkniętej w ciasnych murach i okutej w złote kajdany? Dusza moja oburza się na to.

— Boś pani nie kochała nigdy, jak sama przyznajesz...

— To być może... Lecz sądziszże pan, iż wszystkie miłości są jednakowe? że dąb, olsza i sosna jednakiem się palą płomieniem? Musiałeś się nieraz przypatrywać ogniówi kominka: jak różowo i sino płonie po cichu rozżarzona olszyna; jak dąb pali się żółto-zielonemi płomyki; jak sosna gorejąc, trzaska i rzuca rozpalonemi iskrami, cała w chwili oblewając się ogniem i stając popiołem. Mnie się zdaje, że tak i z sercami być musi.

— Nie wiem! znam tylko moje, w którym pozostały także węgle i popioły, rzekł Jerzy smutnie,—i jeszcze jedno serce, które spłonęło cicho jak zapalona bryła bursztynu. Któż zbadał tajemnice serc ludzkich!

Aneta zamilkła. To wspomnienie dobyte tak nie w porę, oblało ją lodowatym grobu powiewem: zadrżała i ostygła.

— Zawsze ona! zawsze ona! rzekła w duchu, nawet po śmierci.

Złagodniała i posmutniała; na czole jéj zawisła chmurka zadumy.

Na ten raz zabita już była rozmowa. Aneta czuła, że wspomnienie Loli ścigać ją będzie; cierpliwie zacięła usta, zamknęła piersi i uśmiechnęła się swojej boleści. Jedna matka poznała, że w niej utkwiał cios jakiś, któremu potrzeba było czasu, ażeby z rany został wydarty.

Gdy tak młodzi zostawieni sobie rozprawiali, Maks, który znał wpływ Ottona na Jerzego i serdeczną ich przyjaźń, nie bez celu także wywiódł go do ogrodu. Stosunki, jakie ich łączyły, łatwo już z rysów poprzednich odgadnąć się dają. Maks obawiał się Ottona i wcale go nie lubił, ale mu wielką okazywał grzeczność. Otto obchodził się z nim obojętnie, nie szacował go wcale, często dając mu to uczuć z otwartością sobie właściwą.

Jak wszyscy ludzie miałkiej głowy, Maks wszakże pochlebiał sobie, że potrafi podejść Ottona lub myśl jakąś tak mu poddać niepostrzeżenie, że on nie opatrzywszy się polknie ją. Nie domyślał się wcale, że Marzycki wchodząc z cygarem w ustach do ogrodu, wcześniej wiedział po co był prowadzony, i co mu wpajać niano.

— Dom bardzo przyjemny! rzekł Maks.

— Hm! hm! odparł Otto: powiedz chyba panna, bo pani jest jej podszewką, a pan, pocziwie stworzenie, sługą i niewolnikiem obojga. Ani Stasia, ani Jedrusz wcale przyjemni nie są.

— A no! to prawda, zawołał Maks; ale przynasz, co to za swoboda!

— Zapewne, wielka... Jest jej może trochę nadto.

— Ale przyzwolicie...

— Nie przeczę...

— A panna Aneta?

— Panna Aneta... śliczna panna i niegłupia!

— Prawda! a już to znacie i umiecie sądzić ludzi. Ja to wciąż powtarzam: śliczna, rozumna i bogata...

— Śliczna, bogata, rozumna, powtórzył Otto, puszczając kłęb dymu: ani słowa!

— I co to będzie za żona!

— A no! to jeszcze pytanie! rzekł śmiejąc się Otto.

— Jak to? przyznam się, że nie pojmuję.

— Powiem ci, jeśli chcesz. Całe życie służył jej ojciec, służyła matka; już ciż nawykła do tego trybu rzeczy, nie może innego chcieć męża, tylko pokornego sługi: więc...

— Nie idzie za tém! a jeśli pokocha?

— Jeśli pokocha! to znowu pytanie!

Maks uczuł się zbitym z tropu i wpędzonym w zaułek podobny do Niecałej ulicy, nie wiedząc kędy wyskoczyć.

— A! rzekł: to serce, które kochać musi...

— Nie widzę jasno przyczyny.

— Pełna uczucia.

— Czy serce, czy głowa? spytał Otto.

— Jak to, głowa?

— Czy ona sercem będzie kochała, czy głową? powtórzył Marzycki.

— Pełna uczucia! powtórzył Maks.

— A no! niech będzie pełna uczucia.

Milczeli chwilę.

— Już to z Jerzego i z niej byłaby para co się zowie.

— Z Jerzego? zapytał stając Otto; jak to, z Jerzego?

— Dziwisz się?

— Dziwię! Wszak wiesz, że Jerzy jest zaręczony.

— On! z kimże? on!

— Z tą, która umarła, rzekł poważnie Otto.

— A! a! zlitujże się!

I Maks serdecznie śmiać się począł.

— Ostrożnie, przerwał Otto surowiej: szydzisz w oczy człowiekowi, który jak on zaręczony z umarłą, dotrzymał grobowi wiary, posiwił zachowując słowo dane mogile!...

Maks zmieszał się.

— No! tak! ale przyznasz, że on, tak młodym będąc...

— Byłem równie młody, gdym ją stracił.

— Zresztą nie każdy potrafi tak kochać jak wy, panie Ottonie... odparł Fermer.

— To komplement, rzekł Otto zimno. Każdy kto kochał, kocha; tylko ci, co nie kochali, ale się bawili, znudzić się mogli i zapomnieć. Jerzy kochał!

— Więc sądzicie, że tuby z tego nic być nie mogło? spytał niespokojnie Maks.

— Ja! ja nic nie sądzę!

— Ale jak się wam zdaje?

— Szacuję Jerzego, serca jego nie znam, ale wierzę, że gdy co mówi, nie kłamie... Wczoraj z nim razem byliśmy na jej grobie.

Maks spuścił głowę.

— To istotnie miłość godna uwielbienia.

Otto zaczął w milczeniu palić cygaro, Maks pokładał ręce w kieszenie, i krocząc powoli, poszli ku gankowi.

— Powiedz mi, mój szanowny panie Maksie, odezwał się po chwili Otto: zkąd to ci te swaty przyszły do głowy?

— Mnie! swaty! Zmilujże się, to było rzucone na

wiatr... a że kocham Jurasia jak brata, szczerze dla niego pragnąłbym szczęścia, które tylko pocziwa żona dać może.

— Czemuż nie sądzisz, że pocziwe, choćby zagrobowe uczucie nie daje także szczęścia?

— Ja jestem pospolity człowiek, rzekł Maks: z gliny prostej—chcę mówić z mięsa i kości... sądzą o drugich z siebie... Tak mi się zdawało!

— I źle ci się zdawało, rzekł Otto. Dla ludzi jak Jerzy, ta kąpiel prozy życia, brudów i rzeczywistości, które nieustannie prac potrzeba, aby je uosić można, nie jest wcale łaźnią, co by uleczyła. Jego młodość boleścią się unieśmiertelnia, czystém uczuciem spotęgowuje: pierś jego tym ogniem oczyszcza się i zło-ci... Do tej piersi przycisnęłby na chwilę anioła, któryby mógł zmienić się kto wie w jakie zwierzę drapieżne w uścisku, i rozdarłby mu może pocziwe serce, wyszałby z niego resztkę wiary i miłości. Do czego to zdało?

— Ale bo my się nigdy nie zrozumiemy.

— Tak, masz słuszność, odparł Otto; na to zgoda, i dajmy sobie pokój.

Obie rozmowy, jak widzimy, wcale się nie powiodły; a Jerzy i Otto wkrótce porozumiewszy się wzrokiem, wyjechali od p. Jędrzejowstwa. Maks sam pozostał.

Aneta siedziała w ganku na ławeczce, odprawivszy matkę, odesławszy ojca, a ła niepostrzeżona spływała powoli po pięknej jej twarzy. Ale to była ła jakaś dziwna, samotna, sierota, wyciśnięta chwilowém uczuciem, które ścisnęło za serce; nie zmrużyło się od niej oko, nie zarysowała twarz, nie zmarszczyło czoło; była jakby łą pożyczoną, przeleciała wstydząc się

siebie po spalonym policzku, i znikła nieotarta, może nawet niepoczuta.

Maks po cichu stanął we drzwiach, i stał patrząc na nią, nie śmiejąc się odezwać.

Potém spojrzeli na siebie. Aneta zerwała się żywo, wahała chwilę, coś jakby wstyd ją owionął, ale Maks nabrał odwagi za dwoje.

— Mówiłem z Ottonem, rzekł.

— A! na Boga! ktoś pana o to prosił?

— Naturalnie, mówiłem od siebie.

— Któż panu pozwolił?

— Nic się przecie złego nie stało: sam mnie zaczepiał, rzekł wymawiając się kłamstwem Maks.

— Jakto? on? sam? I cóż mówił?

— No! to marzyciel i dziwak: gadał mi o grobach, o miłości wiernej, licho wie co! i że wczoraj jeszcze chodzili odwiedzać mogiłę.

— A jutro nie pójdą? spytała Aneta jakby przypadkiem.

— Nie wiem: ci czuli kochankowie chodzą tam podobno codziennie. Zgadalo się i o pani... dodał Maks.

— A! to wcale niepotrzebnie. Otto mnie nie cierpi, ja to czuję.

— Broń Boże! ale on ma swój ideał.

— A ja do jego ideału nie mogę być podobna odpowiedziała Aneta. Dobranoc pannu!

Maks pożegnany nagle, wyjechał zaraz smutny; Aneta pozostała w ganku rozdrażniona, poruszona przejęta.

— Nie! zawołała w duszy: tak być nie może... Uczucie wywołać musi uczucie! Ja go mieć muszę: będę czekała, będę cierpiała, upokorzę się, odmienię! On musi, on musi mnie w końcu pokochać! Sto razy,

mi mówiono, i sama to czuję, że jestem piękna! młodość jeszcze się nie starła z tej twarzy: miałaby on jeden być niepokonanym? Czyż cień tej kobiety prześladować mnie będzie wiecznie?

Serce Anety ścisnęło się od bólu.

— Niel nie! zawołała: ja nie jestem winna jej śmierci, to myśl dzika i chorobliwa. Truciznę tę szatan mi rzucił w serce!.. To dziecko spaliło się własną miłością, było przeznaczone na śmierć... Cożem ja winna? Cierpliwością wytrwania! On będzie, on musi być moim! Walczyć będę z jej cieniem, z jego sercem. Wezmę go nie napastniczym zwycięstwem, ale pracą powolną; zdobędę po części; poznam, wcielę się, opanuję. Ale jedenże on na świecie? spytała po chwili. A! jeden! jeden, który mi się oparł, odpowiedziała. A ja się czuję niewyciężoną: on musi być moim!

— Kochanie, przerwała jej matka wchodząc ostrożnie: ty się zaziębisz, moje dziecko. Rosa pada, wieczór tak chłodny, chodź już spać proszę ciebie!

— A! jakże mnie mama przestraszył!

— Ale bo też nie wiedzieć po co siedzisz nocą w ganku. Ty wiesz, jak jesteś skłonna do kataru.

— Idę już, mamó, idę, idę.

Nazajutrz rano mgliście jakoś było na świecie i mgliście na czole Anety.

— Moja mamó, odezwiała się przy herbacie: gdyby mi konie zaprzęgli, pojechałabym z Franusią lub sama do kościoła.

— Do kościoła? spytała zdziwiona matka, wiedząc, że usposobienia do modlitwy nie miała wcale córka. Ty? w dzień powszedni, do kościoła?

— Tak...

— Chcesz tego?

Aneta kiwnęła głową trochę pomieszaną. Stasia pośpieszyła zadzwonić na Jędrusia, który wpadł natychmiast z brodą do polowy ogoloną.

— A co? spytał; a co?

— Koni potrzeba dla Auctki.

— Koni? dokąd?

— Chce jechać do kościoła. Co ci do tego, Jędrusiu? dosyć, że natychmiast potrzeba koni.

— A no! to będą! Ale któż wiedział, że pojedzie!

— Jędrusiu, bez rezonowania!

— Ależ ja ani myślę rezonować! Konie zaprzęgą natychmiast.

I ojciec wybiegł przestraszony natarczywością Stasi, a w kwadrans później Aneta w lekkim koczku, osłonięta czarnym woalem, jechała ku kościołowi, przy znajomym już nam położonemu cmentarzu. W rękę trzymała prześliczną wiązkę kwiatków.

Wiejski w Muszyńcach kościółek, na pochyłości wzgórza, które się na południe zwraca ku łąkom i płynącej przez nie rzeczulce, otoczony był cmentarzem, na którym parażanie od bardzo dawnych grzebali się czasów. Świadczyły o tém stare już drzewa, oceniające tę „rolę bożą,” — zapomniane mogiły, na których kupka gruzów zastępowała pomnik, co miał przetrwać wieki, — kamienie omszone, krzyże z niewyraźnościami na nich wrytymi głoskami, dziś już niezrozumiałymi. Najpiękniejszymi tu jeszcze pomnikami były jodły, kasztany i topole, które wzrosły na grobowcach i rozpuściwszy na nich konary, połączyły splecionymi gałęziami mogiły może za żywota nieprzyjazydnych ludzi. Kościółek był drewniany i bardzo stary, ale utrzymywano go tak, by dożył nowego, na

który powoli jakoś zbierali się parafianie. Tuż przy nim rozciągał się po staremu z pogańskich może jeszcze czasów ów cmentarz i przysadzista w rogu kostnica, przypierająca do plebanii.

Mimo smutnych czarnych krzyżów na mogiłach, cmentarz w części tylko obmurowany, zresztą opasany drewnianym płotem, ze swą bramką drewnianą także, na której sterczał krzyżyk pochylony, wyglądał dosyć wesoło. Bujna zieloność pokrywała go wszędzie, prócz kilku miejsc żółtą gliną napiętnowanych świeżo i jakby ze skóry odartych, pod którymi niedawno spoczęli ostatni powołani na sąd boży.

Ksiądz staruszek używał swego cmentarza jak ogródka do przechadzki; zbierał nawet na nim owoce z kilku krzaków i drzew wiśniowych, które się przy parkanie rozrosły. Otto, mając tu ojca i narzeczoną, jeden też kątek utrzymywał ze starannością zakonnika, pielęgnującego grządkę swojej celi. Miejsce to niedaleko ogrodzenia, objęte żelazną kratą, zasadzone drzewy i najpiękniejszemi krzewami, obejmowało dwie proste mogiły, na których dwie wielkie szare leżały płyty kamienne, z dwoma imionami i datami żałobnemi. Ścieżka wysypana piaskiem wiła się dokoła tych grobów, a do parkanu przyparta ława dębowa, czysta i wysiedziana, świadczyła, że tutaj Otto często przychodził. Świeże kwiaty wiosenne, starannie opielte i podlewane, jaśniały jakby w najweselszym dziewczym ogródku pod kilku jałowcami, jodełkami, krzakami róż i bzów.

Wiosna właśnie wszystko to umaiła i przystroiła w pączki i różnobarwne kwiaty. Nieopodal od grobu Ottona wznosił się kamienny sarkofag Loli, na którym

matka napisała imię jój pieszczone i jedno do Boga westchnienie.

Obok niego także zieleniały już zasadzone świeżo rośliny, ale tu jeszcze nieposłuszna ziemia razem z niemi wyrzucała z łona dzikie swe ózicci: chwast i łopuchy, które walczyły o lepszą z wychowañcami ogrodu.

Ranek powoli z mglistego przechodził w pogodny; opary siadały w dolinach i uścielały się jak zrzucone zasłony, a wyświeżony krajobraz pięknego Wołynia, obmyty rosą, ozłocony słońcem, zarysowywał się już w oddali. Ptaszki gospodarzące na cmentarzu w gałęziach drzew starych i świeżo zasadzonych krzewach, szczebiotały już wielkimi gromadami, przenosząc się z krzykiem z miejsca na miejsce za najmniejszym szelestem. Cisza zresztą panowała na cmentarzu, przerywana tylko ich wrzawą wesołą i stękanieñ człowieka, który grób kopiąc w rogu, to pilno a żywo ziemię odrzucał, to pot z czoła ocierając i wzdychając, spoczywał.

Furtka skrzypnęła: Otto i Jerzy powoli weszli na milczący mogiłnik, oczyma szukając swoich grobów. Otto dojrzał zaraz, że mu się jeden krzak róży odwiązał od podpórki i pochylił jak chory na stojące obok kwiatki; poszedł więc tam i zaczął gospodarzyć. Jerzy skierował się też do swojego grobu, przy którym nie miał prawa poprawiać i zmiñiać; płakać i modlić się mógł tylko.

Obaj potóm usiedli na ławce, i spoglądali, dumając, na ten maleñki światek, z Hamletowskiemi myślami o człowieku, tylekroć powtarzanemi, tylekroć powtarzającymi się jeszcze!

Grabarz wciąż kopał i stękał, i pot ocierał z czoła, spoglądając ciekawie na przybyszów. Do pół już stał w mogile, opierał się rękami o jej brzegi i mierzył, czy jeszcze głęboko dobywać mu się będzie potrzeba, by wygodnie usłać łożę. Ptaszki świergotały mu nad głową, w dali słyszać było ryk bydła i wesole głosy pól i dolin.

— Czyby się nam uczyć potrzeba od natury, czy naturze od nas? rzekł Otto po długim milczeniu. Patrz-no, co to za spokój i cisza i wiosenne rozkwity na grobach? Nigdzie żałoby: wszędzie przy śmierci, po zgonie życie w innych kształtach, i kolebka tuż przy mogile. Nie ma więc związku między nami a tym światem, który litości dla człowieka nie czuje, czy litość jego i miłość inaczej się wyraża, że my ich nie rozumiemy? Ja nie wiem.

— Jeżeli przechodniowi wolno pogwizdując minąć cmentarz, dla czegożby wróblom nie miało być wolno śpiewać na nim, kwiatom kochać się i kwitnąć? odparł Jerzy.

— To prawda: smutek, tęsknota nie są w naturze; to płody duszy człowieka. Natura burzy się, gniewa, niszczy, wywraca i wnet odbudowuje i pieści, by znowu łamać i burzyć,—ale nie tęskni długo i nie płacze nigdy swych dzieci.

— Mylisz się, rzekł Jerzy: nie słyszałeś nigdy nocnych jęków stepowego wichru jesieni, ani tęsknego pacierza morskiego za umarłych, kiedy w czarną noc bije falami o brzegi, jak grzesznik dłonią w piersi i płacze. Są kraje wiecznej tęsknoty, mgły, łez i żalu; są cmentarze ziemi. A zresztą, my jesteśmy małą czką chwilą, nam wolno tęsknić i płakać; tam życie jest

wiekuiste i prawanieznane. Dla nas są przypadki; tam konieczność.

— Człowiek! człowiek! rzekł Otto: ochota bierze umrzeć, aby go zrozumieć.

— Masz słuszość, nie można razem być widzem i aktorem. Ale czy widzami będziemy, gdy to co dla nas dziś ciekawe, później się może stanie obojętném? gdy pękną te węzły, co nas łączyły z maluczkim tu-tejszym światem?

Spojrzeli na spoconego grabarza i milczeli znówu. Wtém zatętniało na drodze: powóz się jakiś zatrzymał, otwarła się powoli furтка cmentarza, i postać czarno ubrana, osłoniąca całą, powoli weszła, rozpatrując się wkoło, nieśmiała, strwożona, smętna. Nikt jój nie poznał, a zdziwiony z razu Otto wstał, popatrzał i usiadł, zacinając usta i marszcząc czoło.

— Ha! rzekł z cicha: nie sama natura na cmentarzach gotowa słać łoże weselne—umieją to i ludzie. O mój Boże! to profanacya grobów!

Ale Jerzy tego nie słyszał: śledził oczyma nieznaną postać, która doszła wprost, powoli ku grobowi Loli, przy nim pokłękła i bukiet kwiatów rzuciła u stop sarkofagu, a nie widząc nikogo, modliła się długo.

Potém wstała, podeszła kilka kroków, podniosła głowę, jakby nie spodziewając się ujrzeć nikogo; rzuciła duszącą ją zasłonę, i krzyknęła spostrzegłszy Jerzego, który się naprzód wychylił.

Była to Aneta.

— Spotkanie romantyczne, rzekł Otto w duchu: zaczyna mnie to niecierpliwić. O komedyc żywota!

o aktorowie życia! Aż tu! mój Boże! gdzie się już skryjemy przed wami?

Jerzy nadto tyle zmiękczony widokiem grobu, że nie posądził Anety o wyrachowanie, że nie mógł jęć wyrzucić, iż tu przybyła. Przez myśl mu nie przeszła nie szczerość.

— Co za dziwne spotkanie! zawołał w duszy.

Aneta stanęła, stała jakby nie wiedząc co począć; otarła łzę niewylaną jeszcze, może ową zapiekłą wczorajszą, i czekać się zdawała powitania.

Czy ludzie i przy grobach muszą być grzeczni? Nie wiem. Otto nie przywitał, Jerzy nie śmiał. Aneta postąpiła kilka kroków.

— A! to pan!

— To pani!

— Wczorajsza nasza rozmowa, sama nie wiem jakie uczucie, wspomnienie biednej Loli, tak mnie przejęły, że tu przybiegła odwiedzić choć grób przyjaciółki niezapomnianej, rzucić nań kilka kwiatków i łzę cichą.

Kłamała—bo łzy w ogrodzie zerwać nie było można, a wypłakać jęć nie umiała.

— A! pani ją kochałaś? pani jęć nie zapomnisz? Przyjm odemnie z serca dzięki.

Jerzy zszedł już na pospolitego bardzo grzecznego człowieka, który kłaniał się i dziękował, i przypominał owych ichmościów niosących trumnę, co się przepraszali, następując sobie na pięty.

W twarzy jego więcej znać było zmieszania się niż czułości.

Aneta przybrała razem z suknią czarną twarz stosowną, żalobną, a była tak piękna, że gdybyś ją wtedy na jednym z tych grobowców postawił, cudnie majes-

tatyczną malowałaaby boleść. Lica nawet wypogodzone były ciszą, oko świeciło głębiną bezdenną, rezygnacya niebiańska zdawała się ją opramieniać. Al gdyby taka była w istocie, jaką się być zdawała!

Spojrzawszy na nią Jerzy, który okiem młodości widział tylko piękno, olśniony został tém zjawiskiem, jakby z grobów wyrosłém, wspaniałém, wielkiém, dojrziałém do życia, a dziewiczy wieniec noszącém jeszcze u czoła. Powoli na widok jój przejmowało go uczucie coraz dziwniejsze: nie kochał, ale przejęty był i oczarowany.

Otto patrzył na niego nie na nią, z twarzy mu czytał jak z księgi, i smutniał.

— Natural ludzie! wszystko jedno! życie opłatać musi groby! rzekł w sobie. To początek nowój miłości. Ten bluszcz uparty uczepi się ruiny i ozieleni ją sobą.

Jerzy w uwielbieniu dla Anety, sądził się być wiernym pamięci siostry, ale serce jego od grobu już poczynąło zwracać się do życia.

— Jakże tu cicho! spokojnie! miło! rzekła Aneta, zbliżając się powoli, i kładąc rączkę, odzianą obcisłą rękawiczką czarną, na żelaznej kracie, która ich dzieliła: co tu kwiatów! to ogród umarłych! Nie dziwię się panu Ottonowi, że tu, jak słyszałam, spędza długie godziny. Pierwszy raz jestem tu sama i czuję, że trudno mi się ztąd wyrwać. Zdaje mi się, że zdrowo być musi czasem wniknąć na cmentarz spytać śmierci o życie?

Otto milczał, schylony patrzył na grób swój drogi; Jerzy wdzięcznością popchnięty, wyszedł powoli z za żelaznej otoki i zbliżył się do Anety. Razem, milcząc, poszli do grobu Loli.

— Biedne dziecię! rzekła postać w czerni.

— Biedny aniół! dodał Jerzy. Lecz byłoż to serce tak gorące przeznaczone na długie lata? mogłoż ono wytrzymać z tém, co je otaczało? nie byłaż lepszą od tego, z czém ją los związał? od nas i od wszystkich?

— Nie od was, przerwała Aneta, nawet w obec grobu odważając się na pochlebstwo: wy jesteście także taką jak ona wyjątkową istotą! Dwie wasze dusze szczęśliwie na krótko się spotkały, ale tym pocałunkiem żyć może ona w niebie... ty na ziemi... dodała cicho.

— A jednak, tęskno mi, duszno i ciasno tu, zwłaszcza gdy na ten grób patrzę, odparł Jerzy ze łzą w oku. Nie umiem nosić godnie płaszcza żałoby: cięży mi na ramionach.

Anecie oczy błysły, zamilkła.

Przeszli powoli około grobowca, a Jerzy spostrzegł świeżą kwiatków wiązanę rzuconą na stopnie, i pochylił się ku niej. Połowa bukietu była oblana rosą, połowa zwalana pyłem, który na kamieniach osiadł; kwiatki napół przyciśnięte i zgniecione zdawały się skarżyć, choć razem ze świeższymi jeszcze zwiędnąć i uschnąć miały... Z wiązki tej Jerzy zerwał czarnego bratka i zatrzymał go w ręku.

Otto wciąż patrzył z daleka, a wargę jego zwieszała się coraz smutniej i czoło fałdowało groźnie. Jerzy powoli przeprowadził Anetę do furtki, pożegnał ją u powozu, i stojąc popatrzył jeszcze za odjeżdżającą, bo i ona parę razy piękną główkę ku niemu zwróciła.

Tuman pyłu żółtego unióśł się na gościńcu, rozbił w chmurę, wirował, uleciał i zakrył powóz i cmentarnego gościa.

Powoli z bratkiem w rękę Jerzy powrócił do Otto-
na, który siedział nie wstając z ławy, a gdy przyja-
ciel podszedł ku niemu, ruszył się o kiju wychodzić.

— Pokój umarłym! odezwał się Otto: bo dzisiejsze
odwiedziny, mój Jerzy, już zarywają na świętokradstwo
i szyderstwo... Te wzroki żywych palące, co się krzy-
żują nad próchniejącą trumną, to coś okropnego, to
urągowisko Niebu, wieczności, pokojowi, śmierci!

— Gdzieżeś je zobaczył? spytał Jerzy.

— Al! w oczach waszych!

— Moich?

— Jój tylko! ale z jój żrenie przeleje się prędko
ogień w piersi twoje... Jerzy...

— Przyjacielu! uśmiechnął się boleśnie młody chło-
piec, wskazując mu grób: patrz, a ona?

— Ona usypia w białym całunie i uśmiecha się
może zwodnicy, która przyszła umyślnie, by jój wy-
drzeć ostatek.

— Jak to? umyślnie! oburzył się Jerzy, cofając.

— Al! naiwny człowieczel rzekł Otto: myślisz,
że przypadkiem tak ślicznie czarno ubrana przyjeżdża
wesola i zgręczna dziewczyna na grób przyjaciółki, aby
powietrzem wiosny, zaprawném zgnilizną trupią ode-
tchnąć? Myślisz, że po to tu przyjechała, aby rzucić
te kwiaty?... O prostoto godna złotego wieku!

— Ottonie, więcej wierz sercu ludzkiemu.

— Al! wierzę w nie i szanuję, Jerzy mój! ale ży-
cie uczy wiele! Tyś młody i piękny, nie ma wąpli-
wości dla mnie, że ona kocha ciebie, że ma odwagę
nawet o grób się uderzyć i w pyle pokleknąć, byleby
ciebie zobaczyć, zbliżyć się do ciebie i śliczną ci błys-
nąć twarzą.

— Mylisz się! mylisz na Boga!

— O! nie myślę się, niestety! to jaśniejsze od południowego słońca! Ty jeden możesz tego nie widzieć.

Jerzy się zarumienił.

— A! zawołał: toby było grzechem strasznym!

— To jest tylko namiętnością, a namiętność to burza, mój Jerzy; niszczy ona, nie zasiewa, i przelatuje szybko.

— Więc przeleci?

— Zniszczywszy może.

— Mój Ottonie, odparł młody chłopak: czyś ty już zwątpił o mnie? czy masz mnie za niegodnego jęj pamięci?

— Ja cię kocham! ja cię braterskim uściskiem do mejj piersi przykułem! ale któż wie? Mnie samego gdyby taka czarodziejka dziewczyna, zimna a rozpłomieniona, rozkochana a chłodna, poczęła dawniej uściskiem od grobu odciągnąć, — nie wiem, nie wiem czybym wytrwał! Któż z nas tak silny, by się oparł łzom i westchnieniom?

— To ci się wszystko śni w gorącej wyobraźni.

— Nie! nie! mówię chłodno, mówię smutno, mówię prawdę. Patrzałem i patrzę na nią: ona cię kocha lub pragnie... nie wiem... ale jedno z dwojga! Ty wiesz francuzkie przysłowie, że „Bóg chce czego chce kobieta“... A! często ona chce tego, czego chcą szatany raczej, i rajskiego jabłka z pod węża głowy dostanie. Ale dość! nie mówmy o tém.

— Ja dziś, zaraz jadę do Horycy! odparł Jerzy.

— To najlepiej, rzekł Otto: przed falą przybywającego morza najlepiej uciekać; z tém się nie walczy... Aneta jest falą morza; fale ścigają daleko!

Zamilkli; ale Jerzy sam o sobie począł być nie-

spokojny. Coś dziwnego się w nim działo. Rzucił kwiatek na ziemię, podniósł go, wspomniawszy, że dotknął grobu Loli, i poszli powoli do Robowa.

I tego poranku więcej mowy między nimi nie było.

W Horycy oczekiwała na Jerzego niespokojnie panna Izabella i cały stary ich dwór, któremu jak zęba trzonowego, wedle wyrażenia Radwanowicza, brak było heroicznego Lacyny. Nieraz go tam sobie wieczorną porą, przy kominie, przypominali starzy przyjaciele; Jerzy jak winę nosił go na sumieniu.

Przybycie panicza ożywiło dwór, trochę posępny i pusty bez niego; nawet Paweł się ruszył i posunął ku niemu, aby mu w oczy zajrzeć i zobaczyć czy bardzo w nich smutno. Panna Moroszówna śledziła, wypatrywała, szukała w nim jakiegś spodziewanej zmiany. Wydał się jój teraz jakimś podrażnionym i nie sobą. Zwykle Jerzy był bardzo spokojny; życie może jednostajne takim go czyniło. Podróż go rozkołysała; w podróży myśli miał wiele, widział ludzi, wpatrzył się w nowe postaci, z nich ku niemu trysnęło życie nowe. Postać Aucty, uparta jak ona sama, snuła mu się nieustannie przed oczyma; ciągle ją tak widział jak raz ostatni zobaczył, u tego grobu klęczącą, pochyłą, osłoniłą.

Panna Moroszówna miała już ten zwyczaj matek, że gdy ich ukochany jednak powróci do domu, to go muszą wybadać do dna, rozpytać o każdy krok, spowiadać z każdej myśli, uprzytomnić sobie wszystkie

czynności. Zaraz więc przy wieczornój herbacie ka-
zała mu opowiadać o całej téj wyprawie... Jerzy był
posłuszny, choć zbywał lakonicznie ciekawość.

Nie obeszło się jednak bez wzmianki o Anecie,
o widzeniu z nią pierwszym i drugim i ostatniem.
To ostatnie Jerzy odmalował jój jak artysta; utworzył
z niego rodzajowy obrazek, smutny, prześliczny. Pannie
Izabelli aż łzy zakręciły się w oczach.

— To dobre jakieś dziewczę, rzekła. Mnie się
zdaje, że świat i ludzie wcale się na nią nie poznali.
Prawda, że matka śmieszna, ojciec nic nieznaczący
ale ta Aneta niepospolitą jest istotą.

— Mówią, że zbyt chłodna i rozumna.

— Mylą się może, odpowiedziała panna Moro-
szówna: najczęściej serce drażliwe maskuje się dowci-
pem i chłodem. Rozum niekoniecznie jest przeciwni-
kiem uczucia, boć to są dwa koła jednego wozu, téj
duszy, która siedzi na rydwanie o tylu złocistych ko-
łach... Lepiej może niż wy sądzę Anetę, bo jestem
kobietą; widywałam ją w różnych chwilach, zawsze
serdeczną i uczucia pełną, zawsze łagodną i miłą. To
co mi opowiadasz, jeszcze mię więcej przywiązuje do
niej. Mówże mi, proszę, o nią.

Jerzy mówił i dosyć wiele powiedział.

— Ale ty to tak opowiadasz zimno, a ja—uśmiech-
nęła się panna Moroszówna—mam ochotę posądzić ją
o miłość to ku tobie.

— A! i Otto mi tę myśl narzuca, ale to być nie
może!

— Czemuż? Mnie się to zdaje rzeczą naturalną,
prawie konieczną.

— Wie przecie, że jój kochać nie mogę.

— Ona wie tylko, że kocha ciebie, to dosyć, wes-

tchnęła panna Izabella. Pozwól Jerzy, bym ci całą myśl moją wypowiedziała szczerze. Tobie potrzeba nie kochanki, ale żony; dla ciebie trochę, dla mnie bardzo! Czyżby ci Anna nie przystała?

— Matko! ja się nie mogę ożenić: toby było splamieniem jój grobu i mojej przeszłości!

— Nie myśl o miłości, dziecko moje; myśl o pocziwem przymierzu z drugą istotą, którejbyś mógł troskę powierzyć i podzielić z nią życie. Jam nie wieczna! — dodała — a dom bez kobiety, wiekuiste sieroctwo zwłaszcza ku starości... a! to rzecz straszna mój Jerzy! Jam zeszła w tén życiu wdowiem i znam je. Naówczas wyciąga człowiek ręce i pragnie choćby złego, byle wiekuistego towarzysza, byle nie obojętnych obcych twarzy. Dziś, jutro, będziesz się musiał chludno ożenić dla siebie, dla mnie, dla tego, że ja cię o to na klęczkach błagać będę.

— A ja leżąc twarzą na ziemi będę się wyprasał, odparł Jerzy. Bóg sam chciał, bym nawet tych lekkich, serdecznych nie nosił więzów; nie czuję potrzeby serca, nie potrafiłbym stanąć u ołtarza bez zapалу, bez uniesienia, bez rozpromienienia...

— Ha! więc postarzęj jeszcze trochę! Przeżyłeś już dzień miłości, ale ci wieczór pozostał. Później dopiero poczujesz to, co ja ci dziś przepowiadam: zechcesz towarzysza, ale może takiego, jakimby Aneta była dla ciebie, nie znajdziesz. Ja czuję choć przybranęj matki sercem, że ona cię kocha; a miłość choćby niewzajemna, jest wielką dźwignią w życiu.

— Matko, rzekł Jerzy spuszczaając oczy: nie! proszę cię, nie namawiaj mnie na nowe życie, które może być lżejszem, ale może też stać się twardszem i cięższem od dzisiejszego. Czegoż mi brakuje? Mam

serce matki, pracę, spokój, siły, swobodę; a że nie mam pieczęci życia—czyż serce żalobne nie wzdręgnęłoby się na nie? czyż dotknięcie ust jej nie starłoby mi z nich niebiańskiego pocałunku tego dziecięcia? czyżby nie było męczarnią, przypomnieniem, zgryzotą? Jeśli się podobalo Bogu odjąć mi nadzieję, czyż nie powinienem przyjąć wyroku, posłuszny?

Matka nie nalegała już więcej.

— Wierz mi, rzekła tylko: chciałabym widzieć cię szczęśliwym; chciałabym, aby prócz nas dwojga, nowego coś odżywiło te stare mury tak pęcpne, na których nadzieja żadna nie rośnie. Może szczebiot płochy dziecięcia, może uśmiech młodej kobiety, związały nas z ludźmi i społecznością, od której losy oboje nas odcięły.

— Żyjmy pustelnikami, kiedyśmy na pustelnię skazani, odparł syn, całując ją w rękę. Mamy dzieci tych, którzy ojca i matki nie mają: tych nam będzie dosyć.

Marszałkowstwo hrabiego Rajmunda rozpoczęło się pod bardzo szczęśliwą wróżbą. Przez kilka tygodni po wielkim inauguracyjnym obiedzie, był to w świecie i powiecie najpopularniejszy człowiek. Starzy ludzie dziwili się niezmiernie, że mu tak łatwo przyszło pozyskać sobie serca obywatelskie, gdy cały wiek pracując, z żelazcem i drzewem tak źle sobie dawał rady.

Ale nie ma nic na świecie trwałego, i hrabia smutnie tego musiał doświadczyć.

Trafiło się, że szlachcicowi bratu odmówił na proś-

bę bardzo dziwną i niesłuszną; już tedy krzyknęli, acz z cicha, że arystokrata.

Przyszły potem drażliwe sprawy opiek i administracji. Było tam kilka sierocych majątków w rozporządzeniu opieki i kilku kandydatów urodzonych do administrowania sierocemi i odłużonemi majątkami. Ci zaraz upomnieli się o swoje. Święcie im się należały administracye: jednym dla tego, że przywykli byli żyć z tego chleba, drugim że innego nie mieli. Nie-szczęściem hrabia, i co gorsza, sekretarz jego, obaj byli ludzie uczciwi a nieobyci z formą, jaką się korzystanie z cudzego grosza najspokojniej w świecie odbywa; chcieli więc majątkami rozporządzić w sposób jak najkorzystniejszy dla sierot i biedaków. Ale zwyczaj odwieczny temu się sprzeciwiał. Snadź z czasów pogańskiego jeszcze komunizmu, dobra tego rodzaju uważają się jakby własność ogólna, jakby jakiś rodzaj starostw, z których ktoś chleb jeść i kieszenie łądować musi; oburzono się tedy niezmierznie, że hrabia chciał wydrzeć zarobek tym, którzy do niego tak słusznie mieli prawo.

Hrabiemu zdawało się w prostocie ducha, że jeśli kto, to bogaci i niezależni ludzie winni się podejmować administracyi; bo ci i więcej mają wolnego czasu, i mniej są na pokusy wystawieni, i mogą coś stracić, a nie nie potrzebują zyskiwać. Spotkał się tu z ugruntowanym przekonaniem, że sierocy majątek i dobra odłużone podpadające pod tak zwaną administracyę, są rzeczą do ciągnięcia zysków dla ludzi, co inaczej mieć ich nie mogą.

Czterej tedy groźni kandydaci stanęli przed marszałkiem, a że na niego wotowali *affirmative*, sądzili, że mają zupełne prawo domagać się nawet najnie-

słuszniejszej rzeczy. Dawszy mu ten dowód zaufania, zażądali, aby im oddał co od dawna dzierżyli, i z czego takie podawali rachunki, jak się im podobało.

Hrabia osłupiał, nie pojmował rzeczy; ale spotkawszy tak głębokie i silne przekonanie o swych prawach u tych panów, zachwiał się na chwilę, myśląc naiwnie, że jakoś niedobrze rzecz zrozumiał.

— Jakże, proszę marszałka, zawołał najstarszy: my ten sierocy majątek trzymamy już od lat sześciu!

— Ależ to mienie sieroce! Panowie nie podajecie opiece rachunków, lub przysyłacie takie, jakich ona przyjąć nie może; są summy popodnoszone...

— Co pan hrabia w to wchodzi? My mamy odpowiedzialność, a sieroty podpiszą nam zakwitowanie. Nie było już co rozumować.

Inni z równie ścisłą logiką dopominali się administracyi majątków, na których ciążył dług niewielki; lat dziesiątek, a mimo ich starań nie tylko nie ubywało, ale go jeszcze przyrastało; rachunki misterne pochłaniały wszystko. Hrabia nie mogąc pojąć téj manipulacyi cudzego grosza, choć sam nie tak bardzo był delikatny, gdy o niego chodziło, opierał się.

Upór ten dopełnił miary jego występków.

— A, to taki ptaszek! zawołali ci panowie chórem. My wotujemy na ciebie, abyś ty nas z domów wypędzał! Zobaczysz!

Administracye bowiem prawie za własne się uważają.

— Toś taki! wołał inny: a no! doczekamy wyborów, polecisz negatywami na łeb, a co ci nałajałem, tego ci nikt nie odejmie. Chce mu się być uczciwszym od nas wszystkich. Sumienie! piękne sumienie: ja mam sześcioro dzieci!

Ten, który chwalił się sześciorgiem dzieci, sądził naiwnie, że mu dla nich jak dla ptasząt w guiazdku, wszędzie pokarm zbierać było wolno, choćby w cudzej kieszeni.

Ostatni wprowadzić dzieci nie miał, ale był potomkiem zasłużonej w powiecie rodziny, a mienie znaczne przejadł, przepolował i przetraktował ze współobywatelstwem; należało mu tedy coś dać, choćby odjąć sierocie i wdowie. Tego marszałek zrozumieć nie chciał, i dorzynał się swoim uporem.

Groźny zastęp uformował się zaraz i powiększył tymi, którzy na pewny obiad w miasteczku nie byli proszeni przez omyłkę, i tymi, którym hrabia wizyt nie pooddawał, i innymi jeszcze, którzy go nie znali, ale kogoś nienawidzić i na coś krzyczeć musieli; bo są ludzie co hałasy lubią, a wszelkie zgorszenie mają sobie za przysmak. Zaraz tedy dały się słyszeć głosy, że marszałek nowy jest człowiekiem strasznym, że służy tylko dla nagrody, że obywateli chce gubić i z torbami wyprawiać, że zdradliwie chłopom sprzyja, że z Żydami akcyznikami ma złowrogie konszachty, dążące do zaprzędania całego powiatu w niewolę babilońską, i t. d., i t. d.

— To już rzecz dowiedziona, mówili ex-administratorowie: nie ma najmniejszej wątpliwości. Widziano go wieczorem około domu Goldmana; jeździł cztery razy, pilno, nie wiedzieć po co, do gubernialnego miasta.

Gdy raz podobne puszczone wieści, nie już ich powstrzymać nie było w stanie. Hrabia stał się podejrzanym najprzód o małe grzeszki powszednie miłości własnej, pychy, ambicji; potem o zdradę, podstęp, nienawiść współbraci, przedajność i wszelkie zbrodnie,

jakie tylko niechęć i głupota wymyślić mogą. Są u nas kamienie i błoto szczególnego rodzaju, któremi obrzucać zwykliśmy nienawistne nam postaci; jednych i tych samych używają na wszystkich. Gdyby z opinii publicznej, która dziś wieńczy bez zasługi, a jutro strąca w ochełbanie bez winy, przyszło wnosić o ogóle,—zważyłby każdy o jego przyszłości, tak strasliwym jest mistrzem w wynajdowaniu wszelkiego zła, często nie opierając swych sądów na niczem inném, prócz jakiegoś zazdrośnej chętki obalenia tego, co głową czy ręką wyżej tłumu sięgało. Szczęściem ta płochosć wyroków sama się obala, bo nie w świetle niestalszego nad nią.

Opinia jednak daleko częściej wywraca niż buduje, a na ruiny trudny ratunek.

Brak może u nas ludzi, ale nie taki, jakby się z tego zdawało. Wina ich, że ulegają hałasom i uciekają od walki.

Irabria, który był pewien, że od razu zyskawszy sobie taką przewagę, potrafi się, mimo trutniów, w sercach większości i opinii utrzymać, zdziwić się musiał niepomalu, widząc jak krucha była podstawa w sercach obywatelskich, na której się opierał, jak uściski i całusy nieprzeliczone, któremi pieczętowano wiekuiste z nim przymierze po kielichu, wcale do niczego nazajutrz nie obowiązywały.

Mamy to do siebie, niestety! że popularność u nas pozyskać może nawet gracz z professyi, który daje dobre obiady i ściska się ze wszystkimi, a czasem dla oka sygnie sowitą jałmużną; ale przytém tacy też ludzie jak Czacki nie wywiną się od potwarzy i prześladowania. Najczystsze poświęcenie nie pomoże, zaw-

sze ktoś czuwa na straży, żeby nogę podstawić i wyrócić.

Hrabia więc jak z razu miał wielką pociechę ze swojego urzędowania i marszałkowskiej godności, tak wkrótce potem napił się zółci i goryczy do sytu, opuszczony i odepchnięty od wszystkich. Nawet sędzia Mejszagolski *fidus Achates* po kryjomu, przyjaciel tylnemi drzwiami, publicznie trzymał się na uboczu i dobrze udawał, że się do niczego nie miesza. To rzecz także ciekawa, że gdy kogo u nas przypadkiem ostracyzm ten wygna i potępi, strach taki ogarnia rodzinę, przyjaciół, blizkich, że wszyscy zaraz pierzchają przed nim jak przed zapowietrzonym, bojąc się, by ich nie spotkał ten sam los. Cofają się, umywają ręce i powiadają sobie: „Winien czy nie winien, po co się mamy w to mieszać?”

— Nawet z przekonaniem o prawdzie, nikt przy niej obstać i za nią walczyć nie ma odwagi.

Dopóki tryumfował hrabia, ograniczał się tylko opisywaniem przed żoną odniesionych zwycięstw: jak na obiedzie danym dla niego dwanaście razy pito jego zdrowie, jak go noszono na rękach, jak „kochany hrabia“ musiał z kolei dwanaście mów do siebie wystosowanych wysłuchać pocąc się, a dwunastu mówców z obu stron twarzy całować i t. p. Żona biedna cierpliwie słuchała tego z uśmiechem obojętnym, często z cicho wyrażającym się podziwieniem, i choć nie zdawała się wielce tém uszczęśliwiać, mąż przed nią przechwalał się wszakże, bo takimi rzeczami potrzeba się koniecznie chlubić. Długo w głębi człowieka nie mogą one pozostać, i nie karmią go, jeśli ich drugim nie podaje.

Gdy teraz nagle zmieniły się losy, z razu mając to za coś przypadkowego i przechodzącego, hrabia jeszcze zwierzał się jęj z przeciwności swoich; ona słuchała smutniejsza trochę i milczała. Przyszły otwarte boje, i żona jedna została, z którą można było szeroko nad niemi się rozwieść i z serca uzalić.

— Mój mężu kochany, odczuwała się wysłuchawszy gniewów i narzekań na ludzką niewdzięczność: do czego ci to wszystko? Nie chcą cię zrozumieć, nie żądają posługi twojej? dla czego im się narzucać, swobodę swą poświęcać, a potem jeszcze cierpieć? Usuń się, powróć do ciszy domowej; na co ci to potrzebne!

— Są obowiązki obywatelskie, które raz w życiu spełnić potrzeba, odpowiedział hrabia.

— Ale jeśli ci, dla których się to czyni, odpychają i nie życzą sobie posługi?

— A jeśli my mamy przekonanie, że służyć możemy skutecznie?

— Zdaje mi się—odpowiedziała żona—że Bogu tylko tak służyć można, gwałtem i przemocą biorąc Królestwo Niebieskie; ale ludziom?

— Człowiek publiczny! przerwał hrabia, któremu się ustąpić nie chciało: człowiek publiczny! Pani słyszałaś, w Anglii co to się dzieje, jak łają, a jednak nikt nie ustępuje! Potrzeba mieć ducha publicznego!

I bałamucik się tak biedny, ale gryzł wewnętrznie.

Przyjaciele dawniejsi, którzy w obec wszystkich bardzo z nim byli zimno, pokątnie dawali mu dowody wierności tém tylko, że mu jak najsumienniej znosili wszystkie krążące o nim plotki, trując spokój często najniepotrzebniejszymi wymysłami.

W takim ucisku potrzeba choć jednego powiernika, przed którymby się można uzalić, poskarżyć, wy-

łać z tą żólcją, co się wewnątrznie gromadzi. Hrabia często wywnętrzał się przed Malczakiem nawet, który jak chińska lalka kiwał tylko głową i niewiele umiał odpowiedzieć ani poradzić; żonę jednak poczytywał za najdogodniejszą do zwierzeń. Czuł w niej serce, doznawał pociechy, gdy się oburzyła; trafiało się nawet, że uwagi jój znajdował słusznemi, gdy się z jego zdaniem zgadzały.

Tak nieszczęście coraz ich bardziej do siebie zbliżało; a choć hrabina tak była przygnębiona, pogrążona w smutku i zobojętniała, że trudno się jój było choć myślać zwrócić znowu do świata, czuła jednak, że obowiązkiem jój było choć myślać wrócić znowu do świata; czuła, że obowiązkiem jój było wyciągnąć rękę mężowi, który obecnie pierwszy raz cierpiał, a znieść męczarni nie umiał. Nigdy go jeszcze nie tak boleśnie nie dotknęło, inne razy nie drażniły jego miłości własnej, znosił je mężniej, pogardliwie, dumnie: te rozdarły mu serce upokorzeniem, jakiego się nie spodziewał, i bolał na nie srode. W tym stanie człowiek skłonny jest zbliżyć się nawet do ludzi najobojętniejszych, byle mu okazano czułość i politowanie. Hrabina stała się potrzebną, była dla niego jedyną, umiała osłodzić bole, których doznawał; a ciesząc go, rozrywała się sama.

Tak to dziwactwo hrabiego jeden miało dobry skutek, że zjednoczyło ściślej znowu rozerwane stadło; a co dziwniejsza, przekonało nareszcie hrabiego, że żona jego nie jest tak pospolitą, jak dotąd mniemał, kobietą. Wiele teraz rzeczy powiedzieli sobie wzajemnie, z których przez ciąg długiego czasu nie mogli się przed sobą wypowiedzieć. Malczak też spotrzegłszy ten zwrot, począł panię bardzo szanować, a spadszy

nieto ze stanowiska absolutnego faworyta, spokorniał. Hrabia bowiem codziennie mniej zajmował się mechaniką, mówił o niej jeszcze wiele przy nadarzonej zrzeczności, dawał się sadzać na tego konika, jeździł na nim z upodobaniem, ale już nic nowego nie robił, powtarzając, że dla niewdzięcznego kraju nie warto sobie łamać głowy.

W powiecie tymczasem agitacya przeciwko marszałkowi coraz goręcej się wzmagala. Byli tacy, którzy głośno utrzymywali, że potrzeba go zmusić, aby się podał do dymissyi, gdy obowiązku swego spełniać nie umie, a wywłaszczeni administratorowie mocno to popierali, dodając, że siłą go zmuszą, aby miejsce opuścił, i odgrządzając się w sposób dowodzący, że swą krzywdę kieszeniową sercem poczuli.

Hrabia byłby już może porzucił wszystko, ale na nieszczęście nie tak łatwo pozbyć się urzędu, jak go nabyć. Zniechęconego już trzymały formalności, musiał cierpieć, znosić wprost do niego wymierzone impertynencye, i spełniać to, do czego się zobowiązał. Honorowy urząd, na który miał szczęście być wybranym, wkładał na niego obowiązek dotrwania na stanowisku mimo upokorzenia i kłaniania się wszystkim, nawet tym, którzy mu w oczy łajali.

Nareszcie tak mu obrzydło to życie, że gdyby nie żona, gotów już był z kraju się wynosić, aby na to grono współziomków, co wiwaty tak gorąco na cześć jego przy wyborze spijali, nie patrzeć. W jednej z tych chwil ciężkich, w których zboleła dusza najwięcej potrzebowała pociechy, hrabina potrafiła nakoniec przemówić do niego słowem, które od dawna na sercu jej leżało.

— Mój Rajmundzie, rzekła do niego: życie nasze smutne, dom pusty... nie czujeszże ty potrzeby nigdy zastąpienia tego drogiego dziecięcia, któreśmy stracili, choć przybraném?

— Przybraném? rzekł hrabia. Nie! mamy krewnych, ktoś po nas majątek zabierze... a z tych, których znam, serca nie mam do nikogo.

— Co to za szkoda, żeś się tak przeciw Jurasiowi uprzedził!

— Al o tym mi nie wspominaj.

— Przepraszam cię: o nim to właśnie mówić chciałam. Wszak on nam najbliższy, syn brata, i doprawdy dobre dziecko, serdeczne, kochane; czemużbyśmy nie zbliżyli się do niego?

— Czemużby on nie zbliżył się do nas? poprawił hrabia.

— On... nie śmie.

— No, a ja nie mogę! odparł Rajmund.

— Alebyś go nie odepchnął?

— Nie lubię go, rzekł hrabia.

— Bo go nie znasz.

— Trudno, bym goił za nim dla poznania.

Na tém się skończyło, a hrabina potajemnie napisała list do p. Moroszówny, wzywając ją, aby ostrożnie namówiła Jurasia, żeby kiedy do nich przyjechał. Opisała ję swą rozmowę z hrabią i jego usposobienie; dodała, że bardzoby ję było miło, gdyby się mógł zbliżyć do stryja. P. Izabella pokazała list Jerzemu, który się nad nim zadumał.

— Pojadę—rzekł—zobaczę tamtą matkę, i miejsce gdzie Lolę poznałem: przypomnę krótkie chwile szczęścia, a będzie co Bóg da...

— A gdybyś się jeszcze dał naimówić i zbliżył tak samo do téj poczciwój Anety? dodała po cichu panna Izabella.

Jerzy nic na to nie odpowiedział. W sercu jego było bardzo tęskno, a obraz czarno ubranój, klęczącój u grobowca Anety, często go prześladował, ale się przyznać nie chciał do tego.

Nie bez bicia serca przyjęła hrabina przybywającego do Zarubiniec Jerzego. Spłakała się, głowę na jego ramieniu złożywszy; ucałowała go w czoło, i milcząca usiadła przy nim, trzymając rękę jego w dłoniach drżących. Dla niój Jerzy przynosił z sobą żywe wspomnienie córki; kochała w nim miłość jego dla swego dziecięcia.

— Jurasiu mój, rzekła: dobrześ zrobił żeś tu przybył. Bądźże łagodnym dla starego brata twojego ojca; pamiętaj, że on był ojcem Loli, która kochała cię i dla ciebie umarła. Ja pragnę, byś był naszym synem i starości osłodą. Może jest w tém trochę egoizmu, bo chciałabym mieć cię przy sobie, i choć mówić o niój z tobą. Daruj mi... uczyni coś dla mnie biednój.

Dziwnym trafem, który podobny był do obmyślanego kroku, hrabia po przybyciu Jerzego wszedł zaraz do żony—i on, co zwykle był bardzo śmiały ze wszystkimi, zdawał się być niepewien siebie i zmieszany. Przywitali się zimno, ale grzecznie. Hrabia pierwszy rękę do niego wyciągnął.

Rozmowę począć było trudno. Rajmund zawiązał ją w sposób wcale niespodziewany.

— No, cóż ty tam panie Jerzy (nigdy go wprzód po imieniu nie nazywał), zasiedziałeś się tam na Polesiu? To kąś zapadły.

— Ale spokojny, panie hrabio.

— Mówże mi: stryju! podszepnęła hrabina.

— Dla młodego to już nadto ciche. Zardzewiejesz tam do reszty, a i tak brakło ci ochoty do ludzi.

— To prawda, mój stryju...

Hrabia się jakoś nasrożył na to nazwanie, ale zaraz ochłonął.

— Czemuż też tu czasem do nas nie przyjedziesz? My tu także jak pustelnicy żyjemy.

— Bardzom wdzięczem stryjowi, ale mam obowiązki względem panny Moroszówny.

— Ale i jęj bylibyśmy radzi, bardzo radzi...

— Pamiętajże, Jurasiu, zawieźć jęj to zaproszenie, dodała hrabina.

— Żleś wpan zrobił, ja ci to zawsze powiem--przerwał Rajmund — żeś ojca opuścił. Dziś masz tylko nas... o tém niepotrzeba zapominać.

Cała ta rozmowa niewypowiedzianie rozradowała hrabinę. Wstała ożywiona i w rękę pocałowała męża, który widocznie wymógłszy na sobie to ustępstwo, szczęśliwy był i kontent z siebie, jakby chciał powiedzieć twarzą: „A widzieć, nie taki to ja jestem zły, jakieście sobie wyobrażali!“

— Spodziewam się—dodał — że u nas dni kilka zabawisz. Powiem, żeby ci Żółtowski polowanie przygotował.

Jerzy zbliżył się poruszony, i ujawszy rękę stryja żywo, ucałował ją ze łzami na oczach. Nie wiem co się tam stało staremu, który na chwilę wychodząc ze swęj sztywnęj oziębłości, pochwycił go za głowę, pocałował i co najprędzję uciekł za drzwi.

Hrabina płakała, tak była szczęśliwa.

— Stryjenko, rzekł Jerzy do nięj: tę dobrą życia

chwilę tobie winienem. Jakże ci za nią mam dziękować? Każdy moment zgody i miłości, to promyk z niebios zstępujący na ziemię; a choćby trwać to nie miało, dobrze z pomiędzy chmur choć błysk słońca zobaczyć.

— O! ono nam jeszcze może zaświecić nad zachodem, serce moje! rzekła hrabina. Ale cierpliwości i trochę pokory!

Jak się to stało, że tegoż samego dnia p. Jędrzejowa z córką, rzadko bardzo bywając w Zarubińcach, wybrała się właśnie je odwiedzić, nie wiemy wcale. Czy to mamy przypisać losowi, jednemu z tysiąca wypadków fatalnie jakoś często przychodzących, czy karczemce na trakcie, z której wiadomości o przejeźdźnych płynęły do dworu,—trudno wyrokować; dosyć że p. Jędrzejowa z Anetą po obiedzie przyjechały.

— A! o toż mamy i gości! odezwała się hrabina. Doprawdy, niezawsze ich lubię, ale dziś całkiem mi nie na rękę. Jerzy, zastąp mnie tam chwilę; wyjdź do salonu; ja się trochę ogarnę i idę za tobą.

Jerzy zbiegł żywo ze wschodów od pokoiów hrabiny, u której był naówczas, i wszedł do paradnego salonu na dole, gdzie damy przechadzając się, gospodyni oczekiwały.

Aneta wykrzyknęła na widok jego.

— A! pan tutaj! byćże to może! co za traf szczęśliwy, kiedyśmy się go wcale widzieć nie spodziewały!

Kto inny z tego wykrzyknika właśnie byłby się może domyślił, że rzecz była ukartowana; ale pocciwy Jerzy uwierzył święcie zadziwieniu. Serce jego już się było przywiązało do Anety, a nawet do samej mamy, która ścisłała go za ręce powtarzając:

— Proszę! co to za zdziwienie dla nas! pan tutaj!

— Przyjechałem na dni kilka do stryjostwa.

— A! jakżeś to pan dobrze zrobił! odezwała się Aneta; co za myśl śliczna!.. Przecież i my pochwycić musimy pana choć na chwilę! Nie odmówisz? I ja skorzystam.

Jerzy się uklonił w milczeniu.

— Aleś pan zmizerniał i opalił się! dodała Stasia; doprawdy zmizerniałeś! To Polesie, to smutny kraj! Ocerety, łozy, sosny, piaski... jak tam żyć można?

— Pani, jam już ten kraj pokochał.

— Niech mama nic nie mówi przeciwko niemu; ja znajduję, że okolica ta nawet ładna, trochę może smutna, ale doprawdy wiele ma wdzięku!

— A no! to się nie sprzecam: dwoje was przeciwko mnie jednéj. Jakże się ma matka?

— Dziękuję pani, zdrowa.

— Co pan porabiałeś?

— Najmniejszej w mojem życiu nie było zmiany. A państwo?

— Mąż mój od niejakiego czasu bardzo podupadł!

— Cóż to panu Jędrzejowi? spytał Jerzy.

— Posmutniał, schudł, niezdrowie jakieś... Szemere ma mu jakieś wody przepisać.

— Ale to samo przejdzie, moja mamol! odezwała się Aneta, bojąc się szczegółów zbytecznych o zdrowiu i medycynie.

Hrabina weszła na te słowa, a Jerzy naturalnie po pierwszych powitaniach został z Anetą.

Nie wiem jakie tam losy kierowały ich łodziami; ale to pewna, że Aneta zawsze miała jakieś ważne powody usunięcia się od matki i pozostania z Jerzym trochę na uboczu. I teraz tak się znowu złożyło, że

ciągle byli razem i ciągle z dala od starszych.

— A nie zatęskniłeś pan nawet do nas! Nie-wdzięczny! odezwała się do niego.

— Za ostatnie podziękować muszę; to znaczy, jeśli się nie mylę, że miałbym za co pani być wdzięcznym?

— Może! odparła cicho Aneta, rumieniąc się i po-glądając ku hrabinie. A ja? spytała ciszej jeszcze.

— Wierz mi pani, jestem z natury i bez żadnej zasługi szczerym, odpowiedział Jerzy. Często bardzo przychodziła mi pani na myśl, tak jakem ją widział ostatnim razem, z tym bukietem w ręku, w tej czarnej zasłonie i sukni; wiesz pani gdzie?

Aneta drgnęła całą, znowu cień umarłej stanął po-między nimi, ale go odepchnęła udając, że nie widzi.

— Dziękuję panu, jednakże nie zatęskniłeś tak bardzo, ażeby do nas przybyć umyślnie.

— Nie godzi się tak pieścić; ja znajduję, że sercu jak ciału wygodęk robić nie można, bo i serce do nich przywyka, i pragnie potem, i rozpieszcza się, a życie... życie jest twarde!

— Czyż całe?

— Są chwile promieniste, ale to chwile tylko, rzekł Jerzy. Hart potrzebny na lata, uczucia tyle tylko, by w chwilkach przelotnych umieć je ocenić.

— A! zawsze te smutki! zawsze groźby!

— Jam dużo doświadczył!

— I dużo przemarzył na czarno.

— Nie mówmy o tém.

— Nie mówmy...

— Pozwolisz pani, bym spytał o Maksa?

— Dawno go już nie widziałam! odezwała się obo-jętnie Aneta: nudzi mnie.

— Ale uwielbia panię.

— Uwielbienie często bywa nudne; nienawiść tylko nigdy.

— Jużciż pani jój nie wolisz?

— Jak od kogo.

— Przecięż Maks nie liczy się do tych, od których lepsza nienawiść.

— O! nie, wcale nie! uśmiechnęła się Aneta.

— Jest wyżej, niżej, czy osobno?

— Al i pan mnie tym Maksem nudzić zaczynasz, przerwała dziewczyna; a znudzona zaczęła obmawiać.

— Gdybyśmy spróbowali?

— Chcesz pan, to powiem, że pólkownikowój znalazł. Dostał się jój największy bałamut w świecie, zakochany na tydzień we trzech razem, a ona zawsze samotna, bo wietrznik ten lata. Możeby był artystą dobrym, ale niestworzony na męża.

— Zupełnie jak na artystę, rzekł śmiejąc się Jerzy. Otto, który się na tém zna doskonale, rusza ramionami na jego artystyczny talent.

— Może to być, bo teraz wiolonczellę porzucił. Kto kochać nie umie, możeż być artystą?

— O! masz pani słuszość.

— Miłość wszędzie potrzebna, nawet do wiolonczelli, niestety! westchnęła Aneta; a tak mało jój na świecie!

— Pani mogłabyś się na to uskarżać?

— Ja! nie! owszem, cieszę się, że jój jest niewiele, bom ją znała tylko nudną i śmieszną; ale tu chodzi o sztukę!

— Mnie się zdaje—rzekł zamyślony Jerzy—że miłości niemało jest na świecie, tylko się ukrywa.

Gwałtem w tych wyrazach szukając jakiegoś ukry-

tego znaczenia, Aneta spojrzała mu w oczy, ale z nich patrzyła tylko myśl jasna i szczerą.

— Dla czegożby się ukrywać miała? spytała.

— Bo ze skarbem każdy się tai; a ten tylko wywozi ją na targ, komu jój braknie.

— Może pan masz słuszość, odpowiedziała Anna; ale cóż my biedne na to poradzimy! Jak to poznać, gdzie co jest, to fałsz, a czego nie ma, to prawda.

— A! panie macie przeczucie.

— Nie, niezawsze, i ono zdradza.

— Ogromne przeczucie, jeśli to prawda, że miłość wasze życie stanowi!

— Nasze życie? smętnie spytała Aneta; składa się ono nie z samych miłości i miłości, ale z żalów i nienawiści także.

— A żal czyż to nie miłość? a nienawiść nie jest-że nią także, tylko przebraną i wzburzoną?

Aneta widząc go tak ożywionym, stała się śmielszą.

— Teraz ja powiem panu, mówmy o czém inném.

— Na rozkazy! O czémże? na przykład? o pogodzie?

— Nigdy pana jeszcze tak wesołym nie widziała.

— A! pan! westchnął młody człowiek: to niedługo ciepło jesienne; nie zazieleni ono drzewa.

— Przepraszam, ja się w duszy zieleń, widząc go tak wesołym. To mnie cieszy.

Wtém Jerzy nagle posmutniał, spuścił oczy, poczuł zgryzotę jakby grzech popełnił. A! tu, w Zarubińcach, nie godziło mu się może być tak wesołym, przy innej kobiecie!

Łza zakręciła mu się w oku.

Drugi raz już widmo stało między nimi

a chłodny powiew jego całuna dał się przykro uczuć na sercu Anety.

I rozmowa jak zerwany sznur pereł, roztoczyła się po ziarenku.

Aneta wyrzucała to sobie; nie udawało się jęć widocznie. Serce biło, oczy pały, usta drżały; pragnęła być kochaną; ale że trochę uczucia w ten chłodny marmur się zakradło, nie umiała niém rządzić: ono nią owładnąć zaczynało!

— A! zawołała w duchu: nie upadnę! muszę zwyciężyć! mieć go będę, musi mnie kochać, jest już iskierka w tój piersi! Jak ją rozdmuchać?

Gdy po parogodzinnych odwiedzinach siadali do powozu, a Aneta rzuciła się w głąb jego, prosząc matki, by do niej nie mówiła, bo czuje ból głowy; gdy z myślami i wspomnieniami przyszło do spowiedzi i walki: błysło jęć nagle rozpaczliwe postanowienie. Zerwała się.

— Tak! rzekła: to droga fałszywa, to obudza wspomnienia tylko! Trzeba być sobą, szyderską, otwartą, szaloną, rzucić mu się na szyję, opasać serce. Cóż mam do stracenia? wszak i tak mnie nie chce? Zwycięzę lub...

Tu zamilkła.

— No! to i ja przecię umrzeć potrafię! dodała. Lub... A! i szła musi mieć swoje rozkosze: będę szalała... Jeśli nie potrafię być szczęśliwą, kochaną, będę okrutną i straszną; zagłuszę w sobie żal, upoje serce. Wiele śmierć lub zwycięstwo, teraz lub nigdy.

Złękła się biedna matka rozognionęj jęć twarzy, błyszczących oczu i zmarszczonego czoła.

— Co to ci Aneto, życie moje?

— Ale nie, głowa mnie trochę boli, moja mamo! Co się to mamie wydaje?... Jerzego trzeba na obiad prosić!

— Bądźże tylko spokojna, moja Anetko... zrobimy co zechcesz; odpowiedziała p. Jędrzejowa, a w duchu dodała: „Co to za nieszczęście! zawsze i zawsze ten Jerzy!“

Jak się z obojętności przechodzi do zajęcia, do tęsknoty i niepokoju, a wreszcie do tego sztucznego uczucia, które często uparte a z ręczne niewiasty tak doskonale wyrobić umieją, że go ani odróżnić od prawdziwego—trudno zbadać i określić. Prawdziwa miłość rodzi się sobie jak kwiatek polny w trawie, jednego wiosennego poranku wystrzelając niespodzianie, a nikt nie wie kto go posiał lub wypielegnował, jak on tam wyrósł tak ślicznie bez ojca i matki. Ale obok są często miłości oranżeryjne i treibhauzowe, które powoli przesadzają się do wazonika, na które chuchają, podlewają, pieszczą je, osłaniają; i jak to potem bujno wyrasta, jakby wazonik był ojczyzną, a ogrodnik rodzonym ojcem tego kwiatka! Niech mi nikt nie mówi, że nie ma sztucznych miłości: są co się tak zaszadzają jak cybulki, umyślnie, tylko żeby z nimi było pięknie w salonie, a potem się je wyjmują lub wyrzuca za okno, gdy przekwitną.

Robi się je niebieskie podlewaniem jak hortensyje, dostaje białych i różowych wedle upodobania. Cała to sztuka zaprawdę!

Piękna kobieta, gdy sobie postanowi rozkochać ko-

goś, co wcale dla niej nie był przeznaczony, na krótko, na dłużej, jak zacznie go wzrokiem osnuwać, uśmiechem rozgrzewać, łzami podlewać, musi jęj zakwitnąć choćby na godzinę. Prawda, że w ogóle te sztuczne roślinki nie trwają, ale z czegożby się robiły bukiety balowe?

Otoż nie wiem wcale, nie umiem wam powiedzieć, jak ta biedna Lola drugi raz pogrzebiona została, jak jęj drugi raz serce kochanka odśpiewało „wieczne odpocznienie,“ i jak do tego przyszło nieznacznie i powoli, że w ganku u państwa Jędrzejowstwa, Jerzy ujął rękę Anety i przyłożył ją do ust gorących, a czoło dziewczyny przechyliło się, skłoniło, aż oparło się o głowę chłopca, i...

Biały duch Loli odleciał, tuląc dłonią oczy, na lepszy świat. Nie chciał już patrzeć co się na naszym dzieje.

W chwili, gdy szeptem cichym, zawstydzonym, Jerzy wyznawał jęj miłość swoją. Aneta milczała, a w sercu jęj brzmiało tysiącem ech odbite i powtórzone nie jego: „kocham“ tylko chłodne: „zwyciężyłam!“

Była-li to miłość?

Ja nie wiem. A jednak dłonie drżały, usta się paliły, wzrok omdlewał oczekiwaniem szczęścia, a ponad niemi zasłony złote rozpiniała nadzieja, oboje tuląc razem.

— Chodźmy do matki, odezwała się w końcu Aneta; powiedz jęj, a potem! jam twoją!

— Aneto! wstrzymał się chwilę Jerzy: gdy mam postawić krok stanowczy, pozwól mi powiedzieć ci jeszcze słowo... Nie pogardzaj mną, żem się stał niewiernym tańtej, kochając ciebie. Tam to była miłość braterska; ta...

I znowu ów trup chłodny stał między nimi. „Ale to już raz ostatni,“ pomyślała Aneta, której zaiskrzyły się gniwem oczy, i rękę podała w milczeniu Jerzemu.

— Ja nie sędzę, nie wyrzucam, nie pamietam, bo cię kocham! odpowiedziała, i dodała żywo: Idź do matki!

Nie wiem czy pani Jędrzejowa oczekiwała dnia tego oświadczyn uroczystych przyszłego zięcia; ale to pewna, że miała na sobie od rana szal pousowy i dubraną do niego postawę wspaniałą... Siedziała poważna, zamysłona, straszna prawie w swym majestacie macierzyńskim, gdy Jerzy poprosił jęj o posłuchanie, które mu natychmiast dać raczyła.

— Pani—rzekł—kocham pannę Annę...

— A! na miłość Boga! co mówisz!

— Najszczerzą prawdę, odpowiedział Jerzy, nieprzyjemnie dotknięty tym wykrzykiem.

— Ależ Anusia?...

Tu szczęściem zbliżyła się Aneta i podała mu rękę.

— Mamó kochana, daliśmy sobie słowo...

P. Jędrzejowa ruszyła trochę ramionami, jakoś to nie było według prawideł; ale nie pozostało jęj nic, tylko wstać, rozplakać się i pobłogosławić. Tak też uczyniła.

— Moja Anetko! droga moja Anetko! wyjąknęła zakrywając się chustką: o mój Boże!

— Teraz pójdziemy wszyscy do ojca, przerwała co żywiej Anusia; niech rodzice razem nas pobłogosławią.

P. Jędrzej był doprawdy chory, i od kilku miesięcy brał pigułki, siedział w pokoju, nawet o wąsach myśleć przestając, bo dumiał teraz o niechybnej śmierci. Znaleźli go więc wcale nieprzygotowanym do tego aktu, który się tu miał odbyć—w szlafmycy, w szlafro-

ku, skwaszonego, choć na uroczysty ten pochód spojrzawszy, zaraz przybrał godną postawę i otulił się malowniczo w swój chałat jedwabny, który kładł, gdy goście byli w domu, na wypadek, gdyby go kto, mimo pigulek, chciał odwiedzić.

P. Jędrzejowa płakała, za nią szedł Jerzy z Anetą pomieszany i zarumieniony.

-- Mężu kochany, odezwała się matka: oto pan hrabia Jerzy oświadcza się nam...

-- Oświadcza się! wykrzyknął zrywając szlafmycę poczciwy Jędrus, który o chorobie i przyzwyczajeniach zapomniawszy razem, dodał: Chwałaż Bogu! a! przecie!

Tu p. Jędrzejowa kaszlnęła głośno, aby ten niefortunny wykrzyknik nie doszedł uszu narzeczonego.

— Serce! więc się oświadczył! powtórzył Jędrus; o! chwałaż Bogu! Niechże was Bóg błogosławi, moje dzieci. A pozwólże się ucałować... (obrócił się do Jerzego, potem do Anny). Widzisz Audziu, ja ci zawsze mówiłem od początku, że on się taki oświadczy.

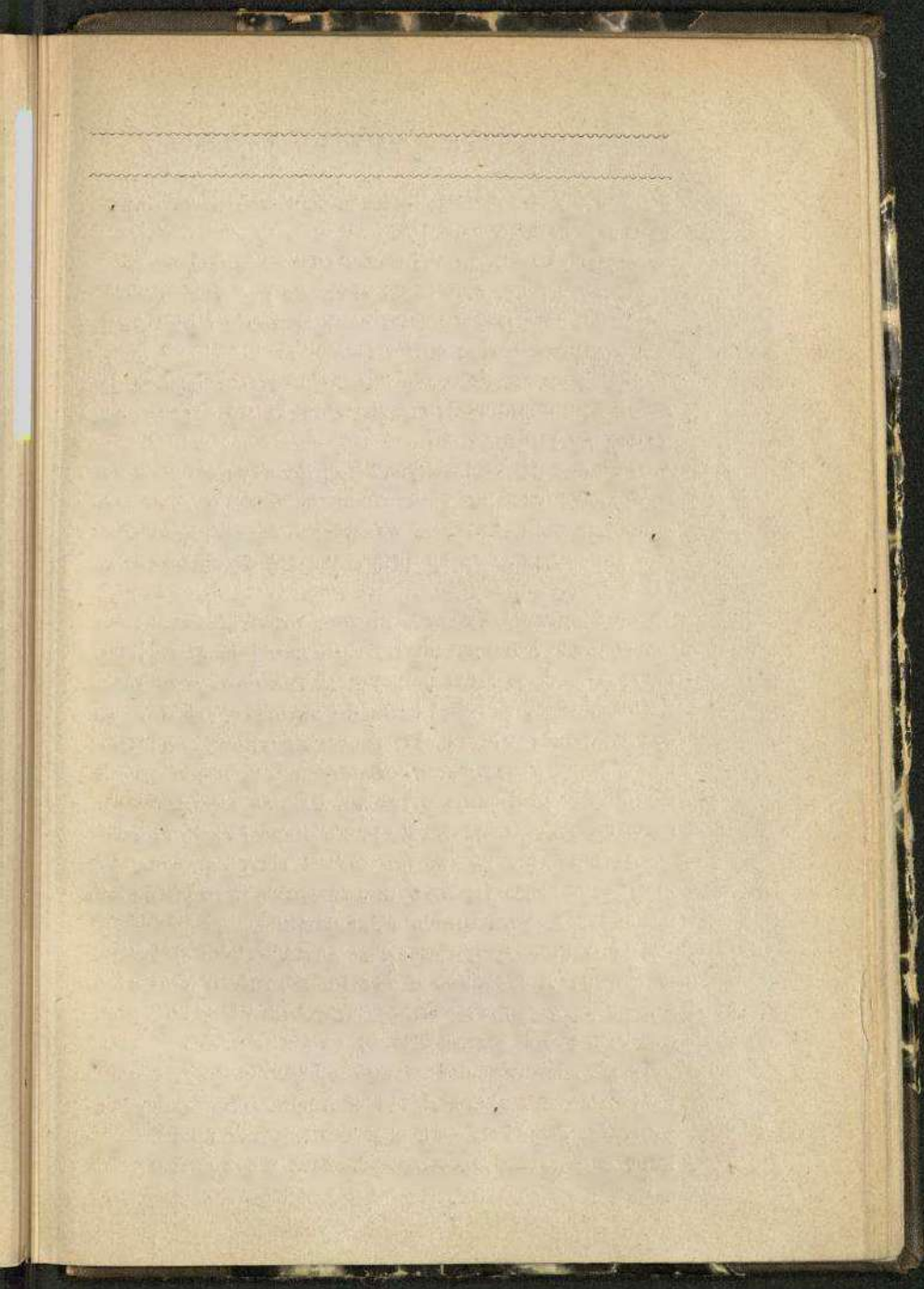
Tu już srogiego bąka obawiając się jejmość, która znając męża wszystko przypuszczać mogła, spojrzała nań marsowo i palec kładąc na ustach, musiała z cicha szepnąć choremu:

— P. Jędrzejul

P. Jędrzej zamilkł posłuszny, ale się rozplakał ogromnie, i począł, czując, że to bezpieczniejsze, ścisnąć i całować na wszystkie strony: żonę, córkę i przyszłego zięcia.

Dla patrzących z boku mogło to być śmiesznem; na Jerzym, który był wzruszony i przejęty, scena ta zrobiła tylko wrażenie łez poczciwych.

— No, cóż teraz będziemy robili? zapytał p. Jęd-



z niespokojném ożywieniem, a gdy weszli do pokoju, padł jęj do nóg.

— Matko—rzekł—chciałaś tego: błogosław!

P. Izabella z radosnym porwała się wykrzykiem.

— O, mój Boże! spełniły się życzenia moje! Aneta?

— Aneta będzie córką twoją!

Milcząc, zdawała się chwilę namyslać pauna Izabella; niedopłakana Iza jakaś zbiegła jęj z oczu, i zawołała po chwili:

— Błogosławie! błogosławie! Ty ożyjesz, dom ożyje! rozpoczęcie życie nowe po bożemu, nie ze starą biedną matką, która z wyschłego serca szczęścia ci dać nie mogła... Jerzy przywiąże się do domu: stworzy rodzinę...

— Mogłaś wątpić o mojem przywiązaniu?

— Nie! o sercu nigdy; ale—szepnęła nieśmiało—przyznaję ci się: patrząc, jak nieraz ciężyło ci to życie na uwięzi, przywykłem do swobody, lękałam się, byś mi gdzie nie uciekł znówu na stopy; myślałam, że ci się tu uprzykrzy, że dostaniesz tęsknoty, że cię doleci głos jakiś z równin dzikich i pociągnie za sobą... że za nim wyrwie się twoja dusza i ciało uniesie...

— Nie! nieraz wśród nocy i ciszy, prawda, coś mnie tam ciągnęło; alebym był płakał a nigdy od was nie poszedł, bom winien wam wiele.

— A dziś przywiąże cię Aneta silniej i trwalej nademnie! A mówmyż o weselu, mówmy o przyszłym szczęściu twojem. Rozkazuj, przygotowujmy się, krzątajmy, aby nie czekać długo!

Jerzy wszakże dość jakoś obojętnie chodził około tego szczęścia. Dopóki był z Anetą, ożywał się, uśmiechał, rozpromieniał; odjechawszy, nie umiał zatęsknić; znikala mu z oczu, wyslizgała się z serca.

Teraz w Horycy przeleciała mu jak błysk wątpliwość: czy nowe życie co tutaj przyniesie lub odejmie? czy z téj marzonej swobody niepotrzeba będzie znowu coś poświęcić kobiecie, która każdą jego godzinę niecierpliwie liczyć się już zdawała, jak własność swoją?

Wieczorem poszli z p. Izabellą do ks. Mizeryi, który już nie mógł wychodzić z plebanii, bo podupał na nogi. Siedział w swoim pokoiku na starym jak sam fotelu, z brewiarzem na kolanach, który już umiał na pamięć, a trzymał go tylko dla zwyczaju w rękach, bo na kartkach jego od ciemnych plam używania, listery nawet pogasły.

— A to goście! zawołał, widząc wchodzącą p. Izabellę i Jerzego; a to mi goście! Ho! ho! domyśliliście się starego odwiedzić! Siadajcież moje dzieci.

— Przyszedłam się z ojcem podzielić dobrą nowiną! odezwała się p. Izabella.

— No! no! aż dobrą! Cóż tam dobrego w życiu ludzkiem? same mizerye, moja dobrodziejko. Ale cóż to takiego?

— Jerzy mój się żeni.

Ksiądz oczy spuścił.

— Mizerye ludzkie! Aby dobrze, niechaj Pan Bóg błogostawi. A panna młoda? co? poczciwa? a rodzice? godni?

P. Moroszwówna zaczęła opowiadać, ale stary pleban spluwał i milczał.

— Mizerye ludzkie! rzekł potem. A no! chwała Bogu! Pan Bóg sam postanowił małżeństwo: to i dobrze. A kochają się? spytał.

Jerzy się uśmiechnął.

— E! nie śmieciecie się, odparł ksiądz Magnacki, grożąc palcem; bo to teraz są i tacy księża, nawet

i tacy mądrale, co mówią, że kochać się nie potém i wcale niepotrzeba... Ale ba! mizerya ludzka! chciałoby, żeby człowiek tak brał kogo mu dadzą, z zawiązanemi oczyma, i ciągnął dalej plug z kim się nadarzy... Ale to głupstwo, mój dobrodzieju!.. Miłość uczciwa jest jak smarowidło w wozie: juściż i bez niego jechać można, ale lżej z niém i nie skrzypi. Tak! tak! mizerye ludzkie, mruczał stary księżyna, poczynając mimowoli mrużyć oczy. No! no! błogosławię! Idźcie do domu, ja tu się już za was pomodłę; niech Bóg da jak najlepij.

We dworze i Paweł, i Radwanowicz, i Porciakiewicz cieszyli się tém niewymownie.

P. Eufrazy pierwszy wpadł z tą wieścią do *ex-professora*.

— Słuchaj waćpan, zawołał: wiwat! nasz panicz żeni się!

— Co mówisz? podchwycił, zrywając się Radwanowicz: jakto? z nieboszczką? i dodał zaraz: Tfu! jakiz ja głupi! Erazm Rotterdamus chwalił wprawdzie głupstwo, ale nie takiego rodzaju. Rotterdam, czerwona grobla: zkąd Hollendry, dukaty, złoto, Kalifornia...

— Rzućże te brednie!

— Ale z kimże?

— Z panną... waćpan jój nie znasz... z Anną Żelizańką.

— Ta! ta! nie znam? Ojciec z pozwoleniem taki kiep, że go w około na czterdzieści mil znają! Toż to ten, co chodzi w czepek, a co sobota różgą bierze od żony albo klęczy w kątku... Żeliga—Szeliga, ale panna...

— Żadna i bardzo rozumna...

— Niechby tylko przez pół, to dosyć, przerwał

Radwanowicz. Otoż i dytyramb im przyjdzie smażyć, bo bez tego się nie obejdą... „Niech Venus z Kupidem...” Począł deklamować...

— A wiesz wpan co? przerwał—że teraz Kupidyn wymawia się kopcidy, bo młodzież woli kucharza niż miłość! Ale dobrzeż to jest, że się panicz żeni? he? Gotów mi książki w bibliotece przewracać.

— A! samolubie przekłety! krzyknął Porciakiewicz: nie plótlbyś!

— Tak! dobrze ci to mówić: kto całe życie plótl, każesz mu raptem ustać... To nawet byłoby niezdrowo. Sam zważ!

Porciakiewicz się rozśmiał.

— Cieszysz się jednak, dodał.

— Nie! niech-no wprzód zobaczę, jak to szczęście będzie wyglądało, rzekł ex-professor. Szczęście bowiem, *sors, fortuna, gaudium*; ale widłami się pisze. *Gaudeamus! gaudeamus!* i tak dalej.

— Z tobą gadać nie można!

— Czemu? spytał Radwanowicz; jestem logiczny jak sama osobiście logika.

— Ale pleciesz...

— No! to czemuż gadać nie można?

— A no, widzisz!

— Nie widzę, odparł Radwanowicz: trzeba było dodać, że ze mną z sensem gadać nie można: tak, to co innego!

— Dziękuję za sprostowanie; ale cóż mówisz o ożenieniu.

— Mówię: zobaczmy! Jeśli ona w bibliotece nie ruszy, dobrze; jeśli ruszy, źle! *Foemina—Fe*, jaka *mina*! A im ładniejsza *mina*, tém gorsze *fe*... Mina, minogi, Minos i t. p.

Porciakiewicz począł ruszać ramionami.

— A pan Paweł co na to?

Siermięzki milczał.

— A! a! żeby to tamta! rzekł po zastanowieniu; żeby to tamta! Widziałem i tę. Tamta była czystym aniołkiem.

— Cóż kiedy mu nie sądzono, przerwał Radwanowicz, który nierad milczał; a jak Bóg nie sądzi, darmo roić: zkąd rój pszczoł i ul, symbol republikański, i Stany Zjednoczone, i Washington, i Lafayette, i Ludwik Filip, aż do naszych czasów.

— Ten zawsze swoje!

— Zawsze cudze! odparł Radwanowicz; owszem, zawsze cudze. Trzeba się iść nacieszyć biblioteką tymczasem, dodał: bo nuż ją każą układać! Kłaniam! i wyszedł.

Nie bez pewnej przyczyny załakł się o swoją bibliotekę Radwanowicz; gdyż cały dom zaraz zaczęto przystrajać, ubierać, przerabiać dla wielkiego owego gościa. Obstał wszakże ex-professor przy bibliotece, piersią ją swoją zasłaniając od nowych reform i mniemanego porządku, a nawet od ścierania pyłu, który częstokroć był mu użyteczną wskazówką, kędy ręce jego chodzić przywykły i myśl biegła jak myszka.

Paweł przeciwnie, ogromnie się krzątać zaczął, zapominając starości i braku sił; ale zadyszany i zakaszlany, musiał wkrótce ustąpić i wyrzec się czynnego w przyborach udziału. Nie mówimy już o p. Izabelli, która ochoczo i wesoło słała to gniazdko, sama nad niem mając czuwać, i wymyślała jak je uczynić większem i wygodniejszem dla ptaszek swoich, jak je ocienić i najmocniejszą pod nie wybrać drzewa gałązkę.

Jerzy może się tém najmniej zajmował. To, co się stało, dziwiło go samego: był jak człowiek, co po pijanemu przyrzekł, czemu sam prawie na trzeźwo nie wierzy. Wspomnienie Loli gryzło go; bał się zobaczyć z Ottonem; przeczuwał, że Marzycki choć mu nic może nie powie, spojrzy nań z gorzkim wyrzutem. Nie mylił się w tém. Otto, gdy go wieść o ożenieniu doszła, rzekł tylko:

— Ha! nie spodziewałem się tego! Biedny chłopak! Więc ja już za niego sam chodźć będę na cmentarz. Wiedziałem, że Aneta opętać go musi.

Martynko spojrzał mu w oczy ciekawie.

— Łapany mąż, nie dobra rzecz, dodał kiwając głową. I jemu niewesoło i jój niedobrze z tém być może; ale na to rady już nie ma.

Indi bardzo dobrze rokowali: boć, mówili, trzeba się raz przecię ożenić; lepszć partyi trudno było znaleźć nad Anetę, którćj wiek tylko może niestosowny, choć go na twarzy nie widać, bo rokiem lub dwoma od niego być musi starsza. Zresztą czegoż już żądać?

Zajechawszy do Horycy, Jerzy w coraz głębszy wpadał smutek. O małżeństwie ani mówił; gryzł się nićm, latał po lasach, i często p. Izabella znajdowała go tak w myślach zatopionego, niespokojnego, wybladłego, jak nigdy wprzód nie bywał. Pojmowała ona dobrze co go trapić mogło; ale nie śmiała zaczepiać kwestyi drażliwćj, którćj czarną stronę lada słowo obnażyć groziło. Jerzy tak się był dobrze tu na pustyni zapomniał, że do Anety długo bardzo nie pisał. Obiecawszy rychły powrót, zwłókl go na dni parę, bo mu to wszystko dziwnie ciążyło na sercu, i w jakis niesmak przykry obracała się ta miłość szalona.

Obawiał się Anety, siebie, uczucia tego; chwilami czuł jego poczwarność i występek: rozumiał, że to była namiętność nie uczucie, kiedy upojeniem tylko obudzić się i trwać mogło.

Wśród tego wahania nadszedł list Anety do p. Izabelli, smutny, niespokojny, pokorny, i Jerzy musiał pojechać do swojej bogdanki.

Już w drodze napadły go znówu te jakieś sercowe strachy i trwogi, a im bardziej zbliżał się do celu, tém silniej go coś od Anety odpychało. Znana karczemka na drodze, pamiętna śmiercią Lacyny, wstrzymała go na chwilę: chciał w niej odpocząć, zebrać myśli, rozchmurzyć się, nimby stanął przed narzeczoną z widomą żalobą i chłodem.

W karczemce jeszcze gospodarzyła piękna Zuzia, która przyjęła gościa z należytemi honorami. Sama własnym fartuszkim zmiotła mu ławę, pobiegła po wodę i stanęła na rozkazy, do pytań, które przeczuwała.

Ale Jerzy wsparty na stole, milczał.

— Biedny Lacyna! zawołał po chwili: jedna z tych ofiar daremnych, które namiętności po drodze druzgoczą, jak żubry gałęzie w lesie...

— To pan mówi o nieboszczyku, proszę pana? spytała szynkareczka—co to tu umarł? A! mój Boże! to prawda, co ten człowiek nam kłopotu narobił!

Jerzy podniósł nieco głowę. Zuzia chciała koniecznie zawiązać gawędę.

— Ale to taka niepojęta rzecz! Żeby pan był słyszał jak z wieczoru śpiewał, jaki był wesół, co *naszemu panu* wygadywał...

Jerzego uderzyło wyrażenie: *naszemu panu*. Nigdy wprzód nie słyszał, że Maks przepędził wieczór z La-

cyną; zerwał się z miejsca zdziwiony, ale zmiarkował zaraz, że mu nic po sobie okazywać nie należało.

— A! a! rzekł: jakże to było?

— A! to, proszę pana, było tak dziwnie, że nigdy w życiu, żebym sto lat żyła, tego nie zapomnę... zaczęła Zuzia, zbliżając się i wdzięcząc. Przyjechał sobie wyśpiewując, kazał podać samowar zaraz... baraszkował, śmiał się nawet... Choć ja tego nie lubię, zaczął obcesowo brać się do mnie, ażem mu klapsa dać musiała. Już się był trochę uspokoił, myślałam, że spać pójdzie, aż nadjeżdża nasz pan... Czy oni się gdzie dawniej znali czy nie znali, tego ja nie wiem. Otoż znowu z sobą zaczęli pić herbatę i gawędzili długo, a nieboszczyk ciągle z faszki dolewał, bo potem padł jak długi, cośmy go z panem oboje ledwie mogli na sen umieścić.

Nie chciał Jerzy rozpytywać więcej, ale w głębi duszy pomyślał: „Cóż tam Maks robił? dla czego się z tém tak bardzo przedemną tał? byłoby co w tém? miałby wiedzieć co się ze zgubionym listem stało?”

Zimny jakiś dreszcz przeszedł po nim.

Myśl, że Lela umarła nie doczekawszy się tego listu, że ją może objętność i niewiara zabiły, często zaglądała do jego serca; ale związku tych wypadków, które biedne dziecię dobiły, Jerzy pochwycić nie mógł... Coś jak czarny pas domysłów przesunęło mu się przez głowę i znikło.

— Co on tu robił? pytał siebie.

I mimowoli przyszło mu na myśl jeszcze, że Maks zawsze bardzo gorliwie popierał jego staranie o Anetę, że go ku niej popychał, że ostatnimi czasy najtroskliwszym był opiekunem ich miłości, co przykro było Jerzemu. Powiedział nawet Anecie, iż się dziwi,

że Maksa tak przyjacielsko przyjmuje i zdaje się tak potrzebować.

— To natręt, odpowiedziała Aneta zimno; a wiesz pan, że tych ludzi inaczej się pozbyć nie można, tylko trochę pozorną przyjaźni.

Nie wiedzieć czemu tysiące słów, myśli, rzeczy znanych i zapomnianych, razem z tą śnierzczą Lacynty zsunęły się w głąb serca Jerzemu. Zamiast wprost jechać do Jędrzejowstwa i narzeczonej, wytłómaczył sobie, że trochę było późno, i ruszył do Robowa do Ottona.

Z Marzyckim od dawna się już nie widzieli; czuł może potrzebę wytłómaczenia się przed nim, przewidyując, jeśli nie wyrzuty, to przynajmniej politowanie nad słabością.

Ale Otto przyjął go po staremu, otwartymi rękami, i wprowadził do swojej chaty, ściskając w milczeniu... Milczenie to wymowniejsze było nad wszystko.

Jerzy objął go ramiony młodemi, siłą gorączkową, ale na licu łzę uronioną zostawił.

— Ottonie—rzekł—nie wyrzucaj mi nic: daruj, przebac, zapomnij...

— Wszak ci nie rzekłem słowa, odpowiedział Marzycki. Co jest, powiadam z Heglem: *ist vernünftig*. Tyś temu nie winien. Mówmy o czém inném.

Ale o czémś inném mówić było niepodobna.

— Wiesz—dodał Jerzy, po krótkich rozerwanych kilku wstępnych frazach, szukając tłómaczenia swęj niewierności, — wszyscy moi naglili mnie, matka, hrabina, stryj nawet; chcieli, bym się żenił koniecznie... Wolałem już wybrać tę, która mi trochę serca okazała.

— A ty! no! szczerze! kochaszże ją?

— Ja? nie wiem: przywiązuję się...

— Szacujesz?

Jerzy spuścił głowę.

— Do szacunku lat potrzeba długich.

— Co ci mówi serce?

— A! przyjacielu, serce się tylko niepokoi!

Otto przeszedł się parę razy po izdebce zadumany, i nic już nie powiedział.

— Maszże dosyć siły—odezwał się po długim przestanku, aby opanować przyszłość? Często ona od kilku chwil pierwszych zależy! Jak wystrzał, który im dalej idzie, tém chybiony dalej od celu odchodzi; tak życie, jeśli w pierwszej chwili na włos wynijdzie z drogi, dalej już Bóg wie gdzie się zatoczy. Energii ci nie brak, uczucie tobą nie miota; któż wie? proza życia może być znośną! Ha, a Bóg da resztę!

Jak dziwnie jakoś Jerzy nie śpieszył się do téj, ku której powinien był lecieć na skrzydłach, widać było i z tego, że wstąpił do Zarubiniec, że tam pół dnia przesiedział, a po drodze jeszcze wysiadł nawet u Maksa.

Maks jakimś dziwnym przypadkiem był w domu, gdyż terazniejsze jego życie ciągle go za próg wypychało. Tym razem prządl u nóg swojej Omfalii nudę, którą szerokiém zdradzał ziewaniem. Rad też był niezmiernie staremu znajomemu.

— A! bardzo mi miło, że cię zastałem, zawołał Jerzy; myślałem, żeś i dziś u Jędrzejowstwa.

— Nie, odparł Maks jakoś kwaśno: nie! kilka dni już u nich nie byłem... Nudzą mnie, prawdę powiedziawszy; ta twoja pani tak tylko o tobie mówi i myśli, że mnie już niecierpliwi... Ot i to za grzech mi pewnie poczytają, że cię tu chwilkę zatrzymałem...

— Nie pojedziesz ze mną? spytał Jerzy.

— Ot, nie: żona chora, jakoś nie jestem usposobiony do towarzystwa... zostanę w domu.

Maks widocznie był w złym humorze. Coś tam między sąsiadami zajść musiało; lecz kto mieszka o granicę, często i woły w szkodzie zabrane, i ekonomowie, którzy się z sobą o lisią skórę pokłóca, panów poróżnić mogą; nie więc nie było dziwnego.

Nie wiem czy przez odbicie, czy z innych powodów, Maks i dla Jerzego bardzo się okazał chłodnym.

Jerzy więc tym razem zwracał nań uwagi niż kiedy; nie uszło jego baczności, że w pokoju znalazł parę bilecików Anety, i parę pamiątek, które wprzód widział w jej rękach, dziś przeszłych do Maksa.

To wszystko dziwnie mu się w głowie plątało z Lacyną, ze śmiercią posłańca, ze zgubą listu, i napawało go jakąś dziwną goryczą i gniewem razem.

— Wszak ty ostatniego wieczoru widziałeś, słyszę, tego biednego Lacynę? spytał Jerzy Maksa w końcu rozmowy. Powiedźże mi, jak ci się wydał? Ten człowiek, to wieczna moja zgryzota.

Na te słowa wyrzeczone bardzo spokojnie, Maks otworzył oczy, usta, zbladł straszliwie, zmieszał się widocznie i żywo mówić zaczął:

— Ja? w wieczór? kogo? Lacynę? tego, co się obwiesił? Ale ja go nie widziałem! Prawdziwie nie nie wiem; nie rozumiem co chcesz mówić.

Jerzy zamilkł.

— Taką rzeczą to musi być bajka, ale mi tak mówiono.

— Ale któż taką baśń mógł upleść?

— Zwyczajnie plotki! Ktoś, nie wiem już gdzie mi to powiadał, odparł obojętnie Jerzy, biorąc za czapkę do odjazdu. Nie pamiętam od kogo słyszałem.

Nie chciał kobiety narazić, ale przelotne spojrzenie na twarz Maksa przekonało go, że to nie była plotka, a w sercu obudził się żywszy jeszcze niepokój.

Od wczoraj wiadano już u państwa Jędrzejewstwa, że Jerzy jest w okolicy, i Aneta darować mu nie mogła, iż wprost do nich nie pośpieszył. Gniewała się, zżymała, a ojciec i matka musieli ją uspakajać i pocieszać, obiecując dać mu zaraz uczucie nieprzyzwyczajoności takiego postępowania.

— O! bardzo tylko proszę! ani słowa! zawołała Aneta żywo. Mnie to potrzeba zostawić: ani słowa! ani znaku! To jeden z tych ludzi, z którymi nie się nie robi siłą, a więc papa będzie łaskaw wcale mu nie dać poznawać.

— Rozumie się, że kiedy chcesz, to mu się nie da nic poznać! Anetka ma rozum i wie co robić! ho! ho! rzekł Jędrus, który już palec trzymał na ustach.

Matka ruszyła ramionami.

Biedny ojciec od oświadczyń Jerzego tyle miał do czynienia, że mu żona chorować nie pozwoliła. Pigułki zaczęte, odłożono na później i zapowiedziano, ażeby starał się być zdrow. A choć się skarżył i mizernie wyglądał, musiał nieboraczysko ubrać się, służyć, i nocami tylko mógł trochę postękać swo bodniej, jeśli konieczną uczuł potrzebę.

— Kochanie moje, skarżył się po cichutku przed jejmością: ty bo nie wiesz, że ja taki doprawdy jestem chory.

— El to imaginacyał mówiła Stasia.

— Ale kochanie, ja czuję; boli mnie... jak ciebie kocham.

— Cicho! cicho, p. Jędrzeju! mówię ci, że nie ma czasu chorować.

— No! jak tak, to co innego, jeśli czasu nie ma, odparł powolny Jędrus; ale doprawdy mnie boli.

— No! jak boli, to cóż z tego? spytała despotyczna Stasia. Mnie także boli głowa, bok, serce, a nic nie mówię.

— A! to bardzo źle robisz!

— Widzisz sam, że nie mamy czasu! A wyprawa Anety, a to wszystko, któż się tém zajmie?

— Tak! to prawda! kto się tém zajmie? Ale pigułek! któż pigułkami się zajmie, które Szemere przepisał?

— Poczekają.

— A no! niech czekają... a jak mnie się co zrobi? dodał Jędrus.

— Cóż ci się zrobić może?

— To prawda, że znowu cóż mi się gorszego zrobić może?

— I będziesz zdrow! rzekła gładząc go pod brodę Stasia, i dając mu rączkę, którą gorąco ucałować pośpieszył.

— No! to jak sobie chce, wykrzyknął z zapalem; aby wam było dobrze, już ja o nic nie dbam.

I machnął ręką desperacko.

Przyjazd Jerzego rozpędził narady, skargi i ubolewania. Aneta sama wybiegła na ganek, zadysponowawszy rodzicom, aby nie wychodzili.

— A! niedobry, niegrzeczny Jerzy! odezwała się, wyciągając ku niemu śliczne swe białe rączki. Ja oczy wypatrzyłam po tobie!

Jerzy cały był zaczerwieniony i jakby wylekły.

— A! daruj mi.

— Ale wszystko już darowane i zapomniane—zawołała Aneta—jak skoro ty tu jesteś. Nie mamy o czém mówić. Dobrze, żeś przybył; już cię nie puszczę od siebie!

Choć przybył w usposobieniu chłodu i niewiary, ale czarodziejka jedném spojrzeniem, głosem, ruchem, znówu rozbudziła w nim to dziwne uczucie, które uchodziło za miłość, które może prostą tylko było żądzą.

Powoli zimno serca, obawy, trwogi topnieć, rozpraszać się i niknąć zaczęły. Jerzy poczuł na nowo spadające nań więzy, i zrozumiał, że jest niewolnikiem. Jakaś magnetyczną władzą ciągnęła go ku sobie; choćby się chciał był oprzeć, nie umiał, i gniewało go to, upokarzało w duszy, że tak się czuł słabym.

Aneta wiedziała o swój sile i potrzebie trzymania na uwiezi Jerzego; nieustannie też chciała go mieć przy sobie. Rodzice wcale jój postępowaniem nie kierowali; robiła co chciała, nic jój nie krępowało.

— Chodź, rzekła mu, ujawszy go w ganku za rękę: chodź. Nie lubię oczu ludzkich, gdyśmy z sobą; to mnie odrywa i odrywa ciebie: bądźmy sami. Tyś smutny?

Jerzy zdobył się na uśmiech i rzekł:

— Tak długo sam byłem.

— A któż ci winien? a jaż? Ja, przyznaje się, nie byłam smutna, dodała Aneta: byłam gniewna. Godziny życia policzone, ani sekundy więcej nie przedłuży go szczęście, nie skróci cierpienie; każdej chwili szkoda i żal, a my je zdala od siebie marnujemy! O! niewdzięczny!

I śmiała mu się ze łzami w oczach, i zwieszała na ramię białem czołem, a włosy jęj długie, jedwabne, paliły znów twarz młodzieńca, i żar w nim rozdmuchany pałał jak wówczas, gdy się jęj przyznał, że ją kocha.

Pokoik Anety był prawdziwem caceczkiem jak ona. Możeby po nim poznał wielki badacz serc ludzkich, że ta, co tak miała czas wymuskać swe gniazdko, kochała tylko to, co w niem mieszka; ale jakże to tam było wdzięcznie! Najprzód u okna od ogrodu klicmatysy i wino dzikie festonami malowniczymi opłatały dwa niskie okienka, a żelazne nożyce tym biednym włóczegom co się tak pięć lubią swawolnie, kazały się pilnować, by na szyby nie weszły, by nadto słońca nie kradły. Z tęg strony jeszcze cały gaj kwiatów opasywał oba okna, a takich rozkwitłych, świeżych, przecudnych, a tak poukładanych wdzięcznie!

Był to rodzaj saloniku, w którym mieściło się i pianino Erarda misternie rzeźbione, i stolik do pisanja pełny cacek dowodzących, że na to tam leżało tyle rzeczy pisarskich, aby ich nie używano, bo wszystko świeciło świeże i nietknięte! W pośrodku biura stał zegar marmurowy z bronzową postacią, która jedną ręką wskazywała godzinę, a drugą trzymała na ustach, jakby mówiła: „Cicho! bo czas uchodzi!”

Dalęj kozetki, kanapki, foteliki, stoliczki, półeczki, cacka zabierały wszystkie kątki, i ledwie dość było miejsca do przejścia wśród tych bawidełek błyszczących. Ściany całe przykrywały śliczne sztychy angielskie i kilka pejzażów nowszej szkoły niemieckiej. W kątku, zdobył z włoskiej podróży: na kolumnie z marmuru śmiał się młody Faun, tym uśmiechem

wesołości wpół dziecinnéj, pół zwierzęcej, którą znacie wszyscy, bo tych Faunów i Satyrów tylu po świecie się rozbiegło z ruin Rzymu i Pompei.

Dla czego w pokoiku Anety, w którym nie było nic prawie dziewiczego i świętego, który wyglądał raczej na pokój eleganta niż panienki, zamiast oblicza Matki Bożkiéj Izawego, co by przypominało boleści życia, postawiono owego Fauna przepasanego bluszczem i uśmiechniętego do życia? Któż wie!

Faunik ładny był jak Aneta, poganin jak ona, śliczny jak ona... jak ona marmurowy.

W tym zacisznym kątku, przez którego osłonięte okno oko biegło na ogród i padało na dalekie stawu zwierciadło, z po za firanek i draperyj, maluczko przyściemnione, wkradało się światło. Panował w nim mrok szary, pełny tajemnic i marzeń, rozlewając dumanie jakieś rozkoszne i straszne razem.

Na Jerzym nawet salonik Anety czynił wrażenie rozkoszne aż do zawstydzenia; zdawał mu się zbyt umiejętnie, zbyt artystycznie przystrojonym, jak na trwałego spokojnego uczucia mieszkanie. Było w nim coś zimnego jak śmierć, po za nim żadnej nadziei—to wszystko już. Przypominał mu się mimowolnie dziewczę pokoik Loli, kilka książek, wianuszek, gromnica, dwa wazoniki, i białe, ciche, zakonnie zasłane łóżeczko.

Tu wszystko aż do rzuconéj po posadzce maty hiszpańskiéj, która ścieżkę chodzącym wyznaczała, było straszliwie wyrachowane, chłodne, ustawione i obliczone dla oka raczej niż serca.

Zapach nawet, zawsze jeden jakichś niby nieziemskich kwiatów, sztuczny, ostry, upajający, powiększał wrażenie, jakie ten kątek czynić musiał.

Aneta otworzyła drzwi całe z mahoniów, z kryształową rączką, weszła i wciągnęła za sobą Jerzego, a zamknawszy na klucz, rzuciła mu się na szyję.

— A! tyś mój! mam cię ptaku mój złoty! Chodź tu i usiądź przy mnie.

I obejmując go znowu, z ramion białych spuściła czarną zasłonę, kibicią giętką pochyliła się na piersi Jerzemu, i padła na kanapkę, zmuszając go, by usiadł przy niej.

Milczeli... białą ręką odgarnęła mu włosy po czołe rozpierschłę, przytuliła się do niego, złożyła mu głowę na ramieniu, zamknęła oczy.

— Cicho!—zawołała—cicho! milczmy! odpoczywajmy! Jerzy, słowa zdradzają uczucie, bo go nie wypowiedzą. Możnaż co powiedzieć, gdy się tyle czuje? Daj mi rękę, mów mi drżeniem dłoni... O! już cię od siebie nie puszczę!

Ale po chwili tego spoczynku, który dla niej był może pokojem, a jego żarem i płomieniami oblewał, zerwała się, odsunęła, usiadła dalej i patrzyła na niego długo.

— Spojrz mi w oczy! zawołała: niech ci wycytam coś myślał, gdy mnie tam nie było. Myślałżeś o mnie? nie stałeś mi się niewiernym? tęskniłeś ty do mnie? Śniłeś o mnie? Oczy, mówcie mi prawdę.

— Cóż ci oczy powiedziały?

— O! wiele rzeczy, tajemnic pełnych, które tylko moim wiedzieć wolno, ale im przez usta nie przechodzić, bo są jak promyk, którego schwycić nie można... Jakże zagasłe twe oczy! jakże smutne! kiedy być powinny jasne i zwyciężkie! Jerzy! Jerzy! powiedz mi, powiedz raz jeszcze: kochasz ty mnie?

— Aneto! ja nigdy nie kłamałem.

— Ale jak ty mnie kochasz?

— Jak?

— Powiedzi jak? Ale nie! nie mów lepiej; któż wie, jabym może nie tak być chciała kochaną!

— Owszem—przerwał Jerzy—mogę ci to powiedzieć. Kocham cię właśnie tak, że sam nie powiem gdzie ta miłość mieszka: w mojej piersi czy w mój głowie? czy w całym mnie, aż do ostatniej krwi kropelki? Dotknięcie jednego włoska twego warkocza, porusza we mnie całą krew, wszystkie fibry, burzy mi mózg i myśli. Ja cię kocham nawałnicą i piorunem, kocham cię ogniem i płomieniem, i zdaje mi się, że w uścisku...

Anecie oczy jaśniały.

— Mów—rzekła—mów.

— Nie mogę.

— Ja chciałem ja każę! krzyknęła jak zepsute dziecko słysząc ją chcę...

— Więc słuchaj: w tej miłości jest coś drapieżnych zwierzęcia instynktów, jest namiętność, co zabić może uściskiem...

— Ja taką tylko pojmuję miłość! wstając i obejmując go zawołała Aneta: tak! śmiertelną, szaloną, pijaną, zabójczą! Miłość czarnego Otella, nie mlekiem i miodem wykarmionego Gessnera. Fel! tak niech dzieci kochają.

— Ale długoż potrwa ta burza?

— Musi! rzekła Aneta. Patrz mi w oczy: ja ci z siebie leję strumieniem wzroku tę namiętność, ten szal; ja jestem ta Circe, co się zmienia w zwierzę drapieżne. Patrz mi w oczy jeszcze! Gdy zechcę, wleję płomień w ciebie; kiedy zapragnę, ostudzę; lecz w twoich oczach czerpię siłę moich czarów! Tyś iskra, co

mnie zapala; ja ogień, z którego płomień się żarzy. A! oszaleję! oszaleję!... zawołała, zaczynając śmiać się nagle, i jak bezsilna padając na kanapkę, a głowę przechyliła na poręcz, i piękne jęj ramiona białe poruszały się zmordowanym oddechem, który o nie bil jak morze falą o brzegi.

Jerzy także zapomniał się, oszalał. Jęj uściski, jęj słowa, ta atmosfera miękkiej rozkoszy otaczająca go upojeniem, złamały do reszty człowieka, który przed chwilą smutny był i chłodny. Pierwszy raz usta jego zbliżyły się do ust jęj różowych, szukając ochłody, i spotkały się nie w owym pocałunku czystym, któremu niegdyś śmieli się aniołowie, ale palącym i ognistym, strasznym jak śmierć, bezmyślnym, nieprzytomnym.

Aneta odepchnęła go powoli, jakby z obłędu przechodząc do siebie, już inną jakąś się stała... ostyglejszą. Oczy jęj błdziły jakby wrócone z innego świata na dawny. W milczeniu podniosła głowę i opuszczała ją z westchnieniem.

— Moim jest!—rzekła w duszy—teraz go żadna siła nie oderwie odemnie. Pił z tęg czary, piliśmy oboje, i powróci do nięg choćby nas dzieliło piekło.

Spojrzała na niego. Jerzy stał rozmarzony i drżący, dziki prawie, a oczy mu błyskały jakimś wyrazem srogim i niepohamowanym.

— Anno! Anno! twoim jestem—rzekł, ściskając ją za rękę tak silnie, że aż krzyknąć musiała—odepchnięj mię, bo oszaleję!

Niby przełęknięta, Aneta z lekka go odtrąciła od siebie, ale dłoń jego przycisnęła do serca, które biło żywo, drugą powiodła po czole, jakby resztę snu ścierając z niego.

— Idź—rzekła—idź!... Wieczorem, później przyj-

dziesz do mnie. Siądziemy dumać razem. Szkoda i chwili. Ja mam wiele, ja ci chcę duszę moją wypowiedzieć.

I wstała żywo, wiodąc go z sobą do pokojów.

Jerzy poszedł jak skrepowany jeniec, rozboleły, nieprzytomny, tak, że gdy weszli do salonu, w którym na nich matka i ojciec czekali, poznano po twarzy młodego człowieka, co się w nim dziać musiało. Aneta już tak była spokojna, tak wesoła, tak pani siebie, jakby tylko co wstała od modlitwy.

I znowu byli sami, bo ojciec i matka usunęli się do kątki i szeptali z sobą, a Jędrus chory czekał cierpliwie, żeby noc nadeszła i stękać mu było wolno, bo teraz uśmiechał się z urzędu, choć cierpiał tajemnie.

W ślad za Jerzym prawie, robiąc mu niespodziankę, nadjechała panna Izabella Moroszówna. Zdało jej się, że powinna była odwiedzić rodziców narzeczonej syna, i nie mu nie mówiąc o tém, przygotowała kosztowny ubiór brylantowy, który sama chciała włożyć na białą szyję Anety, drobne rączki i marmurowe skronie. Przybycie jej poruszyło wszystkich, Jędrusia chorego, Stasię i Anetę, która natychmiast przybrała fiziognomię, w jakiej się była zwykła przedstawiać p. Izabelli, — cichęj i łagodnej dziewczycy.

Wieczorem Otto powiększył towarzystwo, ale chmurną i zasepioną swą twarzą niewiele mu przyniósł wesela. Aneta nie lubiła go, przeczuwając w nim nieprzyjaciela; ale przyjęła najwdzięczniejszym z uśmiechów, starając się go rozbroić. Jerzy tylko może niezupełnie rad mu był teraz, bo go odrywał od téj, ku której czuł się przyciągnionym tak, że ani oczu od niej oderwać, ani odejść na chwilę od niej nie umiał. Myśl jego nawet obezwładniona, kręciła się

w jakimś ciasném kółku obrazów, ręką wzburzonéj namiętności kreślonych.

Mieli się już rozchodzić po wyjeździe Ottona, który rękę Jerzego ściskawszy z milczącym jakimś załem, smutny powrócił do Robowa, gdy Aneta szepnęła narzeczonemu:

— Przyjdiesz do mnie? Czekam.

Jerzy teraz przez ogień i wodę byłby pobiegł za czarodziejką. Wyszedł tylko na chwilkę do ogrodu, aby się nieco orzeźwić wieczorném powietrzem, lecz gdy światło błysnęło z za firanek pokoiku Anety, zastukał do drzwiczek od balkonu.

Ręka gorączkowym miotana niepokojem, odsunęła mu rygiel.

— To ty! — zawołała — chodź! chodź! Czekałam na ciebie.

Aneta była sama, zrzuciwszy suknię dzienną, przywdziała białe i lekkie ubranie, rozpuszczone włosy zgarnęła w węzeł czarny, i przystrojona do Jerzego w to tylko, co ją piękną uczynić mogło, nie czyniąc przybraną, czekała na niego z dziwnym uśmiechem pokusy. Śmiech krył niepokój, namiętność razem i rachubę, a oczy jęj się paliły.

— Siadaj—rzekła—tu, blisko mnie, i siedźmy tak, i marzymy, mój najdroższy... Nieznośni ludzie, skradli nam kilka godzin szczęścia; chciałam posunąć zegary, aby ich prędzej rozpędzić... A! ten wasz Otto tak straszny, jak jakaś groźba grobowal

— Anetko! to najlepszy z ludzi.

— Ale dla mnie, nie wiem czemu, spojrzenie nań jak na alpejską górę lodową, ścina krew w żyłach

i ziębi... Nie mówmy lepiej o nim: chłód mnie przejmie, gdy to imię wymawiam.

Jerzy się uśmiechnął. Wzięli się za ręce i usiedli przy sobie na kanapce.

Pokoik był takim jak rano; lampa tylko paliła się na biurku, którego wszystkie szufladki powysuwane były, i papiery w nieładzie chwilowym rozsypały się, pokrywając piękne fraszki.

— Cóż to moja pani robiła, że taki nieład u niej?

— A! szukałam miejsca na dar twojej matki, i musiałam powyrzucać listy moje dziecinne... Bóg wie co!... Przeszłość mnie nie nie obchodzi; jutro je wszystkie popalę: cała jestem w tobie i tobą.

— Potrafię ci dać to szczęście, którego się spodziewasz? westchnął Jerzy.

— Bądź spokojny! Oto już je mam: rękę twoją trzymam w dłoni, oczy w twoich źrenicach, serce bije przy twój piersi... nie już, tylko żyć, żyć długo i długo...

Jerzy ciągniony tak ręką i słowem, coraz namiętniej zbliżał się do niej, szalejąc.

Przesiedzieli tak długą chwilę w milczeniu przedburzowém.

— Ach! zatrzymaj się, zrywając się nagle zawołała Aneta: zapomniałam coś ważnego powiedzieć matce; czuję, że może przyjść po to aż pode drzwi moje; a gdyby tu ciebie o téj godzinie zastała, gderałby trochę musiała na mnie, żem cię wpuściła do siebie... Muszę pójść i w mgnieniu oka powracam.

Uśmieknęła się całując go w czoło.

— Nie ruszaj się z miejsca! powtórzyła: za chwilę jestem nazad.

Drzwiczki zamknęły się za białą sukienką...

— Szatan czy anioł? zapytał się oprzytomniając Jerzy: nie wiem, ale bez niej jużbym wyżyć nie potrafił.

I zapomniawszy zakazu Anety, ruszył się z kanapki, aby się przejść po pokoju. Czuł na głowie jakby żelazną opasującą ją obręcz: płonęła mur-cała, w oczach się ćmiło... Zrobił kilka kroków machinalnie ku biurku.

Przed nim leżał zwinięty kawałek papieru.

— A! trzpiot dziewczyna! zawołał, i schylił się, by go podnieść. Ale biorąc w rękę, rzucił okiem, zadrzął, zbladł, zbliżył gwałtownie ów papier, wlepił weń źrenice i zmartwiał jak posąg.

Nieruchomy, skamieniały, powoli z fali krwi i namiętności stygl i obracał się w lodowatą bryłę; tylko ręka, w której trzymał papier, drżała mu i latała wściekle.

Oczy stanęły słupem, zęby się ścięły, włos najeżył i urywany krzyk dobył z piersi.

Patrzył na ten papier, jadł go oczyma, ścisnął w dloni...

Wiek, mgnienie czy godzinę przestał tak odrętwiały, nie wiedział sam. Otworzyły się po cichu drzwiczki, na paluszkach wśliznęła się Aneta, śmiejąc się i przechylając główkę upojoną; ale wtém spojrzała na niego, drgnęła, podniosła ręce, i padła jak piorunem rażona.

Stuk upadającego na posadzkę ciała obudził dopiero Jerzego. Popatrzał na nią z pogardą; nie zbliżył się, nie przystąpił, tylko papier, który trzymał w ręku, cisnął jej na pierś ostygłą, jakby na nią rzucał kamieniem.

Schwycił się za włosy, i wyszedł trzaskając drzwiami, których szyby rozbite zabrzękły i posypały się na ziemię...

ZAKOŃCZENIE.

Maks był jeszcze niezdrowszy, gdy nazajutrz rano, posłaniec na koniu, bez czapki, wpadł z kartką od pana Jędrzeja do sąsiada, prosząc, żeby co prędzej sam przybył i doktora z sobą przywiózł.

— Cóż to się tam stało? zapytał Maks człowieka.

— Albo ja wiem! W nocy gdzieś narzeczony naszej panny uciekł, panna chora, słyszę leży w gorączce i majaczy... Ta pani, co wczoraj była, dziś rano do dnia pojechała płacząc; pan płacze i lamentuje, pani desperuje i mdleje... Już ja tam proszę pana nie wiem co to takiego.

Maks pochwycił pierwszą parę koni z wozem, jakie w dziedzińcu napadł, i pojechał.

W ganku zastał Jędrusia do niepoznania zmienionego.

— Co się u was stało? zapytał Maks.

— Ja... ja... ja nie wiem... może ci powie Stasia, rzekł stary zachodząc się od płaczu. Ja nic powiedzieć nie mogę..

Fermer rzuciwszy go załamującego ręce, pobiegł do salonu. Naprzeciw niemu leciała już zadyszana matka z rozpuszczonymi włosami, ledwie przyodziana.

— Na miłość Boga! doktora! Aneta umiera! doktora!

— Co się stało? spytał Maks: cóż to jest?

— A! okropności! okropności! Jerzy uciekł w nocy. Zastaliśmy Anetę dziś rano obłąkaną, nieprzytomną. drzwi pootwierane, szyby potłuczone, nieład w pokoju... Ten człowiek waryat być musi! Niewiadomo gdzie się podział; matka poleciała za nim.

Maks straszliwie się przeląkł.

— Ale panna Aneta?

— Powiadam ci, że leży nieprzytomna... Bóg wie co wygaduje: przeklina Lolę nieboszczkę... ciebie nawet, panie Maksie, bez żadnego sensu i związku... Jerzego, nas... Jakiś list: ja tego nie rozumiem... A! zlituj się nademną, nad jedyném dzieckiem mojem: doktora! doktora!

I łamała ręce, padając przed nim.

— Nie posłaliżecie po doktora dotąd?

— Ja nie wiem, nie wiem! róbcie co chcecie: doktora! Aneta umiera!

Wtém bryczka rozpędzona cwałem, którą Jędrus wysłał nad rankiem, zatoczyła się przed ganek, wioząc Szemerego, który wpadł krzycząc:

— Co się stało?

— Aneta! Aneta! zabita!

— Co takiego!

— Chodźmy do niej! chodźmy!

Szemere potoczył się zdyszany.

Po cichu weszli do pokoiku.

W podartój sukni białej, z rozpuszczonemi włosami, z oczyma w ślup, Aneta siedziała na kanapie, dysząc płomieniami gorączki; ręce jęj szarpały na sobie ubranie, rwały włosy.

Piękność jęj zmieniała się teraz na twarz głowy Meduzy, rzeźbioną przez wielkiego mistrza greckiego,

wyrazistą, przerażającą jak rozpacz sama rozwścieczoną.

Szemere powoli zbliżył się do niej.

— P. Anno, co to pani?

Chciała coś odpowiedzieć, spojrzała na niego, nie mogła; potrzęsa głową, powiodła oczyma.

— Trup! — rzekła nareszcie — trup! on, Lola!

— No nic, to tylko bardzo silna gorączka, rzekł Szemere. Posłańca do apteki! Może wypadnie krew puścić.

— Precz! precz! krzyknęła nagle się zrywając. Wszyscy zbrojcy, wszędzie krew niewinna: na ołtarzu, na sukni... Precz! To on! on mnie zabije, zadusi w uścisku! Nie dotykajcie mnie.

I znów osłabiona upadła.

Matka płakała i mdlała.

— Tu się coś stać musiało, czego ja nie rozumiem zawołał Szemere.

— I nikt nie wie, i nikt nie rozumie, łkając do dała pani Jędrzejowa. A! ratuj nam Anetkę! zlituj się doktorze! ratuj ją!

Doktor ruszył ramionami, sam nie wiedząc co począć.

— Zrobimy co można... bądź pani spokojna...

Anna wciąż była nieprzytomna...

Taką sceną zakończył się ten dramat, który może jeden tam tylko człowiek zrozumiał i struchlał nań w sercu, jeżeli kiedy miał serce.

Spytacie mnie zapewne co się z Jerzym stało?

W nocy do okna Ottona zastukano gwałtownie, okiennica trząść się poczęła od rwania, wszyscy zerwali się i wybiegli. Na podwórzu stał Jerzy, bez czapki, napół ubrany, zbłocony cały... Otto, który go tak weso-

tego i szczęśliwego widział z wieczoru, za ledwie oczom swym wierzył.

— Jerzy tu? co to jest? zkąd idziesz?

— Przyszedłem... pożegnać cię, odparł głosem przerywanym przybyły. Chodź! słowo! tylko słowo... Każ mi dać konia. Muszę uciekać.

W drugim pokoju stanęli przeciw sobie. Jerzy długo mówić nie mógł, pot zimny lał mu się z czoła, łza z oczu.

— Ty wiesz co jest Aneta?

— Aneta? Jerzy! mój drogi! ale najprzód, cóż ci jest?

— Patrzaj na mnie, to ci odpowiedź. Jest mi, żem zabity na duszy, na sercu, na wieki; żem skalany, że pokuta stu lat we włosiennicy i popiele nie obmyje mojej winy. Aneta! to szatan wcielony.

— Ale cóż się stało? co się stało? zapytał Otto. Uspokój się... mów mi...

— Co się stało? zawołał Jerzy. Ja sam nie wiem. Stała się zbrodnia i okropność, którą mnie Bóg ukarał. Słuchaj. Lola żyła jeszcze, chore było biedne dziecko, i napisało do mnie; mój list, mówiła, miał ją uzdrowić, uspokoić, bo do duszy jej wkradła się trucizna niewiary i niepokoju. Przyniesiono mi list jój; szukałem do niej posłańca, nastreślił się Lacyna. Wiesz jak skończył, ale nikt nie wie czemu... Lacynie upojonemu przez Maksa, list mój, by nie doszedł, wydarto... Maks z nim był, Maks pił z nim w nocy: list zniknął... A wiesz gdzie go znalazłem? Wiesz? W posiadaniu tej kobiety, w rękach tego szatana. A wczoraj jeszcze ona mnie obejmowała, jam całował jej usta. O zgrozo! o zbrodniu obrzydliwości i upodleniu! Otto! nie, na Boga, konia! tylko konia! i braterskie pożeg-

nanie!... Polecę gdzie zginąć; życie mi ciąży jak zbrodnia; a wszakże dając je, na coś się przydać można... Czysty wróciłem ze stepu, a tu! a tu!...

— Drogi mój Jerzy, uspokój się, na Boga! Jerzy, tyś może nie widział; posądzasz, domyślasz się.

— Jak to? Ja list mój trzymałem w ręku, jam go téj potworze zemdlonej rzucił w oczy. To są zwierzęta nie ludzie! Ottonie, konia, w step! w step! w step! na koniec świata! Ja tu żyć nie mogę!

— A matka?

— Ja nie mam matki!

— A przyjaciele twoi?

— Zawsze się umiera: jam umarł, Ottonie... Pożegnajcie mnie jak do trumny, dodał po chwili: w życiu się już nie zobaczymy. To życie wasze nie było stworzone dla mnie; ci ludzie na to mnie wciągnęli, by splamić, odebrać wiarę i nadzieję... Znam gdzieś indziej prostaczych ludzi i pójdę do nich nazad, na pusty step, do wieśniaczych chat... I tam są namiętności, ale nie ma takiego fałszu, ale nie ma zbójczyń jak ona.

— Na Boga! cożes z nią zrobił? zapytał Otto przełkły: nie zabiłeś jój?

— Nie; popchnąłem nogą jak żmiję, ukamienowałem owym listem, a sobie włosy drę z głowy myśląc, że mi serce bić mogło do téj istoty skalanéj, fałszywéj, spodlonéj.

— Jerzy—przerwał Otto—nigdy ci jój nie chwalił, wyznaj; ale nie zapominaj, że to kobieta, i milcz. Może w tém jest coś i twojéj winy: dla czegoś się jój uśmiechnął? czemu nie odepchnąłeś? dla czegoś szedł naprzeciw pokusie i sam szukałeś upadku?

— Nie mów mi nic, nie czyń wyrzutów: czuję, że winienem; ale pokuta będzie okrutna.

To mówiąc Jerzy zerwał się i biegł do drzwi, ale Otto go pochwycił w silne barki i wstrzymał.

— Dokąd? spytał.

— Najprzód na grób ofiary, potem w świat. Niech to wszystko zostanie za mną jak sen i zmora, jak fałsz; niech zapomnę... Na Boga! choćby umrzeć, byle zapomnieć!

Widząc tę rozpacz gwałtownie znów wybuchającą, Otto go wstrzymać nie umiał.

— Idę z tobą, rzekł.

— Ty? dokąd?

— W świat jak ty! odparł Otto. Samego cię nie puszcze; powlokę się z tobą dokądkolwiek pójdziesz. I ja tu nie rzucam nic prócz grobu.

Podał mu rękę.

— Idziemy razem.

Gdy o świecie przybyła instynktem wiedzona do Robowa panna Moroszówna, ani Jerzego już ani Otto-na tu nie zastała: znikli obaj bez wieści. Rozesłano po okolicy, ale śladu żadnego dopytać nie było można, i co się z nimi stało, trudno się było domyślać.

Utrzymywano rozmaicie, rozpowiadano różnie; my tymczasem wstrzymamy się od powtarzania dziwnych pogłosek, bo może kiedy reszta historyi Jerzego na wierzch wypłynie i przybije do brzegu, a my z rozbitych jég szczątków coś jeszcze skleić wam potrafimy.

P. Izabella, powróciwszy do Horycy, pozostała tam znowu wdową i sierotą, z jakąś nadzieją w sercu, że

kiedyś przybrane dziecko zobaczy. Hrabiowstwo w Zarubińcach pozostali przy dawném życiu, z nową tylko boleścią w sercu po stracie Jerzego, którego hrabia już powoli przyswajał sobie zaczynając.

Aneta po długiej chorobie przyszła nareszcie do zdrowia, a potrzeba było na długo z kraju wyjechać, aby zatrzeć wspomnienie wypadków, których tłómaczenie wszystkich od domu ich odstręczyło i otoczyło ich pustynią. Nim się to stało, biedny Jędrus zmarł sobie po cichu w swojej izdebce, a matka z córką znikły bez slychu.

Co się tycze Maksa, los, który mu artystyczny zawód narzucił, dając skosztować jakby na żart obywatelskiego chleba, nie wyrzekł się widać zwrócenia go pierwszemu powołaniu. Żona Fermera, po dość nie-szczęśliwem pożyciu, zmarła prawie nagle; zjawił się syn, który po niej cały zagarnął majątek, a Maks opylwszy wiołoncełkę, musiał z nią znowu w świat wędrować. Poprząpomiął sobie dawne swe fantazye i kaprysy, a szczególniej owo wielkie studyum z tematu „Wlaźl kotek,” które, jak wiemy, rozmaicie na afiszach jego figurowało. Czasami zwało się ono fantazyą z tematów ludowych, narodowych lub krajowych, czasem melodyą słowiańską, ale pod jakąkolwiek zjawiało się postacią, wszędzie od światłej publiczności przyjmowane było z nadzwyczajnym zapalem. Imię Fermera stało się głośnie i unieśmiertelniło tym jedynym utworem. Korrespondencye gazet z prowincyi, jeszcze dziś z Mławy i Łosic często wzmiankują: „Cichy nasz zakątek miał nareszcie szczęście napoić się nieporównanemi dźwiękami i grą mistrzowską znakomitego ziomka naszego i t. d. i t. d.“

Jak sen tylko pozostało Fermerowi wspomnienie

tych chwil, gdy włosy ostrzygł a wąsy nosił i zabierał się już być urzędnikiem od wyborów; mówiono nam bowiem, że znowu zapuścił lwią grzywę, a wargę oczyścił z zarostu.

O innych postaciach, nie wiem czy mam wam jeszcze co powiedzieć. Przeszły jak cień, zeschły jak trawa, znikły jak my wszyscy znikniemy z tych desek, na których przez chwilę robimy wiele wrzawy, jak mówi Szekspir—o jedno nic.

K O N I E C